



Ksawery De Montepin

Kwiaciarka

Pewna zbrodnia jest
początkiem lawiny okrutnych
zdarzeń, które rujnują życie
wielu osób.

DAIDOS
romans

Montépin Xavier de

Kwiaciarka tom 1, 2

Pasjonująca intryga, zbrodnia, wielkie namiętności i równie wielkie pieniądze.

Hrabina de Lagarde wie, czego chce. W imię pieniędzy i życia w luksusie jest w stanie popełnić każdą zbrodnię. Co robić, gdy mąż dowiaduje się o kompromitujących błędach młodości i grozi skandalem? Jak uniknąć rozwodu i obronić własną pozycję Zręczna intrygantka ma plan.... Czy ktoś jest w stanie jej przeszkodzić? I czy miłość będzie miała w tym wszystkim coś do powiedzenia...

Barwne typy, wartką akcją i paryską swiadek XIX wieku, zrecznie pokazane przez autora.



Tom I

I.

Paryżanie do dziś pamiętają wyjątkowo wczesną wiosną 1894 roku. Już w pierwszych dniach kwietnia krzewy i drzewa pod wpływem wysokiej temperatury pokryły się liśćmi, a ptactwo rozradowane ciepłymi promieniami słońca z głośnym świergotem bujało w powietrzu, szukając kryjówek dla usłania gniazd. W ogrodach i wirydarzach miejskich kwitły różnokolorowe tulipany i hiacynty, pączki róż wychylały się spod swych zielonych, koronkowych osłonek.

Był dziesiąty kwietnia, godzina ósma trzydzieści rano. Poślaniec pocztowy, ten najskromniejszy, najbardziej użyteczny, a jednocześnie najgorzej wynagradzany urzędnik administracji pocztowej, pośpiesznym krokiem przemierzał ulicę Verneuil. Zatrzymywał się przed każdym domem, wrzucając do prywatnych skrzynek lub wręczając odźwiernym listy i dzienniki. Podszedł do domu z numerem 17 i zadzwonił.

Drzwi otworzyły się, około sześćdziesięcioletni człowiek, z zawieszonym na pamiątkę wojny krymskiej medalem u dziurki guzika, przyjął z rąk poślanca pakiet broszur, dzienników mód oraz list zaadresowany do Hrabiny de Lagarde. Drzwi zamknęły się i poślaniec pomknął dalej.

Dom, do którego wprowadzamy czytelników, należał do posiadłości arystokratycznych i był własnością pochodzącego ze starego rodu hrabiego, który od osiemnastu lat był mężem panny Marceli Lussan. Sam gmach, którego front był obficie pokryty ornamentami, wznosił się w głębi obszernego dziedzińca. Na pra-

wo od bramy wjazdowej mieścił się pawilon odzwiernego, Denisa Bonnafoux, starego żołnierza i bezdzietnego wdowca; na lewo zaś, naprzeciw pawilonu, znajdowały się stajnie i wozownia.

Na osłonięty markizą taras pałacu prowadziły schody o ośmiu stopniach i podwójnej poręczy z kutego żelaza, z którego szerokie, oszklone drzwi wiodły do obszernego przedsionka.

Na parterze znajdowały się salony służące do przyjmowania gości, pokój stołowy i sala bilardowa. Pierwsze piętro obejmowało przedzielone przedpokojem apartamenty hrabiego i hrabiny, natomiast drugie przeznaczone było dla jedynej córki hrabiostwa Heleny de Lagarde, prześlicznego siedemnastoletniego dziewczęcia, i jej guwernantki.

Umeblowanie apartamentu hrabiny było wyrazem najwyższej elegancji i nowoczesnego komfortu. Apartament hrabiego był niemniej zbytkowny, lecz poważniejszy, składał się bowiem z autentycznych, wiekowych sprzętów o wysokiej wartości artystycznej, wiele z nich, od kilku wieków, było własnością rodziny hrabiego. Denis Bonnafoux, zamknąwszy drzwi za posłańcem, wolnym krokiem przebył dziedziniec, wszedł na taras pałacu, następnie do przedpokoju i wręczył lokajowi otrzymaną pocztę, którą ten przez pokojową Antoninę przekazał hrabinie.

Pani Lagarde już nie spała. Z głową opartą na ręce, której palce tonęły w obfitych splotach włosów, z fałdą na czole, ponurym wzrokiem błędząc w mroku pokoju, którego rolety były jeszcze opuszczone, leżała na łóżku pogrążona w myślach. Usłyszawszy pukanie do drzwi, drgnęła, jak ktoś nagle przebudzony, i nie zmieniając pozycji, wydała rozkaz wejścia.

- Przyniosłam dzisiejszą pocztę - powiedziała pokojowa, podając dzienniki i list.

Hrabina położyła papiery na kołdrze i kazała podnieść rolety.

- Czy pani hrabina ma dla mnie rozkazy? - zapytała pokojowa.

- Nie, możesz odejść. Gdy będę cię potrzebowała, zadzwonię.

Antonina wyszła.

Marcela Lagarde właściwie nie mogła być już nazywana młodą. Miała trzydzieści dziewięć lat, ale wyglądała tak świetnie, że można jej było dać najwyżej trzydzieści. Czas wpłynął na rozwój jej kształtnego biustu, ale nie przyczynił się do rozrostu tuszy i pozostawił jej piękną figurę nietkniętą. Była dość postawna i miała wspaniałe ciemne oczy o zmiennym, często nieodgadzionym wyrazie, jak oczy sfinksa. Wydawały się one czasem surowe, złe, prawie okrutne, innym razem rzewne, pełne obietnic upajających jak wino. Obfite włosy otaczały jej białą jak alabaster twarz. Nos o drżących nozdrzach był kształtny, a nieco grube i rozchylone, podobne do wilgotnego koralu usta, ukazywały podczas uśmiechu dwa szeregi zębów olśniewających jak perły cejlońskie.

Powtórzmy, pani Lagarde nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat i była w najwyższym rozkwicie swej urody, lecz należy dodać, że gdy nie musiała nad sobą panować i nie była przez nikogo obserwowana, wyraz jej twarzy, aksamitnych źrenic i ust miał w sobie coś niepokojącego.

Uważny obserwator widząc ją w chwilach zapomnienia, zauważyłby natychmiast, że ma przed sobą osobę uroczą, lecz niebezpieczną.

W jej wzroku nie było ani odrobiny szczerości, rysy wyrażały dumę, ogromną siłę woli i zmysłowość. Dzięki tej sile woli, nikt bez jej pozwolenia nie mógł dostrzec, co naprawdę działo się w jej duszy.

Nazywano ją zwykle „piękną Marcelą” i należy przyznać, że zasługiwała na ten przydomek. Uchodziła w oczach wszystkich za kobietę nie tylko piękną, lecz szykowną w pełnym tego słowa znaczeniu.

Pani Lagarde spojrzała na przyniesiony list i zmarszczywszy brwi, szepnęła: - To od Jerzego...

Przyjrzała się pieczęciom pocztowym i drgnąwszy, mówiła do siebie dalej:

- Pisz z Nantes... a więc tam był... Miałam przeczucie... Po co on tam pojechał?

Rozerwała kopertę, wyjęła list i czytała.

Nantes, 9 kwietnia 1894

Dość tej obłudy!

Od tej pory na próżno byś kłamała i przeczyła! Przez osiemnaście lat dałem się oszukiwać, przez osiemnaście lat ślepo wierzyłem w twą uczciwość, honor i miłość! A ty zapewne ze mnie drwiłaś! Teraz drwić już nie będziesz!

Zgubiony przez ciebie przypadkiem, list podpisany przez Marię Kernac, akuszerkę z Saint-Luce, otworzył mi oczy. Kobieta ta upominała się o roczną ratę, którą jej przyznałaś za współudział w zbrodni popełnionej przed dziewiętnastu laty. Nie chciałem wierzyć własnym oczom. Każda litera jak rozpalone żelazo wbijała się w moje serce, zdawało mi się, że list ten pisany był w chwili obłędu lub by kogoś wyzyskać. Wydawało mi się rzeczą niemożliwą, aby młoda dziewczyna, którą pojąłem za żonę, za której uczciwość oddałbym głowę, mogła być dzieciobójczynią!

Chciałem pokazać ci ten list i żądać wyjaśnień, lecz brakło mi odwagi! Zaślepiiony, do ostatniej chwili obawiałem się ciebie obrazić! Na koniec, nie mogąc znaleźć spokoju, wyjechałem, oświadczysz ci, że wyjeżdżam do Bordeaux. Lecz skłamałem, gdyż udałem się do Nantes, a następnie do Saint-Luce, aby wybadać Marię Kernac.

Mam w rękach dowód zbrodni i znam nazwisko ojca dziecka, któremu nie pozwoliłaś przyjść na świat, aby zachować urok dziewicy! Nikczemnik ten udaje mojego przyjaciela, ściska moją rękę,

a ja drzę na myśl, czy i Helena, którą uważałem za moją córkę, nie jest również jego dzieckiem!

Zemsta na tych, którzy okryli moje życie hańbą i doprowadzili mnie do rozpacz, będzie straszna. Jak ty miałaś odwagę popełnić zbrodnię, tak i ja zdobędę się na nią, by nikczemność twoja stała się wiadoma wszystkim. Pragnę rozgłosu i skandalu...

Jeżeli niektórzy z naszej sfery uważali mnie dotychczas za pobłażliwego męża, przekonają się, że byłem tylko zaślepiony.

Nie będę wytaczał sprawy przed sąd, ale zażądam rozwodu i przedstawię dowody twojej zdrady i haniebnej przeszłości, które pokryją błotem ciebie i twego kochanka, tego niegodnego urzędnika, podstępnie cieszącego się powszechnym szacunkiem. Następnie spoliczkuję tego Judasza, stoczę z nim pojedynek, choć to za wielki dla niego zaszczyt, zabiję go.

Pozostaje ci tylko jedna możliwość uniknięcia mej zemsty i uwolnienia mnie od obowiązku kata własnego honoru, mianowicie samobójstwo. Odbierz sobie życie, a wtedy milczenie pokryje twój grób i twoja córka nie dowie się, jak nikczemną miała matkę.

Jutro wracam do Paryża, przybędę do domu o dziewiątej wieczorem. Jeżeli w twojej duszy pozostaje jeszcze choć iskierka godności, to zastanę dom w żałobie.

Jerzy de Lagarde

Marcela, czytając ten list, była blada jak trup i drżała na całym ciele.
- Więc Maria Kernac wyznała wszystko - szepnęła zdławionym głosem. - Wydała moje listy... On ma dowody... Jesteśmy zgubieni!

II

Umilkła, jak gdyby przytłoczona rozpaczą, utraciła wszelką nadzieję na ocalenie. Zamyśliła się, po czym nagle podniosła głowę. Złowieszczy błysk pojawił się w jej oczach, przestach zniknął z twarzy, na której pojawiło się jakieś dzikie postanowienie.

Powoli złożyła list hrabiego, włożyła go w rozdartą kopertę i nacisnęła guzik dzwonka.

Po kilku chwilach weszła pokojowa.

- Przygotuj dla mnie ubranie - powiedziała hrabina tonem zwykłym, niezdradzającym najmniejszego niepokoju.

- Jaką suknię pani hrabina założy?

- Ciemną. Wychodzę na miasto.

- Czy mam uprzedzić stangreta, by zaprzęgał?

- Nie, pójde pieszo.

Po upływie pół godziny hrabina, ubrana w czarną suknię i kapelusz w takim samym kolorze, z gęstą koronkową woalką zakrywającą jej twarz, była gotowa do wyjścia.

- Czy pani hrabina wróci na śniadanie? - zapytała pokojowa. Pani Lagarde potwierdziła skinieniem głowy i wsunawszy list za gorset, wyszła z pałacu. Udała się na najbliższy postój dorożek, skąd kazała się zawieźć na ulicę Saint-Marcel numer 19.

Wielu paryżan nie zna tej cichej, prawie pustej ulicy oszczędzonej przez motykę burzycieli, jednocześnie ponurej, zabudowanej głównie klasztorными, obszernymi gmachami z innej epoki, przypominającej wyglądem stary Paryż.

Na skrzyżowaniu Saint-Marcel z ulicą Lhomond ciągnie się dość wysoki mur, ponad którym widać wierzchołki starych drzew i dach domu położonego wśród ogrodu.

W murze tym znajdują się brama i drzwi, zaopatrzone w żelazny, starodawny młotek, zastępujący nowoczesne dzwonki. Przed tymi właśnie drzwiami hrabina się zatrzymała, zapłaciła woźnicy należność i uderzeniem młotka dała znać o swym przybyciu.

Po kilku sekundach drzwi się otworzyły i pojawiła się odźwierna, która spostrzegłszy hrabinę, skłoniła się głęboko, jak przed kimś znajomym.

- Czy pan Kerven w domu? - zapytała hrabina.

- W domu.

- Sam?

- Sam. Jego bratanek, pan Roger Kerven, udał się przed chwilą do sądu. Pan sędzia śledczy jest jeszcze zapewne w swym gabinecie, gdyż był tam przed kilkoma minutami, gdy odnosiłam dzienniki. Czy mam zawołać lokaja, by panią wcześniej zaanonsował?

- Nie ma takiej potrzeby - odrzekła hrabina i udała się do mieszkania.

Dom zajmowany przez sędziego śledczego, Filipa de Kervena, wznosił się wśród starych drzew w ogrodzie, ze wszystkich stron otoczony był murem i wyglądał niezmiernie smutno. Zbudowano go za panowania Ludwika XIII, w połowie z cegły, w połowie z kamienia. Pokoje były wysokie i jasne, mimo to wydawały się ponure, być może dlatego, że futryny i ornamenty wykonano w nich z czarnego dębu. Wchodząc do środka, odnosiło się wrażenie, że opuszcza się żyjących i wstępuje w grobową atmosferę ubiegłych wieków.

Podobnie jak w ogrodzie nie było kwiatów, tak w tych wysokich, chłodnych i smutnych pokojach nie uświadczyło się ani jednego drobiazgu wskazującego na obecność kobiety.

Filip de Kerven, kawaler, urzędnik cieszący się w sądownictwie wielkim poważaniem, za niewielkie pieniądze wynajmował ten

stary, położony w oddalonej dzielnicy dom. Mieszkał w nim wraz ze swym bratankiem Rogerem de Kervenem, młodym, zdolnym adwokatem, i nieliczną służbą, milczącą, zachowującą się stosownie do upodobań pana domu, dyskretną i rozmawiającą zawsze przytłumionymi głosami, jak w mieszkaniu chorego.

Na parterze mieściły się dwa salony, pokój stołowy i kuchnia, na pierwszym piętrze znajdowało się mieszkanie pana domu i jego gabinet, drugie zajmował jego bratanek, natomiast służba mieszkała w pokoikach na poddaszu.

Sędzia prowadził dość bogate życie towarzyskie i zwykle w czwartki przyjmował kółko znajomych złożone ze swych kolegów i ich żon.

Marcela Lagarde uczęszczająca w towarzystwie męża, na każde z tych spotkań reprezentowała na nich urodę, wdzięk, elegancję, dowcip, nowoczesne życie i paryski ton.

Hrabia Jerzy de Lagarde, pochodzący z tych samych okolic co pan Kerven, od najmłodszych lat był z nim związany przyjaźnią.

Gdy lokaj o tak wczesnej porze zaanonsował hrabinę, sędzia, zwykle panujący nad sobą, nie mógł powstrzymać zdziwienia i szybko powstał od biurka. Ale Marcela już przekroczyła próg gabinetu i podnosząc woalkę z uśmiechem na ustach, rzekła:

- To ja... Widzę, że tak wczesna wizyta dziwi pana, ręczę jednak, że mimo to będzie mi pan rad.

- Chyba pani o tym nie wątpi - odrzekł urzędnik, podsuwając jej fotel.

Lokaj wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Filip de Kerven miał czterdzieści sześć lat i dokładnie na tyle wyglądał.

W sądzie podziwiano jego przenikliwość, która pozwalała mu od razu orientować się w nawet najbardziej zawiłej sprawie oraz nigdy niestygnący zapał w wykonywaniu swoich obowiązków. Uważano go za wzorowego urzędnika, sumiennego, pracowitego,

nieskazitelnego i dziwiono się jego prawie klasztornemu życiu, poświęconemu wyłącznie pracy bez wytchnienia.

Ale, jak czytelnicy zapewne już się domyślili, ta skromność obyczajów była udawana. Nie oznacza to, że jego życie nie było na pozór przykładne, ponieważ rzeczywiście takie było, ale górowały w nim dwie namiętności.

Pierwszą była zdrożna miłość, drugą - nienasycone pragnienie, bezustannie odnawiająca się potrzeba karmienia oczu przestachem i cierpieniem winowajcy lub nieszczęśnika, którego los oddał w jego ręce.

Doznawał niezmiernej radości, gdy mógł przekonać oskarżonego o jego zbrodni, dowieść, że nic na świecie nie może go ocalić, a w końcu drżącego i zgnębnego oddać w ręce dozorca więzienia lub kata.

Niewątpliwie pies myśliwski doznaje rozkoszy w ściganiu i pochwyceniu zwierzyny, choć przecież nie będzie miał z tego korzyści, jak również pewne jest, że lew i tygrys rozkoszują się, czując w swych pazurach i zębach drgające mięso żywej zdobyczy. Wreszcie nie mniej pewne jest, że niektórzy ludzie znajdują osobliwe zadowolenie w widoku moralnych cierpień swych bliźnich i tępieniu przestępców lub zwyciężonych.

Sędzia śledczy należał właśnie do tej kategorii osobników, która - według teorii Darwina - prawem atawizmu przechowała instynkty jakiegoś pierwotnego dzikiego zwierzęcia.

III

Filip de Kerven był więcej niż średniego wzrostu, umiarkowanej tuszy, miał bladą, starannie wygoloną twarz, dystyngowane rysy i krótko przystrzyżone ciemne włosy. Wielkie, niewyraźnego koloru oczy o zielonkawym blasku, były zasłonięte opadającymi powiekami i wydawały się przygasłe, ale gdy powieki unosiły się, ze źrenic tryskał płomień podobny do iskier elektrycznych.

Pan sędzia śledczy miał postawę tak dystyngowaną, iż patrząc na niego, niepodobna było podejrzewać go o wady charakteru, o których wyżej wspomnieliśmy.

Pochodził z starszłacheckiej rodziny, ale ponieważ posiadał bardzo skromny majątek, był niestety zmuszony szukać zatrudnienia w sądownictwie.

Został więc adwokatem, jednak, mimo znajomości prawa, nie odnosił sukcesów na tym polu. Sucha wymowa i właściwości jego umysłu nie godziły się z tym zawodem. Nie czuł w sobie zdolności, a także nie lubił bronić oskarżonego, szukać, a w razie potrzeby tworzyć dla niego, okoliczności łagodzących, zręcznie grupować faktów i szczegółów mogących przekonać o niewinności lub zmniejszeniu jego winy. O wiele większą przyjemność sprawiało mu oskarżanie klientów, aniżeli staczanie o nich walki.

Był urodzony do oskarżania, gnębienia, rzucania światła na zbrodnie lub błędy, w takiej działalności znajdował prawdziwą rozkosz. Szybko też zrozumiał, że jako adwokat nie zrobi kariery. Jemu potrzebne były zamknięte drzwi gabinetu śledczego, rozmowy sam na sam z oskarżonym i postępy w dochodzeniu. Przerzu-

cił się więc na tę drogę kariery i dzięki poparciu znajomych, bez większych trudności został mianowany sędzią śledczym w Nantes.

Jednak posada ta go nie zadowoliła. Nie widząc dla siebie przyszłości na prowincji, a także z innych względów, o których dowiemy się wkrótce, zapragnął przenieść się do Paryża. Tylko w Paryżu widział dla siebie miejsce, zresztą tam też zmarli jego rodzice i pozostawili mu skromny majątek.

Wkrótce po ich śmierci zmarł również jego brat Gerard, prokurator generalny w Caen, który wzbogacił się dzięki małżeństwu. Brat osierocił jedyne go syna Rogera, któremu zapisał półtora miliona franków. Filip został opiekunem swego bratanka i przyjął na siebie obowiązek jego wychowania. Nie było to jednak spowodowane przywiązaniem do niego lub pamięcią brata, lecz pragnieniem, aby świat do opinii nieskazitelnego urzędnika mógł dorzucić kilka słów o jego dobrym sercu i poświęceniu dla rodziny.

Filip de Kerven, hipokryta do szpiku kości, zawsze miał na względzie tylko opinię publiczną. Dzięki makiawelistycznej zręczności nietrudno mu było oszukać świat. Czczono go, poważano, uważano za wzór, mówiono o nim z uwielbieniem. Ta powszechna cześć sprawiała mu tym więcej radości i wbijała go w dumę tym większą, że Filip od wielu lat nosił w swym sumieniu wspomnienie zbrodni, która w przyszłości będzie go pchała do kolejnych niktzemności.

Dzięki wpływom swego kolegi, szlachetnego i serdecznego przyjaciela, hrabiego Jerzego Lagarde, który ożenił się z panną Marcelą de Lussan, Filip otrzymał nominację na sędziego śledczego w Paryżu, gdzie pan Lagarde posiadał dom.

Przytoczony przez nas na początku tego wielkiego dramatu list, dostatecznie wyjaśnił czytelnikom, jakie stosunki łączyły Filipa de Kervena z hrabiną de Lagarde.

* * *

Następne wypadki rzucają jeszcze wyraźniejsze światło na te dwie osoby mające odegrać ważną rolę w tej świeżej i prawdziwej historii.

Gdy tylko lokaj zamknął drzwi gabinetu, twarz urzędnika rozjaśniła się, a w jego oczach pojawił się promień radości.

- Marcelo droga, nie uwierzysz, ile szczęścia sprawiłaś mi swoim przybyciem...

Nie zdążył dokończyć, gdyż oblicze Marceli, uśmiechnięte w chwili wejścia do gabinetu, nagle się zmieniło.

- Jesteśmy zgubieni! - powiedziała zdławionym głosem. Dreszcz przebiegł po ciele Filipa.

- Zgubieni! - powtórzył, marszcząc brwi. - A to jakim sposobem?

Hrabina gorączkowym ruchem wyjęła zza stanika list i podała go Filipowi.

- Przeczytaj! - zawołała.

Zachowanie Marceli, zmienione rysy jej twarzy i drżący głos, jak również jej słowa zaniepokoiły pana de Kerverna. Był zbyt przenikliwy, by nie domyślić się, że podany przez nią list zawierał w sobie rzeczy straszne, a być może nawet zapowiedź katastrofy. Zawahał się.

- Cóż to jest? - wyjąkał.

- Przeczytaj! - powtórzyła hrabina. - I spiesz się, gdyż nie mamy czasu.

Pan Kerven wziął list, spojrział na adres i poznał pismo.

- Od twego męża - rzekł. Hrabina po raz trzeci zawołała:

- Przeczytajże wreszcie!

Filip wyjął list z koperty i zaczął czytać. Jego ręce drżały, twarz zbladła, na skronie wystąpił zimny pot. Gdy skończył, padł na fotel, jak gdyby zdrętwiałe nogi nie mogły utrzymać ciała. Rysy jego twarzy wyrażały przerażenie.

- Miałaś słuszość - szepnął - jesteśmy zgubieni.

- Tylko tyle masz do powiedzenia? - pogardliwie rzuciła hrabina.

- Powtarzam twoje słowa, na nasze nieszczęście są słuszne. Znasz gwałtowny charakter swego męża i jego nieposkromiony gniew. Oszukujemy go od dziewiętnastu lat... Teraz ma dowody... Chce się zemścić i będzie nieubłagany! Ale ten list Marii Kernac... Po co go napisała?

- Spóźniłam się z odesłaniem jej pensji.

- Co za nieroztropność!

- Prawda, ale czyż mogłam przypuszczać, że kilkudniowa zwłoka pociągnie za sobą takie następstwa? Jerzy znalazł ten przeklęty list i pojechał do Nantes, nie powiedziawszy mi, dokąd jedzie. Chciał wszystko sprawdzić i zdobyć dowody... Spotkał się z tą nikczemną akuszerką, zagroził jej, może nawet zapłacił, i dowiedział się o wszystkim.

- Ach! - zawołał Filip z goryczą - zgubiłaś nas swoją nierozwagą! Jesteś moim złym duchem! Taką świetną przyszłość miałem przed sobą! Powszechnie mnie szanowano, a teraz z twojej winy czeka mnie hańba. Zaprzepaściłaś całą moją karierę!

- Zawsze myślisz tylko o sobie! - z gniewem przerwała mu hrabina. - A komu zawdzięczasz swoją dzisiejszą pozycję? Może własnym zasługom? Wiesz, że tylko mnie! Ażeby sprowadzić cię z Nantes do Paryża użyłam wszystkich wpływów mego męża, uczciwego człowieka, którego oboje oszukiwaliśmy! Teraz drżysz o swoją karierę i życie, bo obawiasz się zemsty Jerzego, ale czy mnie nie grozi równe, a nawet większe niż tobie niebezpieczeństwo? To, ja będę pierwszą ofiarą, na ciebie przyjdzie kolej później. Posłuchaj Filipie, wiąże nas z sobą dawna zbrodnia i dziewiętnaście lat wspólnej zdrady. Zginiemy razem lub razem się ocalimy! Nie chcę skandalu ani dla ciebie, ani dla siebie. Nie chcę, aby wydało się, że sędzia śledczy Filip de Kerven, wzór urzędników paryskich, jest

hipokrytą i pospolitym kryminalistą! Chcę, aby nigdy się nie dowiedziano, że hrabina de Lagarde może być sądzona i potępiona, jako niewierna żona i dzieciobójczyni!

- Ale jak tego uniknąć? - wyjąkał Filip drżącym głosem. Marcela wydawała się nie słyszeć jego słów i mówiła dalej:

- Grozi nam hańba i czeka nas straszny skandal, od którego tylko śmierć może mnie ocalić, a ty tymczasem, załamany, drżysz z przerażenia i nie możesz zdobyć się na to, by odwrócić niebezpieczeństwo i ocalić nas oboje! Bądźże mężczyzną! Oddałam ci moje życie i serce, w tobie pokładałam wszystkie moje nadzieje... Nie chcę umierać! Pragnę żyć... Ocal mnie!

Oczy Marceli błyszczały, paznokcie jej zaciśniętych palców, wpijały się w dłoń Filipa.

- Jak ja cię obronię? - wyjąkał sędzia.

Pani Lagarde uspokoiła się nagle, ale jej drgające powieki i nozdrza dowodziły, że spokój ten był pozorny.

- Pomówmy chłodno - rzekła. - Przede wszystkim zapanuj nad strachem i odzyskaj zimną krew. - Zamilkła na kilka sekund, po czym powiedziała: - Czy możesz mnie posłuchać?

- Mów.

- Zgadzasz się ze mną, że mój mąż nie będzie miał dla nas litości. Jeżeli uniknę jego zemsty, odbierając sobie życie, to moja śmierć cię nie ocali. Wyzwie cię na pojedynek i zabije.

- Tak jest.

- Pragniesz żyć równie mocno jak ja, a ponieważ ja nie chcę umierać, więc nie życzę sobie i twojej śmierci. Jesteśmy w sile wieku i nadal się kochamy... Prawdopodobnie będziemy kochali się zawsze. Naszemu szczęściu, miłości i życiu grozi niebezpieczeństwo. Mamy lękliwie pochylić głowy, zamiast powalić grożącego nam wroga?

- Powalić... - powtórzył Filip zmieszany.

- Naturalnie! Co się robi, stojąc przed nieprzyjacielem, gotowym zadać cios?

Pan Kerven milczał.

- Uprzedza się go - dokończyła Marcela.

- Zbrodnia - wybełkotał Filip.

- Mylisz się. To nie zbrodnia, to tylko korzystanie z przysługującego nam prawa do obrony własnego, zagrożonego życia. Czyż nie tak?

- Rzeczywiście...

- Przestań drżeć, bo to niegodne mężczyzny! Odzyskaj zimną krew, energię i powiedz sobie, że mój mąż, pisząc ten list, sam wydał na siebie wyrok!

Sędzia zadrżał.

- Czy jesteś gotów działać, aby nas ocalić? Znow zaległa cisza.

- Zdobądźże się wreszcie na choć odrobinę odwagi! - gniewnie zawołała Marcela. - Tylko stanowcze działanie może nas ocalić. Śmierć jego lub nasza!

- Zabójstwo... - wyjąkał blady jak trup sędzia.

- To ocalenie.

- Nie, nie... nie można.

- Nie wiedziałam, że jesteś takim tchórzem - stwierdziła Marcela, wzruszając ramionami. - Skoro tak, skoro mnie opuszczasz, wcześniej zgubiwszy, wracam do domu i tam zażyję truciznę. Kiedy mój mąż wróci dziś wieczorem będę już martwa. Jutro zaś wizytę złożę tobie. Żegnam.

Powiedziawszy to, skierowała się ku drzwiom, lecz sędzia podbiegł i zagroził jej drogę.

- Ty nie powinnaś umierać! - zawołał z rozpaczą.

- Więc zrób coś, bym mogła żyć! Zabij go!

- Dobrze! Ale w jaki sposób? Po co dopuszczać się zbrodni, jeżeli mogą mnie o nią oskarżyć? Odpowiedz.

Marcela przez kilka chwil milczała, po czym odparła:

- Bądź dziś o dziewiątej wieczorem na placu Bastylli, na stacji kolejowej. Będę na ciebie czekała.

- Co postanowiłaś?

- Jeszcze nic konkretnego, ale ponieważ nie wiemy, co może nastąpić, zachowajmy wszelkie środki ostrożności.

- Mów.

- Czy możesz czymś usprawiedliwić nieobecność w domu?

- Mogę bez problemu. Zresztą przypuszczam, że nie dojdzie do tego, abym był zmuszony to robić. Kto ośmieliłby się mnie podejrzewać? A ty, jesteś u siebie swobodna?

- Zupełnie.

- Gdzie jest twoja córka?

- W Blossieres, u margrabiny de Mercoeur.

- Dobrze. Powiedz więc teraz, co zamierzasz zrobić?

Filip de Kerven odzyskał już swoją zimną krew. Kiedy minął chwilowy przestach, był zdecydowany na wszystko.

Urzędnik, sędzia śledczy, człowiek zobowiązany przez prawo do ścigania zbrodniarzy, gotów był zdeptać swój święty mandat i stać się przestępcą podlegającym ściganiu.

Dał znak Marceli, by usiadła, po czym, przekonawszy się, że drzwi gabinetu są dobrze zamknięte, zajął miejsce obok niej i powiedział:

- Mów, słucham cię.

* * *

Wszyscy paryżanie, amatorzy wycieczek za miasto, właściciele domów, robotnicy, studenci, wioślarze, cykliści i tym podobni, znają brzegi Marny i starą tamę w Joinville, wznoszącą się dwa metry nad poziom rzeki, która jest miejscem spotkań miłośników wędkarstwa.

W miejscu tym wzdłuż drogi ciągnie się obszerny park otoczony murem zaopatrzonym w bramę, za którą widać trawnik opasany starymi drzewami. Dalej, w znacznej odległości od bramy, lecz blisko tamy, znajdują się drugie drzwi, również prowadzące do parku, naprzeciw małego pawilonu składającego się z jednej izby na dole i jednej na piętrze.

Była to rudera położona z dala od gmachu głównego, niezamieszkała i tak zaniedbana, że sufity groziły zawaleniem, a w oknach pozostało zaledwie po kilka szyb.

Gęsto zasadzone topole otaczały ten zrujnowany budynek i zasłaniały go przed wzrokiem przechodniów.

Jego wnętrze służyło zapewne przez jakiś czas za skład śmieci, gdyż we wszystkich kątach spoczywały najrozmaitsze przedmioty, takie jak puste butelki, potłuczone wazony, zeschnięte kwiaty, stare gałgany, zdarte miotły - słowem wszystko, co było już niezdatne do użytku.

Położony w środku parku dwupiętrowy dom o obszernych, zbyt licznie umeblowanych pokojach, przedstawiał się bardzo okazale. Na prawo od niego wznosił się pawilon ogrodnika, który pełnił zarazem obowiązki odźwiernego, na lewo znajdowały się stajnie i zagrody dla zwierząt.

Park utrzymany był bardzo starannie i stanowił dziwny kontrast ze wzmiankowaną wyżej rudera.

Posiadłość ta należała do hrabiego Jerzego Lagarde, męża Marceli. Hrabia lubił tam przebywać, szukając samotności po pełnym hałasie paryskim życia, nieustających przyjęciach, obiadach, spotkaniach narzucanych mu przez hrabinę, której ulegał na pozór chętnie, w rzeczywistości zaś z rezygnacją.

Willę tę z powodu wielkiej liczby rosnących w parku jaworów nazywano powszechnie Jaworówką. Nie było w niej stałych okresów pobytu hrabiostwa; czasami przyjeżdżali podczas zimy i bawili parę tygodni; w lecie wizyty bywały częstsze, dłuższe, lecz zawsze nie-

spodziewane, bez ustalonej wcześniej daty. Z tego powodu również urządzenie willi było odpowiednie, wszystko, co było potrzebne do codziennego użytku, jak pościel, naczynia kredensowe i kuchenne oraz srebra, znajdowało się na miejscu i pozostawało pod opieką Walentego, ogrodnika, a zarazem odźwiernego, i jego żony.

Państwo Lagarde, przed przyjazdem, zawiadamiali go rano depeszą, a kilka godzin później przybywali sami wraz z lokajem, stangretem, pokojową i kucharką.

Dodajmy, że Filip Kerven, jako przyjaciel pana domu, spędzał wówczas wszystkie wieczory w willi, a nawet tam nocował.

Tego dnia, w którym rozpoczyna się nasze opowiadanie, w czasie kiedy pani Lagarde po przeczytaniu listu od męża udała się do pana Kervena, w Joinville nad brzegiem Marny młody mężczyzna, liczący dwadzieścia pięć lat, zasiadł z wędką w ręku na krawędzi tamy i założywszy na haczyk przynętę, zarzucił tę wędkę do wody.

Sądząc po szybkim wyborze miejsca i zachowaniu, musiał często gościć w tej okolicy i nie pierwszy raz oddawał się swojej rozrywce.

Wydawało się, że tego dnia łowienie nie było jego jedynym celem, gdyż wzrok mężczyzny zamiast śledzić ruchy sławika, zwracał się bezustannie ku furtce w murze otaczającym park Jaworówki.

Na drodze ciągnącej się wzdłuż rzeki gromadka robotników uwijała się koło szopy, dotykającej tylną ścianą parkowego muru. Mieściła ona w sobie beczki cementu, deski, drabiny i inne przedmioty, przywiezione tu do budowy kanału. Krzątania robotników trwała może kwadrans, po czym ruch na wybrzeżu ustał i nastąpiła cisza.

Na wieży kościoła w Joinville zegar wybił wpół do dziesiątej.

W tej chwili furtka w murze, którą rybak tak uważnie obserwował, zaskrzypiała na swych zardzewiałych zawiasach i na progu pojawił się człowiek ubrany w garnitur z grubego szarego sukna

i czarny filcowy kapelusz. Zamknął zamek na dwa spusty i odwrócił się w kierunku drogi. Zaledwie zrobił kilka kroków, potrącił nogą jakiś w połowie ukryty w trawie przedmiot, zgubiony przypadkiem przez wspomnianych robotników.

Było to zwykle angielskie dłutko osadzone w rękojeści z jesionowego drzewa.

Człowiek pochylił się machinalnie, podniósł narzędzie i rzucił je za siebie, nie troszcząc się, gdzie upadnie.

Dłutko zakreśliło w powietrzu łuk i padło za murem przed drzwiami pustego domku.

Wtedy siedzący na krawędzi tamy rybak podniósł się i zawołał:

- Dzień dobry, panie Walenty. Nie spróbuje pan dziś szczęścia z wędką?

Walenty był wspomnianym ogrodnikiem i odźwiernym hrabiostwa de Lagarde. Był żuaw, również wielki amator wędkowania, często spotykał się z młodzieńcem na tamie i chętnie gawędził z nim o swych wojskowych przygodach.

IV

Na powitanie rybaka ogrodnik po wojskowemu podniósł rękę do kapelusza i odparł: - Nie, nie mogę dzisiaj.

- Dlaczego?

- Otrzymałem wiadomość od żony, że ojciec jest bardzo chory, więc idę do Jonne. Lekarz mówi, że ma zapalenie płuc, a w siedemdziesiątym ósmym roku życia to rzecz niebezpieczna.

- Rzeczywiście... Więc zostawiasz pan tutaj zastępcę za siebie?

- Po co? Ogród w porządku, nie ma potrzeby nawet podlewać. Pozamykałem drzwi i okiennice i idę do Paryża porozmawiać z panią hrabiną. Jeżeli pozwoli, to dobrze, a jeśli nie, to obejdę się bez jej pozwolenia. Trudno, muszę przecież pożegnać ojca. Kto wie, czy dożyje jutra. No, jak panu idzie, bierze ryba?

- Nie, jakoś nie bardzo. Zresztą niedawno przyszedłem.

- Więc życzę powodzenia.

- Dziękuję, szczęśliwej drogi.

Były żuaw uklonił się po wojskowemu i udał w swoją drogę. Rybak spoglądał za nim przez długi czas, a gdy tylko stracił go z oczu, mruknął zacierając ręce:

- Życzysz mi powodzenia, stary ciemiego! Sam je na mnie zsyłasz, wynosząc się z domu. Dobrze zrobiłem, przychodząc tu dzisiaj! Chyba sam pan Bóg natchnął mnie tą myślą! No, dzisiejszy dzień nie będzie stracony. Złowię tylko trochę ryb i zaniosę Wiewiórce.

Nasz rybak, mimo że ubrany porządnie, wyglądał nieco podejrzanie. Miał dwadzieścia pięć lat, ale jego pozbawiona zarostu twarz nadawała mu wygląd przedwcześnie zestarzałego piętnastoletniego chłopca. Twarz ta dziwiła nieco, chociaż nawet nie była brzydka. Nieczysty, unikający spojrzeń innych wzrok, niedbałe ruchy i chrapliwy głos zdradzały włamywacza grasującego w okolicach Paryża.

Ale teraz zostawmy go z wędką na tamie, wkrótce bowiem zobaczymy go przy pracy i poznamy lepiej.

Tymczasem Walenty, po przybyciu do Paryża, udał się wprost na ulicę Verneuil.

- Co się stało, że do nas zawitałeś? - zapytał zdziwiony Denis Bonnafoux, odźwierny w pałacu hrabiego. - Czyżby jakieś nieszczęście w willi?

- W willi nie, ale w domu moich rodziców. Ojciec dogorywa. Czy pan hrabia w domu?

- Hrabia wyjechał przed kilkoma dniami.

- A hrabina?

- Hrabina wyszła jeszcze przed dziewiątą rano.

- Kiedy wróci?

- Kto ją wie! Nigdy nie mówi, kiedy planuje wrócić.

- To źle - rzekł Walenty. - Muszę jechać, a nie powinienem tego robić, nie uprzedziwszy pani.

- Poczekaj trochę, chodź do łoża, wypijemy po szklance wina, to czas szybciej zleci.

- Dobrze.

Weszli do łoża, ale zaledwie Bonnafoux postawił na stole butelkę białego wina i dwie szklanki, rozległ się dzwonek.

- To pani - rzekł odźwierny i pobiegł otworzyć drzwi. Walenty pospiesznie wyszedł naprzeciw hrabiny. Marcela, zobaczywszy go, nie zdołała ukryć zdziwienia.

- Co cię tu sprowadza? - zapytała.

Były zuaw wyjął z kieszeni telegram i podając go, powiedział:

- Niech pani hrabina przeczyta.

Marcela wzięła depeszę i przeczytała półgłosem: „Ojciec bardzo chory. Przyjeżdżaj natychmiast”.

Hrabina zobaczywszy Walentego, w pierwszej chwili okazała wielkie niezadowolenie, ale po przeczytaniu depeszy jej czoło pojaśniało.

- Chodź ze mną - odwróciła się i ruszyła do saloniku. - Więc przyszedłeś prosić o pozwolenie odwiedzenia ojca?

- Pani hrabina przyzna, że zarówno z racji przywiązania, jak i z obowiązku powinienem jechać w tak dramatycznej chwili.

- Przyznaję. Kto wysłał depeszę?

- Moja żona.

- Więc ona już tam jest. W takim razie kto będzie pilnował willi podczas waszej nieobecności?

-Nikt.

- A roboty w ogrodzie warzywnym i parku?

- O tej porze roku w ogrodzie jest niewiele roboty. Ciepłarnia w porządku, kwietniki będą wymagały pracy dopiero w połowie maja. Zresztą moja nieobecność nie potrwa długo.

- Kiedy chcesz jechać?

- Dzisiaj.

- Nie wrócisz już do Joinville?

- Nie, proszę pani.

- Przyniosłeś klucze?

- Przyniosłem tylko od furtki i od mojego pawilonu, klucze od bramy i od domu są tam, gdzie zawsze, w moim mieszkaniu.

- To niezbyt bezpieczne. W kredensie są srebra, a w moim pokoju klejnoty, koronki i inne kosztowne rzeczy. Ktoś może skorzystać z twojej nieobecności i wszystko ukraść.

- Niech pani hrabina się tego nie obawia. W okolicy, chwała Bogu, nie słychać o złodziejach. Zresztą nikt nie będzie wiedział

o moim wyjeździe. Ponadto nikt nie wie, że w willi znajdują się srebra i inne kosztowne przedmioty.

Marcela zmarszczyła brwi.

- Czy roboty przy kanale są już ukończone?

- Jeszcze nie.

- Ilu robotników tam pracuje?

- Z sześćdziesięciu.

- Między nimi mogą znajdować się złodzieje, którzy umyślnie podali się za robotników, by obejrzeć posiadłość, a następnie ją okraść.

- Proszę pani hrabiny, przedsiębiorca jest człowiekiem uczciwym, nie przyjmuje byle kogo i zna wszystkich swoich robotników.

- Jakkolwiek bardzo mi to nie na rękę i boję się pozostawić willę bez nadzoru, nie mogę odmówić ci pozwolenia. Trudno, jedź.

- Dziękuję, pani hrabino. Oto klucze od pawilonu i od furtki prowadzącej do parku.

- Ja mam klucz od furtki i hrabia ma swój, możesz więc ten wziąć z sobą.

- Lepiej niech zostanie u hrabiny. Po powrocie przyjadę tutaj i zabiorę.

Walenty podziękował jeszcze raz i zwrócił się w stronę drzwi.

- Poczekaj - rzekła Marcela. Wyjęła z portmonetki dwa luidory i podała je ogrodnikowi. - Weź to na podróż.

Walenty po wyjściu z pałacu skierował się wprost na dworzec kolejowy. Hrabina udała się do swojego apartamentu, zabrawszy z sobą przyniesione przez niego klucze.

Oczekująca jej przybycia pokojowa zdjęła z niej kapelusz i okrycie.

- Czy śniadanie gotowe? - zapytała hrabina.

- Gotowe.

- Zaraz zejść. Przyślij mi Armanda do pokoju stołowego. Za chwilę lokaj przybył po rozkazy.

Hrabina, podając mu stufrankowy banknot, powiedziała:

- Weź dorożkę i kup mi bilet do frontowej łoży w teatrze Ambigu. Ale spiesz się, bo wychodzę wcześniej i nie wrócę na obiad, a bilet chcę wziąć z sobą.

- Czy mam powiedzieć stangretowi, by zaprzęgał po moim powrocie?

- Nie potrzeba, pojedę dorożką.

- Czy powóz ma pojechać po panią hrabinę po przedstawieniu?

- Nie, odwiezie mnie przyjaciółka, u której będę na obiedzie. Lokaj wyszedł.

Marcela pospiesznie zjadła śniadanie. Rano, gdy jadła sama, zwykle usługiwała jej pokojowa. Podczas dzisiejszego śniadania jej twarz i zachowanie niczym nie zdradzały złowieszczych myśli, które kłębiły się w jej głowie.

Gdy Marcela wstała od stołu, udała się do swojego pokoju, usiadła przy biurku i zaczęła pisać list - powoli, namyślając się nad każdym zdaniem i ważąc każde słowo. Chociaż tekst był krótki, jego napisanie zajęło jej godzinę. Gdy czytała gotowy list, na jej ustach błąkał się straszny uśmiech, a w oczach zdawał się migotać dziwny blask. Włożyła list do koperty, zapieczętowała czarnym lakiem i napisała adres: „Hrabia Jerzy de Lagarde”. Po czym położyła się na szezlongu i przymknęła oczy. Nie spała.

Pukanie do drzwi przerwało jej zamyślenie.

- Proszę wejść.

Był to lokaj, który przyniósł bilet do teatru. Hrabina przywołała pokojową i powiedziała:

- Będę na obiedzie u pani de Presles i prosto od niej pojedę do teatru.

Ubierz mnie w ciemną suknię

- O której godzinie pani wyjedzie?

- Teraz jest czwarta, więc za godzinę.

O piątej kazała sprowadzić dorożkę. Następnie udała się do gabinetu męża, gdzie na biurku, w wiadomym miejscu, położyła napisany przez siebie list. Wróciwszy do swego pokoju, umyślnie upuściła na posadzkę kopertę otrzymanego rano listu od męża i zeszła na dół. Wsiadła do oczekującej już dorożki i głośno, aby słyszeli ją stojący w progu odźwierny i idący za nią lokaj, rzekła do woźnicy:

- Bulwar Haussmana, numer czterdzieści cztery.

Był to adres pani Presles.

* * *

Rybak, którego pozostawiliśmy na tamie rzecznej, nie tracił czasu na próżno.

Dzięki wprawie, a zwłaszcza dzięki dobremu miejscu, złowił w ciągu dwóch godzin ponad dwadzieścia sporych płotek i zadowolony z rezultatu zawiązał je w chustę, zabrał przyrządy i opuścił tamę.

Nie skierował się jednak na most, przez który należało przejść, chcąc wrócić do Paryża, lecz poszedł wzdłuż brzegu rzeki, a następnie aleją, którą dotarł do miejsca, gdzie pod namiotem urządzona była przenośna kuźnia, w której kował naprawiał motyki oraz szpadle robotników pracujących przy budowie kanału.

Wyrzucona z wykopów ziemia leżała wysokimi zwałami po obu stronach drogi i utrudniała przejście, zwłaszcza naprzeciw willi hrabiego Lagarde. W tym miejscu, aby przejść dalej, trzeba było wspiąć się na szczyt nasypów.

Rybak wszedł na wierzchołek jednego z takich pagórków, zatrzymał się i przyglądając się robotom spod oka, obserwował pozostawioną bez dozoru willę.

Przez ogołoczone z liści gałęzie drzew widać było dom, którego wszystkie okiennice zostały szczelnie zamknięte.

Zadowolony z tego co zobaczył, przebył zwały ziemi, piasku i cementu, a następnie udał się na most, przy którym po lewej stronie rzeki znajdował się ubogi sklepik z przyrządami rybackimi. W nim właśnie młody rybak zaopatrywał się w potrzebne rzeczy i z tego powodu, po znajomości, mógł tam pozostawiać swoją wędkę i skrzyneczkę, by nie nosić ich ze sobą do Paryża.

I tym razem zrobił tak samo, zabrał tylko złowione ryby, kupił na stacji bilet trzeciej klasy i odjechał koleją.

Po przybyciu na miejsce udał się pieszo na ulicę Le Regrattier i wszedł do domu z numerem jedenaście.

Dom ten na pierwszy rzut oka wyglądał dość porządnie. Dziedziniec, do którego wchodziło się przez portyk, tworzył czworobok otoczony ze wszystkich stron przez wysokie pięciopiętrowe budynki, do których wejścia oznaczone były literami:

Loża odźwiernego znajdowała się po lewej stronie portyku.

Rybak udał się w stronę wejścia oznaczonego literą „b” i wszedł na piąte piętro obejmujące kilka małych lokali mających wyjścia na długi, ciemny korytarz. Młodzieniec doszedł do końca korytarza i zapukał w ostatnie drzwi.

- Zaraz - dobiegł z wnętrza młody, świeży głos.

Drzwi otworzyły się i na progu ukazała się najwyżej dwudziestodwuletnia, bardzo urodziwa dziewczyna, zwracająca na siebie uwagę niezmiernie gęstymi i długimi włosami rudego, prawie czerwonego koloru.

Z powodu tej właśnie barwy włosów nazywano ją powszechnie Wiewiórką.

- Jesteś, mój chłopcze! - rzekła wesoło. - Nie spodziewałam się ciebie tak prędko. Zarzuciła ręce na szyję przybyłego i głośno pocałowała go w oba policzki. - Co masz w chustce? Ryby? - zapytała.

- Ryby! Patrz, ile ich jest. Wystarczy dla nas obojga. Okropnie jestem głodny.

- I ja także. Jeszcze nie jadłam śniadania.

- A przygotowałaś już coś?

- Mam trochę potrawki z baraniny z ryżem.

- Gdy usmażysz jeszcze ryby, wystarczy. Na obiad zawiozę cię na wieś.

- Naprawdę?
 - Jak cię Kocham!
 - Co za uciecha! - zawołała uradowana Wiewiórka.
 - Widzę, że lubisz wieś.
 - Bardzo! Jestem stworzona na wieśniaczkę i całe życie najchętniej spędziłabym na wsi, zwłaszcza nad brzegiem rzeki.
 - Oczyszczyć ryby i przygotuj patelnię. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.
 - Czy jest coś nowego?
 - Jest.
 - Robota?
 - I to bardzo dobra.
- Wiewiórka zabrała się do przyrządzania ryb.
- Powiedz mi, czy jest to coś niebezpiecznego? - zapytała.
 - Jest to całkowicie bezpieczne. Robota w Jaworówce, przez całą noc nikogo nie będzie tam w domu.
 - A ogrodnik?
 - Wyjechał do ojca, który jest podobno umierający.
 - Ach, biedny człowiek! Niech Bóg się nad nim ulituje - odrzekła Wiewiórka ze szczerym współczuciem. Po chwili dodała: - Czy jesteś pewien, że nikt nie będzie pilnował willi?
 - Jestem pewien, gdyż ogrodnik sam mi to powiedział.
 - Porządny człowiek!
 - Nie mamy się czego obawiać. Będziemy mogli tam gospodarować jak we własnym domu i nie musimy się spieszyć, gdyż mamy dość czasu.
 - Jak myślisz, znajdziemy tam pieniądze?
 - Pieniądzy nie znajdziemy, ale srebra, a może i klejnoty, na pewno. Myślę, że trafiła nam się dobra robota. Od miesiąca obserwuję tę posiadłość i we wszystkim się dobrze zorientowałem. Możemy iść na pewniaka.

- Chwała Bogu! Wzmocni to trochę nasz bieżący budżet, który bardzo zeszcupłał. Lepiej już przymierać głodem, niż ruszyć nasze obligacje.

- Nie naruszamy ich, bądź spokojna.

- Widziałeś się z ojcem La Hire?

- Naszym pośrednikiem?

- Tak.

- A po cóż miałbym się z nim widzieć?

- A jeżeli on nie przyjmie sreber?

- Cóż znowu! Dlaczego miałby nie przyjąć?

- To prawda... nie ma powodu się nas obawiać. Zna dobrze Roberta Dauhina i Modestę Pierrelay, czyli Wiewiórkę. Wie, że nie należymy do żadnej bandy, nie mamy współników ani kontaktów ze złodziejami, może więc liczyć na naszą dyskrecję i wierzyć, że go nie skompromitujemy. Jesteśmy ludźmi uczciwymi - dodała z przekonaniem - rzeczywiście tak myślała.

- Jeszcze pięć lat takiej pracy - dorzucił Robert - a będziemy mogli osiąść na prowincji, gdzieś nad brzegiem rzeki, i spokojnie żyć z procentów.

- Jakie to będzie szczęście! - zawołała Wiewiórka. - Będziemy hodowali kaczki, gęsi, indyki, gołębie, kury, króliki, i do tego na własnej fermie! I jak? Podoba ci się?

- Ba! Będzie to nagroda za naszą pracowitą młodość - sentencjonalnie odrzekł Dauphin.

Po oskrobaniu z łusek i oczyszczeniu ryb Wiewiórka starannie obsypała je mąką, rozpuściła na patelni masło i zaczęła je smażyć.

Robert Dauphin, czyli Wielki Dzieciak, i Modesta Pierrelay, zwana Wiewiórką, należeli do kategorii złodziei okradających wille położone w okolicach Paryża.

Ale jak słyszeliśmy z ich własnych ust, nie mieli współników i działali na własną rękę.

Działając zawsze razem, nie zwierając się nikomu, nie utrzymując żadnych stosunków z innymi tego typu specjalistami, byli dużo bardziej niebezpieczni od innych.

Ta para była dziwna i być może jedyna w swoim rodzaju, ponieważ kradła nie po to, by swoją zdobycz marnować na rozpustne życie, lecz w celu dorobienia się kapitału. Dzięki niemu planowali osiąść kiedyś, jako uczciwi ludzie, na dobrze zagospodarowanej farmie nad brzegiem rzeki obfitującej w ryby. Jak oświadczył Dauphin, mieli nadzieję osiągnąć ten cel po pięciu lub sześciu latach „uczciwej” pracy.

Pracowali razem w tym fachu od pięciu lat, nie odmawiając sobie niczego, gdyż byli smakoszami, w tym czasie zdołali, dzięki kradzieżom, zaoszczędzić dwadzieścia tysięcy franków, które ulokowali w obligacjach Credit Foncier i miasta Paryża. Jedna z tych obligacji w losowaniu powiększyła ich kapitał o pięć tysięcy franków.

- Jeszcze dwadzieścia pięć tysięcy - mówiła Wiewiórka - a będziemy mieli pięćdziesiąt, co ulokowane w papierach wartościowych dających trzy procent, da nam rocznie tysiąc pięćset franków dochodu. Jak na początek to nieźle, tym bardziej że nic nikomu nie będziemy winni. Wszystko to rezultat naszej ciężkiej pracy. Co to znaczy postępować uczciwie i nie lękać się roboty!

Z tego punktu widzenia, można przyznać, że ta złodziejska dwójka rozumowała logicznie i działała zgodnie ze swymi zasadami.

Wielki Dzieciak był sprytny. To on obmyślał i przygotowywał robotę, a gdy na coś się zdecydował, odważnie parł naprzód, po mistrzowsku włamywał się do mieszkań, śmiałą ręką dobierał klucze i wytrychy, gotów był na wszystko, z wyjątkiem użycia noża w razie przyłapania na gorącym uczynku, gdyż w duszy nie był okrutny.

Wiewiórka i Wielki Dzieciak kochali się szczerze i serdecznie. Wszystko, co jedno z nich czyniło, znajdowało aprobatę drugiego. Nigdy nie było kłótni między nimi lub choćby chwilowego sporu, zawsze panowała całkowita zgoda. Żadne małżeństwo nie było lepiej dobrane.

Oboje nie mieli rodziców ani żadnych krewnych. Matka Roberta, uboga robotnica, pozostawiła go sierotą w siódmym roku życia, oddawszy przed śmiercią na nauki do malarza pokojowego; ale chłopiec nie lubił pracy i przedkładał nad nią swobodę i niezależność. A ponieważ tylko kradzieżą mógł zapewnić sobie niezależność, kradł, lecz zawsze sam i nigdy nie dał się ująć, dzięki temu jego akta były czyste.

Jeśli chodzi o Modestę Pierrelay, to, mając piętnaście lat straciła ojca i matkę. Kiedy została sama, polubiła niezależność, o której marzyła podobnie jak Robert Dauphin. Matka uczyła ją na praczkę, praca ta mogła zapewnić jej znośny byt, ale robota jej ciążyła, a nadzór i uwagi pracodawców drażniły. Nie była jednak zepsuta; na drogę lekkiego życia pchnęła ją raczej naiwność. Gdy spotkała Wielkiego Dzieciaka przypadli sobie do gustu, a obustronna sympatia doprowadziła ich do wolnego związku.

Natura tych dwóch dziwnych istot nie była jednak w gruncie rzeczy zła. Często widywano ich litujących się nad jakimś nieszczęśnikiem i przychodzących mu z pomocą.

Za mieszkanie płacili regularnie, żyli spokojnie i nie przyjmowali prawie żadnych gości.

Odźwierna uważała ich za najuczciwszych na świecie ludzi i nigdy nie uwierzyłaby, gdyby ktoś powiedział jej, że ta dwójka stanowi parę niebezpiecznych łotrów.

Robert i Wiewiórka zasiedli wreszcie do stołu. W trakcie jedzenia oblicze młodej kobiety spochmurniało. - Co ci jest? - zapytał Robert.

- Nachodzą mnie czasami smutne myśli.
 - Jakie?
 - Z powodu życia jakie prowadzimy.
 - Zdaje mi się, że żyjemy tak jak wszyscy.
 - Niezupełnie.
 - Dlaczego?
- To, co robimy jest trochę nieuczciwe.
- Więc ty dopiero dzisiaj to zauważyłaś?
 - Nie... Często o tym myślałam, zwłaszcza odkąd zebraliśmy trochę oszczędności.
 - Jaki związek ma jedno z drugim?
 - Bardzo duży.
 - Ciekawe jaki?
 - Co powiedziałbyś, gdyby jakiś niegodziwiec podczas naszej złodziejskiej wyprawy dobrał się do naszego mieszkania i nas okradł?
 - Gdybym go pochwycił, dostałoby mu się!
 - Skreśliłbyś mu kark, prawda?
 - Naturalnie.
 - Właśnie to mnie niepokoi, bo gdyby nas schwytano...
 - Coś ty dzisiaj taka lękliwa?
 - Nie wiem, nie mogę uwolnić się od tych myśli. Może lepiej by było, gdybyśmy wrócili do naszych dawnych fachów, ty do malowania, a ja do prania, zamiast kombinować z wytrychami.
 - To żaden interes, moja droga!
 - Dlaczego?
 - Ty, stojąc przy balii od rana do nocy, zarobiłabyś trzy franki, ja w tym samym czasie powiedzmy sześć franków, razem dziewięć. Myślisz, że po pięciu latach takiej pracy, cięższej od pracy koni dorożkarskich, będąc na uwiezi jak zgłodniałe psy w budzie, potrafilibyśmy zaoszczędzić dwadzieścia pięć tysięcy franków?

- Rozumie się, że nie.
- Więc widzisz, nie ma o czym gadać!
- To prawda, że zarabiamy więcej, ale za to nieuczciwie. Wielki dzieciak wzruszył ramionami.

- Robimy to samo co wszyscy - odrzekł. - Różnica jest tylko w metodzie, ale rezultat ten sam. My zarabiamy na srebrach i kosztownościach pozostawionych w źle strzeżonych willach, na giełdzie ludzie zarabiają na akcjach i rozmaitych papierach wartościowych i im więcej ktoś kogoś okpi, za tym sprytniejszego uchodzi. A czymże są wszelkie inne przedsiębiorstwa, jeżeli nie wyzyskiwaniem, a więc okradaniem innych? Zapomnij o tych skrupułach, moja Wiewióreczko, i podaj mi potrawkę.

Modesta nic nie odrzekła.

Tak rozmawiając i spożywając śniadanie, ułożyli plan i postanowili wykonać go najbliższej nocy.

* * *

Była już szósta, gdy Marcela de Lagarde przybyła do swej przyjaciółki pani de Presles.

- Jadę dziś do teatru - oświadczyła - i wpraszam się do ciebie na obiad.

- Dobrze zrobiłaś, przyjeżdżając. Zaraz siądziemy do stołu, gdyż ja również dziś wieczorem wyjeżdżam, kazałam stangretowi zajechać o ósmej.

- Zatem wyjedziemy jednocześnie.

- Do którego teatru jedziesz?

- Do Ambigu. Przepadam za melodramatami. Drzę cała, patrząc na zbrodniarza popełniającego piękną zbrodnię, i płaczę, jak pokutująca Magdalena, na widok prześladowanej bohaterki lub biednej matki odnajdującej utracone dzieci.

- Będziesz sama?

- Nie! Pan Kerven, sędzia śledczy, ma po mnie przyjechać.

- Miałaś jakąś wiadomość od swego męża?

- Żadnej. Nie wiem nawet, gdzie teraz przebywa.

Rozmowa dwóch przyjaciółek czekających na obiad, a potem spożywających posiłek, prowadzona była o rzeczach bagatelnych.

Punktualnie o ósmej lokaj zaanonsował wizytę pana de Kerverna, a w kilkanaście minut potem pani de Presles własnym powozem odjechała do gmachu Opery, zaś Marcela i Filip dorożką do Ambigu.

Gdy przybyli do teatru i zasiedli w łoży, popularna sztuka, mająca wywołać potoki łez, już się zaczęła.

- Filipie - rzekła po cichu Marcela - o dziesiątej musimy być koniecznie w Joinville.

- Dobrze, wyjedziemy stąd o dziewiątej.

Po uwerturze podniesiono kurtynę i odegrano prolog, który trwał dwadzieścia minut. Antrakt miał trwać dziesięć minut.

Gdy widzowie rozproszyli się po foyer, korytarzach i przedsionkach, Filip dał znak Marceli, która opuściwszy na twarz gęstą woalkę, wyszła z łoży, wmieszała się w tłum i opuściła teatr, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Sędzia postępował kilkanaście kroków za nią i dołączył do niej dopiero na postoju dorożek. Wybrał jedną z nich i kiedy pomógł Marceli się usadowić, powiedział do woźnicy:

- Dworzec kolejowy Vincennes. Dorożka ruszyła.

Następnie sam udał się na koniec długiego szeregu dorożek, wsiadł do ostatniej i kazał się zawieźć na plac Bastylli. Wszelkie środki ostrożności zostały przedsięwzięte. Opuścimy na chwilę Filipa i Marcelę i wrócmy do Joinville.

VI

W kwietniu noc nadchodzi jeszcze wcześniej i dzień dla robotników kończy się o godzinie szóstej. Mężczyźni zajęci przy budowie kanału punktualnie o godzinie szóstej opuścili miejsce pracy i rozproszyli się po rozmaitych garkuchniach i sąsiednich zakładach, gdzie stołowali się i sypiali. Dotyczyło to tych, których mieszkania znajdowały się zbyt daleko, by do nich codziennie wracać.

Kopacze jednak, zanim na dobre zakończyli pracę, zobowiązani byli, wykonując zalecenia przedsiębiorcy, odnieść wszystkie narzędzia wymagające naprawy do przenośnej kuźni, gdzie kowal podczas nocy doprowadzał je do porządku i rano, sprawne, oddawał z powrotem.

Jan Remy, kowal, w połowie ślusarz i mechanik, przyjmował narzędzia pod okiem dozorca, segregując je na zupełnie nieużyteczne, które należało zastąpić nowymi, i takie, które po naprawieniu mogły jeszcze służyć przy robocie.

Dozorca, Paweł Giret, był również ślusarzem. Znał Jana Remy od dawna i żył z nim w zgodzie.

Obaj służyli w marynarce, jako pomocnicy mechanika, po zwolnieniu razem osiedli w Paryżu i dalej razem pracowali, w tym samym fachu, zawsze u tych samych przedsiębiorców robót publicznych.

Paweł Giret był kawalerem, Jan Remy miał żonę, ale małżeństwo jego nie tylko nie rozdzieliło ich, lecz jeszcze bardziej zacieśniło więzy starej przyjaźni.

Mieszkali w jednym domu, przez drzwi tylko, a gdy przebywali w Paryżu, Giret stołował się u swego towarzysza. Pracując na prowincji, również kwaterowali się i jadali razem.

Przedsiębiorca bardzo ich cenił i uważał za uczciwych ludzi i wzorowych robotników.

Z ostatnim uderzeniem godziny szóstej robotnicy zebrali połamane lub stępione narzędzia i odnieśli je do kuźni. Tym razem zebrało się ich niewiele, roboty bowiem prowadzone były w miękkiej ziemi lub w dawnych wykopach.

Remy i Giret mieli już iść na obiad, gdy do kuźni wszedł przedsiębiorca i zwrócił się do Pawła:

- Mój drogi, może będziesz tak dobry i po obiedzie pójdziesz do Nogent?

- Z przyjemnością, choćby nawet zaraz.

- Nie, lepiej wieczorem.

- Co mam tam zrobić?

- Zaniesiesz list do mera. Postanowiono przeprowadzić pewne roboty w gminie, przedstawiłem więc ofertę i chciałbym, aby dziś jeszcze była odesłana.

- Dobrze, może pan na mnie liczyć.

- Dziękuję ci.

Przedsiębiorca miał już odejść, gdy spostrzegł dwie kobiety zbliżające się do kuźni.

- Remy, masz wizytę - powiedział.

- Czyją? - zapytał kowal.

- Żony i córki.

Były to Magdalena Remy, żona Jana, i jego córka Gabriela, które postanowiły go odwiedzić.

Przechodząc, ukłoniły się odchodzącemu przedsiębiorcy i rzuciły się w ramiona uradowanego kowala.

- Zrobiłyście mi prawdziwą niespodziankę - zawołał Jan. - Co was tu sprowadza?

- Przyniosłyśmy ojcu ubranie na zmianę i chciałyśmy razem zjeść obiad.

- Doskonale zrobiłyście. Więc Gabriela nie była dziś w pracowni?

- Byłam tylko do południa - odparła dziewczyna.
- Dlaczego?
- Nie otrzymaliśmy materiałów, więc trzeba było przerwać robotę.
- A więc - dodała Magdalena - skorzystałyśmy ze sposobności i postanowiłyśmy cię odwiedzić.
- Wspaniale. Bardzo jesteście zmęczone?
- Nie, przyjechałyśmy koleją.
- W takim razie mam propozycję - rzekł Giret.
- Co takiego? - zapytał Remy.
- Mam iść do Nogent. Jeżeli zechcielibyście pójść ze mną, moglibyśmy zjeść tam razem obiad, następnie Gabriela i Magdalena wróciłyby stamtąd koleją do Paryża, a my tutaj na nocleg. Zgadza się?

Uradowana Gabriela ucałowała ojca.

- A co zrobisz z paczką, którą przyniosłyśmy?
- Schowam ją tutaj - rzekł kowal, wskazując skrzynię znajdującą się w kuźni. - Po powrocie ją zabierzemy.
- A jeśli ktoś ukradnie?
- Nie ma obawy. Wszyscy nasi robotnicy to ludzie uczciwi, zresztą nikt nie będzie wiedział, że właśnie tam coś schowałem.

Zamknął skrzynię i podał żonie ramię, a Gabriela przyjęła rękę Pawła, po czym wszyscy czworo udali się wzdłuż rzeki do Nogent-sur-Marne.

Nadchodziła noc, lecz droga była wygodna i bezpieczna. Po przybyciu na miejsce Paweł Giret wypełnił powierzone mu zadanie, zaś Remy w skromnej miejscowej garkuchni zamówił obiad. O siódmej wszyscy czworo w najlepszych humorach siedzieli już przy stole.

* * *

Zegar kolejowy wskazywał wpół do dziewiątej, gdy pociąg jadący z Nantes zatrzymał się na Dworcu Orleańskim w Paryżu.

Otworzono drzwi wagonów i podróżni tłumnie rzucili się ku wyjściu, przy którym kontrolerzy odbierali i sprawdzali bilety

Z przedziału pierwszej klasy powoli, nie spiesząc się, wyszedł mężczyzna liczący około pięćdziesięciu lat, słusznego wzrostu, z ciemną, nieco już siwą brodą. Ubrany był w ciemny garnitur, na głowie miał miękki kapelusz podróżny, czerwoną wstążeczkę w dziurce od guzika. Nie miał przy sobie żadnych bagaży, tylko przewieszzone przez lewe ramię palto. Oddał bilet przy wejściu, przebył salę i udał się wprost na postój dorożek. Wsiadł do najbliższej i rzekł do woźnicy:

- Ulica Verneuil, numer siedemnaście. Mężczyzną tym był hrabia Lagarde.

Gdy powóz stanął przed domem, zapłacił woźnicy i ruszył w kierunku drzwi. Pewną ręką niezdradzającą najmniejszego wzruszenia pociągnął za sznurek dzwonka.

Spokój hrabiego był tylko pozorny i okazał się możliwy tylko dzięki jego silnej woli. Po wysłaniu z Nantes listu do żony, wracał z sercem przepełnionym nienawiścią, spragniony zemsty i z nadzieją zastania domu w żałobie.

Nie przebacza się zniewagi, hipokryzji i zdrady trwającej osiemnaście lat.

Hrabia kochał swoją żonę tak bardzo, jak tylko można kochać kobietę, ubóstwiał ją, wierzył jej absolutnie i ślepo. Ale teraz, gdy wiedział, że w rzeczywistości była nikczemną istotą, która oszukiwała go i obrzuciła jego nazwisko błotem, gdy on w swoim sercu wznosił jej ołtarz, tym większą czuł dla niej pogardę, tym bardziej burzył się na wspomnienie takiej niewdzięczności.

Gdy przekraczał próg domu, lekki dreszcz przebiegł po jego ciele.

- To pan! - zawołał uradowany odźwierny.

- Ja, mój Denisie. Nie wiedziałeś, że mam wrócić?
 - Nie wiedziałem, panie hrabio, i dlatego tak się zdziwiłem.
 - Czy pani otrzymała dziś rano list?
 - Trudno powiedzieć, ale przypuszczam, że przynajmniej jeden był z dziennikami.
 - Czy pani jest w domu?
 - Nie, wyjechała jeszcze o piątej.
 - Własnym powozem?
 - Dorożką. Słyszałem, jak kazała woźnicy zawieźć się na ulicę Haussmanna pod numer czterdziesty czwarty.
- Hrabia zmarszczył brwi. Co to wszystko znaczy? Marcela wyjechała o piątej do pani Presles. Zatem chyba nie otrzymała jego listu. Hrabia przebył dziedziniec i wszedł do domu. Nic nie wskazywało na to, że podczas jego nieobecności zaszło cokolwiek niezwykłego.
- Czy pani jadła obiad w domu? - zapytał hrabia lokaja.
 - Nie, pani hrabina o piątej wyjechała do pani de Presles i stamtąd miała się udać do teatru.
 - Do teatru?
 - Tak, do Ambigu. Dziś rano z rozkazu pani jechałem tam kupić bilet do łoży.
 - Czy w ciągu dnia był kto u pani z wizytą?
 - Nikt nie był, przyszedł tylko ogrodnik Walenty.
 - Po co?
 - Nie wiem.
 - A pan Filip Kerven nie przyjeżdżał?
 - Nie. Od wyjazdu pana hrabiego nie był tu ani razu.
 - Czy pani otrzymała jakieś listy dziś rano? - zapytał ponownie pokojowej.
 - Tylko jeden, przyniesiony z poczty wraz z dziennikami - odrzekła pokojowa.
 - Czy pani nie mówiła, kiedy wróci?

- Nie mówiła, ale ponieważ jest w teatrze, to wróci zapewne po ukończeniu przedstawienia.

- Czy kazała przyjechać po siebie? -Nie.

- Zapal lampę w moim gabinecie.

Idąc za lokajem, myślał: To dziwne, niezrozumiałe... Dlaczego nie otrzymała mojego listu? Jeżeli go dostała, to widocznie, nikczemna, zlekceważyła moją groźbę. Może liczyła na moje przebaczenie? Może przypuszczała, że jej łzy, prośby i fałszywe pieszczoty, trafią znowu do mego serca, nad którym panowała od osiemnastu lat! Jeżeli tak myślała, to grubo się pomyliła! Dzisiaj, gdy nareszcie przejrzałem na oczy, nie będę miał litości! Lęka się śmierci, tym gorzej dla niej.

Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl.

A jeżeli nie otrzymała mojego listu, to jej wyjazd do teatru jest rzeczą naturalną, gdyż nie sądziła, że o wszystkim wiem.

Po wejściu do gabinetu odprawił lokaja, po czym wziął lampę i udał się do apartamentu żony. Pomimo udzielonych przez służbę informacji wyobrażał sobie, że znajdzie tam trupa Marceli. Ale w jej pokoju wszystko było w porządku. Dzienniki z nienaruszonymi opaskami leżały na biurku. Zwracając się w drugą stronę pokoju, spostrzegł leżącą na dywanie kopertę. Podniósł ją i poznał swoje pismo. Teraz nie miał już najmniejszej wątpliwości: Marcela otrzymała jego list.

VII

Hrabia powiódł wzrokiem po pokoju i wrócił do swojego gabinetu. Wie, że ją zdemaskowałem - myślał - a jednak nie odebrała sobie życia! Ach, nikczemna!

Stawiając lampę na biurku, spostrzegł list pozostawiony przez Marcelę i zaadresowany do niego. Podniósł go drżącą ręką, rozerwał kopertę i czytał:

Nie spodziewam się od ciebie ani przebaczenia, ani litości, gdyż wiem, że na to nie zasługuję. Pragnę uniknąć skandalu, jakim mi grozisz, a zarazem oszczędzić ci hańby, jaka pokryłaby twoje czyste nazwisko, gdyż nikt nie wie o mojej zbrodni. Zgadzam się, więc na twój wyrok i poddamę wyznaczonej mi przez ciebie karze. Ale nie zrobię tego w twoim domu. Nie chcę, by żadna skarga lub jęk konania obity się o uszy twojej służby i aby twoje stopy, gdy będziesz wchodził nie potknęły się o mego trupa.

Zycie odbiorę sobie w Jaworówce. Tam poniosę pokutę za mą obłudę i zdradę, wreszcie tam w ciszy i samotności prędzej zdobędę się na odwagę rozstania ze światem. Przedsięwzięłam wszelkie środki, aby nikt nie powątpiewał, że dobrowolnie pozbawiłam się życia przed twym powrotem do Paryża.

Helena jest twoją córką. Przysięgam ci na to wobec majestatu śmierci! Możesz i powinienes ją kochać.

Jeśli nienawiść twoja nie sięga poza grób, módl się za mnie.

Marcela

Podczas czytania tego listu, ciałem hrabiego wstrząsał dreszcz i dwie grube łzy wytoczyły się spod jego powiek.

Gdy skończył, objął dłońmi rozpalone czoło, jak gdyby nagle opanowały go wyrzuty sumienia. Pytał siebie, czy rzeczywiście miał prawo czynić się sędzią i czy opór żony przeciw wydanemu przez niego wyrokowi nie byłby słuszny?

Marcela przed śmiercią przysięgła, że może kochać Helenę, gdyż naprawdę jest jego córką. Czy mogła skłamać w tak uroczystej chwili? Nie przypuszczał. Uwierzył i był jej wdzięczny za to zapewnienie, że może kochać swoje dziecko ojcowską miłością.

- Helena jest moją córką! - szeptał zdławionym głosem. - Mogę ją kochać!

Przez kilka chwil stał w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w liście od Marceli.

- Zrozumiała, że powinna umrzeć - powiedział, budząc się z zadumy.
- Zatem za surowo ją sądziłem, gdyż wołała śmierć niż hańbę... Wydałem wyrok... Winowajczyni wykonała go sama... To dobrze... Nie mogłem litować się i przebaczyć niewiernej, ale uszanuję jej zwłoki i pojedę do Joinville. A jutro pomyślę o nim... Pan Filip Kerven mi nie umknie, zmuszę go do połączenia się ze współniczką.

Włożył list do pugilaresu, do którego włożył też znalezione kopertę, i schował go w kieszeni. Jego twarz była spokojna i zniknęły z niej ślady chwilowego wzruszenia.

Z jednej z szufladek biurka wyjął klucz i zadzwonił po lokaja.

- Czy podczas mojej nieobecności panna Helena nie przyjechała czasem do Paryża?

- Nie, panie hrabio, panienka bawi u pani de Mercoeur.

- Dobrze. Podaj mi palto i kapelusz.

- Pan hrabia wychodzi. A gdyby pani wróciła, co mam powiedzieć?

Hrabia otworzył usta, by odrzec: „Pani nie wróci...”, lecz zorientował się na czas i odrzekł spokojnym tonem:

- Zawiadomisz ją o moim powrocie. Zgaś lampę. - I wyszedł z gabinetu.

Przechodząc obok odźwiernego zapytał:

- Był tu podobno ogrodnik z Joinville?

- Był, panie hrabio.

- Nie wiesz, po co?

- Owszem. Otrzymał od żony depezę z zawiadomieniem o ciężkiej chorobie ojca i wezwaniem do niego. Przybiegł prosić o pozwolenie wyjazdu.

- Czy pani pozwoliła?

- Pozwoliła.

- Któż przez ten czas będzie miał nadzór nad willą?

- Nikt. Walenty mówił, że wszystko jest w porządku. Klucz od furtki prowadzącej do parku pozostawił u pani.

Hrabia pewnym krokiem udał się z domu na postój dorożek, wsiadł w jedną z nich i kazał się zawieźć na plac Bastylli.

* * *

O piątej wieczorem Wielki Dzieciak i Wiewiórka opuścili ulicę La Regrettier. Oboje uwielbiali jazdę na welocypedach, która pozwalała im szybko i bez kosztów odbywać wycieczki w okolice Paryża. Swoje rowery przechowywali w komórce na dziedzińcu zajmowanego domu.

Po upływie pół godziny byli już w wiosce Gravelle, gdzie w milczeniu spożyli obiad, po czym żwawo ruszyli w dalszą drogę. Tymczasem zapadła noc, więc zapalili latarki rowerowe, które zgasili dopiero, kiedy dotarli do mostu.

W tym miejscu droga przecięta jest przez arkady ułatwiające odpływ wody podczas powodzi. Zwykle służyły one administra-

cji dróg i mostów, jako skład materiałów i narzędzi. Arkady były wprawdzie zamykane, ale w tak prymitywny sposób, że Robert nie miał żadnych trudności z otwarciem drzwi. Do tej kryjówki wprowadzili rowery, zabrali narzędzia przeznaczone do wyważania drzwi i otwierania zamków, po czym wyszli na drogę.

- Którędy pójdziemy? - zapytała Wiewiórka.

- Wybrzeżem aż do starej tamy, a gdy się tam dostaniemy, pozostanie już tylko przedostać się przez mur.

- A jeżeli kogoś spotkamy?

- Nie ma obawy. Co prawda przy drodze jest oberża, ale o tej porze wszyscy już śpią.

Podał jej ramię i jak zwykli ludzie, przechadzający się po dobrym obiedzie przed udaniem się na spoczynek, ruszyli w drogę.

VIII

Noc była spokojna, nawet najłżejszy wietrzyk nie zakłócał ciszy, od rzeki nie było słycać najmniejszego szmeru i tylko z oddali dochodził głos szczekających psów. Wschodzący księżyc srebrzył wody rzeki cicho szemrzącej przy zetknięciu z brzegami tamy i arkadami mostu.

- Tędy wyjdziemy - rzekł Robert, wskazując furtkę do parku znajdującą się w murze. - Wiem, jak ją otworzyć. Raz, gdy złapał mnie deszcz, łowiący tu ryby Walenty ukrył mnie w jakimś zrujnowanym budynku stojącym w pobliżu furtki. Widziałem, jak ją otwierał.

- A którą wyjdziemy?

- Musimy przedostać się przez mur.

Gdy podeszli do głównego wejścia do parku, szepnął:

- Idź przodem, ja zostanę na straży.

Wiewiórka, która była bardzo zręczna, uniosła się na palcach, rękami chwyciła za zwieńczenie filaru i wkrótce była już na szczycie muru, skąd następnie powoli zsunęła się na drugą stronę.

W ten sam sposób przedostał się i Robert, który wkrótce stanął obok Wiewiórki.

Ruszyli wąską aleją, w której gałęzie drzew tworzyły sklepienie nad ich głowami. Po przejściu stu kroków stanęli przed wejściem do willi, drugie, takie samo, znajdowało się z tyłu domu.

- Tu dzisiaj będziemy pracować - rzekł Robert. - Poczekał na mnie chwilę, pójdę sprawdzić, jak wygląda tył willi i pawilon ogrodnika.

Po kilku minutach wrócił i oświadczył:

- Wszystkie drzwi pozamykane. Walenty nie wrócił. Możemy śmiało zabrać się do roboty, nikt nam nie przeszkodzi. A teraz zapal latarkę.

Wiewiórka wyjęła z kieszeni małą latareczkę, istną dziecinną zabawkę, i włączyła ją.

Robert wyjął z pochwy sięgający mu za kolano oskard, który był zaostrzony na końcu jak nóż, po czym ruszył ku drzwiom.

Ze zręcznością dowodzącą wprawy w tego rodzaju robocie wcisnął koniec narzędzia w szparę pomiędzy dwiema połowami drzwi, pchnął je całym ciężarem swojego ciała i przechylił narzędzie od lewej do prawej strony. Zamek opadł i drzwi uchyliły się. Weszli do przedpokoju i przymknęli je za sobą.

- Oby tylko drzwi wewnętrzne nie były pozamykane na klucz, bo otwieranie ich zajęłoby nam sporo czasu.

- Nie, są otwarte - odrzekła Wiewiórka, naciskając klamkę. - To pokój stołowy, więc srebra są pewnie tutaj.

- Ale będziemy potrzebowali więcej światła. Młoda kobieta wskazała wiszącą nad stołem lampę.

- Mamy wszystko, czego nam potrzeba. Zapalimy ją i będzie widno jak w dzień. Ale sprawdźmy najpierw, czy okiennice są dobrze zamknięte.

Okiennice były zamknięte, więc zapalili lampę.

- No, do roboty! Nie oglądaj obrazów! - zawołał Wielki Dzieciak, widząc Wiewiórkę z zachwytem przyglądającą się rozwieszonym na ścianach płótnom.

Pokój, w którym znajdowali się złodzieje, był stylowo i wykwintnie umeblowany, podobnie jak cała willa.

- Co za szyk! - rzekł Robert, przyglądając się wspaniałemu kredensowi w stylu Henryka III. - Szkoda, że nie można go zabrać, wart jest kilka groszy.

Drzwi kredensu były zamknięte. Dauphin przyjrzał mu się i mruknął:
- Zamek starego systemu, nie będzie z nim kłopotu.

Wyjął z kieszeni brelok z wytrychami i zabrał się do roboty. Po chwili drzwi były otwarte.

Rzeczywiście w niższej części kredensu znajdowały się szuflady ze srebrami posegregowanymi według przeznaczenia. Oddzielnie leżały łyżeczki do kawy, gdzie indziej szczypczyki do cukru, solniczki, pieprzniczki, widelce, łyżki, a jeszcze gdzie indziej całe serwisy.

- Co za przepych! - zawołał Wielki Dzieciak. - No, dawaj worek!

Wiewiórka wyjęła schowany pod koszulą płócienny worek, do którego Robert zaczął wkładać srebrne przedmioty, przyglądając się im uważnie, by nie zabrać czegoś o małej wartości. Worek napełniał się i stawał coraz cięższy.

- Ale szczęście! - szeptała Wiewiórka po wrzuceniu każdego przedmiotu.

Przeszukali szuflady, stoły i inne meble, lecz nie znaleźli już nic zasługującego na zabranie.

W innych pokojach też nie znaleźli niczego ciekawego, dopiero w sypialni hrabiny Lagarde zobaczyli w szafie pudełko pełne kosztowności. Srebrne okucie toaletki i stolika hrabiny wywołało zachwyty Wiewiórki. Ono również powiększyło zawartość worka.

- Uf, ciężki! - zawołał Wielki Dzieciak, podnosząc worek. - Pod arkadami podzielimy się po połowie.

Mocno związali worek, by w drodze srebro nie dźwięczało, po czym z pomocą Wiewiórki Robert założył go na plecy.

- A teraz uciekajmy!

IX

Wrócili do pierwszego pokoju, gdzie Wiewiórka zgasila lampę, a następnie udali się do przedpokoju.

- Zabierz narzędzia - rzekł Wielki Dzieciak. - Nigdy w miejscu kradzieży nie należy pozostawiać dowodów rzeczowych, to fundamentalna zasada naszego fachu.

Opuścili zrabowany dom i byli już prawie przy furtce, gdy nagle Robert zatrzymał się i wyteżył słuch.

- Co się stało? - zapytała Wiewiórka.

- Ktoś szedł za murem i właśnie zatrzymał się przed furtką - szepnął jej do ucha Dauphin.

Rzeczywiście, pomimo gęstej trawy, pokrywającej ziemię wzdłuż wybrzeża, słycać było odgłos zbliżających się kroków.

- Jeżeli to wraca ogrodnik... - szepnęła drżąca z przestachu Wiewiórka. Zgrzyt klucza otwierającego zamek, przerwał jej dalsze słowa. - Ktoś wchodzi... Uciekajmy... - I chwyciwszy rękę swojego współnika, pociągnęła go ku zrujnowanemu budynkowi.

Jego drzwi zamykały się tylko na zasuwkę, więc łatwo udało im się je otworzyć. Weszli do środka i przymknęli drzwi.

W tej chwili furtka otworzyła się i jakiś kobiecy głos powiedział:

- Zamknij na klucz. Poczekamy pod drzwiami.

- Już po nas! - szepnęła przerażona Wiewiórka.

Wielki Dzieciak ujął ją za rękę i pociągnął ku schodom prowadzącym na pierwsze piętro. Tutaj, podobnie jak na parterze, była tylko jedna izba z jednym oknem.

- Nie mów nic i nie ruszaj się - szepnął jej do ucha.

Położył worek na podłodze i podszedł do okna, przez które dostrzegł dwie osoby wchodzące do parku.

- Nie widzę dobrze - szepnął - lecz zdaje mi się, że jest jakaś kobieta. Gęste liście kasztanów rzucały cień na obserwowane przez niego miejsce.

Oparta o ścianę Wiewiórka stała pół żywa ze strachu. Osobami, które weszły do parku, byli Marcela de Lagarde i Filip de Kerven.

Filip ostrożnie wyjął klucz z zamka i postąpił kilka kroków, gdy wtem potknął się o jakiś błyszczący przedmiot i omal nie upadł.

- Co ci się stało? - zapytała Marcela.

Sędzia pochylił się i podniósł jakieś ostro zakończone narzędzie.

- Sam los zsyła nam tę broń - rzekła Marcela. - Z pewnością jest lepsza od sztyletu, który ze sobą wzięłeś.

Filip nic nie odpowiedział i schował narzędzie do kieszeni palta. Był to rodzaj cienkiego, wąskiego dłuta, które Walenty tego ranka znalazł na nabrzeżu i przerzucił przez mur.

- Jesteś pewna, że on wejdzie tymi drzwiami? - zapytał sędzia.

- Naturalnie, ma klucz tylko do tej furtki.

- A jeżeli nie przyjdzie?

- Jestem o to spokojna, znam go nazbyt dobrze. Przyjechał do Paryża o dziewiątej, będzie w domu przed dziesiątą i gdy tylko przeczyta mój list, przyjedzie, by się przekonać, czy rzeczywiście nie żyję. Powinien tu być o jedenastej. Wejźmy pod drzewa i czekajmy. Usłyszemy, gdy będzie otwierał drzwi.

Podeszli do tego samego budynku, w którym ukryli się Wiewiórka i Wielki Dzieciak.

Ten ostatni, choć wszystkie szyby w oknie, przy którym stał, były powybijane, nie zrozumiał ani słowa rozmowy między przybyłymi osobami ukrytymi w cieniu wielkich drzew.

- Co to za jedni i co oni tu robią? - zastanawiał się głośno. - Nie są z naszego bractwa, bo mają ze sobą klucz.

- Boję się - szepnęła Wiewiórka głosem cichym jak oddech. Robert położył jej dłoń na ustach. Umilkła i czekała na to, co dalej nastąpi.

Marcela nie wymieniła z Filipem już ani słowa. W milczeniu i napięciu oczekiwali na wykonanie zbrodni.

Wybiła jedenasta. Marcela nachyliła się do ucha Filipa i szepnęła:

- Powinien nadejść lada chwila. Idź już.

Czując drzenie jego ręki, domyśliła się, że się waha.

- Chodzi o nasze ocalenie - rzekła. - Jeżeli zostanie przy życiu, zginiemy. Jedno z dwojga: albo on zginie, albo my.

Jej słowa dodały mu odwagi.

Przeszedł kilka kroków i stanął w cieniu drzew przy samej furtce. Nerwowo ścisnął w ręku broń, którą miał zadać cios bezbronnemu człowiekowi.

Wielki Dzieciak i Wiewiórka, słysząc szepty, a następnie widząc oddalającą się aleją ludzką postać, z lękiem zastanawiali się, co dalej nastąpi i jakiego dramatu stali się przypadkowymi świadkami.

Nagle Dauphin drgnął i cofnął się od okna.

Jakiś człowiek, idący wzdłuż wybrzeża oświetlonego blaskiem księżyca, również podszedł ku oświetlonej furtce, wyjął z kieszeni klucz i włożył go w dziurkę zamka.

Dziwne rzeczy - myślał Wielki Dzieciak - wszyscy mają klucze od tych drzwi.

Filip de Kerven usłyszawszy za murem kroki, a następnie szcęk klucza w zamku, postąpił krok naprzód i podniósł rękę.

Drzwi się otworzyły i hrabia Lagarde wszedł do parku.

W tej samej chwili krzyknął, zachwiał się i padł na trawę.

Ramię zbrodniarza opadło i ostra broń, przesywając serce, weszła w pierś po samą rękojeść. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Żaden szczegół tej szybkiej i strasznej sceny nie uszedł uwagi Wielkiego Dzieciaka i Wiewiórki, przyglądających się jej z okna. Stali drżący, zdumieni i przerażeni.

Marcela Lagarde również wszystko widziała. Gdy ciało padło na ziemię, podeszła do zabójcy i rzekła:

- Szukaj pugilaresu... Powinien go mieć przy sobie... Zabierz wszystkie papiery, jakie znajdziesz.

Filip pochylił się nad trupem, i, przeszukawszy kieszenie hrabiego, znalazł pugilares zawierający kilka rachunków bankowych i różne dokumenty.

Hrabina schowała papiery do kieszeni swojej sukni.

- A co z tym zrobić? - zapytał Filip, wskazując pugilares.

- Rzuć na ziemię.

- A ciało?

- Do Marny. Tylko spiesz się.

- Sam nie udźwignę.

- Ja ci pomogę.

Filip wziął trupa za ramiona, Marcela chwyciła jego nogi i uginając się pod ciężarem, zwrócili się ku stromemu brzegowi rzeki, gdzie wyczerpani złożyli je na samej krawędzi. Marcela, ciężko odetchnąwszy kilka razy, pchnęła ciało, które stoczyło się do rzeki i zniknęło w wodzie.

Filip uniósł rękę i otarł zimny pot z czoła i skroni. W tej chwili spadł mu na ziemię kapelusz i blade, oświetlone przez kilka sekund promieniami księżyca rysy jego twarzy na zawsze wryły się w pamięć Wielkiego Dzieciaka i Wiewiórki. Ale zasłoniętego gęstą woalką oblicza jego współniczki dojrzeć nie mogli.

Filip podniósł kapelusz i włożył na głowę.

- Czy zamkniemy furtkę? - zapytał.

- Nie, tylko ją przymkniemy, a klucz pozostawimy w zamku... Ja pójdę przodem i pojedę pierwszym pociągami, ty poczekaj na drugi. Spotkamy się w Paryżu.

I lekkim krokiem, jak młoda dziewczyna, pospieszyła ku stacji kolejowej.

Filip, stosując się do instrukcji swej współpracownicy, przymknął furtkę, pozostawiając klucz w zamku, i ruszył drogą w przeciwnym kierunku.

Wielkiemu Dzieciakowi nie umknął ani jeden ich gest.

- Uciekają - rzekł do Wiewiórki - i zostawili otwartą furtkę. Teraz my uciekamy... Nie mamy ani chwili do stracenia... Niebezpiecznie jest pozostawać tu dłużej...

Włożył na plecy napełniony łupem worek i drżąc nieco, wraz ze swą towarzyszką udał się brzegiem rzeki ku arkadzie, pod którą ukryli rowery.

Zaledwie uszli dziesięć kroków, gdy przy świetle latarni stojącej na rogu poprzecznej ulicy, spostrzegli przechodzących dwóch żandarmów.

- Chyba mamy pecha - rzekł półgłosem. - Wracajmy. Zawrócili i nie śpiesząc się, by się nie narazić na podejrzenie

ucieczki, minęli miejsce, w którym hrabia Lagarde został wrzucony do rzeki, i udali się w stronę tamy, przekonani, że nikogo tam nie spotkają.

Nagle Robert rzucił się w bok, pociągając za sobą Wiewiórkę i tłumiąc przekleństwo.

- Co takiego? - szeptem zapytała przerażona Modesta.

- Policjanci stoją na końcu ulicy.

- Jeżeli zobaczą nas z tym workiem, będziemy zgubieni.

Wielki Dzieciak, chociaż posiadał mnóstwo zimnej krwi i niełatwo tracił głowę, był teraz mocno zaniepokojony. Niebezpieczeństwo okazało się naprawdę groźne. Kilka kroków przed nim stał namiot z kuźnią.

- Ukryjmy się tam - zwrócił się do swojej towarzyszki. Oboje weszli pod namiot i przycupnęli w kącie.

Po kilku chwilach dały się słyszeć miarowe kroki policjantów, którzy zatrzymali się przy namiocie. Wielki Dzieciak i Wiewiórka wstrzymali oddechy.

- W którą stronę pójdziemy? - zapytał jeden z policjantów.
- Chodźmy na prawo, do drogi wiodącej do Bry - odparł drugi.
- To lepiej chodźmy przez nasypy, tam prędzej możemy spotkać kogoś z łotrów od dwóch tygodni grasujących w okolicy.
- Zgoda.

Weszli na zwały ziemi oraz stosy materiałów budowlanych i zniknęli z oczu, a wkrótce umilkł w oddali odgłos ich kroków.

- I co teraz? - zapytała Wiewiórka, zbliżając usta do ucha Roberta.
- Przyznaję, że najadłem się strachu. Słyszałaś, co mówili? Polują z jednej strony, a żandarmi z drugiej. To się może źle dla nas skończyć. Mam ochotę zostawić tu srebra, byle tylko ocalić głowę. Gdyby nas złapali, z pewnością zostalibyśmy oskarżeni o tamtą zbrodnię i jak dowiedlibyśmy naszej niewinności? Nie uwierzyliby nam i z pewnością wysłaliby nas co najmniej do Nowej Kaledonii.

- Może nawet na gilotynę.
- No pewnie, po nich wszystkiego się można spodziewać.
- Mój drogi, nie mów tak, bo aż mi się zimno robi.
- Wierzę ci...
- W takim razie zostawmy worek... Mój Boże, tyle się napracowaliśmy na próżno! Ale przynajmniej nie ryzykujmy życia... Bez worka, nie zwrócimy na siebie uwagi. Może innym razem wynagrodzimy sobie dzisiejszą stratę.

Chciała mówić dalej, lecz Robert nagle ścisnął jej rękę.

- Żandarmi- szepnął jej do ucha. - Wracają. Rzeczywiście, stróże porządku, nucąc jakąś piosenkę, przeszli obok namiotu i oddalili się bez zatrzymywania.
- Czy oni wszyscy się dziś tu zebrali? - szepnęła Wiewiórka, szcękając zębami. - Zostaw wszystko i biegnijmy do rowerów.

- Ruszaj pierwsza i poczekaj na mnie przy moście.
- Tylko nie każ mi długo czekać.
- Bądź spokojna.

Wiewiórka wyszła z namiotu i udała się w kierunku wskazanym przez Roberta, on zaś po jej odejściu wyjął z pochwy oskard i rzuciwszy go w kąt, szepnął:

- Przeszkadzałyby mi tylko, gdybym musiał uciekać. Następnie podszedł do znajdującej się tam skrzyni i wkładając do niej worek ze srebrem, rzekł sobie:

- Szkoda, ktoś inny skorzysta. Ale co robić? Wytrychy zabiorę ze sobą, one nie zajmują wiele miejsca i nie powinny mi przeszkadzać w razie ucieczki.

Opuścił namiot i podążył za Wiewiórką, a gdy już miał zawrócić na poprzeczną ulicę, spotkał się oko w oko z dwoma żandarmami.

Z zimną krwią dotknął ręką kapelusza, ustępując im drogi, po czym powiedział:

- Przepraszam panów.
- Skąd pan idzie? - zapytał jeden ze stróżów.
- Od kolegi mieszkającego na tej ulicy pod numerem siódmym.
- A dokąd?
- Do domu, spać, bo jutro muszę iść do roboty.
- Gdzie pan mieszka?
- Tutaj, przy ulicy Paryskiej pod numerem trzydzieści cztery.
- Nie napotkał pan nikogo w drodze?
- Nikogo, z wyjątkiem dwóch kolegów panów.

Zachowanie Wielkiego Dzieciaka nie dawało powodu, przypuszczać, że jest włóczęgą lub złodziejem. Odpowiedzi jego były jasne, więc żandarmi zostawili go w spokoju.

- Dobranoc - rzekł jeden z nich.
- Dobrej nocy - odrzekł Robert i oddalił się, nucąc arię z operetki. Gratulując sobie przeczności, myślał: No, gdybym miał worek na plecach, byłoby już po mnie.

Od kiedy pod pozorem łowienia ryb zaczął przyjeżdżać do Joinville w celu zbadania okolicy, jako terenu swych złodziejskich działań doskonale poznał miasto i jego wszystkie ulice. W ciągu kilku minut dobiegł do mostu, gdzie czekała Wiewiórka.

- Czy kogoś spotkałaś po drodze? - zapytał.

- Nikogo. Policjanci i żandarmi poszli w inną stronę. Gdybym to przewidziała, zabrałabym worek. Szkoda, że go zostawiłeś.

- Ładnie bym na tym wyszedł! Już byś mnie więcej nie zobaczyła. Spotkałem żandarmów, ale ponieważ nic przy sobie nie miałem, puścili mnie. Nie żałuj... Dzisiejsza wyprawa po postu się nie powiodła.

Wyprowadzili spod arkady rowery, odczepili dzwonki i tym razem nie zapaliwszy latarek, w milczeniu pomknęli w stronę Paryża.

* * *

Paweł Giret i Jan Remy z żoną Magdaleną i córką Gabriellą zasiedli do stołu w oberży położonej nad brzegiem rzeki w okolicy Nogent.

Choć obiad był skromny, przebiegał w miłej atmosferze, gdyż Magdalena była wesołą kobietą, a teraz dodatkowo cieszyła się, mając przy sobie męża i córkę. Miała czterdzieści lat i była młodsza od Jana o cztery lata.

Gabriela natomiast była ładną, dziewiętnastoletnią, niezmiernie sympatyczną dziewczyną.

Magdalena, z domu Bernard, była córką ubogich włościan, osiadłych w okolicy Nantes. Jej matka, pragnąc poprawić sytuację finansową rodziny, parę miesięcy po urodzeniu dziecka, przyjęła na wychowanie małą dziewczynkę, Marcelę, córkę hrabiny Diany de Lussan, późniejszą hrabinę de Lagarde.

Marcela mieszkała u niej do szóstego roku życia, a później nadal często widywała swoją siostrę mleczną Magdalene, kiedy ta

została sierotą. Przez kolejne dwanaście lat, aż do jej wyjścia za mąż, wspierała ją finansowo i znalazła dla niej pracę na służbie w znajomym domu.

Marcela miała brata, Alberta de Lussan, który, widując Magdalene, nawiasem mówiąc, dziewczynę bardzo urodziwą, zakochał się w niej i użył wszelkich środków, obietnic i fałszywych przysięg by ją uwieźć.

Magdalena była młoda i niewinna, toteż nie domyśliła się podstępu i nie rozumiała głębi przepaści, w jaką mogła się stoczyć. Uległa, a owocem były narodziny Gabrieli.

Wkrótce Albert de Lussan, znudzony się kochanką, opuścił ją i dziecko.

Wypędzona z domu, w którym służyła, zrozpaczona i pozbawiona środków do życia opuściła, Nantes, nie pożegnawszy się z Marcelą. Udała się do Paryża, gdzie wkrótce znalazła pracę i oddała dziecko na wychowanie jednej z podmiejskich wiosek.

Gdy Gabriela skończyła pięć lat, jej matka już od czterech lat służyła u pewnego ślusarza przy ulicy Saint-Maur.

W tym czasie kowal Jan Remy dołączył do robotników pracujących w zakładzie, w którym przebywał już Paweł Giret.

Remy często widywał Magdalene, pokochał ją i pomimo wrodzonej nieśmiałości, wyznał jej swoją miłość.

Biedna kobieta, która tak ciężko pokutowała za swój błąd i brak doświadczenia, początkowo odtrąciła jego uczucie, choć wierzyła w jego szczerść. Pewnego dnia Remy oświadczył jej:

- Jeżeli nie zechcesz zostać moją żoną, opuszczę to miejsce na zawsze. Moje szczęście spoczywa w twoich rękach. Od ciebie zależy moja przyszłość.

Cóż mogła odpowiedzieć? Magdalena, pomimo popełnionego błędu, w gruncie rzeczy była uczciwą kobietą, więc do głębi wzruszona jego uczuciem, odrzekła:

- Nie mogę zgodzić się na twoją propozycję, powinieneś mnie najpierw poznać. Trzeba ci wiedzieć...

- Nie powiesz mi nic nowego - przerwał jej Remy. – Wiem o wszystkim, wiem, że jesteś dobrą matką, że cię oszukano, że wytrwale pracujesz by wychować swoje dziecko i dlatego szanuję cię i kocham. Powtarzam, uczynisz mnie szczęśliwym, zostając moją żoną.

- Moja córka nie ma ojca - rzekła z płaczem Magdalena.

- Ja nim będę - odparł kowal. - Proszę cię tylko o jedno, abyś w mojej obecności nigdy nie wymieniała nazwiska nikczemnika, który opuścił matkę i wyrzekł się dziecka. Nie znam jego nazwiska i nie chcę go znać.

- I ja o nim zapomniałam - powiedziała Magdalena głosem drżącym ze wzruszenia. - Jesteś uczciwym człowiekiem i zasługujesz na szczęście... Ponieważ takie jest twoje pragnienie, zostanę twoją żoną i przyrzekam ci uczciwość.

Ślub się odbył. Remy uznał córkę Magdaleny i Alberta de Lussan za swoją i odnosił się do niej tak, jak gdyby była jego własnym dzieckiem.

Paweł Giret, warsztatowy towarzysz i stary przyjaciel Jana, wybrany przez niego na świadka podczas ceremonii ślubnej, oświadczył mu:

- Dobrze zrobiłeś. Wierzę, że będziesz szczęśliwy, tak jak na to zasługujesz.

X

Magdalena była szczęśliwa. Nie wiedziała, co się stało z Albertem de Lussan i niemal o nim zapomniała. Nie wiedziała też, że jej mleczna siostra Marcela została hrabiną Lagarde. Jan Remy i Paweł Giret zwykle nie pili alkoholu; nigdy nie widziano ich pijanych lub choćby podchmielonych. Czasami tylko w sytuacjach wyjątkowych, zdarzało im się przy pogawędce wychylić parę szklanek wina.

Ale tego wieczoru towarzysze, uradowani z niespodziewanego przybycia Magdaleny i Gabrieli, pozwolili sobie na trochę więcej.

- Nie pijcie - powtarzały im kobiety - nie jesteście przyzwyczajeni i źle wam to zrobi.

Ale poczciwcy śmiali się z tych uwag i pili dalej.

O dziesiątej Magdalena wstała od stołu i powiedziała:

- No, dość już, zapłaćcie i chodźmy na stację.

- Wkrótce odjeżdża pociąg - dodała Gabriela - gdybyśmy się spóźniły, musiałybyśmy tu nocować, a ja jutro rano, o wpół do ósmej muszę być w fabryce.

- Zatem chodźmy - rzekł Remy. - Odprowadzimy was na stację.

- Nie, pójdziemy same - odparła Magdalena. - Wracajcie do Joinville i idźcie spać.

Pożegnali się, po czym Magdalena i Gabriela udały się na stację kolejową, zaś Remy i Giret chwyciwszy się pod ramię, by się wzajemnie wspierać, chwiejnym krokiem, ruszyli w drogę do Joinville.

* * *

Marcela Lagarde przybyła na stację w Joinville dziesięć minut przed przybyciem pociągu, mającego zawieść ją do Paryża.

Kupiła bilet i usiadła w najciemniejszym kącie sali.

Kilka minut później nadszedł Filip Kerven, lecz, choć poznał ją z daleka, nie zbliżył się do niej, tylko wyszedł na peron i przechadzając się, oczekiwał przybycia pociągu.

Podeszli do siebie dopiero w Paryżu, wymienili po cichu kilka zdań, po czym Marcela odjechała dorożką na ulicę Verneuil, Filip zaś pieszo udał się do swego domu.

Denis Bonnafoux, odźwierny Marceli, siedząc w wygodnym fotelu spał głębokim snem, gdy nagle przebudził go dźwięk dzwonka. Zerwał się i pociągnął za sznurek. Spostrzegłszy swą panią, zawołał zdziwiony:

- Pani wraca sama?

- A z kim miałam wrócić? - odrzekła z udawanym oburzeniem Marcela.

- Z panem hrabią - rzekł odźwierny.

- Co ty mówisz? Przecież wiesz, że hrabia jest w podróży.

- Ależ, proszę pani, pan hrabia wrócił! Zabawił z godzinę w domu i wyszedł, a ponieważ dowiedział się od lokaja, że pani hrabina pojechała do teatru, przypuszczałem, że udał się po panią.

- A więc pan hrabia jest już w Paryżu i nie zawiadomił mnie o swoim powrocie? O której przyjechał?

- O wpół do dziewiątej.

- A o której wyszedł?

- Prawie o wpół do dziesiątej.

- Dziwne...

- Może lokaj powie pani coś więcej.

W przedpokoju powtórzyła się dokładnie ta sama scenka, którą z powodzeniem odegrała Marcela.

- Co ten Denis mi mówi? - zawołała. - Pan hrabia był tu dziś wieczorem?

- Był, proszę pani, niedługo zabawił i wyszedł.
- Nie mówił dokąd?
- Nie, pani hrabino.
- Czy powiedziałaś mu, gdzie może mnie znaleźć?
- Powiedziałem.
- Wracam z teatru, ale nie widziałam pana hrabiego. Jak tylko wróci, powiedz, że proszę, aby był łaskaw natychmiast do mnie przyjść.

Lokaj skłonił się, Marcela zaś udała się do swojego pokoju, gdzie oczekująca na nią pokojowa udzieliła jej tych samych odpowiedzi co odźwierny i lokaj.

Marcela kazała się rozebrać, a gdy została sama, wyjęła z kieszeni papiery zabrane z pugilaresu zamordowanego hrabiego. Widok plam krwi nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Była to niezwykle podła dusza. Obojętnie, bez wahania przewracała papiery i szczegółowo je przeglądała. Znajdowały się tam między innymi dwa banknoty po tysiąc franków i jeden pięćsetfrankowy, jej list, który sprowadził Jerzego do Joinville, koperta jego listu i wreszcie dokument wielkiej wagi, stanowiący dowód jej dawniejszej zbrodni, mianowicie pisany przez nią list do Marii Kernac, akuszerki z Saint-Luce pod Nantes, świadczący o udziale ojca dziecka, Filipa de Kervena, w zabiciu swojego potomka.

Dowód ten akuszerka sprzedała hrabiemu i dołączyła do niego podpisaną przez siebie deklarację.

Marcela po przejrzaniu papierów złożyła je wszystkie w jedną paczkę i szepnęła:

- Wszystko to należy spalić. - Ale po chwili namysłu dodała: - Deklaracja akuszerki powinna zostać. Pokażę ją Filipowi, aby zrozumiał, że dopóki ona żyje, grozi nam niebezpieczeństwo.

Wrzuciła papiery do kominka i podpaliła je. Gdy ostatnia iskierka zgasła, pozostawiony dokument schowała do biurka, położyła się do łóżka i zasnęła spokojnym snem.

XI

Powróćmy do Joinville.

W tym czasie Rybackie Towarzystwo Wędkarskie, utworzone w celu kontroli rybołówstwa, a tym samym ochrony ryb przed zupełnym wyginięciem, nadzorowało tylko niewielki fragment Marny. Pojedyncze części rzeki wydzierżawiane były rybakom, którzy usiłowali wyciągnąć z nich jak najwięcej korzyści.

Obszar rzeki pomiędzy Nogent a mostem w Joinville, znajdował się w dzierżawie pewnego większego przedsiębiorcy, który podzieliwszy go na mniejsze działki, wydzierżawił je uboższym rybakom. Jeden z takich przedsiębiorców rybołówstwa sieciowego, niejaki Piotr Duru, mający liczną rodzinę, spędzał nad rzeką nie tylko całe dnie, ale wbrew przepisom zajmował się połowem nawet w nocy. Używał wyszukanych owadów, różnych sieci i wszelkiego rodzaju dziwnych przyrządów, które wkładał do wody nocą, a wyjmował przed wschodem słońca. Jednym słowem, pracował więcej niż inni.

Następnego ranka po owym wieczorze, kiedy po wejściu do parku został zamordowany hrabia Jerzy de Lagarde, Piotr Duru, wstawszy wcześniej niż zwykle, udał się ze swoim pomocnikiem nad rzekę.

- Zanim weźmiemy się do zarzucania sieci, najpierw wyciągniemy te zarzucone wczoraj - zwrócił się rybak do pomocnika. - Skieruj łódź do pnia.

Gdy podpłynęli na miejsce, Piotr odwiązał sznurek od drzewa i ostrożnie zaczął go ciągnąć, a jego pomocnik płynął łodzią do tyłu.

- Ale ciężko! - zawołał. - Czy to możliwe, że złowiło się tyle ryb?

I z wysiłkiem ciągnął sieć dalej. Rzeka w tym miejscu miała głębokości około czterech metrów, nurtu niemal nie było, a woda prawie stała w miejscu. Po dłuższym wysiłku opór zaczął słabnąć i sieć zaczęła się przesuwac. Nagle Piotr krzyknął ze zdziwienia i przestachu, w odległości najwyżej dwóch metrów od łodzi spostrzegł wynurzające się z wody ciało człowieka.

- Co to jest? - zawołał pomocnik.

- Topielec!

- No, powiodło nam się dzisiaj. Będzie dwadzieścia pięć franków nagrody! Ciągnijmy go powoli do brzegu, do Joinville. Powinniśmy go mocniej uwiązać, bo może zerwać linkę.

Duru okręcił koniec sznura wokół ręki trupa i powoli wiosłując, zaczęli kierować się do brzegu obok tamy. Ciało płynęło na plecach, z twarzą zwróconą do góry. W wystających nieco nad powierzchnią wody piersiach sterczała rękojeść zabójczej broni.

- To nie topielec, tylko zamordowany! - ze zgrozą zawołał Piotr. - Nie odchódź stąd, pójdę po komisarza policji.

Zeskoczył z łodzi na brzeg i pobiegł do Joinville. Pomocnik rybaka, aby ukryć ciało przed oczami przechodniów, nakrył je siecią.

Po upływie pół godziny Duru wrócił w towarzystwie komisarza, jego sekretarza, dwóch żandarmów i dwóch agentów policji. Po ściągnięciu sieci ze zwłok tkwiąca w piersiach rękojeść od razu zwróciła uwagę komisarza.

- Nie ulega wątpliwości, że to było morderstwo - stwierdził.

Po czym wysłał jednego z agentów po lekarza, rybakom zaś kazał wyciągnąć zwłoki na brzeg, zaleciwszy ostrożność, by broń nie wypadła z piersi.

Po dokonaniu tej czynności wydarł kartkę z notatnika i ołówkiem napisał do prokuratora w Paryżu następującą depeszę:

*Proszę wraz z sędzią śledczym bezzwłocznie przybyć do Joinville.
Popelniono morderstwo.*

Wręczył kartkę agentowi i kazał zanieść ją do biura pocztowego.

- Czy ktoś z was zna tego człowieka? - zapytał obecnych. Żandarmi i rybacy zaprzeczyli.

Piotr Duru opowiedział, w jaki sposób wyłowił ciało z wody, a urzędnik wciągnął jego zeznanie do protokołu.

Przechodnie, widząc przedstawicieli władzy, zatrzymywali się, by dowiedzieć się, co się stało, lecz żandarmi odpędzali ich na rozkaz komisarza.

Tymczasem, w towarzystwie agenta policji, przybył doktor Larband. Uścisnął rękę urzędnika, lecz zaledwie pochylił się nad trupem, by mu się przyjrzeć, wyprostował się zdumiony.

- Zna pan tego człowieka? - zapytał komisarz.

- Czy go znam? Ależ bardzo dobrze i dziwi mnie, że pan go nie poznał.

- Któż to jest?

- Hrabia Jerzy Lagarde.

- Nigdy nie widziałem go z bliska i dlatego nie poznałem.

W tej chwili jakiś człowiek stojący na wybrzeżu obok tamy zawołał:

- Panowie żandarmi, chodźcie tutaj!

- Co się stało? - zapytał komisarz.

- Ślady krwi od furtki w murze aż do nadbrzeża.

- Zaraz przyjdziemy.

Lekarz powtórnie pochylił się nad trupem i przyglądał się rękojeści broni tkwiącej w jego piersiach.

- Proszę jej nie wyjmować - zwrócił się do zgromadzonych. -Czy prokurator został już zawiadomiony?

- Tak, wysłałem depezę i zaznaczyłem, że to pilne - powiedział komisarz.

- W takim razie poczekajmy na niego. Zbrodniarz użył broni, która łatwo może naprowadzić nas na jego ślad.

- Tak pan sądzi?

- Nie tylko sądzę, lecz jestem przekonany. Jest to narzędzie ślusarskie zaopatrzone w symbol właściciela. Proszę spojrzeć... -Wskazał palcem literę R wypaloną żelazem na rękojeści.

Wszyscy nachylili się i potwierdzili spostrzeżenie lekarza.

- Czy mógłbym coś poradzić? - dodał doktor Larband, zwracając się do komisarza.

- Owszem, proszę.

- Odkrycie śladów krwi na nadbrzeżu i przy otwartej furtce parku pozwala wysnuć wniosek, że zabójstwo zastało popełnione właśnie tam. Należałoby więc przenieść ciało do willi i wy badać służbę.

- Ma pan rację, miałem właśnie taki zamiar. - Zwróciwszy się do Piotra Duru i jego pomocnika, powiedział: - Zróbcie z wioseł nosze i przenieście na nich ciało do willi.

Gdy zabrano się do wypełniania tego rozkazu, komisarz udał się do człowieka, który wzywał żandarmów.

- Gdzie widziałeś krew? - zapytał.

- Tu, proszę pana - odparł rybak, wskazując płyty bulwaru, a następnie trawę, zwłaszcza pod furtką. - Niech pan komisarz patrzy, jaka tu kałuża! A na furtce przy zamku są wyraźne ślady palców.

Komisarz przywołał policjantów, kazał im stanąć przy furtce i nie dopuszczać do niej przechodniów.

Rybacy weszli do parku i skierowali się w stronę domu. Na czele szli lekarz i urzędnicy. Komisarz, po dotarciu do drzwi pospiesznie przeskoczył schody i zawołał:

- Wyłamano drzwi... a więc mamy do czynienia nie tylko z zabójstwem, lecz także z kradzieżą. Przywołać odźwiernego.

Po czym wszedł do przedpokoju, stamtąd do pokoju stołowego i uchylił okiennice. Jedno spojrzenie na otwarty kredens utwierdziło go w tym, że jego przypuszczenie o popełnionej przed zabójstwem kradzieży było trafne.

Przyniesiono ciało i ułożono je na stole.

W tej chwili do pokoju wszedł jeden z żandarmów.

- Nie ma odźwiernego, panie komisarzu - zameldował - a jego pawilon jest zamknięty. Stukałem w drzwi i okiennice, ale nikt się nie odezwał, dopiero jakaś kobieta powiedziała mi, że odźwierny wczoraj rano wyjechał do swojego poważnie chorego ojca. Podobno otrzymał depezę z wezwaniem.

- Tak - powiedział komisarz, zmarszczywszy brwi. - Zły moment na wyjazd. Zobaczmy inne pomieszczenia.

Do pokoju wszedł rybak Duru.

- Panie komisarzu - powiedział - czy jestem jeszcze potrzebny? Chciałbym zająć się swoją robotą.

- Idź, ale po pracy przyjdź tu jeszcze na chwilę. Oczywiście wynagrodzimy ci stracony czas. Tylko pamiętaj, nie mów nic nikomu o tym, co tu zaszło. Ani słowa.

Po odejściu rybaka komisarz policji mruknął pod nosem, jakby sam do siebie:

- To dziwne... dom był niezamieszkały, po co więc hrabia Lagarde tu przybył? Czyżby umyślnie szukał śmierci?

Lekarz, usłyszawszy tę uwagę, chociaż nie była skierowana do niego, powiedział:

- Hrabia Lagarde, którego kilkakrotnie leczyłem i dość często widywałem, był trochę dziwakiem i lubił samotność. Mógł po pro-

stu zapragnąć pomieszkać kilka dni w willi, która była tak urządzona, że można było w niej mieszkać na stałe. Prawdopodobnie natknął się na złodziei, którzy zamordowali go, by chronić siebie.

- Być może - odparł urzędnik - w każdym razie mamy do rozwikłania dziwną i zagadkową zbrodnię.

Po czym w towarzystwie swego sekretarza i żandarma, odszedł, aby obejrzeć inne pokoje w celu zebrania materiału do protokołu, który miał być gotowy przed przybyciem prokuratora i sędziego śledczego.

* * *

Filip de Kerven, w związku z swoją pracą wracał do domu o różnych porach, dlatego też zatrzymywał swego lokaja w domu tylko do godziny jedenastej w nocy. Poza tym nigdy nie wchodził głównymi drzwiami, przy których odźwierny miał swój pokój. Podobnie jak jego bratanek, Filip posiadał klucz od furki znajdującej się w murze otaczającym posesję. Teraz, po powrocie z Joinville, właśnie nią wszedł.

W przedpokoju na małym ozdobnym stoliku stała lampa, która paliła się zwykle przez całą noc. Obok służący stawiał zawsze dwie świece, jedną dla stryja, drugą dla bratanka, którymi oświetlali sobie drogę do swoich pokoi.

Nad stolikiem wisiało na ścianie wielkie lustro. Filip Kerven, wyciągnąwszy rękę po świecę, zbladł ze strachu. Właśnie spostrzegł na rękawiczce plamy zakrzepłej krwi. Spojrzał w lustro i taką samą plamę zobaczył na czole nad prawym okiem. Była to krew jego ofiary, Jerzego de Lagarde.

Pamiętał, że spadł mu na ziemię, obok trupa, kapelusz. Podnosząc go i zakładając na głowę musiał dotknąć czoła zakrwawioną ręką. Zapalił świecę i udał się do garderoby, gdzie dokładnie obejrzał ubranie - kołnierzyk, gors i mankiety koszuli; zdjął rękawicz-

ki, umył twarz i pewny, że nie pozostał już żaden podejrzany ślad, schował rękawiczki do szuflady biurka, po czym zamknął ją na trzy spusty i włożył klucz do kieszeni.

- Muszę je zniszczyć - szepnął.

Wyczerpany zarówno fizycznie, jak i psychicznie, usiadł w fotelu, a rozpaloną głowę schował w dłoniach. Długo siedział w tej pozycji, rozmyślając o popełnionej zbrodni. Zdawał sobie sprawę z jej grozy, widział możliwe dla siebie i Marceli skutki, jeśli zostaną zdemaskowani. Po jego ciele przebiegł dreszcz. Drżącymi ustami, jak gdyby dla zmniejszenia we własnych oczach ogromu zbrodni, szeptał słabym i przygnębionym głosem:

- Należało... Nie można było postąpić inaczej. Marcela miała słuszność, była to walka o życie! Przedsięwzięliśmy wszelkie środki ostrożności. Jego śmierć wkrótce wyjdzie na jaw, nie wiem, który sędzia śledczy zostanie wyznaczony do przeprowadzenia śledztwa, ale choćby był najzdolniejszy, nie boję się go.

Uspokojony tymi myślami, udał się do sypialni na spoczynek, lecz dręczony widziadłami wywołującymi zimny pot na jego czole nie spał długo.

Wstał o siódmej i wziął zimną kąpiel, która nieco go uspokoiła. Potem zasiadł do pracy i zaczął przeglądać akta. O ósmej do gabinetu wszedł lokaj z listem w ręku.

- Przyniesiono od pana prokuratora.

Filip zaniepokoił się. Czego prokurator mógł od niego chcieć o tej porze? Co może mieć mu do powiedzenia? Odprawił służącego, rozerwał kopertę i przeczytał:

*Szanowny Panie,
zdarzyła się rzecz bardzo ważna i nagląca. Dlatego też bardzo Pana proszę o bezzwłoczne przybycie na dworzec kolejowy Yincennes,*

gdzie będę Pana oczekiwał wraz z szefem bezpieczeństwa publicznego.

Przyjmij Pan zapewnienie mego szacunku. Pan de Kerven zbladł śmiertelnie.

- Dworzec Vincennes - szepnął przerażony. - Więc już odkryli? Więc to dla stwierdzenia zabójstwa przyjeżdża tam sąd, a ja zostałem wybrany do prowadzenia śledztwa? Wyjął chustkę i otarł mokre od potu czoło. Nie! To nie możliwe! Prawdopodobnie chodzi o coś innego. Nie traćmy odwagi! Wkrótce się przekonam...

Przybrał wyraz twarzy tak spokojny, że nikt obserwujący go w tej chwili nie domyśliłby się burzy, która szalała w jego głowie. Przywołał lokaja.

- Sprowadź mi dorożkę, a ja tymczasem się ubiorę.

Pół godziny później uspokojony sędzia z teką w ręku wszedł na salę dworca kolejowego w Vincennes. Od razu poznał prokuratora, przechadzającego się z szefem bezpieczeństwa publicznego, a nieco dalej grupę złożoną z inspektora policji i przebranych po cywilnemu agentów. Prokurator podszedł do niego i podając rękę, powiedział:

- Przepraszam pana za wyciągnięcie z domu o tak wczesnej porze. Ale jak panu pisałem, sprawa jest bardzo ważna i nagląca, a ponieważ wiedziałem, że obecnie nie jest pan bardzo obciążony pracą, pragnąłem skorzystać z pańskiego doświadczenia i przenikliwości.

XII

Filip skłonił się i odrzekł spokojnym głosem:

- Dziękuję panu za zaufanie. Jestem wdzięczny. Raczy pan prokurator wyjaśnić mi, o co chodzi?

- Nic jeszcze nie wiem. Depeszą otrzymałem wezwanie na miejsce jakiegoś morderstwa, więc jadę.

- Gdzie ono zostało popełnione?

- W Joinville...

Na twarzy Filipa nie drgnął ani jeden mięsień.

Z jednej strony jeszcze się łudził, z drugiej jednak oczekiwał tej odpowiedzi. Był przygotowany na to, aby nie dać się ponieść emocjom, których doświadczał teraz w duszy. Potrafił nad sobą zapanować.

- Kto wysłał depeszę? - zapytał.

- Komisarz policji.

- Bez żadnych szczegółów?

- Żadnych.

- Może wymienił nazwisko ofiary?

- Nie, przypuszczam, że sam go nie zna.

Dozorcy stacji otworzyli drzwi prowadzące na peron, urzędnicy zajęli przedział w wagonie pierwszej klasy, inspektor policji z agentami udali się zaś do wagonu drugiej klasy.

W chwili gdy pociąg ruszył w drogę, zegar wskazywał wpół do dziewiątej.

O tej samej porze hrabina Lagarde wezwała pokojową i zapytawszy o godzinę, kazała podnieść rolety.

- Czy mój mąż już wstał? - zapytała.
- Ależ, proszę pani, pan hrabia jeszcze nie wrócił.
- Jak to, nie wrócił? Skąd wiesz?
- Lokaj mi mówił, że o wpół do ósmej pukał do drzwi pana hrabiego i nie otrzymawszy odpowiedzi, wszedł do pokoju. Nikogo jednak nie zastał, a pościel na łóżku była nieruszona.
- Dziwne! - odrzekła hrabina, udając niepokój. - Nie rozumiem. Przygotuj mi ubranie.

Antonina spełniła rozkaz i po upływie pół godziny ubrana hrabina kazała przywołać do siebie lokaja, aby go wybadać. Zadawane przez nią pytania świadczyły o wielkim niepokoju z powodu nieprzewidzianego przybycia małżonka i jego nagłego wyjazdu.

Wyjazd ten był niezrozumiały również dla służby, dlatego też wywoływał najrozmaitsze komentarze.

Hrabina kazała przygotować śniadanie dla dwóch osób, jak gdyby w każdej chwili spodziewała się przybycia męża, po czym zamknęła się w pokoju. Postępując w ten sposób, stosowała się do instrukcji Filipa, której udzielił jej poprzedniego wieczoru podczas krótkiej rozmowy, po wyjściu z pociągu.

Powróćmy do Joinville.

Komisarz wysłał na stację kolejową jednego z agentów, z poleceniem oczekiwania na przybycie prokuratora i wskazania mu drogi do willi. Agent nie czekał długo, gdyż zaledwie pierwszy pociąg zatrzymał się na stacji, spostrzegł wysiadającego dobrze znanego sobie szefa bezpieczeństwa publicznego i dwóch towarzyszących mu panów. Domyślił się, że byli to urzędnicy sądowi. Podeszedł i ukłoniwszy się z szacunkiem, zapytał:

- Czy mam zaszczyt mówić z panem prokuratorem? -Tak.
- W takim razie raczą panowie udać się ze mną.
- Dokąd nas zaprowadzisz?
- Do willi położonej w pobliżu tamy.

Filip nie miał już teraz cienia wątpliwości, ale trzymał swoje nerwy na wodzy i nadal był opanowany, spokojny i pewny siebie. Jako sędzia śledczy był prawie wszechwładny.

- Niech pan nas prowadzi - rzekł prokurator do agenta. W drodze zapytał, co się stało.

- Dokonano zabójstwa.

- W willi?

- Tak, a także okradziono dom.

- Aresztowano już kogoś?

- Jeszcze nikogo.

- Kim jest zabita osoba?

- To hrabia Jerzy de Lagarde.

Filip, usłyszawszy to nazwisko, a zdziwiony wcześniejszą wzmianką o kradzieży, zawołał z boleścią:

- Hrabia Jerzy de Lagarde? Niemożliwe! - W ten sposób grał obmyśloną wcześniej rolę. - To pomyłka!

- Nie, proszę pana, nie zaszła żadna pomyłka.

- Kto go rozpoznał?

- Lekarz, doktor Larbaud, nie mógł się pomylić, gdyż znał go dobrze i leczył.

- Nie wierzę - uporczywie powtarzał pan Kerven. - Może ten człowiek jest tylko podobny do hrabiego.

- Z czego pan to wnioskuje? - zapytał prokurator.

- Z tego, że pan Lagarde wyjechał z Paryża przed kilkoma dniami i gdyby wrócił, ja bym o tym wiedział.

- Dlaczego?

- Wczoraj o ósmej wieczorem spotkałem się z panią Lagarde u jej przyjaciółki, pani de Presles, gdzie była na obiedzie, i odwiozłem ją do teatru. Otóż, gdyby jej mąż wrócił, z pewnością by jej towarzyszył. A gdyby z kolei zawiadomił o rychłym powrocie, pani Lagarde oczekiwałaby go w domu.

- Czy dobrze pan zna hrabiego?

- Hrabia jest moim przyjacielem od najmłodszych lat, pochodzimy z tych samych stron. Darzę go wielkim szacunkiem i wdzięcznością, gdyż uczynił dla mnie wiele dobrego. To głównie jego wpływom, a nie swoim zasługom, zawdzięczam moją dzisiejszą posadę. Z pewnością więc zaszła pomyłka, gdyż hrabia nie wrócił do Paryża i nie zawiadomił o zamierzonym powrocie.

Urzednicy doszli do tamy i szli wybrzeżem w kierunku furtki wiodącej do parku.

Filip, idąc drogą, którą przebył poprzedniego wieczoru, nie poczuł najmniejszego wzruszenia, szedł spokojnie, rozmawiając z prokuratorem.

- Gdzie jest ciało? - zapytał prokurator, gdy dotarli do willi.

- W domu, w pokoju stołowym.

- Chodźmy prędzej, by szybciej stwierdzić pomyłkę - rzekł sędzia.

Weszli do parku, nie zwracając uwagi na ślady krwi na trawie, a następnie do środka, gdzie oczekiwał ich komisarz.

- Pańskiego sprawozdania wysłuchamy później - zwrócił się do niego prokurator. - Przede wszystkim niech pan nas zaprowadzi do zabitego.

Komisarz otworzył drzwi pokoju stołowego, gdzie przy spoczywającym na stole trupie, stał doktor Larbaud.

Filip podszedł pospiesznie, utkwiał wzrok w twarzy zmarłego, po czym z doskonale udanym przerażeniem cofnął się.

- Niestety! Nie pomyłono się - rzekł złamanym głosem.- To mój nieszczęśliwy przyjaciel, hrabia Lagarde.

Prokurator, zwróciwszy się do lekarza, zapytał:

- Spisał pan protokół?

- Oczekiwałem pańskiego przybycia - odparł lekarz. - Nie wyjąłem broni z rany i jeszcze szczegółowo nie badałem ciała, mogę jednak stwierdzić na pewno, że śmierć nastąpiła od razu i hrabia został wrzucony do rzeki już martwy.

Pan Kerven pochylił się, aby obejrzeć rękojeść broni, która zachowała na sobie krwawe plamy, mimo że była w wodzie przez całą noc.

- Niech pan wyjmie - powiedział do lekarza. Doktor spełnił polecenie.
- To narzędzie ślusarskie - zauważył.

Szef bezpieczeństwa publicznego przyjrzał się rękojeści i zauważył:

- Jest na niej wypalony inicjał.
- Już go widzieliśmy- odparł komisarz.

Strażnik bezpieczeństwa wziął narzędzie z rąk lekarza i przyjrzał mu się.

- To litera R. Jest to zapewne inicjał przedsiębiorcy lub robotnika, to może ułatwić nam poszukiwania.

Po czym, zwróciwszy się do komisarza, zapytał:

- Czy sporządził pan protokół?
- Jest gotowy, panie sędzio.
- Proszę go odczytać.

XIII

Komisarz policji spełnił polecenie sędziego. - Czy są świadkowie, których pan przesłuchiwał? - zapytał prokurator.

- Są.

- Dobrze. Później z nimi porozmawiamy. Więc według oświadczenia sąsiadki ogrodnik Walenty wyjechał wczoraj do ojca...

- Wczoraj rano. W tej sprawie najlepszych wyjaśnień może udzielić nam pani Lagarde. Jeżeli panowie sobie życzą, to obejrzymy teraz inne pokoje, może znajdziemy w nich ślady złodziei.

- Dobrze, niech pan nas prowadzi - odparł prokurator. Mieli już wyjść, kiedy Filip zwrócił się do lekarza:

- Może będzie pan łaskaw spisać protokół?

Doktor zasiadł do pisania, urzędnicy zaś udali się do kolejnych pokoi, w których powysuwane i ogołoczone szuflady dowodziły rabunku. Wkrótce opuścili dom i znowu zeszli na brzeg, obejrzelili ślady krwi na ziemi oraz odciski palców na furtce poniżej zamka.

Weszli do domu i usiedli w salonie położonym obok pokoju stołowego. Chcieli właśnie przywołać jednego ze świadków, gdy szef bezpieczeństwa publicznego zapytał:

- Czy ta okolica jest w nocy patrolowana?

- Tak, obecnie nawet częściej, zwłaszcza od czasu, jak zaczęły się tu powtarzać kradzieże.

- A czy tej nocy pańscy agenci nie zauważyli niczego szczególnego?
- Niczego i żandarmi również.

Po przeczytaniu protokołu komisarz Filip Kerven powiedział opanowanym głosem:

- Proszę sprowadzić rybaków, którzy wyciągnęli ciało z wody. Jeden z żandarmów już zwrócił się w stronę drzwi, by pójść po

Piotra Duru i jego pomocnika, gdy do salonu wszedł agent policji, popychając przed sobą robotnika od kanalizacji. Agent trzymał w ręku szpadel podobny do tych, jakimi posługują się kopacze.

- Co to za człowiek? - zapytał Filip.

- Robotnik pracujący przy budowie kanału. Chciał przejść nabrzeżem przy furtce, a ja nie chciałem pozwolić, kiedy zobaczyłem jego szpadel, przyprowadziłem go tutaj.

- Jaki związek ma ten szpadel ze zbrodnią, o którą nam chodzi? Agent wskazał rękojeść, na której wypalona była litera R.

- Ta litera zastanowiła mnie, gdyż taka sama znajduje się na rękojeści narzędzia, którym został zamordowany pan Lagarde.

Szef bezpieczeństwa wziął do ręki szpadel i przyjrzał mu się.

- Rzeczywiście, panie sędzio - powiedział, zwracając się do Filipa i wskazując literę R wypaloną na rękojeści narzędzia, którym został zamordowany pan Lagarde - te dwie litery są podobne do siebie, a po obu stronach każdej z nich znajduje się gwiazdka.

Sędzia spochmurniał, a zwróciwszy się do robotnika, zapytał:

- Czy to twój szpadel?

- Nie, proszę pana. Przedsiębiorcy, pana Rety.

- Pan Rety - wtrącił komisarz policji - przyprowadza tutaj kowali.

- Proszę go natychmiast przywołać - rzekł sędzia śledczy.

- On nie mieszka w Joimdlle i prawdopodobnie dzisiaj nie przyjdzie.

Zastępuje go Paweł Giret.

- Proszę go zatem sprowadzić.

Jeden z agentów pospiesznie udał się do kuźni.

- Tymczasem proszę zatrzymać tego człowieka - powiedział sędzia - niech tu zostanie.

Zaprowadzono robotnika do sąsiedniego pokoju i oddano go pod nadzór żandarma.

- Zdaje mi się, że jesteśmy na dobrej drodze - zauważył prokurator.

- Bardzo możliwe - odparł Filip. Wszedł doktor Larbaud.

- Oto mój protokół - powiedział, podając papier prokuratorowi. - Jak pan widzi, jest bardzo krótki. Pan Lagarde otrzymał tylko jeden cios bronią, która przeszła serce i wywołała natychmiastową śmierć. Konając hrabia, mógł jedynie krzyknąć.

Sędzia śledczy poczuł pot występujący na czoło.

- Czy pańskim zdaniem sekcja zwłok będzie potrzebna? - zapytał prokurator.

- Po co?

- Właśnie - poparł go pan Kerven.

- Czy mogę już odejść? - zapytał lekarz.

- Sprawa nie wymaga już pańskiej obecności. Doktor pożegnał urzędników i opuścił willę.

Tymczasem pogłoska o zbrodni zaczęła rozchodzić się po okolicy, ale była tak niepewna, że nie zaprzętało sobie nią głowy. Słyszał o niej też Paweł Giret, lecz był zajęty nadzorem nad robotnikami i wyznaczaniem im pracy. Wtedy właśnie podszedł do niego agent policji i zapytał:

- Czy pan Paweł Giret? -Tak.

- W takim razie, proszę za mną.

- Mam iść z panem? - zapytał Giret zdziwiony.

- Prokurator pana wzywa.

- Prokurator? Czego on ode mnie chce?

- On wszystko panu wyjaśni, proszę ze mną.

Choć Giret miał czyste sumienie i był pewien, że nikt nie może mu nic zarzucić, mocno się zaniepokoił. Wezwanie przed przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, nawet w charakterze świadka, zawsze jest niemiłe. Gdy wszedł do sali i zobaczył siedzących wokół stołu poważnych urzędników, przestraszył się na dobre.

- Panowie mnie wzywali? - zapytał.

A sędzia śledczy, nie odpowiadając, rzucił:

- Pańskie nazwisko?

- Paweł Giret.

Sekretarz komisarza policji zapisywał pytania i odpowiedzi.

- Gdzie się pan urodził?

- W Paryżu.

- W którym roku?

- W tysiąc osiemset pięćdziesiątym, piętnastego stycznia. Giret zaczął się na serio niepokoić. Co znaczy to urzędowe badanie, skoro miano go tylko o coś zapytać?

Sędzia śledczy spostrzegłszy jego przestraszony wyraz twarzy, powiedział:

- Nie ma pan powodu do obaw. To tylko formalność. Te kilka słów uspokoiło go nieco.

- Gdzie pan mieszka? - pytał dalej sędzia.

- W tej chwili w Joinville, przy ulicy Paryskiej, w oberży, gdzie się stołuję, lecz na stałe mieszkam w Paryżu przy ulicy La Roquette pod numerem sto pięćdziesiątym.

- Ma pan rodzinę?

- Nie mam.

- Jest pan kawalerem? -Tak.

- Pański zawód?

- Ślusarz mechanik. Próbowałem po trochu wszystkiego, bo dobrze mieć kilka specjalizacji. Obecnie jestem nadzorcą nad robotnikami i kierownikiem robót u pana Rety.

- Od jak dawna pan u niego pracuje?
 - Od pięciu lat.
 - Czy to pan przyjmuje robotników?
 - Nie zawsze, ale często. W razie potrzeby podczas nieobecności pana Rety.
 - Czy pomiędzy robotnikami nie ma ludzi podejrzanych?
 - Nie ma. Robotnicy przyjmowani są na podstawie świadectw i zwalniani natychmiast, jak tylko okaże się, że są próżniakami lub osobami wątpliwego pochodzenia.
- Sędzia śledczy dał znak szefowi bezpieczeństwa, który pokazał Giretowi szpadel z literą R. Paweł wziął go do ręki i spojrzawszy na rękojeść, oświadczył:
- To nasz szpadel!
 - Poznaje go pan?
 - Jak mam go nie poznać? To nasz inicjał.

XIV

Filip Kerven wskazał narzędzie, które posłużyło mu do zamordowania hrabiego Lagarde i zapytał: - A poznaje pan to?

- Poznaje, pochodzi z naszej kuźni, robił je Remy.

- Kim jest Remy?

- Nasz kowal i zarazem ślusarz. On robi i naprawia narzędzia. Nasz pracodawca uważa, że lepiej jest mieć własną kuźnię i własnego ślusarza, niż za każdym razem oddawać narzędzia do naprawy obcemu robotnikowi. Mniejszy koszt i robota idzie szybciej.

- Czy z tych narzędzi korzystają wszyscy robotnicy?

- Nie panie sędzio, one im nie są potrzebne. Przechowywane są w kuźni i posługuje się nimi tylko Remy.

Urzednicy spojrzeli po sobie.

- Czy Remy posiada w swojej kuźni więcej takich narzędzi? -zapytał sędzia.

- Nie wiem.

- Proszę zawołać tego ślusarza.

- Czy mam po niego iść?

- Nie, jesteś mi potrzebny.

Sędzia dał rozkaz agentowi policji, który bezzwłocznie udał się do kuźni. Po jego odejściu, polecił odprowadzić Gireta do sąsiedniego pokoju i zwrócił się do szefa bezpieczeństwa:

- Niech pan będzie łaskaw i wyśle dwóch agentów, by szczegółowo przeszukali kuźnię, abyśmy przekonali się, czy nie ma w niej więcej takich narzędzi.

Szef wydał rozkaz inspektorowi, który, wziął do pomocy agenta i udał się do ślusarza.

Po jego odejściu w pokoju zapanowało milczenie. W końcu prokurator przerwał ciszę.

- Panie Kerven, sądzę, że należałoby zawiadomić panią Lagarde o tym, co zaszło.

- Dlaczego? - zapytał Filip.

- Może mogłaby nam wyjaśnić powody przybycia męża do willi.

- Myślę, że powinniśmy jej oszczędzić tak strasznego ciosu. Po południu sam do niej pojedę i przygotuję ją na tę tragiczną wiadomość. Następnie z nią porozmawiam, lecz jestem przekonany, że niewiele się od niej dowiemy. Teraz najważniejszą rzeczą, jeżeli pan prokurator pozwoli, jest przesłuchanie oczekujących świadków.

- Nie mam prawa niczego panu pozwalać albo wzbraniać - odparł prokurator - sposób prowadzenia śledztwa zależy wyłącznie od pana, a jestem przekonany, że poprowadzi je pan po mistrzowsku i odkryje sprawców zbrodni. Pragnę tylko zwrócić pana uwagę na ogrodnika, pełniącego zarazem obowiązki odźwiernego, który opuścił swoje stanowisko akurat tego dnia, w którym dom został okradziony, a jego pan zabity. Czy pomyślał pan o nim?

- Myślałem i postanowiłem wezwać go telegraficznie. W tej chwili nie znam jeszcze jego adresu. Pod tym względem może pomóc nam tylko pani Lagarde.

- Dobrze byłoby przeprowadzić rewizję w jego mieszkaniu.

- Tak się stanie, ale nieco później. Drzwi są zamknięte na klucz, nikt więc tam nie wejdzie, zresztą zorganizuję nadzór nad pawilonem.

- A co zrobimy z ciałem? Czy coś pan postanowił?

- Zostawmy je tu, dopóki nie porozmawiam z wdową. To będą dla mnie bardzo przykre chwile, gdyż byłem przyjacielem zmarłego i jego rodziny. Wiele bym dał za to, aby pan tę sprawę powierzył

innemu sędziemu śledczemu. Ale przyjąłem ją już i spełnię mój obowiązek!

Słowa te, wypowiedziane z godnością i prawdziwym smutkiem, wzruszyły urzędników.

Prokurator ujął dłoń Filipa i serdecznie ją uściskał.

- Ma pan słuszość - rzekł. - Pańskie zadanie jest ciężkie, ale spełnienie tego obowiązku pozwoli panu pomścić swego przyjaciela.

- Przysięgam panu, pomszczę go! - odrzekł Filip.

Po tych słowach kazał ponownie przyprowadzić Pawła Gireta. Mechanik wszedł do pokoju.

- Czy panowie długo mnie tu zatrzymają? - zapytał. - Zastępuję mojego pracodawcę i mam wykonać otrzymane od niego polecenia.

- Wkrótce będzie pan wolny, lecz najpierw odpowie mi pan na jeszcze kilka pytań.

Miał już je zadać, lecz do pokoju wszedł agent policji. Sędzia spojrzał na niego pytająco.

- Jest Remy, przyprowadziłem go - powiedział agent.

Ślusarz przestąpił próg. Miał spokojny wzrok, jego sympatyczna twarz wyrażała otwartość i uczciwość. Był więcej niż średniego wzrostu i krzepkiej budowy. Jego głowę, pokrytą gęstą siwiejącą czupryną, podtrzymywała gruba szyja, twarz zaś świadczyła o tym, że był to człowiek niezwykle energiczny. Oderwany wprost od roboty, miał zawinięte za łokcie rękawy koszuli, dzięki czemu widać było wydatne mięśnie jego rąk, w pasie przewiązany był skórzanym fartuchem. Na nogach miał buty poczerniałe od iskier padających podczas kucia żelaza. Wszedł do pokoju i spostrzegłszy Pawła, zawołał:

- Ach i ty tu jesteś! Po co nas tu wezwali? Filip Kerven obrzucił wzrokiem przybyłego.

- Potrzebuję informacji - powiedział, odpowiadając na pytanie Gireta.
- Na jaki temat? Jestem gotowy ich udzielić, jeżeli tylko potrafię.
Sędzia przyglądał mu się uważnie, lecz jego wzrok zwrócony był na jego ubranie, a nie na twarz. Zwłaszcza jeden szczegół mocno go zainteresował.

- Proszę odpowiadać na moje pytania - rzekł surowym tonem.

- Przede wszystkim, kim pan jest? - zapytał ślusarz, obrażony jego nieznośnym sprzeciwu tonem. - Pewnie urzędnikiem sądowym, sądząc z obecności żandarmów i policjantów, lecz na mocy jakiego prawa i z jakiego powodu sprowadził mnie pan tutaj?

- Jestem sędzią śledczym - odrzekł Filip - a to pan prokurator. Wkrótce dowie się pan, po co pana wezwałem. Miałem do tego prawo i był to mój obowiązek, a pańskim obowiązkiem jest odpowiadać. Imię i nazwisko?

Remy, usłyszawszy wyrazy: „sędzia śledczy”, „prokurator”, zmarszczył brwi i spojrzał na Gireta, który uniósł rękę w geście uspokojenia.

- Nazywam się August Jan Remy.

- Miejsce urodzenia?

- Paryż.

- Data urodzenia?

- Dziewiąty lutego tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku.

- Gdzie pan mieszka?

- Obecnie w Joinville, przy ulicy Paryskiej, w oberży

- W tej samej, w której mieszka Paweł Giret? -Tak.

- Ale ma pan mieszkanie także w Paryżu?

- Mam, ale nie mogę wracać tam codziennie po pracy, ponieważ rano muszę być już przy robocie.

- Gdzie pan mieszka w Paryżu?

- Przy ulicy la Roquette, numer sto pięćdziesiąt jeden.

Urzednicy wymienili midzy sob spojrznia. Sdzia ledczy, zadajc pytania kowalowi, z wytzon uwag przyglda si jego ubraniu.

- Numer sto pidziesit jeden przy ulicy La Roquette wskaza nam te Pawe Giret.

- Tak panie, gdy od czterech lat mieszkamy w tym samym domu i dziel nas tylko drzwi.

Sekretarz komisarza policji cigle zapisywa pytania i odpowiedzi.

- Wic znacie si od dawna?

- Od dwudziestu piciu lat. Suylimy razem w marynarce i po zakoczeniu suby pracujemy razem.

- Jest pan onaty?

- Tak.

- Ma pan dzieci?

- Jedn crk.

- Czym zajmuj si ona i crka?

- ona zajmuje si gospodarstwem domowym, a crka jest kwiaciark i ma swoj pracowni.

XV

Cierpliwość nie była silną cechą charakteru Jana Remy. Drażniły go pytania, których powodu i celu zupełnie się nie domyślał. Starał się zachowywać spokój, ale, gdy sędzia zapytał go o fach, nie mógł się już powstrzymać i odrzekł szorstko:

- Przecież pan wie, skoro kazał mnie szukać w kuźni! Zresztą mój skórzany fartuch wyjaśnia to dostatecznie. Bada mnie pan, jakbym był oskarżony, nie wiadomo o co! Nie podoba mi się to.

- Milcz pan! - brutalnie zawołał sędzia.

- Nie boję się pańskiego podniesionego głosu, w bitwach słyszałem trochę donośniejszy, bo armatni, i nie zadrzałem.

- Niech się pan uspokoi - wmieszał się prokurator - jesteśmy urzędnikami i spełniamy nasz obowiązek, a ponieważ służył pan w wojsku, więc powinien pan wiedzieć, że należy być posłusznym wobec prawa, tak jak żołnierz musi być posłuszny wobec przełożonych.

- Ma pan słuszność - odparł Remy - rzeczywiście, przez brak cierpliwości pozwoliłem sobie na zbyt wiele. Ale niech pan będzie łaskaw powiedzieć mi, o co chodzi... Tam czekają na mnie robotnicy.

- Jak spędził pan wczorajszy wieczór? - zapytał sędzia.

- Jak spędziłem wieczór? - powtórzył Remy, zdumiony tym niespodziewanym pytaniem.

- Tak, co robiłeś po ukończeniu roboty i wyjściu z kuźni. Muszę to wiedzieć.

- Można by sądzić, że w tym pytaniu kryje się podejrzenie...

- W związku ze sprawą, którą się zajmujemy, muszę wiedzieć, co robiłeś wczoraj wieczorem, od wyjścia z kuźni, aż do rozpoczęcia roboty dziś rano.

- Jeżeli to się panu na coś przyda, to chętnie powiem, gdyż mam czyste sumienie i niczego się nie boję.

- Więc proszę mówić.

- Wczoraj wieczorem, gdy opuściliśmy kuźnię, przyjechała do mnie żona z córką i przywiozła bieliznę dla mnie i Pawła.

- Ach, przyniosły bieliznę... - przerwał sędzia, przyglądając się znów ubraniu kowala.

- Tak. Na polecenie przedsiębiorcy Paweł miał odnieść list do mera w Nogent, więc zaproponował, abyśmy wszyscy czworo udali się tam razem i zjedli obiad, po czym kobiety wróciłyby koleją do Paryża, a my do swojej oberży.

W oczach sędziego pojawił się błysk.

- I poszliście wszyscy do Nogent? - zapytał. - Jedliście tam obiad? Gdzie?

- W jakiejś restauracyjce przy drodze.

- O której godzinie rozstałeś się z żoną i córką?

- Nie pamiętam dobrze - powiedział z zakłopotaną miną i spojrzał na Pawła.

- Jak to, nie wie pan, o której godzinie rozstał się pan z żoną i córką? - zapytał ze zdziwieniem sędzia.

- Nic dziwnego, proszę pana sędziego - wtrącił Giret. - Byliśmy w dobrym humorze, więc wypiliśmy troszkę więcej niż zazwyczaj. Mój towarzysz był nieco podchmielony i nie zwracał uwagi na czas, ale ja to mogę powiedzieć.

- A więc która była godzina, gdy wyszliście z restauracji?

- Jedenasta czterdzieści.

- Skąd pan to wie tak dokładnie?

- Ponieważ restaurator zapewniał nas, że jego zegar w porównaniu z tym na kolei spóźnia się o pięć minut i że kobiety powinny już iść, jeżeli chcą zdążyć na pociąg.

- I poszły?

- Poszły

- O której godzinie wróciliście do oberży przy ulicy Paryskiej?

- Było już wpół do drugiej w nocy.

- Wpół do drugiej! Więc potrzebowaliście trzech godzin, aby przejść z Nogent do Joinville?

- Panie sędzio - rzekł Remy - jestem człowiekiem bardzo wstrzemięźliwym, Giret to poświadczy, ale tym razem wypłem za dużo. Zdarzyło mi się to pierwszy raz w życiu, więc to nie grzech... Wszystko wirowało mi przed oczami i ledwie trzymałem się na nogach.

- Chciał koniecznie odpocząć i trochę wytrzeźwieć - zaczął znowu Giret - więc usiedliśmy na trawie, tym bardziej że nie musieliśmy tak bardzo się spieszyć. Spał z pół godziny, może godzinę, nie pamiętam dobrze. Później, w obawie, by się nie zaziębił, bo sam już byłem zziębnięty, obudziłem go i ruszyliśmy w drogę.

- Czy był już wtedy trzeźwy?

- Niezupełnie, ale sen bardzo mu pomógł.

- Którędy szliście do oberży?

- Nadbrzeżem, przez most Joinville i ulicą wiodącą do kuźni, skąd Remy chciał zabrać pozostawioną w skrzyni bieliznę.

- Ach, więc wstąpiliście jeszcze do kuźni? Obaj?

- Tylko Remy.

Po dość długiej chwili milczenia, sędzia zapytał:

- Przechodząc obok tamy, wzdłuż muru, naprzeciw furtki posiadłości, w której się znajdujemy, czy nie zauważyliście nic osobliwego?

- Nic - odrzekł kowal, usiłując sobie przypomnieć.

- Owszem - wtrącił Giret.

Wszyscy spojrzeli na niego z uwagą.

- Cóż takiego? - zapytał pan Kerven.

- Ach, przypominam sobie - zawołał Remy - zobaczyłem leżący na trawie jakiś błyszczący przedmiot i podniosłem go.

- Co to było?

- Pugilares z niklowym okuciem. Filip Kerven spuścił wzrok na papiery.

- Co było w pugilaresie? -Nic.

- Co z nim zrobiliście?

- Zdaje mi się - powiedział Remy, próbując się skupić - że schowałem go do skrzynki stojącej w kuźni. Jeżeli pan sędzia sobie życzy, mogę go przynieść.

- Później.

Kerven wziął ze stołu narzędzie, którym został zabity pan Lagarde i pokazując je kowalowi, zapytał:

- Poznaje pan to?

- Poznaje, to nasze narzędzie, dowodzi tego litera R między dwiema gwiazdkami.

- Czy pan je zrobił?

- Ja, poznaję doskonale, to moja robota.

Remy, pochylony nad stołem, uważnie i z pewną dumą przyglądał się swojej robocie, lecz nagle cofnął się i zbladł.

- Czy przestraszył się pan tej krwi na rękojeści? - zapytał sędzia.

- Nie, nie przestraszyłem się - odpowiedział kowal - ale...

- Ale zadaje pan sobie pytanie, czy jest to krew ofiary zamordowanej tą bronią? Czy jest to ta sama krew, której kilka kropli padło na pańską koszulę?

- Na moją koszulę - zawołał Remy przerażony - krew, na mnie...

- Tutaj! - rzekł sędzia, palcem wskazując czerwoną plamkę na fałdzie koszuli.

Remy, skamieniały ze strachu, nie wiedział, co odpowiedzieć. Giret, przewidując nieuniknioną katastrofę, również bardzo się zmieszał.

- Nie ma potrzeby dłużej szukać zabójców pana Lagarde - zawołał Filip Kerven głosem ostrym jak nóż gilotyny - Jan Remy jest zabójcą, a Paweł Giret jego współnikiem.

XVI

Dwa okrzyki przerażenia odpowiedziały na to niespodziewane oskarżenie wygłoszone przez sędziego śledczego. - Ja... zabójcą...! - zawołał Remy, cały drżąc.

- Ja... współnikiem zbrodni? - rzekł jednocześnie blady jak śmierć Giret.

Kochanek Marceli miał już winowajcę potrzebnego mu do zabezpieczenia się przed podejrzeniem. Przypadek okazał się dla niego zbawienny.

W tej chwili inspektor policji i agent, wysłani w celu przeszukania kuźni, weszli do pokoju. Inspektor niósł w rękach oskard i pugilares, agent zaś płócienny worek, wyglądający na bardzo ciężki.

- Panie sędzio - zawołał triumfalnym głosem - przynosimy *corpus delicti*. Zabójcy byli zarazem złodziejami. Oto oskard, którym wyłamali główne drzwi, zbroczony krwią pugilares z inicjałami hrabiego de Lagarde i worek pełen sreber stołowych oraz różnych kosztowności.

- Gdzie to znaleźliście? - zapytał sędzia.

- W skrzynce stojącej w kuźni Jana Remy.

Remy i Giret ze zdumienia niezdolni byli wyrzec ani słowa.

Sam Filip Kerven przez kilka sekund czuł się całkowicie zaskoczony dziwnym wypadkiem, który dostarczył mu tylu niezbitych dowodów przeciwko ludziom, o których niewinności wiedział najlepiej. Ale szybko się opanował.

- Teraz łatwo wyobrazić sobie przebieg zbrodni - rzekł do urzędników. - Jak widać, celem przestępców była kradzież. Ogra-

biwszy dom, chcieli wyjść przez furtkę w murze i trafili na chwilę, gdy hrabia Lagarde ją otworzył. Złapani na gorącym uczynku, w obawie by nie krzyknął, zabili tego najlepszego, najszlachetniejszego człowieka i by opóźnić wykrycie zbrodni, ciało swej ofiary rzucili do rzeki. Powtarzam, to oni są złodziejami i zabójcami! Sama boska sprawiedliwość wydała ich w nasze ręce. I nawet nie ma sensu zaprzeczać; fakty mówią same za siebie.

Kowal i mechanik, ogłuszeni strasznym rezultatem śledztwa zrozumieli, że należy się bronić, że dalsze milczenie może zostać odczytane jako przyznanie się do zbrodni.

- Ależ - wybąkał Remy zdławionym głosem - pan chyba sam nie wierzy w to, co mówi... My mielibyśmy być złodziejami...

- I zabójcami... - dodał Giret.

- To nie ja was oskarżam, takie są fakty - odparł Filip.

- Tylko pozornie... To jakaś pomyłka...

- Nazywacie pomyłką to, co ja nazywam Opacnością, niepo-zwalającą, by zbrodnia pozostała bezkarna.

- Ależ to niemożliwe - mówił dalej Remy - jesteśmy uczciwymi ludźmi, każdy, kto nas zna, zaświadczy... Mam rodzinę i uczciwość cenię więcej niż życie... Ja, w moim wieku, miałbym splamić się zbrodnią! Niech pan sędzia się nad tym zastanowi... Przysięgam panu na głowę mojej żony i córki, że obaj jesteśmy niewinni! Nie wiedzieliśmy nawet, że popełniono jakąś zbrodnię... Powiedzieliśmy przecież, jak spędziliśmy ten czas.

- Pod tym względem niedostatecznie się wytłumaczyliście - odparł Filip. - Od wpół do jedenastej wieczorem do wpół do drugiej rano mieliście więcej czasu niż potrzeba, aby dokonać zbrodni.

- Ależ przysięgam panu...

- Niech pan nie przysięga na próżno - przerwał sędzia. - Lepiej proszę mi wyjaśnić, jakim sposobem należące do pana narzędzie zostało znalezione w ciele pana Lagarde. Proszę wytłumaczyć mi

fakt znalezienia sreber hrabiego w skrzyni pańskiej kuźni, a jeżeli wyjaśni mi pan to wszystko, wówczas może uwierzę.

- Ależ narzędzie mógł ktoś wykraść z kuźni.

- Być może, ale jakim sposobem srebra i klejnoty znalazły się w pańskiej skrzyni?

- Może złodziej, przestraszywszy się czegoś, wszedł pod namiot i pozostawił tam swoją zdobycz.

Przypuszczenie kowala było zgodne z prawdą. Pan Kerven jednak wzruszył ramionami i spojrzął po kolei na prokuratora i szefa bezpieczeństwa publicznego.

Obaj na ustach mieli ironiczny uśmiech.

- Więc panowie nie wierzą! - zawołał Giret z rozpaczą.

- Jakim sposobem mamy uwierzyć? - zapytał sędzia śledczy.

- Wszystko przemawia przeciwko wam, a wy się nawet nie jesteście w stanie bronić, gdyż to, co powiedział twój współnik, nie zasługuje na uwagę.

- Strzeżcie się, panowie! - rzekł Remy.

- Czego?

- Wyrzutów własnego sumienia, gdyż dajecie się zwieść pozorom.

Pan Kerven wzruszył ramionami.

- Panie komisarzu - odezwał się prokurator - proszę aresztować tych ludzi, a po przywiezieniu do Paryża, proszę ich zamknąć w celi.

- Więc w jaki sposób możemy udowodnić naszą niewinność?! - zawołał Giret, załamując ręce.

- Moja biedna żona, biedna córka... - z płaczem powtarzał Remy - co się z nimi stanie?

Giret, słysząc te słowa, zapanował nad sobą i rzekł:

- Nie jesteśmy jeszcze skazani! Bóg ulituje się nad nami, nie pozwoli, by sprawiedliwość ludzka tak się myliła!

- Pokażmy zabójcom ich ofiarę - obojętnie rzekł sędzia śledczy

- Naszą ofiarę! - powtórzył Giret. - Śmiało możemy na nią patrzeć. Gdyby zmarły mógł przemówić, zaświadczyłby, że jesteśmy niewinni.

Obaj nieszczęśliwcy, otoczeni agentami gotowymi do poskromienia najmniejszego oporu, zostali wprowadzeni do sali stołowej, gdzie spoczywało ciało hrabiego.

- Czy poznajecie go? - zapytał sędzia, wskazując trupa.

- Ażeby poznać, należy najpierw znać - odparł Giret, spoglądając na bladą twarz hrabiego. - Nigdy go nie widziałem.

- I ja tak samo! - dodał kowal.

- Wierzcie mi - rzekł sędzia - nic nie zdziałacie swoim uporem, możecie się jeszcze bardziej pogryźć. Tymczasem szczerze przyznanie się do zbrodni może wpłynąć na złagodzenie wyroku.

- Nie będąc winnymi, nie mamy do czego się przyznawać... Niech pan czyni z nami, co mu się podoba - rzekł Giret.

- Bóg nie pozwoli nas zgubić - dodał Remy.

- Czy pozwoli mi pan sędzia zadać oskarżonym jedno pytanie? - zapytał szef policji.

- Proszę!

- W jakim obuwiu udał się pan wczoraj do Nogent?

- W butach do pracy, tych samych, które mam na nogach, nie miałem czasu wziąć kamaszy.

- A Giret?

- I ja byłem w butach do pracy.

Filip Kerven, domyśliwszy się celu zadanego przez szefa pytania, wydał rozkaz:

- Zaprowadźcie oskarżonych na pierwsze piętro, gdzie pan komisarz policji widział ślady pozostawione na froterowanej posadzce przez zakurzone buty.

Porównanie odcisków z rozmiarami butów okazało się dla oskarżonych fatalne - rozmiar jednych i drugich był jednakowy.

- Jeszcze jeden dowód - zawołał sędzia.

Następnie, po pokazaniu oskarżonym dowodów wyłamania drzwi oraz krwawych plam na furtce, trawie i wybrzeżu, nałożono im na ręce kajdanki i oddano pod straż agentów mających odwieźć ich do Paryża.

Nieszczęśnicy mieli już opuścić willę, gdy jakiś blady i wystraszony człowiek wbiegł do parku.

Był to pan Rety, przedsiębiorca robót publicznych.

Remy i Giret, spostrzegłszy go, wyciągnęli ku niemu ręce.

- Ach, panie! - zawołali z rozpaczą.

- Co to jest? Co się stało? - zapytał przybyły.

- Biorą nas za złodziei! - powiedział Giret.

- Za zabójców! - dodał Remy

- Ależ to niemożliwe! Ja was znam! Ja za was ręczę! Panowie - zawołał przedsiębiorca, podbiegając do urzędników, - tu zaszła pomyłka... jestem przekonany... Remy i Giret są uczciwymi ludźmi i moimi najlepszymi robotnikami! Od pięciu lat pracują u mnie, więc miałem czas dobrze ich poznać. Bez obawy powierzyłbym im cały swój majątek. Oni nie popełnili tej zbrodni, ręczę za ich uczciwość i odpowiadam za nich...

- Przykro nam - powiedział prokurator - że nie możemy przyjąć pańskiego poręczenia. Mamy niezbite dowody.

- Dowody... - powtórzył przedsiębiorca.

- Tak, zresztą może im pan pomóc swoim zeznaniem, gdy będzie pan wezwany na świadka do sędziego śledczego.

- Wpłacę kaucję - nalegał pan Rety. - Ile pan zażąda, byle tylko pozostali na wolności.

- Nie możemy przyjąć kaucji. Niech pan nie nalega, bo to na nic.

Przedsiębiorca pochylił głowę ze smutkiem, po czym podszedł do robotników i ściskając ich dłonie, mówił:

- Pomimo dowodów, które świadczą przeciw wam, wierzę i zawsze będę wierzył w waszą uczciwość, a gdy mnie wezwą na

świadka, głośno wyrażę swój szacunek do was. Możecie na mnie liczyć. Uczynię wszystko, co będzie w mej mocy.

Grube łzy spływały po policzkach Jana Remyego i Pawła Gireta.

Po ostatnich słowach przedsiębiorcy Filip de Kerven pomyślał: Próżne będą twoje wysiłki. Nic ich już nie ocali, ale w zamian ja jestem ocalony.

Agenci policji wyprowadzili oskarżonych.

XVII

Urzednicy dalej prowadzili sledztwo. Przejrzeli wszystko szczegolowo: slady po wylamanych drzwiach, pawilon ogrodnika i plamy krwi wokol furki; ponadto przesluchali pierwszych swiadkow.

Sedzia sledczy kazal polozyc ciało na łozku, a komisarzowi policji polecil ustawic przy nim straz.

Dowody rzeczowe zapakowano do worka, opieczetowano i odeslano do gabinetu sedziego sledczego.

Przeprowadzono jeszcze dodatkowa rewizje w kuźni Jana Remy, lecz juz nic wiecej nie znaleziono.

Z kuźni urzednicy udali sie do oberzy, w ktorej mieszkali oskarzeni, i zabrali stamtad przyniesiona poprzedniego wieczoru, przez Magdalene i Gabriele bielizne poplamiona w kilku miejscach krwia.

Plamy te pochodzily od pugilaresu wrzuconego do skrzyni.

- Jestem okropnie glodny - odezwal sie prokurator, spogladajac na zegarek - nic dziwnego, gdyz juz druga, a my jesteśmy na czczo. Panie komisarzu, niech pan nam wskaże jakas przyzwoita restauracje.

- Sluzę panom, sniadanie jest juz gotowe, zamowilem je przed dwiema godzinami.

Urzednicy udali sie za komisarzem. Prokurator wzial pod ramie sedziego sledczego i idac z nim, mowil:

- Tak poprowadzić sprawę, to rozumiem. To jeszcze jeden dowód pańskich zdolności do wyjaśnienia najbardziej zawiłych zagadek.

- To kwestia wprawy - odparł skromnie sędzia. - Tylu już zbrodniarzy przewinęło się przez moje ręce, od czasu kiedy wypełniam obowiązki sędziego.

- Sama wprawa nie wystarcza, tu potrzeba czegoś więcej, że tak powiem, węchu i specjalnych zdolności, które pan posiada w stopniu najwyższym. Ci dwaj ujęci przez nas to nie nowicjusze.

- I ja sądzę, że mają oni na sumieniu już wiele zbrodni, ale nareszcie zostali ujęci i to prawie na gorącym uczynku. Wątpię, czy się wy tłumaczą.

- O to niech pan będzie spokojny, bo chociaż sędziowie przysięgli są często bardzo pobłażliwi i bez umiaru szafują okolicznościami łagodzącymi, w tym wypadku będą bardziej surowi.

Tak rozmawiając, przybyli do restauracji, gdzie już na nich czekało zamówione przez komisarza śniadanie. Po posiłku urzędnicy odjechali do Paryża, gdzie pan Kerven, nie wstępując do domu, wraz z szefem bezpieczeństwa udał się na ulicę Verneuil.

Łatwo się domyślić powodów, dla których pragnął mieć świadka swojej rozmowy z hrabiną Lagarde.

Marcela obdarzona była ogromną inteligencją, zimną krwią, wprost szatańską chytrą i umiejętnością przewidywania. Filip powiedział jej, jak ma się zachowywać do chwili nadejścia urzędowego zawiadomienia o śmierci męża, toteż od samego rana wykazywała gorączkową niecierpliwość i wielki niepokój.

Co chwila wzywała lokaja, powtarzając te same pytania, dociekała najmniejszych szczegółów obecności hrabiego w domu, a nawet wyrazu jego twarzy.

Zresztą przeciągająca się nieobecność pana domu stawała się niezrozumiała, a przede wszystkim niepokojąca.

Cała służba podzielała obawy hrabiny.

Pograżona w zadumie hrabina rozmyślała o skutkach popełnionej zbrodni, oczywiście nie ze względu na swoją osobę, gdyż wiedziała, że zachowana ostrożność gwarantowała oddalenie od niej wszelkich podejrzeń. Pragnęła jednak wiedzieć, co dalej nastąpi i jak straszna wrzawa podniesie się na wiadomość o tajemniczym morderstwie hrabiego.

Zresztą, doznawała uczucia szczęścia, myśląc o tym, że odzyskała swobodę i uwolniła się od kontroli tego zazdrosnego człowieka, który nagle po osiemnastu latach zaślepienia przejrzał na oczy.

Dźwięk dzwonka u drzwi wyrwał ją z tych rozmyślań. Podbiegła do okna wychodzącego na dziedziniec i zobaczyła Filipa w towarzystwie jakiegoś nieznanego mężczyzny, rozmawiającego z odźwiernym i lokajem.

Gdy po kilku minutach do jej pokoju wszedł lokaj, zapytała niespokojnie:

- Kto to przyjechał?

- Pan Filip Kerven. I odźwierny, i ja na próżno mówiliśmy mu, że pani hrabina nikogo nie przyjmuje. Pan sędzia nalega i oświadcza, że musi się z panią widzieć i nie odejdzie, dopóki pani go nie przyjmie.

- Zatem prosz panów.

Po chwili drzwi się otworzyły i lokaj zaanonsował:

- Pan Filip de Kerven.

Marcela podbiegła ku niemu i zawołała drżącym głosem:

- Czy przybywa pan rozproszyć moje obawy?

W tej chwili, niby spostrzegając towarzyszącą Filipowi osobę, udała zdziwienie.

- Pan szef bezpieczeństwa publicznego - przedstawił sędzia swego towarzysza i jednocześnie znacząco uścisnął dłoń hrabiny.

Uściśnięcie to dało jej do zrozumienia, że powinna być ostrożna i musi ważyć każde słowo. Skłoniła się i rzekła:

- Mam nadzieję, że panowie nie przynoszą mi złej wiadomości.
- Dlaczego pani tak mówi? - zapytał Filip, odgrywając obmyśloną rolę. - Czy ma pani powód do obawy?

- Ależ naturalnie!

- Jaki? Dlaczego jest pani taka zapłakana?

- Wczoraj, gdy byłam w teatrze, mój mąż, nie uprzedziwszy mnie o swoim powrocie, przybył do domu.

- Ach! - zawołał sędzia.

- Dowiedziawszy się od służby, dokąd wyjechałam, wyszedł z domu. Od tej chwili upłynęła prawie cała doba, a on nie wrócił. Co mogło mu się przytrafić? Od samego rana śmiertelnie się niepokoję i zaczynam się obawiać najgorszego...

Filip spojrzał na szefa bezpieczeństwa, po czym zamyślił się.

Pani Lagarde zrozumiała, że zbrodnia została odkryta, że wydobyto z Marny ciało ofiary i że śledztwo się rozpoczęło, ale hrabinie nie przyszło do głowy, że właśnie jej kochankowi powierzono tę tajemniczą sprawę.

- Dlaczego pan milczy? - zapytała Marcela. - Dlaczego pan zastanawia się nad tym, co ma mi powiedzieć? Przybył pan z jakąś straszną wiadomością...

- Rzeczywiście - powiedział Filip z udanym wzruszeniem - to, co zamierzam pani powiedzieć, jest bardzo smutne... bolesne...

- Bardzo smutne... bolesne... - powtórzyła Marcela.

- Niezmiernie mi przykro, że to ja, przyjaciel pani i Jerzego, zmuszony jestem powiadomić, dlaczego pani mąż dotychczas nie wrócił do domu...

Strach na twarzy Marceli stawał się coraz większy.

- Niech pan kończy... niech pan kończy... to wyczekiwanie mnie zabija!

- Niech się pani uzbroi w całą odwagę, na jaką może się zdobyć, gdyż czeka panią straszny cios...

- Mój mąż uległ jakiemuś wypadkowi? Może jest ranny... - jęknęła hrabina, załamując ręce.

- Pan Lagarde nie żyje...

Marcela wydała przeraźliwy okrzyk, którego najznakomitsza artystka dramatyczna mogłaby jej tylko pozazdrościć. Następnie, jak gdyby była w największej rozpacz, mówiła, a raczej łkała:

- Jerzy! Mój mąż nie żyje...

- Został zamordowany!

- Zamordowany! - powtórzyła z gestem wyrażającym zgrozę. -Więc przecucie mnie nie myliło... Boże mój, Boże! Jerzy nie żyje! Nigdy go już nie zobaczę! Pragnę wiedzieć wszystko! Niech pan mówi! Gdzie go zamordowano?

- W Joimdlle, przy furtce do państwa willi.

Usłyszawszy tę odpowiedź hrabina doznała ataku nerwowego, ale tak naturalnego, że nabrałaby najznakomitszych lekarzy. Członki jej wykrzywiły się jak gałązki winorośli rzucone w ogień. Trzeba było ją podtrzymać, by nie upadła i nie uderzyła się w głowę o jakiś mebel. Gdy po kilku minutach paroksyzm minął, Marcela, wyczerpana, blada, z włosami w nieładzie i twarzą zalaną łzami, ująwszy dłoń pana Kervena, zapytała:

- Czy przynajmniej ujęto zabójców?

- Ujęto - odrzekł sędzia, znacząco uściskawszy jej dłoń.

XVIII

Więc Bóg jest sprawiedliwy! - zawołała. - Niech pan mówi dalej... pragnę wiedzieć wszystko. W jaki sposób dokonano zbrodni?

- Po co mam panią zasmucać tymi szczegółami?

- Powtarzam panu, pragnę wiedzieć wszystko...

- Później opowiem.

- Dlaczego później?

- Musiałbym żądać od pani wielkiej siły... Pan prokurator powierzył mi prowadzenie śledztwa w tej sprawie.

- Panu! - zawołała, z trudem stłumiwszy zdziwienie. - Jestem więc spokojna. Jerzy będzie pomszczony!

- Może pani na mnie liczyć! Zbrodniarze znajdują się już w rękach sprawiedliwości i nie unikną kary, na którą zasłużyli.

- Boże mój... Boże... czyż to możliwe? Zdaje mi się, że to sen! - jęczała hrabina w udawanej rozpacz.

- Niestety, nie sen, a okropna rzeczywistość. Obecnie, po ujęciu winnych, będzie nam zależało na wyjaśnieniu, w jakich okolicznościach zbrodnia została dokonana i liczymy tu na pani pomoc.

- Ale ja nic nie wiem, nie mogę udzielić żadnego wyjaśnienia, zwłaszcza obecnie, gdy nie potrafię nawet zebrać myśli. Z panującego w mojej głowie chaosu jedna tylko rzecz wydaje mi się wyraźna, że obowiązek wzywa mnie do zwłok mego męża. Gdzie one spoczywają?

- Błagam panią, niech się pani uspokoi - rzekł szef bezpieczeństwa, który pomimo wrodzonego chłodu był jednak tą boleścią

głęboko wzruszony - i udzieli nam wyjaśnień, których potrzebujemy, aby kontynuować śledztwo. Ostatnie słowa zastanowiły Marcelę.

- Co życzy pan sobie wiedzieć? Niech pan pyta.

- Chcielibyśmy wiedzieć, o której godzinie pan Lagarde po powrocie z podróży przybył do domu.

- Odźwierny i lokaj oświadczyli mi, że była wtedy dziewiąta wieczorem.

- Nie spodziewała się pani tego powrotu?

- Nie. Gdybym mogła to przewidzieć, oczekiwałabym męża w domu i nie pojechałabym na obiad do pani Presles, skąd zabrał mnie pan z sobą do teatru.

- Naturalnie! Pytając o to panią, myślałem, że może odgadnę powód, dla którego pan Lagarde o tak późnej porze udał się do Joinville.

- I ja tego nie rozumiem.

- Czy wiadomo pani, o której godzinie hrabia wyszedł z domu?

- Lokaj powiedział mi, że prawie o dziesiątej.

- Czy pan Lagarde wiedział od służby, dokąd się pani udała i gdzie może panią znaleźć?

- Wiedział, gdyż ten sam lokaj wczoraj rano kupował mi bilet do teatru.

- Tym sposobem wiedział, że w willi nikogo nie zastanie?

- Naturalnie.

- Po co więc tam pojechał?

- Może obraził się, że nie zastał mnie w domu... że bawię się podczas jego nieobecności... Znał pan hrabiego tak dobrze jak ja, wiadomo więc panu, że czasem obrażał się o drobiazgi. Nieraz zdarzało się, że nie powiedziawszy mi ani słowa, udawał się do willi i bawił tam nawet przez kilka dni.

- Wiem, prawdopodobnie i tym razem pojechał do Joinville pod wpływem złego humoru. Czy pan Lagarde posiadał klucz od furtki w murze naprzeciw tamy?

- Tak, trzymał go w szufladzie biurka.

- Podobno wczoraj rano przyszedł do pani ogrodnik, zarazem odźwierny willi?

- Przyszedł, przyniósł depeszę, którą otrzymał o chorobie ojca i prosił o pozwolenie na wyjazd. Nie mogłam mu odmówić.

- Czy wziął ze sobą klucz od willi?

- Klucze od bramy parkowej i od domu znajdują się w jego mieszkaniu, w szufladzie, gdzie je zawsze przechowuje, gdy w willi nikogo nie ma, a klucz od furtki zostawił u mnie.

- Ma go pani?

- Mam.

Marcela wyjęła z biurka klucz i podała sędziemu, który z kolei wręczył go szefowi bezpieczeństwa ze słowami:

- Należy je porównać.

- Skoro zabójcy zostali ujęci - rzekła hrabina, pragnąc wszystkiego się dowiedzieć - zapewne są już znane pobudki tej zbrodni?

- Morderstwo - odrzekł Filip - było wynikiem ich pierwszej zbrodni.

- Jak to, więc oprócz mego męża, jeszcze kogoś zabili?

- Nie, ograbili pani dom.

- Ograbili dom? - powtórzyła zdziwiona Marcela.

- I w chwili, gdy obciążeni łupem wychodzili z parku przez furtkę, spotkali się z pani mężem i zabili go.

- Ach, zbrodniarze! - Na kilka chwil pograżyła się w swej boleści, po czym zapytała: - Czy mogę teraz pojechać do Joinville?

- Pragnąłbym porozmawiać z pani służbą, a następnie opieczetować apartament hrabiego.

Marcela zrozumiała myśl sędziego.

W sypialnym pokoju jej męża lub w gabinecie, mogły się znajdować papiery kompromitujące ich oboje, a o których istnieniu nie wiedzieli.

- Ma pan słuszość - powiedziała - lecz sądzę, że przy tej czynności moja obecność nie jest potrzebna. Pozwólcie mi więc panowie udać się, dokąd wzywa mnie obowiązek. Podczas gdy będziecie spełniali swoje powinności, wydam służbie polecenie przygotowania wyjazdu do Joinville, gdzie pozostanę aż do pogrzebu.

- Będę chciał o tym pomówić z panią jutro. Teraz niech pani będzie łaskawa kazać lokajowi zaprowadzić nas do apartamentu hrabiego.

Marcela wyszła, potykając się na drżących nogach. W parę chwil później powiadomiony przez hrabinę o śmierci hrabiego lokaj, zgłosił się do urzędników.

- Zaprowadź nas do apartamentu pana Lagarde - rzekł sędzia. Po opieczętowaniu wszystkich drzwi wiodących do pokoju hrabiego Filip powrócił do salonu, aby porozmawiać z lokajem.

Jego zeznanie zgadzało się we wszystkich szczegółach z tym, co opowiedziała hrabina.

- Pozostaje mi tylko - rzekł Filip do pani Lagarde, która w tej chwili, przebrana w czarny strój i welon, weszła do salonu - odbyć rozmowę z odźwiernym, któremu powierzę nadzór nad pieczęciami. To nie opóźni pani wyjazdu. Boleję nad tym, że byłem zwiastunem cierpienia, lecz proszę mi wierzyć, że szczerze je podzielałam.

- Wierzę panu całkowicie - odrzekła wzruszona, podając mu obie dłonie.

Szef bezpieczeństwa publicznego, nie domyślając się komedii, z taką zręcznością przed nim odgrywanej, litował się nad nieszczęśliwą kobietą, tak niespodziewanie powiadomioną o tragicznej śmierci ukochanego męża, i myślał, że nie zdarzyło mu się jeszcze widzieć tak wielkiej rozpacz.

Z odpowiedzi odźwiernego, jak również lokaja, wynikało, że hrabia nikomu nie powierzył celu swej wycieczki do Joinville.

Po nałożeniu na odźwiernego obowiązku pilnowania pieczęci i zaleceniu mu czujności, Filip opuścił dom przy ulicy Verneujl i rozstał się z szefem bezpieczeństwa publicznego.

- Teraz jestem panem sytuacji - myślał. - Nie mamy się czego obawiać.

Marcela ze swej strony mówiła sobie:

- Wypadki potoczyły się cudownie! Wyznaczenie Filipa do prowadzenia śledztwa oddała od nas nawet cień niebezpieczeństwa.

XIX

Zanim przystąpimy do dalszego opowiadania zdarzeń, aby nie przerywać go wyjaśnieniami sięgającymi dawnych czasów, przytoczymy kilka informacji o państwie de Lussan i de Kerven, rodzicach Marceli i Filipa.

Zacniemy od rodziny hrabiny, obecnie wdowy po Jerzym Lagarde.

Ojciec jej, hrabia Raul de Lussan, w trzydziestym piątym roku życia poślubił córkę wyższego urzędnika, pannę Dianę de Kernoel, liczącą wówczas dwadzieścia lat. Owocem tego małżeństwa był syn, któremu na chrzcie dano na imię Albert. Minęło pięć lat i hrabia oswojony z myślą, że nie będzie miał więcej dzieci, zdziwił się mocno, gdy na świat przyszła jeszcze córka, którą ochrzczono imieniem Marcela.

Pani Lussan, sama nie mogąc wychowywać dziecka, powierzyła je, jak już wspomnieliśmy, zamieszkałej w Clisson, włościance Iwonie Bernard, która parę tygodni wcześniej powiła córkę Magdaleny.

Marcela liczyła drugi, a jej brat Albert siódmy rok życia, gdy zmarł ich ojciec, pozostawiwszy wdowie mocno naruszony majątek, z powodu bankructwa osób, u których lokował kapitał. Ale i to co pozostało, pozwalało wdowie prowadzić dom na wielką skalę, o co jej głównie chodziło. Liczyła wówczas dwadzieścia osiem lat i była w pełnym rozkwicie swej urody.

Skromne wymagania i surowe zasady męża, nie lubiącego wystawnego życia, nie pozwoliły jej stosować się do własnych upodo-

bań, toteż, gdy wreszcie odzyskała wolność, postanowiła używać życia tak, jak je rozumiała

Przez pierwszy rok wdowieństwa podróżowała. Po powrocie do kraju Paryż wydawał jej się przyjemniejszym miejscem niż Nantes, więc osiadła w nim, ulokowawszy syna w pensjonacie. Córkę pozostawiła u włościanki w Clisson. Obecność dwojga dzieci krępowały ją. Wynajęła obszerne mieszkanie, umeblowała je zbyt kłównie, przyjmowała licznych gości, wydawała obiady, była osobą pożądaną w towarzystwie, lecz uchodziła za kobietę przyjmującą ze zbyt wielką życzliwością niektórych wielbicieli.

Wiodła takie życie przez cztery lata, przeplatając je podróżami do Włoch, Hiszpanii i innych krajów, aż zmęczona, roztrwoniwszy wiele pieniędzy, znudzona wszelkiego rodzaju uciechami, powróciła do Nantes. Zmusił ją do tego mocno nadszarpnięty majątek.

Jej córka miała już siedem, a syn dwanaście lat. Albert kształcił się w kolegium, a Marcela pomimo młodego wieku została oddana na pensję.

Diana niedługo jednak prowadziła skromne życie, na które zdecydowała się, wracając do Nantes. Wkrótce zaczęła się nudzić, więc zaczęła wydawać uczyty i znów pozwalała się do siebie zalecać. Tymczasem majątek coraz bardziej topniał i scheda dla dzieci, których była opiekunką, narażona była na wielkie niebezpieczeństwo.

Na szczęście nie doszło do katastrofy majątkowej, gdyż pani Lussan, spostrzegłszy, że się starzeje, a jej środki pieniężne kurczą się, przestraszyła się nędzy na stare lata i zdecydowała się na ograniczenie wydatków.

Albert z kolegium przeszedł do szkoły morskiej w Brest, po ukończeniu której, mając dwadzieścia jeden lat, wrócił do Nantes. Jednocześnie Marcela została odebrana z pensjonatu.

Dziewczyna w wieku szesnastu lat była niewyobrażalnie piękna. Robiła wielkie wrażenie w towarzystwie, w którym wraz z matką bywała, a opinia publiczna przepowiadała jej świetną partię.

Albert nigdy nie kochał siostry, można nawet powiedzieć, iż instynktownie jej nie lubił. Pogłoski o lekkomyślnym postępowaniu matki dotarły do jego uszu i sprawiły mu wiele cierpienia. Otóż zdawało mu się, że i Marcela posiada to samo usposobienie: brak zasad moralnych, lekkomyślność i pociąg do światowych uciech. Do wad tych dołączyła jeszcze przebiegłość i przewrotność bez granic. Dziewczyna widząc niechęć brata, usiłowała go sobie zjednać, lecz bezskutecznie.

Marcela odziedziczyła po matce nie tylko urodę, lecz także gorący temperament.

Kervenowie, pochodzący ze starej, średniej zasobności szlachty, żyli w przyjaźni z rodziną de Lussan.

Filip Kerven, młody adwokat z Nantes, widując Marcelę codziennie, wówczas siedemnastoletnią pannę, zakochał się w niej bez pamięci. Młoda dziewczyna odpłacała mu wzajemnością, a nie powstrzymywana żadnymi zasadami, nawet nie myślała mu się opierać; ale musiała zachowywać wielką ostrożność, gdyż jej matka, jakkolwiek była pobłażliwa dla siebie, nie tolerowała zachowania córki mogącego zaszkodzić jej przyszłości.

Marcela, stworzona do intryg i żyjąca wśród kłamstwa jak ryba w wodzie, łatwo oszukała czujność matki. Pod pozorem odwiedzin u Iwony Bernard, swej wychowawczyni, udawała się do Clisson i miewała tam schadзки z Filipem de Kerven.

Nikt nie domyślał się łączących ich stosunków. Tylko Albert, który był bardziej przenikliwy od innych, podejrzewał siostrę. Ale gdy robił jej uwagi, ta odpowiadała mu dumnie:

- Obrażasz mnie! Twoje krzywdzące podejrzenia są fałszywe; pogardzam nimi, jak na to zasługują, a choćby nawet były praw-

dziwe, nigdy nie przyznam ci prawa krytyki mego postępowania. Zapamiętaj to sobie!

Albert, otrzymawszy tak cyniczną odpowiedź, uważał odtąd Marcelę za zgubioną i nie interesował się nią więcej. Jego instynktowna niechęć zmieniła się prawie w nienawiść.

Pewnego dnia Marcela, spostrzegłszy swój stan, przestraszona odkryciem, powiadomiła o nim Filipa.

- Co robić? - zapytał przerażony.

- Za wszelką cenę nie dopuścić do skandalu - odparła.

- Widzę tylko jeden sposób... -Jaki?

- Wyznać przed matką i się pobrać. Marcela wzruszyła ramionami.

- Nie chcę skandalu - odrzekła śmiało, ale też nie chcę wychodzić za mąż, przynajmniej za ciebie. Związek nasz jest niemożliwy...

- Dlaczego?

- Dla bardzo ważnego powodu...

- Nie kochasz mnie?

- Kocham cię, mój drogi, i chyba dowiodłam ci tego, ale trudno żyć miłością i samą wodą źródlaną, zwłaszcza z moimi upodobaniami i pragnieniami. Ty prawie wcale nie posiadasz majątku, zaś ten, który ja odziedziczę po śmierci matki - sukcesja odległa, bo matka jest jeszcze młoda - nie wystarczy nam na wystawne życie. A ja chcę być bogata, i będę! Związek z tobą rozwałby wszystkie moje marzenia i zaszkodziłby twojej karierze, którą zobowiązuję się uczynić świetną, jeżeli mi pozwolisz sobą pokierować.

- W takim razie co robić? - spytał Filip.

- Ukryć dowód błędu, o którym jeszcze nikt nic nie wie. Rozumiesz dobrze, że Marcela de Lussan nie może być nawet podejrzewana o coś takiego.

Ponure światło jej oczu zdradzało powzięty zamiar.

Filip, który nie był tak zepsuty jak jego kochanka, domyślił się, co zamierza zrobić, i zadrzał. Ale Marcela miała nad nim władzę zupełną, choć była od niego młodsza o dziesięć lat.

Nie miał siły opierać się jej woli, pochylił głowę w milczeniu i zgodził się na współudział w planowanej zbrodni.

W tym czasie zmarła Iwona Bernard, pozostawiwszy swą córkę Magdalенę prawie bez środków do życia. Marcela znalazła jej służbę w domu jednego ze znajomych urzędników w Nantes. W tym to domu Albert Lussan, który był jednym z częstszych gości poznał Magdalенę i pokochał ją. Jej uroda zatarła w jego umyśle różnicę dzielącą jego, szlachcica, od niej, będącej dzieckiem ludu. Wyznał jej swą miłość, a gdy Magdalena nadal się opierała, uniesiony namiętnością, przysiągł jej, że pojmie ją za żonę. Zwiedziona tą przysięgą i olśniona męską urodą oraz pańską postawą młodzieńca, Magdalena uległa.

Czytelnicy już wiedzą, że z tego związku, który pomimo obietnicy Alberta, nie został uświęcony ślubem, przyszła na świat Gabriela, którą kilka lat później uczciwy kowal Jan Remy uznał za swą córkę.

Powróćmy do Marceli de Lussan.

Pomimo wszelkiej ostrożności wiedziała, że zbliża się dzień, w którym jej błąd, dotychczas tak starannie ukrywany, dostarczy materiału do kroniki plotkarskiej.

Należało jak najszybciej wykonać wstrętny plan, który zrodził się w mózgu Marceli i został zaakceptowany przez Filipa, ale na przeszkodzie stała trudność, prawie niemożliwa do przezwyciężenia. Jaki znaleźć powód, usprawiedliwiający jej wyjazd od matki? Powodu tego, a raczej pozoru, dostarczył przypadek.

W Nantes wybuchła epidemia tyfusu, której jedną z pierwszych ofiar, stała się hrabina. Lekarz ręczył, że ją ocali, lecz z obawy o Marcelę, stanowczo zażądał usunięcia jej z domu. Panna Lussan wyjechała do położonej pod Nantes wioski Saint-Luce, gdzie mogła otrzymywać codziennie wiadomości od matki.

Miejscowość tę, nie bez powodu, wybrał Filip de Kerven. W Saint-Luce mieszkała pewna akuszerka, której zatarg z policją parę lat wcześniej wywołał w okolicy wiele wrzawy. Młodemu adwokatowi, który jej bronił w tej sprawie, udało się przekonać dobrodusznym sędziów przysięgłych, o jej niewinności, w którą sam wierzył.

Pani Kernac, bo o niej mowa uniewinniona dzięki jego staraniom, zapewniła go o swojej dozgonnej wdzięczności i przyrzekła spełnić wszystko, czego by kiedykolwiek od niej zażądał. Filip uważał to za zapewnienie za rodzaj zawartego z nią układu i wątpił w to, że znajdzie w niej gorliwą i dyskretną współpracowniczkę.

I nie pomylił się, gdyż pani Kernac oświadczyła, że jest gotowa do wszelkich usług, ale nie bezinteresownie. Widząc, jak pannie Lussan zależy na zachowaniu dyskrecji, oprócz znacznej sumy, płatnej z góry, zażądała od niej pisemnego zobowiązania zapewniającego jej dożywotnią rentę.

Pomimo że warunki były ciężkie, jednak zgodzono się na nie bez oporu. Pozostawało już tylko oczekiwać odpowiedniej chwili.

Maria Kernac mieszkała w odosobnionym domu położonym w głębi ogrodu, w którym przyjmowała swe klientki przybywające i odchodzące zwykle nocą, tak że nikt ich we wsi nie znał i nie widywał. W tym to domu osiadła również Marcela.

Filip często przynosił jej wiadomości od matki, której stan, pomimo zapewnień lekarza, poprawiał się bardzo powoli.

Wreszcie Marcela powiła córkę, którą pani Kernac natychmiast zabrała i udusiwszy, zakopała w ogrodzie we wcześniej przygotowanym dole.

Po upływie dwóch tygodni Marcela zupełnie zdrowa i piękna jak dawniej, wróciła do matki. Odtąd już nic nie przeszkadzało jej pracować nad urzeczywistnieniem swych marzeń, to jest znalezieniem jak najbogatszego męża.

I mąż ten się znalazł, był nim hrabia Jerzy de Lagarde, posiadacz kilku milionów franków.

Równocześnie z wyjściem za mąż Marceli odbył się podział skromnego majątku pozostawionego przez pana de Lussan pomiędzy jego dzieci.

Albert otrzymawszy swą schedę, udał się w długą podróż, opuszczając nikczemnie oszukaną Magdalenę Bernard.

Filip Kerven był najbliższym przyjacielem Jerzego de Lagarde, w tym samym czasie pobierali nauki w kolegium w Nantes, a po ślubie Jerzego zaczęli utrzymywać tak zażyłe stosunki, że Filip stał się codziennym gościem w jego domu.

Marcela od pierwszych dni po ślubie zapanowała nad mężem tak, jak panowała nad Filipem.

Hrabia Lagarde zajmował w Nantes wysokie stanowisko, miał wielu przyjaciół w najwyższych sferach i mógł rozporządzać znacznymi wpływami. Marcela, korzystając z jego stosunków, wypracowała rządową posadę dla Filipa, który po mającej miejsce w tym czasie śmierci swego brata, został opiekunem jego syna i administratorem pozostawionego mu majątku. A gdy dodatkowo prawie w tym samym czasie zmarła Diana Lussan, nic już nie powstrzymywało Marceli od upragnionego Paryża.

Pan Lagarde wolałby pozostać w Nantes, gdzie posiadał liczne grono przyjaciół, ale nie przyszło mu do głowy opierać się woli żony. Kupił dom więc przy ulicy Yerneuil i osiadł w nim z Marcelą.

Pani Lagarde dotrzymała przyrzeczenia danego Filipowi i tak jak w Nantes wykorzystywała wpływy męża, aby przenieść swego kochanka z adwokatury na posadę rządową, tak i teraz zorganizowała mu przeniesienie do Paryża na stanowisko sędziego śledczego.

Kilka miesięcy po przybyciu do Paryża, Marcela wydała na świat córkę Helenę.

Z Albertem Lussan, bratem Marceli, który po śmierci matki wyjechał z Nantes i udał się w dłuższą podróż, spotkamy się niebawem w dalszym ciągu tego opowiadania.

* * *

Marcela, odgrywając dalej komedię rozpacz, blada, z zaczerwienionymi od płaczu oczyma, przybyła do Joinville i udała się wprost do pokoju, w którym spoczywały zwłoki męża. Przypadła do trupa, wydając rozdzierające jęki i wywołując w służbie powszechną litość.

Z powodu przybycia pani domu, której płacz wzruszyłby nawet tygrysa, strażnicy pilnujący dotąd ciała cofnęli się z mieszkania i jeden z nich udał się do komisarza policji po nowe instrukcje.

Komisarz pozostawił wdowie zupełną swobodę rozporządzania swym domem i kazał trzymać nadzór tylko na zewnątrz.

Marcela, gdy pozostała sama, nie miała już potrzeby, z braku widzów, dalej odgrywać komedii, dlatego też uspokoiła się jak gdyby zamknęła swą rozpacz w głębi duszy, i zajęła się przygotowaniami do ceremonii żałobnej. Kazała ubrać nieboszczyka i złożyć go na łóżku w pokoju sypialnym, obstawiła to łóżko sprowadzonymi z miejscowego kościoła świecami, złożyła krzyż na piersiach zmarłego, na stoliku postawiła naczynie z wodą święconą i gałązkę, wreszcie wezwała zakonnice, by odmawiała modły za duszę nieboszczyka.

Po spożyciu lekkiej kolacji chciała też sama towarzyszyć jej przez całą noc. Zakonnica, nie podejrzewając ani przez chwilę szczerości jej rozpacz, pocieszała ją i prosiła, aby nie brała na siebie zadania ponad siły, a raczej udała się na spoczynek, którego jej organizm po tak gwałtownym wstrząsie potrzebował. Pani Lagar-de opierała się i dopiero po długich prośbach poszła za jej radą.

Nie potrzebujemy dodawać chyba, że nie spała wcale, a ta noc wydawała się jej bez końca.

Następnego dnia o świcie wszyscy w domu byli już na nogach. Przybyła nowa zakonnica, z tego samego klasztoru, aby zastąpić tę, która czuwała w nocy, zapalono też świeże świece przy zwłokach. Rano przybył miejscowy komisarz policji złożyć hrabinie wyrazy szacunku i współczucia oraz zadeklarować gotowość pomocy, gdyby jej potrzebowała.

- Spodziewam się dziś pana sędziego śledczego, nie mogę więc przed spotkaniem z nim postanawiać czegokolwiek w sprawie pogrzebu, gdyż przede wszystkim muszę uzyskać pozwolenie na pochowanie ciała. Szczerze jestem panu wdzięczna za jego uprzejmość i w razie potrzeby skorzystam z niej.

Komisarz miał już odejść, gdy pokojowa Antonina zawiadomiła o przybyciu Filipa.

- Dziękuję za pańskie dobre chęci dla pani Lagarde - rzekł sędzia - i będę panu wdzięczny za oszczędzenie jej kłopotów nieuniknionych przy pogrzebie. Oto pozwolenie na pochowanie ciała.

- Kiedy ma się odbyć pogrzeb?

- Jutro, o ile można, jak najpóźniej, aby przyjaciele hrabiego mogli zdążyć przybyć. Powiadomimy ich, jak tylko hrabina wręczy nam ich listę i adresy.

Po odejściu komisarza Filip zapytał:

- Zawiadomiła już pani swoją córkę?

- Ach, biedne dziecko - westchnęła - zakłócę jej spokój. A tak jej tam było dobrze wśród życzliwych osób...

- Rozpacz jej będzie wielka...

- Zapewne, gdyż bardzo kochała ojca. Będzie musiała przywdziać na cały rok żałobę i unikać wszelkich rozrywek. Biedna Helena...

Filip nachylił się ku Marceli i zapytał po cichu:

- Czyżbyś żałowała tego, co się stało?

- Nie, nie żałuję... Zrzuciłam z siebie jarzmo i uwolniłam się od tyrana, tym bardziej znienawidzonego, że musiałam ukrywać przed nim swą nienawiść. Byłam niewolnicą, a teraz jestem wolna. Nie, nie żałuję!

- Więc popełniona zbrodnia nie przeraża cię?

- To nie była zbrodnia, lecz walka o życie!

- I nie odczuwasz żadnych wyrzutów?

- Chyba takich samych, jakich doświadcza zwycięzca po śmiertelnym pojedynku.

- Ująłem dwóch niewinnych ludzi i będę zmuszonym ich potępić.

- Masz się czym martwić! Ci mniemani niewinni byli złodziejami, więc zasługują na przymusowe roboty.

- Może być gorzej, mogą pójść na gilotynę.

Po tych słowach nastąpiła chwila milczenia. Straszny cynizm hrabiny wywołał w Filipie strach.

- Masz słuszność - powiedział. - Myślmy o sobie. Jakie papiery znalazłaś w pugilaresie męża?

- List, w którym zawiadamiam go o moim postanowieniu udania się do Joinville, by pozbawić się życia, kopertę jego listu z pieczętą pocztową Nantes, parę innych papierów i kilka banknotów.

- Co z nimi zrobiłaś?

- Spaliłam wszystkie z wyjątkiem deklaracji Marii Kernac, napisanej pod moim listem.

- Więc zostawiłaś to?
- Uważałam, że ten dokument może nam się przydać. Kobieta ta może nam grozić, aby nas wyzyskać, a posiadając dowód jej współudziału, trzymamy ją w rękę. Zresztą, zobaczę się z nią. Teraz ty mi odpowiedz. W biurku stojącym w gabinecie mojego męża mogą się znajdować kompromitujące nas papiery. Co planujesz uczynić?
- Po zdjęciu pieczęci wszystkie papiery hrabiego będą mi odesłane do sądu. Przejrzę je szczegółowo i jeżeli znajdę coś niebezpiecznego, zniszczę.
- Jak ci się zdaje, czy Jerzy zostawił testament.
- Przypuszczam, że zostawił.
- Jeżeli tak, to gdzie on może być?
- Albo w tych opieczętowanych papierach, albo u notariusza hrabiego.
- Jakie prawa mi przysługują?
- W kontrakcie ślubnym hrabia oświadczył, że wniosłaś mu pięćset tysięcy franków. Suma ta w każdym razie jest twoją własnością. Co zaś do warunków testamentu, jeżeli takowy istnieje, to trudno powiedzieć coś pewnego. Prawdopodobnie będziesz miała dożywocie na części majątku pozostawionego córce. A jest to wielki majątek.
- Nie wiem, ile wynosi.
- Notariusz wszystko nam wyjaśni. Czekajmy cierpliwie. Nie trać czasu i bezzwłocznie wyślij telegram do córki. Powinna być koniecznie na pogrzebie, jej nieobecność zrobiłaby jak najgorsze wrażenie.
- Mam ją więc tutaj sprowadzić?
- Nie, sama również nie powinnaś tu dłużej pozostawać, a jutro, razem z Heleną przyjedź na pogrzeb. Będę dziś u ciebie wieczorem w celu pomówienia o pewnym projekcie.
- Czy zaraz wyjeżdżasz z Joinville?

- Nie, poczekam jeszcze na komisarza.

Marcela kazała podać sobie przyrządy do pisania i zredagowała depeszę.

- Zanieś natychmiast to do biura telegraficznego - rzekła do pokojowej - i uprzedź lokaja, że pan Kerven zostanie na śniadanie.

Antonina pospiesznie wyszła wykonać rozkazy pani.

Nadszedł komisarz i oświadczył, że wszystkie formalności dotyczące pogrzebu są załatwione, że kondukt wyruszy z domu następnego dnia o godzinie czwartej. Katafalk będzie pierwszej klasy, a trumna tymczasem zostanie złożona w podziemiach, gdyż hrabina w późniejszym terminie wzniesie swemu ukochanemu mężowi wspaniały pomnik.

Hrabina podziękowała komisarzowi i zatrzymała go na śniadanie.

W naturze ludzkiej, zwłaszcza kobiecej, zdarzają się czasem dziwne anomalie, trudne do pojęcia i niemożliwe do wytłumaczenia. Taką anomalią w zepsutym sercu pani Lagarde było uczucie miłości macierzyńskiej.

Popełniła niegdyś bez namysłu i bez wyrzutów sumienia straszną zbrodnię dzieciobójstwa, a gdy po raz drugi została matką, obudziło się w niej nieznane dotychczas uczucie. Ta wyrodna matka, dla której zbrodnia była tylko wynikiem przezorności, a hańba pustym wyrazem, zwariowałaby z bóleści i wstydu, gdyby choć przez chwilę mogła przypuszczać, że jej córka dowie się kiedyś o jej przeszłości i będzie nią pogardzała.

Ubóstwiała to dziecko, którego ojca nienawdziła, i gdyby jakiś mężczyzna ośmielił się rzucić cień na czyste imię Heleny lub usiłował pociągnąć ją w przepaść, w jaką niegdyś sama się stoczyła, zabiłaby go bez wahania. Zresztą miała nieograniczone zaufanie do czystości duszy Heleny, która była powierzona od dzieciństwa guwernantce o bardzo surowych zasadach.

Zastanawiając się niekiedy nad tym, kim sama była i kim jest obecnie, drżała ze strachu, myśląc z przerażeniem o przyszłości..

„Oby choć Helena - mówiła sobie - nie odziedziczyła po mnie temperamentu przekazanego mi przez moją matkę... Oby to wszystko, co dla mnie miało powab, w niej budziło wstręt.

Wtedy przywoływała ją do siebie, zręcznie badała, sięgając do najgłębszych zakątków serca i duszy, a znajdując anielską czystość, cieszyła się, że jej obawy były nieuzasadnione.

* * *

Wioska Blossieres sąsiadująca z pałacem Chambord, tym najwspanialszym okazem architektury renesansowej, położona jest w najpiękniejszej okolicy departamentu Loir-et-Cher obfitującego, bardziej niż inne strony Francji w zachwycające widoki.

Z jednej strony opływa ją rzeczka zacieniona starymi drzewami, z drugiej przylegają gęste i pełne zwierzyny lasy, w których jesienią i podczas zimy rozbrzmiewa szczekanie psów i echo trąbek naganiaczy.

Mieszkańcy, których liczba wynosi do dziewięciuset dusz, nie ulegli jeszcze wpływowi Paryża i zachowali wieśniaczy charakter. Domy ich są czyste, trwałe, wesołe, a otaczające je grupy zielonych drzew, czynią z tego zakątka miejsce jakby umyślnie stworzone dla artystów malarzy.

Spośród tych cech wiejskich mocno wyróżnia się wspaniały pałac, pochodzący z czasów Franciszka I. Otacza go liczący dwadzieścia hektarów park, ciągnący się w kształcie amfiteatru, sięgający aż do samej rzeczki, nad którą zbudowany jest spory młyn należący do pałacu.

Młyn ten znajdował się w dzierzawie pewnego inżyniera, który eksploatował go wraz z synem, również inżynierem.

Ojciec, Ludwik Brestois liczył pięćdziesiąt sześć lat, a jego syn, Andrzej, dwadzieścia cztery. Obaj robili na młynie dobry interes... Jako ludzie inteligentni, wykształceni i dobrze wychowani byli chętnie przyjmowanie przez mieszkańców pałacu, margrabiego i margrabinę de Mercoeur, ludzi już wiekowych, bezdzietnych, mających jedynie dalekich krewnych, którzy nigdy nie opuszczali pałacu nawet podczas zimy, chętnie natomiast przebywali w małym gronie bliższych znajomych i przyjaciół. Do grona tego należeli hrabia Lagarde, Marcela i ich córka Helena.

Pani Mercoeur miała słabość do Heleny, znała ją od dziecka, kochała i była uszczęśliwiona, gdy Marcela pozwalała Helenie spędzić wraz z guwernantką kilka dni w Blossieres. Marcela zaś zgadzała się na to tym chętniej, iż miała nadzieję, że bezdzietni państwo Mercoeur zapiszą jej swój wielki majątek.

Helena lubiła przebywać w Blossieres, ale czy dla spokoju jaki tam panował, czy z powodu sąsiedztwa młyna, którego dzierżawcy byli przyjaciółmi państwa Mercoeur, dowiemy się niebawem.

Andrzej Brestois, młodzieniec doskonały pod każdym względem, był trochę marzycielem, przystojnym, przyzwoitym, o romantycznej duszy i gorącym sercu. Nie zdziwimy czytelników, gdy dodamy, że niezwykła uroda Heleny wywierała na niego wpływ, którego nawet nie usiłował zwalczać.

Ponieważ nadzór nad młynem pozostawiał mu dużo wolnego czasu, starał się spożytkować go w przyjemnym towarzystwie panny Lagarde. Prawie codziennie odbywali razem wycieczki do parku lub lasu, a chociaż prawie zawsze towarzyszyła im guwernantka Heleny, to przecież tak częste przebywanie ze sobą wytworzyło w ich stosunkach pełną zażyłość i nastąpiło, co musiało nastąpić. Przyjaźń przerodziła się w miłość. Milczącą i ukrytą ze strony Andrzeja, bezwiedną w Helenie.

Guwernantka, osoba najzacniejsza, lecz nieznająca życia, która nigdy nie kochała i nie była kochaną, nie domyślała się niczego

i nawet nie wiedziała o istnieniu tego prądu elektrycznego pociągającego młodych ludzi ku sobie.

W takich okolicznościach nadeszła depesza Marceli, zaadresowana nie do córki, lecz do pana Mercoeur.

Wiadomość o nagłej śmierci hrabiego Lagarde spadła jak piorun na państwa Mercoeur. Była krótka i nie mówiła nic o okolicznościach śmierci hrabiego. Marcela żądała natychmiastowego wyprawienia córki do domu, aby nazajutrz mogła uczestniczyć w pogrzebie ojca.

Jak powiadomić Helenę o tej sytuacji, by nie wywołać w niej niebezpiecznego dla zdrowia wzruszenia?

Dano do odczytania depeszę guwernantce, pannie Chatelain, i jej właśnie powierzono trudne zadanie przygotowania Heleny do bolesnego ciosu.

Helena wraz z Andrzejem przechadzała się w parku nad brzegiem rzeki. Szli obok siebie powoli i rozmawiali po cichu. Spostrzegłszy biegnącą naprzeciw zapłakaną guwernantkę, zatrzymali się zdziwieni.

- Co się stało? - zapytała zaniepokojona Helena

- Przeczytaj moje dziecko - rzekła panna Chatelain, podając depeszę.

Zaledwie Helena przeczytała telegram, zachwiała się na nogach, zbladła i uniósłszy rękę do serca, jęknęła:

- Mój ojciec nie żyje!

Andrzej podtrzymał ją, gdyż byłaby upadła.

- Odwagi, panno Heleno! - rzekł przeczytawszy smutną wiadomość. - Będzie jej pani wiele potrzebowała.

Zwróciła ku niemu zapłakaną twarz i rzekła:

- Musze jechać.

- Czy pani powróci? - zapytał.

- Wrócę na pewno... Nie żegnam pana, lecz mówię: do widzenia.

XXI

Pożegnała Andrzeja i wraz z zapłakaną guwernantką udała się do pałacu, gdzie zaprzęgano już konie, mające zawieść je do Blois, skąd dalej miały jechać koleją. Oczekująca na peronie pani Mercoeur przyjęła ją w swe ramiona.

- Spadł na ciebie straszny cios, moje drogie dziecko - rzekła - tym straszniejszy, że niespodziewany, lecz nie trać energii i odważnie znieś tę boleść. Spiesz do matki, dla której twoja obecność będzie pociechą. Napiszę do niej jeszcze dzisiaj z prośbą, by jak najprędzej odesłała cię do nas. Czy pragniesz tego?

- Bardzo pragnę! - powiedziała Helena. - Czuję się tu szczęśliwa, będąc otoczona osobami, które mnie kochają.

- Więc przyrzekam ci, że wrócisz tu niedługo, choćbym miała sama po ciebie przyjechać do Paryża.

- Jaka pani dobra! Dziękuję.

Helena, jak wiemy z rozmowy Marceli z Filipem, kochała bardzo swego ojca, to też dowiedziawszy się o jego nagłej śmierci, gdy przed kilkoma tygodniami żegnała go zupełnie zdrowego, głęboko odczuła stratę, a do boleści tej dołączył jeszcze smutek, wywołany pospiesznym wyjazdem i przerwaniem miłosnej idylli z Andrzejem Brestois.

Kilkanaście minut wystarczyło Helenie do przygotowania się do podróży.

Andrzej, przybyły do pałacu, by pożegnać się z Heleną, znalazł również sposobność, by szepnąć jej, gdy siadała do powozu:

- Nie potrafię żyć bez ciebie... Nie zapominaj o mnie...Wracaj prędko...

- Myśl o mnie... powrócę - odrzekła.

Helena i panna Châtelain siadły do powozu i ruszyły w drogę. Marcela, stosując się do rady Filipa, zaraz po południu wróciła do Paryża.

Wydała Denisowi rozkaz wyruszenia z domu o wpół do dziesiątej i oczekiwania na przybycie Heleny na dworcu kolejowym.

O dziewiątej miał przybyć Filip. Marcela po powrocie do domu zamknęła się w swym pokoju i czekała na niego. Tegoż dnia rano wspomniał jej o jakimś projekcie, ale bliżej go nie określił.

Gdy równo o dziewiątej przybył Filip, Marcela wyprawiła odźwiernego na stację i kiedy została sama ze swym współnikiem od razu zapytała:

- Mówiłeś o jakimś projekcie...co to takiego?

- Jest taka rzecz. Należy wszystko przewidzieć, wszystko przypuszczać, nawet rzeczy niemożliwe i w niczym nie zdawać się na przypadek. Papiery hrabiego będą odesłane do sądu, do mojego gabinetu, ale zanim je przejrzę, pragnąłbym wcześniej przekonać się, że nie ma w nich czegoś, o czym powinniśmy wcześniej wiedzieć.

- Masz słuszność, ale to rzecz niemożliwa.

- Dlaczego nie?

- Opieczętowano wszystkie drzwi w obecności szefa bezpieczeństwa publicznego, a chociaż nie znam się na prawie, zdaje mi się, że i zdjęcie pieczęci powinno się przy nim odbyć.

Filip wyjął z kieszeni palta pakiet i rozwinął go.

W pakiecie był lak, pieczętka i kilka kawałków tasiemki.

Zerwał pieczęci z jednych drzwi i wszedł do pokoju.

- Szukaj przede wszystkim testamentu - powiedziała hrabina po otwarciu szufladek.

Przejrzeli wszystkie papiery, lecz nie znaleźli nic, co byłoby podobne do ostatniej woli. Znajdujące się w jednej z szuflad pieniądze, w kwocie trzydziestu tysięcy franków, Marcela schowała do kieszeni.

W innej szufladzie zwrócił ich uwagę leżący samotnie list, adresowany do pani Lagarde i jak dowodziła pieczętka pocztowa, wysłany z Saint-Luce.

Filip przeczytał go.

Jego dawna klientka, akuszerka, przypominała Marceli obietnicę wypłacenia jej pewnej sumy za wyświadczoną niegdyś przysługę i domagała się pieniędzy.

Hrabia znalazłszy przypadkiem ten list, nabrał podejrzeń, które zaprowadziły go do Saint-Luce, gdzie za grubą sumę otrzymał od akuszerki potwierdzenie swych podejrzeń na piśmie.

- Daj mi go - rzekła Marcela.

- Co chcesz z nim uczynić?

- Zniszczę go.

- To nie jest pilne.

Inne znajdujące się w biurku papiery jako niemające dla nich znaczenia, pozostawili na miejscu.

- Nie mamy tu nic więcej do roboty - rzekł pan Kerven - chodźmy.

W miejsce zerwanych pieczęci Filip przyłożył nowe i zatarł wszelkie ślady.

- Zanim cię pożegnam - rzekł Filip - pragnąłbym zobaczyć deklarację akuszerki znaną w pugilaresie hrabiego.

Marcela wyjęła z biurka poplamiony krwią dokument i podała Filipowi, który przeczytał go bez żadnego wzruszenia.

Deklaracja ta, jak wiemy, napisana wskutek listu Marceli, wtedy jeszcze panny Lussan, opisywała wyraźnie i z całym cynizmem szczegóły zbrodni popełnionej na jej i pana Kervenego żądanie.

- Ile też hrabia mógł zapłacić za ten dokument? - zapytał Filip.
- Nie wiem, ale zapewne tyle ile zażądała ta kobieta. Widzisz więc, że hrabia posiadający taką broń w ręku musiał umrzeć, a my pragnąc żyć, musieliśmy go zabić.

- Rzeczywiście. Mówiłaś prawdę, twierdząc, że była to walka o życie.
- A teraz - żywo rzekła Marcela - należy spalić to wyznanie, jak również list znaleziony w biurku pana Lagarde, który naprowadził go na ślad.

- Przeciwnie, należy go zachować - powiedział Filip.
- Po co?
- Był on bronią przeciwko nam, a teraz, pozostając w naszych rękach, będzie nią przeciw akuszerce, gdyby jej przyszła ochota spróbować szantażu. Należy go tylko zachować w bezpiecznym miejscu.

- U ciebie?
- Nie, przynajmniej nie teraz. Zachowaj go tymczasem u siebie. Później znajdziemy dla niego pewne miejsce.

Marcela zabrała papiery i schowała je do swojego biurka. Zegar wskazywał wpół do dwunastej.

- Wkrótce przyjedzie Helena z guwernantką - powiedział sędzia - Nie chciałbym się z nią spotkać... pojedę.

- Kiedy się zobaczymy?

- Jutro, w Joinville.

Pożegnał Marcelę i odjechał do domu dorożką.

Godzinę później, gdy zegar wybił wpół do pierwszej, Marcela usłyszała turkot powozu zatrzymującego się na ulicy, a następnie wjeżdżającego na dziedziniec. Była to Helena i jej guwernantka, przybywające z dworca Orleańskiego.

Podczas drogi z dworca na ulicę Verneuil stary odźwierny opowiedział im szczegóły tragicznej śmierci swego pana. Smutne opowiadanie wywarło na obu kobietach straszne wrażenie, nic więc

dziwnego, że Helena zapłakana padła w objęcia matki, która ze swej strony także przed córką odegrała komedię rozpaczy.

Niemniej, korzystając z nadarzającej się okazji wytłumaczenia się macierzyńską troską, nie przeciągała tej sceny. Helena bowiem była utrudzona, należało więc odprowadzić ją do łóżka.

XXII

Następnego dnia w jednej z popularniejszych gazet znalazł się artykuł, umieszczony nie w rubryce *Wiadomości różnych*, lecz ze względu na wagę zdarzenia, na pierwszej stronie pod sensacyjnym tytułem:

DRAMAT W JOINVILLE.

Zabójstwo i kradzież z włamaniem.

Wczorajszej nocy pomiędzy godziną jedenastą a pierwszą, w Joinville, w willi położonej naprzeciw starej tamy, miała miejsce wstrętna zbrodnia.

Dwaj złoczyńcy, po zabraniu z domu wszystkich sreber i kosztowności, zamordowali właściciela willi, hrabiego de Lagarde, gdy ten, wchodząc do domu, spotkał ich uchodzących z łupem. Po czym, aby opóźnić odkrycie zbrodni, przyciągnęli ciało hrabiego aż do tamy i rzucili je do rzeki, pozostawiając krwawe ślady.

Kilkanaście godzin później jakiś rybak, podnosząc sieci zapuszczone w rzekę poprzedniego dnia, wyciągnął na powierzchnię wody zwłoki, zaczepione o jeden z haczyków sieci.

Zawiadomiona telegramem przez komisarza policji w Joinville, paryska władza sądowa przybyła natychmiast na miejsce zbrodni. Dzięki wyjątkowej zręczności i przenikliwości urzędnika prowadzącego śledztwo, zbrodniarze zostali wykryci i ujęci dziś rano, jak również odnaleziono srebra i należący do ofiary pugilares.

Złoczyńcy, których nazwiska są nam jeszcze nieznane, odesłani zostali do Paryża i osadzeni w więzieniu.

Hrabina Lagarde pogrążona jest w najgłębszej rozpacz.

Jutro podamy więcej szczegółów o tym strasznym dramacie, który wywołał ogólny przestach wśród spokojnych mieszkańców Joinville i bliższych okolic.

* * *

Wielki Dzieciak i Wiewiórka, czyli Robert Dauphin i Modesta Pierrelay, od czasu swej wyprawy do Joinville, podczas której nic nie zdobyli, a byli narażeni na poważne niebezpieczeństwo, nie wychylali nosa ze swego mieszkania przy ulicy La Regrettier. Wielki Dzieciak spochmurniał i zaniepokoił się. Niepowodzenie tak doskonale obmyślanej wyprawy i zbrodnie jakiej był świadkiem, dały mu wiele do myślenia. Przekonał się, dokąd mogą zaprowadzić niemożliwe do przewidzenia wypadki i zbieg dziwnych, prawie nieprawdopodobnych okoliczności niewinnego, uczciwie, jego zdaniem, pracującego na życie człowieka Dreszcz przebiegł po jego skórze na myśl, że gdyby nie pozostawili zdobyczy, mogliby wplątać się w tę krwawą sprawę, z której wybrnąć byłoby nieprawdopodobieństwem. Bo jak dowieść, że nie popełnili zbrodni drugiej, gdy dokonali pierwszej?

Wiewiórka, równie jak on wystraszona, dopiero trzeciego dnia wyszła na ulicę kupić dziennik, w nadziei znalezienia wiadomości o zbrodni w Joinville. Przy okazji zaopatrzyła się w produkty na śniadanie oraz obiad i pospiesznie wróciła do mieszkania.

- Masz - rzekła, podając dziennik Robertowi, który wyciągnięty na łóżku palił fajkę i rozmyślał. - Zajmę się śniadaniem, a jeżeli znajdziesz coś ciekawego, to mnie zawołaj.

I odeszła do zakopconej komórki, służącej za kuchnię.

Robert rozwinął dziennik i przejrzawszy tytuły artykułów na pierwszej stronie, mruknął:

- Do pioruna! Jest! Prędko odkryli!

Ze wzrastającym z każdym wierszem, wyraźnym niepokojem odczytał artykuł. Gdy skończył czytanie, wstał z łóżka i blady ze strachu, powtarzał:

- Straszna rzecz! Coś okropnego! - Po czym zawołał głośno:
-Wiewiórka! Chodź no, prędeej!

Dziewczyna przybiegła na wezwanie.

- Czy jest coś nowego? - A po chwili, spostrzegłszy jego zmienioną twarz, zapytała: - Co ci się stało, coś ty taki blady?

- Masz, przeczytaj... Straszne rzeczy!

Wiewiórka trzymając dziennik w drżącej ręce, pożerała artykuł wzrokiem. Gdy skończyła czytać, była równie blada jak Robert.

- Złodzieje, którzy ograbili willę... zabójcy... ujęci. Co to znaczy?

- Łatwo się domyśleć - odrzekł Wielki Dzieciak.

- Więc wytłumacz mi, bo nie rozumiem.

- Ach, ty barania głowo! Oto co znaczy: srebra i kosztowności, pozostawione przeze mnie w skrzyni pod namiotem zostały przez kogoś znalezione, znalazców zaś oskarżono i o kradzież, i o zabójstwo. Biedacy przypłacą to głowami!

- Biedacy! - zawołała Wiewiórka. - Więc ty nazywasz biedakami tę kobietę i tego łotra w białym krawacie i w cylindrze na głowie, których widzieliśmy przy świetle księżyca?!

- Tobie się zdaje, że to oni zostali ujęci? Co znowu! Ujęto niewinnych ludzi, którzy znaleźli srebra!

- Po cóż więc wychwalają spryt i przenikliwość sędziego śledczego? Chciałabym znać jego adres, żeby na Nowy Rok posłać mu wizerunek osła!

- Nie blaguj, bo to wcale nie śmieszne.

- I ja tak myślę, lecz cóż zrobić!

- Pozwolimy potępić niewinnych?

- Niewinnych?!

- Rozumie się.

- Ot, pleciesz! A znaleziony przy nich pugilares zabitego, czy to nie dowód?

- Pugilares nie dowodzi niczego. Mogli go znaleźć tak samo jak znaleźli srebra.

- To prawda, lecz cóż możemy na to poradzić? Może masz ochotę pójść do komisarza i powiedzieć: Popełniliście błąd, bo to my obrabowaliśmy willę.

- Tego nie zrobię, bo wsadziliby mnie do uła, a stamtąd wydobyć się niełatwo.

- A więc siedzmy cicho.

- Naturalnie, choć przez wiele nocy nie zasnę. - Wielki Dzieciak wzruszył ramionami. - Co chcesz, nie mogę nie myśleć o tym, że gdyby nie te srebra, to ci biedacy nie siedzieliby teraz w ulu.

- Więc wołałabyś zająć ich miejsce?

- Nie gadaj głupstw! Zapewne takie qui pro quo, nie jest dla nich zabawne, lecz ostatecznie nie znamy ich i nie wiemy, co to za jedni... Nawet nie wymieniono ich nazwisk w dzienniku. A zresztą, choćbyśmy ich nawet znali, nie podstawilibyśmy za nich swego karku. Na tym świecie każdy powinien myśleć o sobie. I nas mogli tam ująć, niech więc i oni radzą sobie sami. A skoro mają czyste sumienie, to wybrną z tego kłopotu. Zabierajmy się lepiej do kawy, bo już gotowa.

Odeszła do kuchenki. Robert tymczasem ubrał się staranniejsz niż zwykle.

Gdy wróciła z kawą, spostrzegłszy go tak wystrojonego, zapytała zdziwiona:

- Czy nie wybierasz się na bal?

- Nie w głowie mi teraz bale, idę na pogrzeb.

- Do Joinville?

- Tak. Pragnąłbym dowiedzieć się, co ludzie opowiadają i co tam się dzieje.

- Nie boisz się?

- Czego? Przecież z niczym się nie wydam.
- To weź i mnie ze sobą.
- Skoro chcesz, to chodź.
- Dobrze. Wypijmy prędzej kawę, ubiorę się i pojedziemy.
- Mamy dość czasu. Dziennik zapowiada pogrzeb dopiero na godzinę trzecią.

Pospiesznie wypili kawę i gdy Wiewiórka ubrała się, udali się nad Sekwanę, skąd łodzią dopłynęli do Charenton, a następnie już pieszo skierowali się do Joinville. Po przybyciu na miejsce, Wielki Dzieciak wybrał restaurację obok, której miał przechodzić kondukt pogrzebowy, i czekając na niego zasiadł z Wiewiórką na tarasie.

- Więc nie pójdziemy do willi? - zapytała ta ostatnia.
- Nie. Tu będzie nam wygodniej, będziemy mogli słyszeć rozmowy i przyjrzeć się konduktowi.

Było już wpół do pierwszej, eksportacja zaś miała nastąpić o trzeciej.

Roboty kanalizacyjne, prowadzone na wprost głównego wjazdu do willi, uniemożliwiły służbie pogrzebowej wprowadzenie karawanu przed pałac, z tego powodu kaplicę, w której ustawiono trumnę urządzono z otwartej bramy, obitej czarnymi oponami.

Mieszkańcy zaczęli się już gromadzić, opowiadając sobie szczegóły zbrodni i komentując je na swój sposób.

Marcela, Helena i guwernantka przybyły do willi jeszcze przed dziesiątą rano i przyjmowały przybywających na pogrzeb znajomych.

Denis Bonnafoux zajął łożę nieobecnego Walentego, który zaawiadomił depeszą, że z powodu śmierci ojca przyjedzie dopiero za kilka dni. Nie wiedział on jeszcze o zgonie hrabiego, gdyż sędzia śledczy rozmyślił się i nie wezwał go telegrafem.

Wiadomość o śmierci Jerzego Lagarde wywarła wielkie wrażenie na wszystkich, którzy otrzymali zaproszenie na pogrzeb, a artykuły dziennikarskie z tego dnia potęgowały je jeszcze bardziej.

Notariusz hrabiego głęboko odczuł tę katastrofę.

- Czy hrabia przed wyjazdem z Paryża - zapytał go sekretarz - nie złożył u pana swego testamentu?

- Złożył.

- Cóż mamy z nim uczynić?

- Zapytam prezesa albo sędziego śledczego, który opieczętował mieszkanie hrabiego.

- Ale sędzia śledczy nie może otworzyć testamentu.

- Dyskrecjonalna władza jego daje mu wielkie prerogatywy. Pojadę do Johwille na pogrzeb i może znajdę sposobność rozmówienia się z wdową.

- Czy zna pan treść testamentu hrabiego?

- Nie znam, ale łatwo można domyśleć się co w sobie zawiera.. Ten biedny hrabia posiadający niegdyś ogromny majątek, wdał się w ryzykowne spekulacje, polokował źle kapitały i doprowadził się do ruiny. Hrabina zdaje się o niczym nie wie i zostanie w niezbyt dobrej sytuacji. Niech pan przejrzy akta hrabiego Lagarde i sporządzi wykaz deponowanych u nas walorów. Tylko dziś jeszcze, bo trzeba wykaz złożyć sądowi.

- Będzie gotów wieczorem.

Pan Aubry, od kilkunastu lat notariusz hrabiego Lagarde lubił i wielce cenił swego klienta. Miał mu za złe ryzykowność w lokowaniu kapitałów i upór w odrzucaniu udzielanych mu rad, upór, który ostatecznie doprowadził go prawie do ruiny.

U dołu listów zapraszających na pogrzeb wymieniona była godzina odejścia pociągu, którym należało wyjechać z Paryża, by przybyć na czas. Toteż o drugiej godzinie wiele osób wysiadło z pociągu w Joinville, rozpytując o drogę wiodącą do willi i spiesząc z kondolencjami do wdowy i córki, pogrążonych w niewymownej rozpacz.

Filip Kerven i jego brataniec Roger przyjechali wynajętym powozem. Marcela i Helena powitały ich z wdzięcznością i ze łzami w oczach. Helena uważała ich za przyjaciół domu, Marcela zaś czuła się spokojniejsza, widząc przy sobie Filipa.

Roger był przystojnym młodzieńcem, więcej niż średniego wzrostu, i liczył dwadzieścia trzy lata. Gęste czarne włosy otaczały jego wyniosłe czoło, na którym odbijała się siła woli, inteligencja i energia. Wzrok jego był pełen odwagi i swobody, regularne i dystygowane rysy wydawały się w pierwszej chwili chłodne, lecz prędko dostrzegało się w nich dobroć i łagodność połączoną ze stałością. Wielka inteligencja, zdolności, otrzymane wykształcenie i prawość charakteru rokowały mu piękną przyszłość. Pomimo młodego wieku posiadał umiejętność trafego osądu rzeczy, a z wyrazu twarzy umiał czytać co działo się w duszy. Dodajmy do tego najlepsze serce, a będziemy mieć portret młodzieńca pod względem fizycznym i moralnym.

W stosunku do pani Lagarde zachowywał się z wielkim uszanowaniem, ale nie czuł do niej sympatii. Marcela sprawiała na nim wrażenie zagadki, której nie usiłował rozwiązać, i był dla niej chłodno grzecznym, co ona poczytywała za lęklivość.

Na równi z innymi słał wysoko urodę Heleny, lecz nie okazywał zachwyty. Mógłby długo przebywać obok niej i nie odczuwałby dla niej miłości. Ze swej strony i Helena była dla niego obojętną.

Znajomi przybywali licznie i wkrótce pokoje na parterze nie mogły pomieścić osób pragnących oddać ostatnią posługę hrabiemu Lagarde.

Pan Kerven z początku trzymał się z dala od hrabiny otoczonej swymi przyjaciółkami.

Wiedziano już, że powierzono mu prowadzenie śledztwa i wypytywano go o szczegóły krwawego dramatu, ale on odpowiadał wymijająco i chłodno.

XXIII

Gdy zarządzający obsługą pogrzebową powiadomił rodzinę o przybyciu duchowieństwa, pani Lagarde znacząco spojrzała na Filipa, który natychmiast do niej podszedł.

- Proszę podać mi ramię - rzekła.

Chwiejnym krokiem, jak osoba złamana cierpieniem i pozbawiona sił, wyszła z nim z salonu i udała się ku zwłokom.

Helena szła oparta na ramieniu Rogera.

Z wieży kościelnej rozległy się ponure dźwięki dzwonu. Ksiądz odśpiewał psalm za umarłych, po czym na ramionach poniesiono trumnę do karawanu, który pokryto wieńcami.

Wtedy Filip i jego bratanek odprowadzili panią Lagarde i jej córkę do powozu, którym miały pojechać na cmentarz.

W chwili wsiadania Marcela ujęła rękę Filipa i głosem przerywanym łkaniem, rzekła:

- Wszak pan poprowadzi kondukt... Pan Kerven zbladł jak płótno.

- Mam prowadzić kondukt? - wyjąkał przestraszony. Marcela spojrzała mu w oczy i lekko zmarszczywszy brwi, dodała:

- Proszę pana o to.

Filip pochylił głowę i wraz z Rogerem stanął za karawanem. Dano znak i kondukt ruszył w drogę.

* * *

Stół, przy którym Wielki Dzieciak i Wiewiórka zasiedli do śniadania, stał obok okna restauracji.

Uchylone muślinowe firanki pozwalały widzieć wszystko, co działo się na ulicy.

Jedli powoli, jak uczciwi spacerowicze, którym chodzi tylko o zabicie czasu, i przysłuchiwali się rozmowom innych gości.

- Słyszysz dzwonią już - rzekła Wiewiórka, wypijając ostatni łyk kawy - to znaczy, że wyprowadzają ciało.

- Siedzmy tutaj - odrzekł Robert.

Wszystko, co słyszeli od rozmawiających gości, wiedzieli już przedtem z dziennika.

Zabójcy byli ujęci, nie ujawniono jeszcze ich nazwisk, lecz wierzono powszechnie, że należeli do kompanii robotników pracujących przy robotach kanalizacyjnych. Pogłoska ta potwierdziła domysł Roberta. Srebra i kosztowności pozostawione przez niego w kuźni naprowadziły policję na fałszywy ślad. Pomyłka była oczywista. Oskarżono dwóch niewinnych biedaków i zostaną niechybnie potępieni.

Robert zapalił papierosa, pochylił głowę i pogrążył się w zadumie.

Dzwon kościelny po chwilowym milczeniu zaczął miarowo wybijać swoje jęki, co oznaczało, że kondukt zbliża się ku kościołowi.

Wielki Dzieciak i Wiewiórka przysunęli się do samego okna.

Kondukt posuwał się powoli, wstrzymywano konie, by nie utworzyć luki pomiędzy karawanem a postępującymi pieszo osobami.

Za przystrojonym bogato w żałobne symbole karawanem, z odkrytymi głowami postępowali w odległości kilku kroków Filip Kerven i jego siostrzeniec Roger.

* * *

Gabriela, dziecko, które Jan Remy, zeniąc się, uznał za swoje była - jak wiemy - kwiaciarką. Oddana na naukę w dwunastym roku życia, stała się jedną z najzdolniejszych robotnic zakładu, w którym pracowała.

Inteligentna, zręczna, posiadająca gust i rzeczywiste poczucie artyzmu, cieszyła się poważaniem i sympatią swoich pracodawców, którzy okazywali jej względy i za pracę wynagradzali stosunkowo dobrze. Zarabiała cztery franki na dzień, suma jak na robotnicę ogromna, więc zarobek ten wzbudzał zazdrość jej towarzyszek.

Fabryka, w której pracowała, położona była przy ulicy Aboukir, w pobliżu Montmartre.

Miała osiemnaście lat i wyróżniała się wzorowym postępowaniem, bardzo taktownym zachowaniem i nigdy nie brała udziału w pogawędkach niewłaściwych młodym dziewczętom, a będących najczęściej obiegową monetą pomiędzy robotnicami. Nie była świętoszką ale wprost nie pojmowała, jak można, choćby tylko w słowach, lekceważyć przyzwoitość.

Ponieważ była ładną, sympatyczną i pomimo skromnego ubrania bardzo szykowną dziewczyną, zwracała powszechną uwagę. To też często, gdy szła do roboty lub wracała do domu, mężczyźni zwracali się do niej z komplementami, oświadczeniami miłości lub nawet bezwstydnymi propozycjami...

Ale jej matka, kobieta rozsądna i doświadczona, wyznaczyła jej drogę postępowania, z której Gabriela nigdy nie zbaczała: ani słowem nie odpowiadać na zaczepki i iść swoją drogą, jak gdyby nie słyszała, że mówią do niej. Słuchając tej rady, dziewczyna z twarzą obojętną i zamkniętymi ustami, biegła, nie zatrzymując się, i to ją ratowało. Postępowanie takie, zarówno na ulicy, jak i w fabryce, nakazywało dla niej szacunek. I to dodatkowo drażniło jej towarzyszki, zwłaszcza mające opinię lekkomyślnych.

Podczas śniadania robotnice czytały dzienniki, gdyż w godzinach pracy nie wolno było tego robić. Zbrodnia w Joinville zrobiła na nich wielkie wrażenie i jak wszędzie wywołała dużo komentarzy.

Nazajutrz po pogrzebie hrabiego Lagarde w dziennikach pojawiły się artykuły uzupełniające wiadomości podane poprzedniego dnia.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - zawołała jedna z robotnic, przeglądając dziennik - Dalsze wiadomości o zbrodni w Joinville.

I zaczęła czytać:

Możemy już dziś opowiedzieć czytelnikom wszystkie szczegóły tajemniczego dramatu, który rzucił przestrah na spokojnych mieszkańców gminy Joinville. Powiedzieliśmy wczoraj, że zbrodniarze zostali ujęci, ale nie wymieniliśmy ich nazwisk. Otóż dziś możemy zapewnić, że są to dwaj robotnicy kanalizacyjni, nazywają się zaś...

Nagle czytająca dziennik urwała, uśmiechnęła się złośliwie i zwróciwszy się do córki Magdaleny, zapytała ją brutalnie.

- Wszak ty się nazywasz Gabriela Remy, prawda?

Dreszcz przeszedł po ciele zapytanej i przecucie katastrofy wstrząsnęło jej sercem.

- Dlaczego o to pytasz - wyjąkała - przecież wiesz, że nazywam się Gabriela Remy.

- I ojciec twój jest kowalem?

- Tak - odrzekła dziewczyna zdławionym głosem.

- A czy znasz niejakiego Pawła Gireta? To podobno przyjaciel twojego ojca?

- Tak.

- Otóż, moja droga - zjadliwie rzekła lektorka - to niejaki Jan Remy, kowal, i jego przyjaciel Paweł Giret zostali ujęci, jako zabójcy i osadzeni w więzieniu.

- Mój ojciec... mój ojciec... - wyjąkała Gabriela.

- No przecież, że nie mój - drwiąc, odrzekła bezlitosna dziewczyna. Nagle Gabriela rzuciła się ku niej, wyrwała dziennik z jej rąk i wzrokiem zaczęła szukać owych strasznych wierszy.

Dwa nazwiska, jak gdyby ogniem wypisane, rzuciły się w oczy Gabrieli.

- Kłamstwo - zawołała z rozpaczą - to nieprawda! To rzecz niemożliwa! To omyłka! Nikt temu nie uwierzy!

Zgniotła dziennik i rzuciła go w twarz kwiaciarce, po czym pędem wybiegła z pracowni.

Dziewczęta, nie odrzekłszy ani słowa, zabrały się do pracy, ale wszystkie poczuły wewnętrzną radość z upokorzenia towarzyszki, której zazdrościły.

Gabriela zbiegła ze schodów na ulicę i pędziła chodnikiem, nieprzytomna, łkając i potracając przechodniów, którzy zdziwieni, zatrzymywali się ze współczuciem i spoglądali na nią, jak na osobę, która nagle dostała obłądu.

- Mój ojciec aresztowany - szeptała - to niepodobna, to pomyłka...i Paweł Giret...nie może być...dowiem się...

Podeszła do kiosku i kupiła dziennik, po czym wsiadła do dorożki i kazała się zawieźć na ulicę La Roquette. W drodze powoli odczytała artykuł.

Szczegóły podane były z taką dokładnością, że nie mogła dłużej się łudzić. Jan Remy, kowal i zarazem ślusarz oraz Paweł Gi-ret, nadzorca, zostali oskarżeni o kradzież i zabójstwo i osadzeni w więzieniu. Dowody ich zbrodni na pozór były niepodważalne. W skrzyni należącej do Jana Remy znaleziono srebra, kosztowności i pusty zboczony krwią pugilares.

Gabriela rozplakała się znowu. Mimo to jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że ani ojciec ani Paweł Giret nie popełnili tej zbrodni.

- Moja biedna matka! - szepnęła. - Jaki to dla niej cios! Ach, można zwariować.

Gdy dorożka zatrzymała się na ulicy La Roquette, Gabriela wysiadła, zapłaciła woźnicy i wbiegła na schody, unikając odźwiernej, która otoczona kumoszkami, perorowała w swej loży. Widocznie rozmawiano o aresztowaniu dwóch lokatorów, ogłoszonym przez dzienniki.

Magdalena, zobaczywszy swą córkę bladą, ze zmienionymi rysami i twarzą zapłakaną, wstała przestraszona.

- Mój ojciec... mój ojciec...

- Twój ojciec - powtórzyła matka przestraszona. - Co ci jest? Co się stało? Dlaczego opuściłaś pracownię i mówisz o swym ojcu?

- Aresztowany - wyjąkała dziewczyna.

- Aresztowany! Twój ojciec! Co ci przyszło do głowy? Wytlumacz się, co to znaczy!

Gabriela podała matce dziennik i wskazała artykuł. Litery wirowały przed oczami Magdaleny, mimo to, biedna kobieta przeczytała do końca fatalną wiadomość.

- To kłamstwo! - zawołała. Ani Jan ani Paweł nie są zdolni do kradzieży i zabójstwa. Nie mogli ich aresztować, bo oni są niewinni. Każdemu powiem to samo!

- I ja mówiłam, że niewinni. Ale ten, co to pisał, utrzymuje na pewno, a przecież z palca nie wyssał... Musiał mieć jakąś podstawę.

- Boże mój! - jęczała Magdalena, załamując ręce - Co robić? Jak się dowiedzieć? Kto może powiedzieć nam prawdę? Musimy sprawdzić...

Nagle Gabriela, odzyskawszy energię, powstała i rzekła:

- Jest tylko jeden sposób, należy pojechać do Joinville i zobaczyć się z panem Rety. On może to najlepiej wyjaśnić. Niech mama się ubiera i jedźmy.

- Masz rację...jedźmy - machinalnie odrzekła Magdalena, lecz się nie poruszyła. Była wprost odurzona.

Gabriela pomogła jej wstać, po czym obie udały się na kolej żelazną. W Joinville skierowały się od razu do biura przedsiębiorcy kanalizacji.

- Ach biedne! - zawołał pan Rety, ściskając ich dłonie. - Więc panie już wiecie?

- Wiemy tylko to, co przeczytałyśmy w dzienniku - odrzekła Magdalena - Lecz w żaden sposób nie możemy w to uwierzyć i dlatego przybyłyśmy dowiedzieć się więcej od pana.

- Niestety! Dzienniki opowiadają prawdę.

- Co?... Co pan mówi?... Jaką prawdę?

- Że mąż pani i Paweł Giret, oskarżeni o zamordowanie pana de Lagarde, zostali aresztowani.

- I pan w to wierzy? I pan przypuszcza coś podobnego, znając mego męża od dawna i wiedząc, że to człowiek najuczciwszy w świecie?

- Ja miałbym to przypuszczać? Niech mnie Bóg broni. Jestem najmocniej przekonany, że obaj są niewinni. To samo powiedziałem sędziemu śledczemu i ręczyłem za nich jak za siebie. Mówiłem, że stali się ofiarą pomyłki, jakiegoś fatalizmu, ale swoją drogą powiem pani, że trudno im będzie wyplątać się z tej sprawy.

- Dlaczego?

- Wszystko przemawia przeciwko nim. Zdobycz, pochodząca z kradzieży i zabójstwa została znaleziona w ich rękach. Wiem, a raczej domyślałem się, że w tym przypadku miał miejsce zbieg niesłychanych, nieprawdopodobnych okoliczności, ale policja i urzędnicy sądowi nie chcą tego zrozumieć i oskarżenie opierają na dowodach. I należy przyznać, że logika jest po ich stronie. Niech mąż pani i Giret dowiodą, że nie okradli i nie zabili, że srebra i zbryzgany krwią pugilares znalazły się w ich rękach przypadkiem, a będą uwolnieni natychmiast. Ale... Przedsiębiorca nie dokończył myśli, gdyż sam się jej przestraszył.

Gabriela zrozumiała.

- Ależ, w takim razie - wyjąkała - jeżeli nie dowiodą tego, to mój ojciec i pan Giret są zgubieni.

- Dowiodą - przerwała Magdalena. - Bóg okaże nad nimi litość, nie pozwoli na zgubę niewinnych i nie dopuści do tak strasznej pomyłki! Na próżno pozory wskazują na nich. Gdy sędziowie przysięgli poznają ich przeszłość i całe życie spędzone na uczciwej pracy, nie odważą się ich potępić. I błagalnie wyciągnawszy ręce ku przedsiębiorcy, nieszczęśliwa kobieta dodała, łkając: - Wszak pan będzie ich bronił, pan ich nie opuści! Pan zaświadczy przed sądem, że są niewinni.

Przedsiębiorca, wzruszony strasznym położeniem i rozpaczą kobiet, odrzekł:

- Uspokójcie się panie. Rozumie się, że nie opuszczę ani męża pani, ani Gireta. Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy. Mam przyjaciół dość wysoko postawionych i użyję ich wpływu. Próbowałem już dzisiaj to uczynić, ale natknąłem się na nieubłagany rozkaz sędziego śledczego. Chciałem widzieć się z Remy i Giretem. Myślałem, że gdy przepytam ich i pobudzę wspomnienia, znajdę cokolwiek na ich korzyść. Ale zamknięci są w odosobnionych celach i nie wolno im się z nikim widywać. Należy z rezygnacją czekać, dopóki zakaz ten nie zostanie cofnięty. Są więźniami, to prawda, ale należy liczyć na sumienne śledztwo przeprowadzone przez sędziego śledczego. Może on usunie pozory i wyjaśni tę tajemniczą sprawę, jeżeli zaś to nie nastąpi, to miejmy nadzieję w poczuciu sprawiedliwości sędziów przysięgłych. Są to ludzie uczciwi, słuchający tylko głosu sumienia i drżący na samą myśl popełnienia omyłki. Oni nie potępią niewinnych. Należy poczekać.

- Czekać! - załkała Magdalena. - Czekać z żalobą w duszy, z sercem zbolałym... Czekać i każdej chwili wątpić! Ach, panie, co z nami będzie?

- Mogę tylko jeszcze raz powtórzyć: odwagi i cierpliwości biedna Magdaleno. Wszystko, co będzie zależało ode mnie, uczynię dla złagodzenia waszych cierpień. Proście Boga o rezygnację dopóki nie wróci wam szczęścia. Może nieszczęście okaże się mniejsze niż przypuszczamy. Jakkolwiek będzie, niech pani myśli o córce potrzebującej oparcia, jak pani potrzebuje jej pomocy. Nie upadajcie na duchu i pamiętajcie, że możecie na mnie liczyć. Może pani potrzebuje pieniędzy? - dodał.

- Nie, mam trochę zaoszczędzonych, a przy tym Gabriela zarabia, to nam wystarczy. Niemniej serdecznie dziękuję panu za jego serce i szlachetną propozycję.

- W każdym razie jeżeli będziecie potrzebowały pomocy, zwróćcie się do mnie.

Magdalena i Gabriela jeszcze raz wyraziły swą wdzięczność i smutne wróciły do Paryża.

XXIV

Pani Mercoeur nie zapomniła o uczynionej Helenie obietnicy. Dowiedziawszy się z dzienników o tragicznej śmierci hrabiego Lagarde, napisała do Marceli w imieniu swego męża i swoim serdeczny list, w którym wyraziwszy współczucie, prosiła ją o przybycie do nich na czas jakiś, a jeżeli interesy nie pozwalają jej opuścić Paryża, o przysłanie Heleny.

Marcela była przekonana, że państwo Mercoeur szczerze przywiązani byli do niej i jej córki i pragnęli, aby propozycja ich została przyjęta. Chciała skorzystać z zaproszenia, ale, jak słusznie przewidywała pani Mercoeur, jej obecność w Paryżu była konieczna. Inna rzecz była z Heleną, której pobyt w Paryżu krępował matkę, zajętą bardzo ważnymi sprawami.

Gdy pani Lagarde pokazała córce list od hrabiny, ta przeczytała go z udawaną obojętnością, lecz w duszy była wdzięczną pani Mercoeur za dotrzymanie obietnicy.

- Wyglądasz tak, jakby to zaproszenie nie sprawiało ci przyjemności - rzekła Marcela.

- Zawsze jest mi przykro rozstawać się z mamą - chytrze odrzekła Helena - ale jeżeli mama uważa to za właściwe, chętnie na jakiś czas pojedę do Blossieres.

- Nie lękasz się samotności i nudy?

- Nigdy nie nudzę się w samotności, lubię wieść.

- W takim razie powiem guwernantce, by dopilnowała przygotowań do podróży i zawiadomię panią Mercoeur o twoim rychłym przyjeździe.

- Kiedy mam pojechać?

- Dziś mamy sobotę. Niedzielę spędzisz ze mną i pojedziesz w poniedziałek.

Serce Heleny gwałtownie uderzyło z radości. Za parę dni miała zobaczyć ukochanego.

Tego dnia godziny popołudniowe zostały wykorzystane na kompletowanie toalety żałobnej, którą Helena miała zabrać ze sobą do Blossieres.

W niedzielę pani Lagarde otrzymała list, w którym Filip Kerven powiadał ją, że następnego dnia przystąpi do zdjęcia pieczęci założonych na drzwiach pokoi hrabiego.

W poniedziałek jednym z rannych pociągów Helena wyjechała wraz z guwernantką.

W Blossieres spotkał ją zawód, gdyż Andrzej Brestois, ulegając życzeniom ojca, wyjechał do Szwajcarii, aby zobaczyć nowy system młynów zachwalany wielce przez jednego z jego przyjaciół, inżyniera z Genewy. W dodatku nie było wiadomo, kiedy powróci, mogło to być za parę tygodni albo za parę miesięcy. Helenie tak długa nieobecność ukochanego wydała się wiecznością, ale ukryła swój smutek i nikt nawet się nie domyślił, ile ten zawód ją kosztował.

Tego dnia w Paryżu pan Kerven, stosownie do zapowiedzi, przybył na ulicę Verneuil w celu zdjęcia pieczęci. Zabrane papiery zapakował w paczki, opieczętował je i odesłał do Paryża, do sądu.

Dowody przeciwko oskarżonym były tak druzgocące, że Filip nie uważał za konieczne przeprowadzenia rewizji w ich mieszkaniach w Paryżu. Przecież dobrze wiedział, że nic tam nie znajdzie. Postanowił wezwać w charakterze świadka żonę i córkę Jana Remy, ale tylko formalnie, by nie uchybić wymogom prawa.

Filip nie wątpił, że dostarczone dowody są tak jednoznaczne, iż sędziowie przysięgli bez najmniejszego namysłu potępią Jana Remy i Pawła Gireta.

Niemniej jedna rzecz mocno go niepokoiła.

Wiadomość o śmierci hrabiego Lagarde mogła dotrzeć do uszu akuszerki z Saint-Luce i wzbudzić w niej podejrzenie. A jedno jej słowo może zgubić i jego, i Marcelę. Wprawdzie w swej deklaracji oskarżała ona również samą siebie, więc mogło się zdawać, że powinna milczeć, ale iluż to przestępców wpada w ręce sądu tylko przez nieostrożność, choć nikt ich wcale nie podejrzewał! Filip chciał udać się do Saint-Luce okupić jej milczenie pieniędzmi, ale obowiązki służbowe zatrzymywały go w Paryżu. Marcela również nie mogła wyjechać, zresztą wszystkie jej kroki w tej sprawie mogły narazić ich na niebezpieczeństwo. Im więcej myślał nad tym, tym bardziej ich położenie wydawało mu się groźne.

We wtorek rano po przyjeździe do sądu znalazł na swoim biurku paczkę listów przyniesionych z poczty. Zaczął je przeglądać obojętnie, gdy wtem jeden z nich, pochodzący z Nantes, zwrócił jego uwagę. Rozciął kopertę i wyjął z niej arkusik papieru pokryty pismem, ponadto list z pięcioma lakowanymi pieczęciami i napisem:

Dla wręczenia natychmiast po mojej śmierci panu Filipowi de Kerven, sędziemu śledczemu w Paryżu

- Zapewne denuncjacja pośmiertna w jakiejś sprawie kryminalnej - mruknął Filip.

Odłożył na bok i wziął się do pierwszego listu, w którym wyczytał:

Panie sędzio śledczy. Maria Kernac zmarła...

Dreszcz przebiegł po ciele Filipa i płomień trysnął z jego oczu. Znikło niebezpieczeństwo, które od dnia wczorajszego niepokoiło go tak mocno.

- Nie żyje - szepnął. - Chyba sam szatan pomaga nam... Po przejściu chwili radości czytał dalej:

Maria Kernac zmarła jak prawdziwa chrześcijanka, oczyszczona przez spowiedź i żal, z modlitwą na ustach o przebaczenie swych błędów i grzechów. Przyjmując jej ostatnie tchnienie, zobowiązałem się zarazem spełnić jej ostatnią wolę i wykonuję ją, przesyłając wraz z niniejszym wręczony mi przez nią list. Raczy pan przyjąć zapewnienie szacunku.

Jan Le Brenn - proboszcz parafii Saint-Luce

Łatwo zrozumieć pośpiech, z jakim Filip otworzył list Marii Kernac. Zawierał on w sobie, co następuje:

Zostałam nagle dotknięta chorobą, z której już nie powstanę. Czuję, że dni moje są policzone. Mając wkrótce stanąć przed Bogiem, nie chcę unosić ze sobą przytłaczających mnie wyrzutów sumienia. Zastraszona groźbą zazdrosnego męża, hrabiego Jerzego de Lagarde, dopuściłam się czynu niegodziwego: oskarżyłam panią Marcelę de Lussan, dzisiejszą hrabinę de Lagarde, o wydanie na świat dziecka przed ślubem i o zabicie go wraz z panem. Napisałam własnoręcznie tę wstrętną i kłamliwą deklarację i dzisiaj doznaję obłędu na myśl, że popełniłam zbrodnię, oskarżając niewinnych i odpłaciłam niewdzięcznością za doznane niegdyś dobrodziejstwo od pana. Oświadczam więc, że deklaracja ta jest kłamstwem! Cofam, co napisałam, i na klęczkach, ze złożonymi rękoma, proszę o przebaczenie Boga, pana i hrabinę de Lagarde. Przebaczcie, aby i najwyższy nie odmówił mi swego miłosierdzia.

Maria Kernac.

Filip dwa razy przeczytał ten list, a po dłuższym milczeniu powiedział do siebie:

- Może i źle uczyniliśmy, tak się spiesząc... Ten list mógł nas ochronić przed pogrózkami hrabiego... Zmusiłby go do milczenia. Lecz trudno, stało się! Należy zachować go, wraz z deklaracją, którą odwołuje.

Zaledwie Filip skończył ten monolog, do gabinetu wszedł jego pisarz, uklonił mu się i zasiadł na swym zwykłym miejscu.

- Czy przesłał pan komisarzowi mój rozkaz w sprawie oskarżonych z Joinville?

- Posłałem, panie sędzio. Obaj będą przyprowadzeni do kancelarii.

- Dobrze. A żona i córka Jana Remy?

- Musiały otrzymać wezwanie i przyjdą.

W oczekiwaniu godziny wyznaczonej na przesłuchania, sędzia i jego pisarz zabrali się do pracy.

Filip odczytał protokoły komisarza policji w Joinville i lekarza, oraz pierwotne zeznania oskarżonych, pisarz zajął się przygotowaniem papierów do dalszych badań.

* * *

Jan Remy i Paweł Giret po przywiezieniu ich do Paryża, stosownie do rozporządzenia sędziego śledczego, zostali osadzeni w separatkach.

Podczas przejazdu z Joinville wymienili zaledwie kilka słów ze sobą, gdyż agenci policji nie pozwolili im nic mówić. Zresztą łatwo zrozumieć, że niespodziewany cios, który na nich spadł, ogłuszył ich, odebrał odwagę, wolę, prawie zdolność myślenia.

Wieczorem przyniesiono im posiłek, którego żaden z nich nawet nie tknął. Pierwsza spędzona w więzieniu noc była straszna. Dopiero nad ranem, gdy uspokoili się nieco, do ich duszy wstąpiła nadzieja.

- Bóg nie odmówi nam pomocy - mówili sobie. - Jakaś niespodziewana okoliczność wykaże pomyłkę, której staliśmy się ofiarami. Nie mogą nas potępić, przecież jesteśmy niewinni!

Pierwszy zimną krew odzyskał Paweł Giret. Remy, chociaż mniej zgnębiony niż poprzedniego dnia, gryzł się jednak, nie z obawy o siebie, gdyż czyste sumienie dodawało mu otuchy, lecz o żonę i córkę, dwie istoty, które kochał nad wszystko.

- Co one powiedzą - myślał - i co uczynią, gdy dowiedzą się, że jestem aresztowany i oskarżony o taką zbrodnię? Należy uprzedzić je, niech się dowiedzą ode mnie, a nie z plotek.

Poszedł do drzwiczek i zapukał. Po chwili w ich górnej części otworzyło się okratowane okienko, w którym pokazała się twarz dozorca.

- Czego chcesz?

- Chcę napisać do mojej żony i córki, zawiadomić je o moim aresztowaniu.

- Nie można.

- Dlaczego?

- Bo jesteś w separacie.

- A więc nie wolno mi pisać?

- Nie wolno.

- To może wolno mi posłać kogoś z zawiadomieniem.

- Wszelkie porozumiewanie się jest zabronione. Dozorca nie słuchając dalej, z trzaskiem zamknął okienko. Kilka chwil później z kolei Paweł Giret zapukał do drzwi. Chciał

pisać do swego pracodawcy i prosić go, by zajął się jego losem oraz przysłał mu nieco pieniędzy.

- Kto siedzi w separacie - odrzekł dozorca - nie może pisać i otrzymywać pieniędzy. Dopóki sędzia śledczy nie uwolni, należy stosować się do przepisów więziennych.

- Powiedz mi pan przynajmniej, jak się ma mój towarzysz?

- Nie wiem - odrzekł dozorca i zamknął okienko.

Godziny długie jak wieki upływały powoli.

Na koniec we wtorek po południu drzwi celi Pawła otworzyły się i przed progiem stanęli: dozorca, strażnik i agent policji. Nałożyli łańcuchy na ręce nieszczęśliwego i przez liczne korytarze poprowadzili do gabinetu sędziego śledczego.

- Na koniec - rzekł Giret - pan sędzia wysłucha mnie i przekona się, że jestem ofiarą jakiejś fatalnej omyłki.

- Jeżeli dowiedziesz im, że popełniłem pomyłkę aresztując cię - odrzekł Filip z udaną życzliwością - to z prawdziwą przyjemnością uwolnię cię natychmiast.

- Skoro tak...

- Cicho! - przerwał sędzia. - Odpowiadaj tylko na pytania. A najpierw wysłuchaj, co przeczyta pan pisarz. Jest to protokół z przesłuchania w Joinville.

Pan Kerven dał znak pisarzowi, który zaczął czytać protokół. Paweł słuchał go z wyteżoną uwagą, wstrzymując oddech, by lepiej słyszeć.

Dokument ten kończył się słowami:

Nie mógł w sposób zadowalający i jasny wytłumaczyć się z czasu pomiędzy godziną dziesiątą minut dwadzieścia wieczorem, o której, jak utrzymuje, wyszedł z restauracji w Nogent, a pierwszą minut trzydzieści, o której powrócił do swego mieszkania w oberży.

- Ależ ja wytłumaczyłem się z tego czasu, panie sędzio - zawołał Giret.

- Więc ty nazywasz dostatecznym wytłumaczeniem opowiadanie, że Remy był pijany, że siedzieliście na trawie, że on spał, a ty tymczasem patrzyłeś w gwiazdy i w końcu poszliście do domu? Wszystko to jest niejasne i upada, gdy weźmie się pod uwagę wszystkie dowody, bo fakty dowodzą, iż jesteście zabójcami hrabiego de Lagarde.

- Nie uznaję pańskich dowodów - powiedział Giret, z rozpaczą załamując związane ręce.

- Łatwo jest zaprzeczać, ale dowody istnieją! Skradzione w willi i znalezione w skrzyni twego współnika srebro, oskard, którym wyważyliście drzwi; zbroczony krwią pugilares i w końcu zrobione przez Jana Remy narzędzie, którym hrabia został zamordowany! Powinieneś zrozumieć, że wobec tylu dowodów niepodobna wierzyć w waszą niewinność.

- To nie dowody, to pozory i fatalny zbieg okoliczności.

- Sąd nie uznaje fatalności i opiera się tylko na niezaprzeczalnych faktach.

- Panie sędzio, przysięgam, że nie popełniliśmy zbrodni, o którą pan nas oskarża!

- To znaczy, że postanowiłeś trzymać się zgubnego systemu zaprzeczania! Ha, źle robisz, gdyż upór ten nie wyjdzie ci na dobre. Zły to system, radzę ci go zaniechać... Ponieważ nie możesz dzięki wiarygodnym świadkom oddalić ciężącego na tobie oskarżenia, to lepiej staraj się szczerym wyznaniem winy zyskać przychyłność sędziów.

Giret z trudem pohamował ogarniający go gniew. Krople potu wystąpiły na jego czoło. Wysilił wszystkie władze umysłowe, aby znaleźć sposób na wykazanie swej niewinności.

- Panie sędzio - rzekł w końcu drżącym głosem - sąd skory jest do oskarżania, ale wiadomo panu jak i mnie, że nie jest nieomylny; nawet sędziowie jako ludzie mogą się mylić i niejedna już niewinna głowa spadła pod gilotyną.

- To są bajki dobre dla powieściopisarzy i dramaturgów - przerwał pan Kerven, wzruszając ramionami,

Giret nie zważając na jego słowa, mówił dalej:

- Żąda pan, bym za pomocą wiarygodnych świadków wytłumaczył się z czasu w ową fatalną noc... Jest to rzecz niemożliwa, gdyż byliśmy sami. Ale obok oskarżających nas dowodów rzeczowych, są przemawiające za nami dowody moralne. Czyż człowiek mający za

sobą przeszłość bez zarzutu, może stać się nagle złodziejem i mordercą. Niech pan zwróci uwagę na nasze życie. Służyłem w wojsku i nigdy nie podlegałem najmniejszej karze... Może pan się przekonać o tym ze stanu mej służby. Moi przełożeni uważali mnie za człowieka uczciwego, szanowali... niech pan ich zapyta. Po wyjściu z wojska wziąłem się do pracy i w dalszym ciągu nie zasłużyłem sobie na żadną naganę. Zawsze postępowałem uczciwie, pracowałem i oszczędzałem. Poważano mnie i nie odmawiano przyjaźni. Łatwo może się pan przekonać, że mówię prawdę. Jest pan jednym z tych, co trzymają w rękach losy ludzi na ziemi... otóż, czy nie uznaje pan, że całe życie uczciwe powinno zaważyć więcej na szali sprawiedliwości, niż oskarżenie, nawet poparte podobnymi. Jak w tym przypadku dowodami? Niech pan odpowie mi... błagam pana... Nie uznaje pan?

- Który zbrodniarz - odrzekł sędzia wzruszając ramionami - nie zapewnia o swej niewinności! Jestem przedstawicielem prawa i tak jak ono jestem nieugięty i obojętny. Podpisz protokół.

- Zanim podpiszę - powiedział Giret - czy pozwoli pan sędzia zadać sobie jedno pytanie?

- Możesz.

- Wszak prawo każdemu oskarżonemu pozwala powołać świadków?

- Pozwala.

- Więc skorzystam z przysługującego mi prawa.

- Co za jedni ci świadkowie?

- Przedsiębiorca, u którego pracuję już kilka lat, pracodawcy, u których pracowałem dawniej, właściciel restauracji, w której jadłem obiad wraz z Remy, jego żona i córka.

- Cóż oni mogą powiedzieć na twoją korzyść?

- Zaświadczą przed sędziami, że jestem człowiekiem uczciwym.

- Lepiej byłoby dla ciebie, gdyby potwierdzili twoje alibi, to znaczy, że znajdowałeś się wówczas, gdzie indziej. Zresztą mniejsza o to, o ich adresy zapytają ciebie we właściwym czasie.

- Czy mogę napisać do mego ostatniego pracodawcy? -Nie.
- Dlaczego?
- Więźniowie w izolatce nie mają prawa porozumiewania się z nikim.
- Jest pan okrutny - rzekł Giret.
- Nie będę, jeżeli zaniechasz dotychczasowego systemu obrony i przyznasz się.

Giret nic nie odpowiedział. Czyż mógł, dla zjednania sobie przychylności sędziego, przyznać się do zbrodni, której nie popełnił? Westchnął głęboko i pochyliwszy się nad stołem, podpisał protokół.

- Odprowadzić więźnia do celi - rzekł pan Kerven - i przyprowadzić Jana Remy.

Po wyjściu Pawła sędzia śledczy odezwał się do pisarza:

- Jacy ci zbrodniarze wszyscy jednakowi. Wprost brak im inteligencji. Wyobrażają sobie, że uporczywym zaprzeczaniem zaimponują sądowi.

- Ja już to niejednokrotnie zauważyłem, panie sędzio - odparł pisarz. - Ale ten jest rozsądniejszy, prędko spostrzeże, że walka nierówna, i przyzna się.

- Czy przyzna się, czy będzie zaprzeczał, nie wpłynie to już na moje przekonanie. Jest ono już wyrobione i niezłomne, gdyż opiera się na namacalnych dowodach.

Sędzia wypowiedział te słowa z dziwnym grymasem na ustach. Do gabinetu wszedł woźny z listem w ręku. Sędzia wziął go i rozpoznawszy na pierwszy rzut oka pismo, rozdarł kopertę. Był to list od Marceli i zawierał tylko parę wierszy:

Walenty, ogrodnik, już powrócił. Posyłam ci go i proszę, przesłuchaj go bezzwłocznie.

- Czy człowiek, który przyniósł ten list, czeka?

- Czekaj, panie sędzio.
- Niech wejdzie.
- Czy to świadek panie sędzio? - zapytał pisarz.
- Świadek. Jest to ogrodnik z willi nieboszczyka hrabiego. Tego dnia, w którym popełniono zbrodnię, nie było go w Joinville, gdyż rano wyjechał do umierającego ojca. Może jego zeznanie coś nam wyjaśni.
Wózny wprowadził Walentego.

Służył on niegdyś w Afryce, w żuawach, a chociaż od wielu już lat pełnił obowiązki ogrodnika i odźwiernego w willi hrabiego Lagarde, zachował wojskowe ruchy i swobodę w obcowaniu z osobami urzędowymi.

Filipa znał dobrze, gdyż często widywał go w willi

- Dzień dobry, panie Kerven - rzekł, salutując mu po wojskowemu. - Jak pańskie zdrowie?

- Nieźle, dziękuję ci. Wiem, co zmusiło cię, do tak spieszego wyjazdu. Chciałeś oddać ostatnią przysługę swemu biednemu ojcu i powróciłeś już.

- Tak panie, musiałem jechać. Zabawiłem trochę dłużej, niż zamierzałem, ale trzeba było uregulować niektóre sprawy rodzinne, Jak tylko dowiedziałem się z dzienników o śmierci hrabiego, powróciłem natychmiast. W Paryżu wstąpiłem na chwilę do pani. To ona mnie przysłała do pana sędziego.

- Więc pani Lagarde opowiedziała ci wszystko, co się stało?

- Wszystko. Trzeba było trafu, że zbrodnia została popełniona tego dnia wieczorem, w którym ja wyjechałem! Gdybym był na miejscu, do stu piorunów, ręczę panu, że zbrodniarze nie wylamaliby drzwi i nie ograbiliby domu, bo ja śpię bardzo czujnie, przez sen słyszę najmniejszy szmer, a wtedy bym im pokazał.

- Czy wiesz, coś o samej zbrodni?

- Tylko to, co powiedziała mi pani.

- Wiadomo ci zapewne, że zabójcy zostali ujęci...

- Wiem.

- Ponieważ nikczemnicy ci od dość dawna pracowali w Joinville, może ich znasz?

- Z Giretem spotykałem się nieraz i rozmawiałem.

- Czy mógł on wiedzieć, że masz wyjechać i pozostawić willę bez dozoru?

Walenty podrapał się za uchem...

- Oto pytanie - odrzekł - na które trudno mi odpowiedzieć.

- Czy nikomu nie mówiłeś o planowanym wyjeździe?

- Przypominam sobie... rzeczywiście, nadzorca mógł wiedzieć, że mam wyjechać.

- Jakim sposobem?

- Tego dnia rano przyszedł, jak bywało codziennie, piekarz z bułkami. Gdy przechodził przez nasypy, nadzorca stał tam ze swymi robotnikami. Ja wtedy rzekłem do piekarza, że nie wezmę bułek, bo wyjeżdżam, że zabawię kilka dni, a po powrocie zawiadomię go.

- Czy Giret mógł to słyszeć?

- Mógł, bo stał blisko.

- Czy znasz także i kowala, Jana Remy?

- Znam, ale nie rozmawiałem z nim nigdy.

- Ponieważ hrabina opowiadała ci wszystko, to czy nie mówiła, jaką bronią zbrodniarze zamordowali hrabiego?

- Mówiła, że podobno jakimś dłutkiem, które znaleziono w piersiach mego pana. Ale...

- Ale co? - zapytał pan Kerven.

- Czy pan dobrze obejrzał miejsce, na którym zbrodnia została popełniona?

- Obejrzałem bardzo starannie.

- Czy pan sędzia lub który z agentów nie znalazł w parku, w pobliżu furtki, narzędzia, zupełnie podobnego do tego dłutka?

- Nic podobnego nie znaleziono - odrzekł Filip, głosem odrobinę wzruszonym. - Dlaczego pytasz?

- Bo jest pewna okoliczność, nasuwająca wniosek, że zabójstwo to nie było obmyślane z góry, jak pan sędzia utrzymuje.

- Ja wcale tego nie utrzymuję. Złodzieje nie mogli przypuszczać, że hrabia przyjdzie w nocy po dokonanej kradzieży i, że zostaną przez niego zaskoczeni. Mniemam jednak, że na wszelki wypadek byli uzbrojeni dla obrony własnej.

- Otóż niech pan sędzia daruje, że ośmielę się zaprzeczyć. Oni nie uzbroili się, a tylko nieprzewidziana okoliczność dała im broń, którą zabili hrabiego.

- Okoliczność nieprzewidziana, mówisz?

- Tak panie sędzio.

- Wytłumacz to jaśniej.

- W dzień mego wyjazdu, gdy zamknąłem za sobą furtkę widziałem robotników niosących różne narzędzia, a po ich odejściu, spostrzegłem leżące na trawie jakieś błyszczące narzędzie. Było to dłutko. Podniosłem je i rzuciłem za siebie.

- Czy na rękojeści tego narzędzia był jakiś znak?

- Nie wiem, przyznaję, że się nie przyglądałem.

- Więc co wnosisz z tego?

- Że złodzieje znaleźli to narzędzie, a zaskoczeni przez hrabiego, posłużyli się nim... a więc nie przybyli z zamiarem zabójstwa, a to może być dla nich okolicznością łagodzącą...

- Niemniej zbrodnia została popełniona!... Sprawiedliwość powinna być nieubłagana!... Nikczemnicy ci nie mieli litości i prawo mieć jej nad nimi nie będzie. To prawo odwetu, prawo najsprawiedliwsze ze wszystkich... Po chwili milczenia, pan Kerven zapytał: - Czy masz jeszcze coś do powiedzenia?

- Nie mam nic.

- Czy wracasz do willi?

- Ta, wracam.

- Więc idź. A pamiętaj, nic nikomu o tej sprawie nie mówić.

- Dobrze...

Walenty podpisał swe zeznanie i wyszedł. Po jego odejściu sędzia przywołał woźnego i kazał przyprowadzić Jana Remy.

* * *

Magdalena i Gabriela powróciły do domu zrozpaczone.

- Czy zobaczymy go kiedyś? - zadawały sobie pytanie. Przyszłość jawiła im się w najciemniejszych kolorach. Pierwsza nieco spokoju i odwagi odzyskała Magdalena.

- Bóg nas nie opuści - mówiła ściskając córkę - i zlituje się nad nami. Powinniśmy walczyć i nie upadać pod ciosem, jaki na nas spadł. Rozpacz pozbawia sił, a my potrzebujemy ich wiele. Wszak podobnie jak ja, nie wątpisz w swego ojca?

- Ja? Nazwałabym się niegodziwą, gdybym choć na chwilę przypuszczała, że jest winnym!

- Więc nie traćmy nadziei i czekajmy cierpliwie. Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Przedsiębiorca jest zbyt dobrym człowiekiem, byśmy nie wierzyły jego słowu. Będzie bronił twego ojca i Gireta...i ocali ich. Teraz pomyślmy, jak urządzimy sobie życie. Posiadamy trochę oszczędności, to prawda, lecz one prędko się wyczerpią, może pręcej niż go uwolnią z więzienia. Musimy więc liczyć tylko na naszą pracę. Wracaj do pracowni.

- Do pracowni! - zawołała przerażona Gabriela. - Gdzie wszyscy wiedzą o aresztowaniu mego ojca... gdzie zazdroszczą mi... nienawidzą i znieważyli mnie.

- Dopóki wyrok nie zostanie ogłoszony, ojciec twój nie może być uważany za winnego, nie powinnaś więc zważać na złośliwość swych towarzyszek. Powinien obchodzić cię tylko właściciel fabryki.

- A jeżeli on już mnie nie przyjmie?

- Dlaczego miałby nie przyjąć? Jesteś dla niego użyteczna i nie ma ci nic do zarzucenia... Powtarzam ci, moje dziecko, potrzeba byś wróciła do pracowni. Twoja nieobecność może im nasunąć myśl, że wierzysz w winę ojca. Czyż nieprawda?

- Wymagasz, mamó, ode mnie rzeczy bardzo ciężkiej - odparła stłumionym głosem - lecz skoro uważasz, że powinnam, wrócę.

- Ja także poszukam dla siebie pracy. Zresztą będziemy jeszcze bardziej oszczędzały i może jakoś doczekamy dnia, w którym Bóg przekona sędziów o niewinności twego ojca i przywróci go nam.

Gabriela, zdecydowana spełnić wolę matki, wstała następnego dnia i udała się do pracowni.

Gdy przekroczyła jej próg, robotnice siedziały już na swoich miejscach i były zajęte pracą. Wszystkie z wyrazem największego zdziwienia zwróciły na nią oczy.

Po tym co zaszło poprzedniego dnia, nikt nie przypuszczał, że będzie tak odważna, myślały jedne lub tak bezczelna, mniemały drugie, i wróci do pracowni.

Żadna z nich nie powiedziała słowa, ale wszystkie wymieniły między sobą źle wróżące spojrzenia.

Gabriela podeszła do swojego stolika i nie znalazłszy przygotowanej dla siebie roboty, zapytała zarządzającej pracownią:

- Nie wyznaczyła pani dla mnie roboty? -Nie.

- Dlaczego?

- Z rozkazu właściciela zakładu. Proszę zapytać jego. Gabriela nic nie powiedziała i udała się do gabinetu, w którym

przesiadywał zwykle jej pracodawca i jego żona. Ta ostatnia przygotowywała wysyłki za granicę, gdy tymczasem on był zajęty pisaniem listów. Spostrzegłszy Gabrielę zmarszczył brwi i rzekł:

- Ach, to panna... Przychodzisz panna po należność?

- Nie - odrzekła zmieszana.

- Więc po co?

- Przyszłam przeprosić pana za wczorajsze nagłe wyjście z pracowni i prosić o wyznaczenie mi pracy.

- Roboty już panna nie dostaniesz.

- Nie dostanę?

- Nie, miejsce panny już zajęte. Żałuję cię bardzo, gdyż byłaś dobrą robotnicą, wchodzę w twoje położenie, ale w swojej pracowni potrzebuję spokoju, a twoja obecność wywoływała bezustanne nieporozumienia.

- Więc - odrzekła Gabriela z płaczem - nie ma pan mi nic do zarzucenia i odmawia pracy.

- Jestem zmuszony.

- Więc może będzie mi pan powierzał robotę do domu?

- Nie mogę, gdyż odnosząc ją i zabierając nową, spotykałabyś się panna z innymi robotnicami, a ja tego nie chcę. Fabrykant otworzył księgę, spojrzął na jej rachunek i rzekł:

- Należą się panie trzydzieści dwa franki, czy tak? Wyjął z szuflady pieniądze i wyliczył na biurku.

Gabriela zabrała skromną sumę i miała wyjść przez pracownię, lecz żona fabrykanta zatrzymała ją.

- Proszę tędy - rzekła, wskazując jej drzwi przeznaczone dla interesantów.

Twarz Gabrieli spąsowiała.

- Zostawiłam tam koszyczek - powiedziała.

- Ja go przyniosę.

Udała się do pracowni, skąd wkrótce wróciła z koszyczkiem w ręku.

Gabriela zabrała go i wyszła.

XXV

Boże mój! - szeptała - jacyż ludzie są okrutni! Czym ja na to zasłużyłam! Gdy znalazła się na ulicy, zapanowała nad płaczem i postanowiła szukać pracy w innych zakładach. Przypomniała sobie, że właściciel jednego z nich proponował jej miejsce u siebie. Udała się tam bezzwłocznie i zażądała widzenia z właścicielem, który znał ją z nazwiska.

- Czego panna sobie życzy?

- Chciałam się dowiedzieć, czy pan potrzebuje robotnicy kwiaciarki?

- Dobra robotnica zawsze jest pożądana, zwłaszcza o tej porze roku. Jakie części kwiatów umiesz panna robić?

- Robię wszystko, począwszy od przygotowania, aż do układu... Zarówno kwiaty pospolite, jak i najdelikatniejsze, zwłaszcza te ostatnie.

- U kogo panna pracowałaś?

Gabriela wymieniła swego dotychczasowego pracodawcę i dodała:

- Pan słyszał o mnie, gdyż jedna z pańskich robotnic pytała mnie w pańskim imieniu, czy nie zechcę pracować u pana.

- Przypominam sobie... panna nazywa się Gabriela Remy? Gabriela bała się wymienić swojego nazwiska, które w tej chwili było na ustach wszystkich.

- Remy - powtórzył właściciel zakładu - i jesteś córką zabójcy z Joinville.

- Mój ojciec jest niewinny - zawołała Gabriela.

- To mi wszystko jedno, to sprawa pomiędzy nim a sądem. Dość, że siedzi w więzieniu. Nie mogę dać pannie roboty, żegnam.

Brutalnym gestem wskazał drzwi biednej dziewczynie, która, czerwona ze wstydu, wyszła, nie płacząc już, lecz przeklinając tych, którzy odmawiając jej pracy przez to, że jej ojciec był oskarżony, skazywali ją i jej matkę na śmierć głodową.

I chodziła biedna od zakładu do zakładu, nie zważając już na doznane upokorzenia, powodowana myślą, że dopóki jej ojciec nie wyjdzie z więzienia, matka może liczyć tylko na jej pomoc.

Na koniec w jednej z fabryk, w której nazwisko jej nie było znane, powiedziano jej by zrobiła w domu na próbę kilka kwiatów. Zaproponowano jej zapłatę bardzo umiarkowaną, lecz Gabriela myślała, że pracując kilkanaście godzin dziennie, będzie mogła zarobić dwa franki. Zresztą, miała nadzieję, że gdy zobaczą jej pracę, powierzą jej korzystniejszą robotę.

Wracając do domu, zaopatrzyła się po drodze w potrzebne materiały.

Magdalena oczekiwała jej z niecierpliwością i niepokojem. Biedna kobieta przeczuwała, że Gabriela nie będzie mogła pozostać w tej samej pracowni, nie zdziwiła się więc, gdy córka opowiedziała jej co się stało, ale głęboko odczuła doznane przez nią upokorzenie. Tej samej boleści doznała sama, szukając choćby najskromniejszej pracy dla siebie.

Następnego dnia obie kobiety otrzymały wezwanie do stawienia się w sądzie w kancelarii sędziego śledczego.

Wezwanie to dodało im nieco odwagi, że może niesłusznie oskarżony jeszcze tegoż wieczora wróci do domu.

* * *

Woźny, spełniając rozkaz pana Kerverna, sprowadził Jana Remy do gabinetu.

Więzień, podobnie jak jego towarzysz, miał na rękach kajdany Remy, drażliwszy od swego przyjaciela, cierpiał bardziej od niego. Trzydniowy pobyt w więzieniu zmienił go nie do poznania. Twarz mu zbladła, policzki się zapadły, oczy wydawały przygasłe. Po wejściu do gabinetu chciał przemówić, lecz sędzia nakazał mu milczenie.

- Cicho - zawołał - masz odpowiadać na moje pytania. - Wysłuchasz najpierw swego zeznania złożonego Joimdlle, w dniu aresztowania...

Remy zamilkł, lecz z drżenia mięśni jego twarzy widać było, jak wielki wysiłek włożył, aby zachować spokój. Po odczytaniu przez pisarza protokołu z pierwszego przesłuchania, sędzia zapytał:

- Czy potwierdzasz to zeznanie? Czy twoje odpowiedzi zostały ściśle zapisane?

- Potwierdzam - odrzekł Remy zdławionym głosem. - Proszę dać pióro. Choć mam ręce związane i palce zdrętwiałe, może będę mógł podpisać.

- Zaraz - rzekł Filip - odpowiesz najpierw na kilka pytań.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia nad to, co już zeznałem.

- Więc postanowiłeś wypierać się? I utrzymujesz, że nie dopuściłeś się ani kradzieży, ani zabójstwa?

- Wobec Boga przysięgam, że jestem niewinny!

- A jednak!

- Niech pan sędzia nie nalega na próżno - przerwał Remy. - Moja przeszłość przemawia za mną. Pan sędzia nie uznaje fatalnych okoliczności, które sprawiły, że w mojej kuźni znaleziono rzeczy pochodzące z kradzieży... Dlaczego? Czyż to tak trudno uwierzyć, że złodziej je tam zostawił?

- Dlaczego by to uczynił?

- Nie wiem, jest tylko pewne, że nie ja ukradłem i nie ja zabiłem hrabiego.

Filip wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny, ale pragnął skorzystać ze zbiegu okoliczności, oskarżających Remyego i Gireta, aby ich zgubić, gdyż ich zguba była jego ocaleniem. Ale odnosiło się to tylko do zabójstwa, bo co się tyczy kradzieży, to był przekonany, że ją popełnili. A ponieważ oskarżenie o kradzież stanowiło podstawę oskarżenia o zabójstwo, wielce więc zależało mu na tym, by nakłonić ich do przyznania się.

- Na próżno wzywasz Boga na świadka - rzekł ostrym tonem - na próżno powołujesz się na fatalność, gdyż wszystkie dowody przemawiają przeciwko tobie. Utrzymujesz, że twoja przeszłość jest bez zarzutu... Ale choćby nawet była to prawda, ta okoliczność niczego nie dowodzi. Przecież nawet największy zbrodniarz odważył się kiedyś na pierwszą zbrodnię. Narzędzie służące do wyłamywania drzwi, wraz ze skradzionymi przedmiotami, znaleziono w twojej kuźni. Nie przekonasz żadnego rozsądnego człowieka, że złodziej, korzystając z twojej nieobecności, złożył u ciebie srebra i brylanty na tak znaczną sumę! Sędziowie przysięgli wzruszą ramionami i żaden adwokat nie zechce bronić tak niedorzecznego tłumaczenia.

- A jednak tak jest!

- Zastanów się i nie upieraj się na próżno.

- Mówię prawdę, więc nie potrzebuję się namyślać.

Zręczni sędziowie śledczy mają swoje sposoby na wydobywanie zeznania nawet z najbardziej upartych ust. Można mieć nieco przeciwko ich używaniu, ale rozgrzeszamy ich z tego przekroczenia ze względu na skuteczność.

Filip Kerven uciekł się do jednej z takich sztuczek.

- Paweł Giret był bardziej otwarty od ciebie - rzekł. Remy oburzył się.

- Giret bardziej otwarty ode mnie! - zawołał. - Pod jakim względem?

- Nie powiem, że przyznał się zupełnie, ale powiedział wiele i wkrótce zapewne wyzna wszystko.

Remy wybuchł śmiechem.

- Proszę zachowywać się przyzwoicie! - surowo skarcił sędzia. Ale kowal śmiał się w dalszym ciągu.

- Do nieprzyzwoitości tej pobudził mnie pan sędzia - rzekł Remy. - Mimo woli śmieję się widząc, za jakiego głupca mnie pan bierze. Toż to kawał stary jak świat! Przyznaj się, mówią jakiemuś biedakowi, bo współnik twój powiedział wszystko, i biedak przyznaje się! Ależ na to należy coś mieć do wyznania... należy mieć na sumieniu jakiś zły czyn, a ja go nie mam... I Paweł Giret nie ma go... Oskarżyłby się więc bez powodu... tylko dla przyjemności pańskiej. Skoro ucieka się pan już do takich środków, to nie będę więcej odpowiadał na pańskie pytania. Oświadczam tylko: Niech pan wezwie świadków, ludzi uczciwych, znających mnie, a wszyscy za mnie poręczą.

- Podaj nazwiska świadków.

Remy podyktował nazwiska i adresy, które sekretarz zapisał.

- Teraz, panie sędzio - rzekł kowal - proszę o pozwolenie napisania do mojej żony. Musiał już dowiedzieć się o moim aresztowaniu i jest w rozpacz. Chciałbym uspokoić ją i moją córkę oświadczeniem, że nie lękam się niczego, że jestem ofiarą pomyłki, która prędko się wyjaśni.

- Dopóki siedzisz w izolatce nie dam pozwolenia.

- Kiedyż pan sędzia uwolni mnie z izolatki?

- Gdy staniesz się rozsądniejszy.

- To znaczy, gdy przyznam się do zbrodni, której nie popełniłem! - zawołał więzień oburzony - To niegodziwe! To okrutne!

- Podpisz zeznanie.

- Nie! Nie podpiszę! Niech pan sędzia odeśle mnie przed sąd. Wytłumaczę się przed sędziami, oni nie będą jak pan w każdym człowieku szukali przestępcy. Oni zrozumieją i uwierzą.

- Czy zdaje ci się, że postępując w ten sposób, uzyskasz ode mnie pozwolenie napisania listu do żony i córki?

- A pozwoli pan sędzia, jak podpiszę?

- Sąd nie zawiera tego rodzaju układów. Podpisz, a za kilka dni, gdy przesłucham twych świadków, zobaczę, czy mogę ci pozwolić.

Nastała chwila milczenia, po której Remy spokojnie, lecz ze łzami w oczach, rzekł:

- Ach, widać, że nie ma pan żony, ani żadnej istoty dla siebie drogiej, która by pana kochała. Bo gdyby pan je miał, zrozumiałby boleść ojca i ulitowałby się nad nimi.

Łkanie przerwało mu dalsze słowa.

- Podpisz swoje zeznanie - rzekł chłodno sędzia.

- Jest to walka słabego z silnym. I na co ją przedłużać, skoro nie mogę zwyciężyć? Ustępuję.

I podpisał protokół.

- Odprowadzić więźnia do celi - rzekł urzędnik do straży.

Remy w towarzystwie strażników wyszedł na korytarz, ciągnący się wzdłuż gabinetów sędziów śledczych i służący za poczekalnię dla wezwanych świadków.

Zaledwie przestąpił próg, gdy rozległy się dwa głosy: -Jan!

- Moj ojciec!

Remy usłyszawszy je, rzucił się ku kobietom, a one ku niemu. Chciały go uścisnąć, lecz strażnicy odepchnęli je bezlitośnie. Mimo to Gabriela i Magdalena rwały się do niego i błagały strażników, ale na próżno.

- Dajcie spokój, moje drogie - rzekł Jan. - Nie traćcie odwagi i nie powątpiewajcie we mnie, gdyż przysięgam wam, że jestem niewinny!

W chwili gdy strażnicy odprowadzali więźnia, jeden z woźnych, wezwany dzwonkiem elektrycznym, wszedł do gabinetu pana Ke-

rvena i po chwili pokazał się znowu na korytarzu, trzymając jakiś papier.

- Pani Remy - rzekł - proszę do sędziego śledczego.

- Ach, przecież zobaczę tego sędziego - rzekła Magdalena - i przekonam go, że mój mąż jest niewinny. Chodź Gabrielo.

- Panna nie może iść - rzekł woźny.

- Dlaczego?

- Bo nie została wezwana. Przyjdzie kolej i na nią.

Matka chciała protestować, lecz Gabriela wytłumaczyła jej, by się nie opierała.

Magdalena, przekroczywszy próg gabinetu sędziego, wyciągnęła ku niemu ręce i rzekła urywanym głosem:

- Panie sędzio, przysięgam panu, że mój mąż, niewinny! On jest niezdolny do popełnienia tak wstrętnej zbrodni! On nigdy nikomu nie uczynił nic złego! To człowiek uczciwym, tylko stał się ofiarą zbiegu dziwnych okoliczności! Błagam pana, niech pan wyda rozkaz uwolnienia go!

Pan Kerven, pragnąc przerwać tę scenę, odrzekł sucho:

- Nie ja decyduję o losie męża pani, lecz sąd na podstawie zebranych przeze mnie dowodów. Wezwałem panią dla udzielenia pewnych wyjaśnień, więc proszę odpowiadać spokojnie i nie wprowadzać mnie w błąd.

- Ja miałabym wprowadzać pana w błąd, dlaczego? Magdalena, usłyszawszy te słowa, poczuła dreszcz, przebiegający po ciele.

- Pani imię i nazwisko - odparł na to Filip.

- Magdalena Remy, żona Jana Remy.

- Lat?

- Czterdzieści trzy.

- Nazwisko ojca?

- Bernard.

- Miejsce urodzenia?

- Clisson pod Nantes. Sędzia drgnął lekko.

W Clisson Marcela de Lussan przez długi czas mieszkała u swej wychowawczynie.

- Czym zajmowali się pani rodzice?

- Ojciec mój był rolnikiem. Umarł wkrótce po moim przyjeździe na świat, a wtedy matka moja, pozostawszy bez środków do życia, utrzymywała się z wychowywania obcych dzieci. Gdy dorosłam, udałam się do Paryża i tam wyszłam za mąż.

Sędzia, któremu nazwisko Bernard nie było obce, po tym wyjaśnieniu nie wątpił już, że Magdalena była córką kobiety, która wychowywała Marcelę.

- Chcę zapytać panią o jedną rzecz. W wigilię dnia, w którym mąż pani został aresztowany, czy przynosiła mu pani bieliznę do Joinville?

- Przynosiłam.

- A później, czy wraz z nim, córką i Pawłem Giretem, który z polecenia swego pracodawcy miał do załatwienia komis w Nogent, czy jadłaś pani obiad w restauracji?

- Jadłam.

- Czy możesz pani wskazać tę restaurację?

- Mogę. Na szyldzie był napis: „Restauracja rybacka”.

- O której godzinie rozstała się pani z mężem i Giretem i udała na stację kolejową?

- Dwadzieścia minut przed jedenastą.

- Ściśle.

- Ściśle. Jan, nieprzywykły do trunków, był trochę podchmielony, chciał jeszcze zostać, ale czas naglił i restaurator oświadczył, że zegar jego spóźnia się o dziesięć minut.

- Dobrze. Czy wie pani, gdzie jej mąż, przed udaniem się do Nogent, schował przyniesioną bieliznę?

- Wiem. Ponieważ nie chciał tracić czasu na odnoszenie jej do oberży, więc złożył ją do skrzyni, stojącej w kuźni.

- Czy na bieliźnie były jakieś plamy?

- Żadnych. Sama ją wyprałam i wyprasowałam.

- Więc śladów krwi nie było?

- Skądże?

- Czy mąż pani miał na nogach trzewiki?

- Tak. Było już późno, więc mąż nie chciał już iść do oberży i obuć się w kamasze.

- Dość, tylko o to chciałem zapytać.

- Tylko o to! - powtórzyła Magdalena zdziwiona. - I nie pyta pan o jego przeszłość?

- Po co? Nie podejrzewam go o żaden występki w przeszłości, a gdyby i jakiś popełnił, to przecież nie przyznałby się przed panią. Proszę podpisać swoje zeznanie.

- Ale pan sędzia nie wierzy, że Jan jest winny? - wyjąkała kobieta.

- Nie moją rzeczą jest wierzyć lub nie wierzyć, to należy do sędziów przysięgłych.

- Więc Jan będzie stawiony przed sądem.

- Będzie. Proszę podpisać. Magdalena spełniła rozkaz Filipa.

- Może już pani odejść.

Zaledwie nieszczęśliwa kobieta zamknęła za sobą drzwi, woźny zawołał:

- Panna Remy.

Gabriela powstała z ławeczki i podbiegła do matki.

- Cóż, mamó, ojciec będzie uwolniony? Powróci z nami?

- Wzywają cię, moje dziecko. Idź, na ciebie kolej. I upadła na ławkę, którą opuściła córka.

Przestraszona i z bijącym sercem Gabriela przekroczyła próg gabinetu. Stanąwszy przed sędzią śledczym, zadrżała. Była blada jak śmierć.

Urzędnik wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka i rzekł:

- Proszę usiąść i uspokoić się. Widzę, że pani bardzo wzruszona.
- Jak nie mam być wzruszona - odparła - chodzi o mojego biednego ojca... - I złożwszy ręce, dodała: - Panie, on jest niewinny, przysięgam panu.

- Pragnąłbym w to wierzyć - odrzekł z udaną życzliwością.

- Więc pan nie wierzy?

- Nie chodzi o moje osobiste przekonanie. Nie ja będę go sądził.

- Wszyscy, którzy go znają, zaręczą za niego. Nie ma na świecie człowieka uczciwszego i bardziej pracowitego niż on. On żyje tylko dla mamy i dla mnie... On nie jest zdolny do popełnienia złego czynu. Jest to potwarz rzucona na niego... Tu zaszła jakaś pomyłka.

- I ja pragnę dowieść tego. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł wykazać jego niewinność. Lecz przystąpmy do rzeczy. Chcę zadać pani kilka pytań. Zaczynam.

- Imię i nazwisko pani?

- Gabriela Remy.

- Wiek?

- Dziewiętnaście lat.

- Zajęcie?

- Kwiaciarka.

- Miejsce urodzenia?

- Paryż.

- W przeddzień aresztowania swego ojca jeździła pani wraz z matką do Joinville...

- Tak, panie. Byliśmy wówczas tacy szczęśliwi! Ach, gdybyśmy mogli byli przewidzieć.

- Zawiozłyście mu ubrania?

- Tylko bieliznę dla ojca i dla Gireta, również człowieka bardzo uczciwego.

- Z Joimdlle udaliście się wszyscy do Nogent?

- Tak, panie.

- Jedliście tam obiad?

- W Restauracji Rybackiej.

- O której godzinie z niej wyszliście?

- Dwadzieścia minut przed jedenastą.

- Czy ojciec pani dużo pił podczas obiadu?

- Więcej niż zwykle, gdyż pije bardzo mało.

Sędzia przez kilka sekund namyślał się, po czym zapytał:

- Czy nie przypominasz pani sobie, jak długo szliście z Joinville do Nogent?

- Pamiętam. Trzy kwadransy.

- Ściśle?

- Tak, gdyż przypominam sobie, że po przybyciu do Nogent, Giret spojrział na zegarek i rzekł: Bałamuciliśmy w drodze, moje panie, bo my, wracając, w pół godziny będziemy w Joinville.

- Giret to powiedział? - zawołał sędzia.

- Powiedział, pamiętam dobrze.

- Panie sekretarzu, proszę zapisać to zeznanie dosłownie. Ono jest bardzo ważne.

Gabriela zadrżała. Czyżby powiedziała coś takiego, co może zaszkodzić jej ojcu?

Rzeczywiście, swymi nierozważnymi słowami biedna dziewczyna dała sędziemu w rękę broń straszną.

- Dość - rzekł Filip uradowany - proszę podpisać.

- Więc cóż, uwolni pan mego ojca?

- Musi czekać na wyrok.

- Na wyrok! Ależ ja przysięgam i jeszcze raz przysięgam, że jest niewinny!

- Nie dostarczyłaś mi pani żadnego dowodu jego niewinności.

- Ale przetrzymywanie w więzieniu może go zgubić na zawsze, może wywołać najgorsze podejrzenia.

- Nic na to nie poradzę.

- I nas zgubi i doprowadzi do nędzy! Już dzisiaj wskazują nas palcami! Wypędzono mnie z pracowni! Wszędzie, dokąd zgłaszam się po pracę, odmówiono mi jej. Gdyby chodziło o mnie, zniosłabym ten wstyd, ale matka moja chyba umrze z rozpaczy! Ach panie, zaklinam pana na rodzinę pańską, niech pan się ulituje nad nami! Zobacz pan jak będziemy go błogosławiły!

Biedna dziewczyna uklękła i łkając, błagalnie wyciągnęła ku sędziemu ręce. Filip czuł występujący mu na czoło pot i myślał: To dalszy ciąg walki o życie! On musi zginąć, jeżeli ja mam być ocalony!

Nachylił się i swymi zbrodniczymi rękami odważył się ująć czyste ręce dziewczyny.

- Wstań moje dziecko - rzekł - nie martw się, miej nadzieję... Pomógł jej wstać i podprowadził do sekretarza, który podał jej pióro i palcem wskazawszy miejsce, rzekł:

- Niech pani tu podpisze.

Gabriela podpisała i niepewnym krokiem wyszła z gabinetu.

Spostrzegłszy podchodzącą ku sobie matkę zachwiała się i wydając głuchy jęk, padła na podłogę jak długa.

Przerażona Magdalena uklękła przy niej.

Na korytarzu powstał zgiełk, wszyscy świadkowie wezwani przez sędziów śledczych otoczyli je kołem.

- Należy wynieść ją na świeże powietrze - zawołał jeden z policjantów.

- Proszę sprowadzić dorożkę - prosiła Magdalena.

Jakiś litościwy woźny wybiegł spełnić jej prośbę, policjant wyniósł Gabrielę na rękach i zemdloną usadowił w dorożce. Magdalena ulokowała się obok córki i odjechała.

- Dość na dzisiaj - rzekł Kerven do swego pisarza. - Jestem wrażliwy i nie mogę patrzeć na łzy kobiet. Oto ma pan rozkaz

polecający przeprowadzić więźniów do Mazas. Do czasu nowego rozporządzenia nie wolno im się z nikim komunikować. Nie zapomnij pan o świadkach wskazanych przez oskarżonych. Należy spieszyć się z tą sprawą. Za tydzień odeślę akta prokuratorowi.

Zabrał tekę, w którą schował list otrzymany z Nantes i deklarację akuszerki z Saint-Luce, i opuścił gmach sądu. W kwadrans później był już w domu przy ulicy Verneuil. Marcela go oczekiwała.

- Widziałeś Walentego? - zapytała, podając mu rękę.

- Widziałem.

- Czy dobrze zrobiłam, przysyłając go?

- Doskonale. Przesłuchałem go i kazałem zapisać potrzebne nam zeznania. Dzisiejszy dzień był pomyślny pod każdym względem. Pozostaje mi tylko przesłuchać świadków wskazanych przez oskarżonych, co powinno się prędko załatwić, i wszystko będzie skończone.

- Więc wina tych ludzi dowiedziona?

- Jasna jak słońce. Sędziowie przysięgli mogą potępić ich z czystym sumieniem, co nawiasem mówiąc, daje dobre wyobrażenie o sprawiedliwości ludzkiej - dodał cynicznie.

- Więc powinniśmy się lękać tylko jednej rzeczy, a raczej osoby - rzekła hrabina.

- Jakiej osoby?

- Marii Kernac.

- Nie ma powodu.

- Jak to?

- Powiedziałem ci już, że dzień dzisiejszy był pomyślny pod każdym względem.

- Cóż się stało?

- Przeczytaj to - rzekł Filip i wyjął z teki deklarację akuszerki. Hrabina wzięła papier i przeczytała go ze zdumieniem.

- Gdyby ta deklaracja przybyła o kilka dni wcześniej, nie potrzeba by było uciekać się do ostateczności - rzekła.

- Mylisz się - odrzekł sędzia - położenie byłoby to samo i żaden dowód nie zachwiałyby przekonaniem hrabiego.

- Co uczynisz z tym dokumentem?

- Zniszczymy go wraz z denuncjacją znalezioną w pugilaresie hrabiego.

- Masz słuszność.

Marcela otworzyła sekretną szufladkę w biurku i schowała do niej otrzymany od Filipa papier.

- Spalę później - rzekła - otrzymałam dziś bilet od notariusza, wzywający mnie do jego kancelarii.

- Czy w sprawie testamentu?

- Nie zawiadomił w jakim celu.

- Na kiedy wzywa?

- Na godzinę dziesiątą jutro rano. Dowiem się więc, ile wynosi majątek mego męża i ile mnie się dostanie. Jak ci się zdaje, czy i ty będziesz wezwany?

- Przypuszczam. Ponieważ wiele papierów hrabiego znajduje się w moich rękach, może notariusz będzie potrzebował moich informacji.

- No, a jak z radą rodzinną?

- Dopóki nie będziemy znali treści testamentu, dopóty nie możemy żądać jej utworzenia, bo może nieboszczyk wyraził pod tym względem swoją wolę.

- Czy mogą mi odebrać opiekę nad córką?

- Nigdy. Śmierć hrabiego czyni cię opiekunką z mocy prawa, ale mogą być w testamencie jakieś warunki, co zresztą nie jest nieprawdopodobne, niepozwalające ci działać bez zasięgnięcia opinii rady.

- Więc miałabym związane ręce - z gniewem zawołała hrabina.

- Nie przesadzajmy... czekajmy jutro.

Pan Kerven pozostał na obiedzie i późno rozstał się ze swoją współniczką.

XXVI

Od czasu pogrzebu hrabiego Lagarde Robert Dauphin, zwany Wielkim Dzieciakiem, myślał tylko o jednym: kim była osoba prowadząca kondukt żałobny, w której on i Wiewiórka rozpoznali zabójcę. Odegrać taką rolę i do tego tak znakomicie, myśleli oboje, mógł tylko tęgi zuch!

Ponieważ pan Kerven odjechał powozem, Wielki Dzieciak nie mógł za nim pójść, ale wiedział już, że nieboszczyk nazywał się hrabia Lagarde i pozostawił wdowę, w związku z tym, rozumował dość logicznie, zabójca będzie się widywał z wdową... Znając jej adres, łatwo dowiem się, co to za jeden, a o jej adres mogę dowiedzieć się w Joinville. Ale po głębszym namyśle, doszedł do przekonania, że wycieczka do Joinville mogłaby go narazić na niebezpieczeństwo.

- Rozmyśliłem się - rzekł do Wiewiórki - Sprawa jest dość świeża. Gdybym udał się po takie informacje do merostwa lub do ogrodnika, mogliby pomyśleć: Po co mu ten adres? I zaczęliby coś podejrzewać. Każde nierozważne słowo lub okoliczność może nas skompromitować... Nie jestem głupi! Siedzmy na razie cicho. Przyjdzie czas i na ten interes. Tymczasem powinniśmy się urządzić tak, aby nie naruszać naszych oszczędności.

- Ach - westchnęła Wiewiórka - nigdy nie przestanę żałować naszej wyprawy do Joinville, tak świetnie się rozpoczęła, a zakończyła się tak nieszczęśliwie!

- Ba pewnie, tyle sreber, klejnotów, koronek! Śliczna za nie zebrałaby się sumka. Cóż, nie powiodło się... Wynagrodzimy to so-

bie innym razem... Mam pewien pomysł, jeżeli się powiedzie, nie przyniesie nam zbyt wiele, ale dobre i to w oczekiwaniu na lepszą okazję.

* * *

Filip Kerven po przybyciu do domu zastał list, w którym notariusz Aubry prosił go o przybycie następnego dnia do swej kancelarii na odczytanie testamentu hrabiego Lagarde.

Udał się więc tam o wyznaczonej godzinie i zastał na miejscu Marcelę, która przybyła kilka minut przed nim.

Pan Aubry wprowadził ich do gabinetu, wskazał im krzesła, po czym wyjął z szuflady wielki, opieczętowany czarnym lakiem pakiet i otworzywszy go powiedział:

- Dzięki wstawiennictwu pana Kerven, wszystko w sądzie zostało szybko załatwione i oto mamy testament nieboszczyka, męża pani, otwarty przez prezesa trybunału. Odczytam go, a następnie złożę pani sprawozdanie.

Po czym wyjął z koperty arkusz papieru stemplowego, zapisany zaledwie kilkunastoma wierszami, i czytał głośno:

Ja, niżej podpisany, Jerzy Armand de Lagarde, zapisuję cały majątek jaki posiadam i w chwili śmierci posiadać będę, mojej córce Helenie Marii de Lagarde.

Otrzymane od tegoż majątku dochody mają być kapitalizowane, aż do pełnoletności lub zamążpójścia mej córki, z wyjątkiem sumy trzy tysiące sześćset franków, które przeznaczam na jej utrzymanie.

Oświadczam, że pisałem własnoręcznie w Paryżu dnia piątego marca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

Jerzy Armand hrabia de Lagarde

Marcela i Filip z najwyższym zdumieniem wysłuchali tego zagadkowego dokumentu.

- I to wszystko? - zapytała hrabina.
- Wszystko, i bardzo jasne - odparł notariusz.
- Jasne dla pana, lecz nie dla mnie. Trzy tysiące sześćset franków z dochodów od kapitałów mego męża na utrzymanie jego jedynej córki? To wygląda na żart!
- Czy pani uważa tę sumę za wysoką?
- Przeciwnie, uważam ją za śmiesznie małą.
- Stanowi ona więcej niż połowę dochodów z majątku, pozostawionego przez pana Lagarde.
- Więcej niż połowę dochodów z majątku! - powtórzyła Marcela, sądząc, że źle usłyszała.
- Tak, pani hrabino.
- Ależ to niemożliwe!
- Niestety, tak to wygląda.
- Hrabia, żeniąc się ze mną, posiadał przeszło cztery miliony, a w intercyzie przyznał mi pięćset tysięcy franków sumy posagowej.
- Widzę, że pani hrabina nie wiedziała o ruinie swego męża.
- Ruinie?
- Według moich rachunków, popartych dowodami, pozostawiony przez hrabiego majątek wynosi dwieście czterdzieści tysięcy franków.
- Zdaje mi się, że to sen - szepnęła Marcela, kurczowo zaciskając palce.
- Hrabia de Lagarde - mówił dalej notariusz - był panem swego majątku i mógł rozporządzać nim według upodobania. Czyniłem wszystko, co mogłem, by zwrócić go z fatalnej drogi, na którą wszedł wbrew moim radom, ale za nic nie zdołało go powstrzymać od ryzykownych przedsięwzięć i lokowania kapitału w papierach pozbawionych wartości. Na samych akcjach panamskich stracił sumy ogromne!

- Więc on chyba zwariował! Zapomniał o swojej córce!
- Nieszczęśliwy spekulant podobnie jak namiętny gracz zapomina o wszystkim.
- Więc i moje pięćset tysięcy franków przepadło!
- Nie, ma pani prawo je odzyskać z majątku męża.
- Pięćset tysięcy franków? Jak, skoro cały spadek wynosi dwieście czterdzieści tysięcy! Ciekawa jestem, jak pan dokonałby takiej sztuki.
- Pani hrabina mnie nie zrozumiała. Posagowa suma pani pozostała nienaruszona.
- Jak to?
- Na mocy wydanego przez panią pełnomocnictwa, hrabia kupił dom przy ulicy Verneuil z willą w Joinville.
- Nieruchomości niedające żadnego dochodu i będące ciężarem?
- Wartość ich od czasu nabycia, powiększyła się. Dziś mogłaby je pani sprzedać za pięćset pięćdziesiąt tysięcy franków, a może i za wyższą sumę. Więc pani hrabina niczego nie straciła.
- W każdym razie postępowanie pana Lagarde było haniebne -gwałtownie odrzekła Marcela - Mało obchodzi mnie moja ruina, ale moja córka! Czyż zamiast rzucać się na szalone spekulacje, nie powinien był raczej myśleć o zachowaniu majątku? Helena miała prawo do czterech milionów a on pozostawia jej dwieście czterdzieści tysięcy franków, zaledwie sześć tysięcy dochodu... toż to nędza dla dziecka przyzwyczajonego żyć na wielką skalę! Zrujnować własną córkę! Ach! Panie, toż to zbrodnia. Zbrodnia nie-przebaczalna! Ten zbrodniarz, ten ojciec wyrodny, powinien był umrzeć nie w domu, ale w szpitalu wariatów!
- Notariusz ze zdziwieniem spoglądał na tę wdowę, miotającą obelgi na dopiero co zasypyany grób męża.
- Pan Kerven, domyśliwszy się, co się działo w jej duszy, odezwał się:

- Niech pani hrabina pozwoli sobie powiedzieć, że miłość macierzyńska uniosła ją za daleko. Hrabia miał prawo rozporządzać swoim majątkiem i ostatecznie panna Helena, otrzymawszy dwieście czterdzieści tysięcy franków, nie może uważać się za wydziedziczoną. Ileż to młodych panien z jej sfery zazdrościłoby jej takiej sukcesji. Niech więc pani pogodzi się z sytuacją i nie rzuca słów pełnych goryczy na człowieka, którego nazwisko pani nosi, a który nie żyje.

Marcela zrozumiała, jak dalece jej gniew był nie na miejscu.

- Ma pan słuszność - odrzekła - pod wpływem troski o mą córkę zapomniałam o szacunku należnym nieżyjącemu. Przepraszam, panie Aubry, za ten wybuch gniewu, żałuję go...

- Nie ma pani za co przepraszać. Doznany zawód, usprawiedliwia panią, ale jak słusznie zauważył pan Kerven, panna Helena nie będzie przecież tak bardzo uboga. Radzę pani bezzwłocznie zająć się utworzeniem rady rodzinnej... Jest pani opiekunką prawną, ale dodadzą pani opiekuna przydanego. Posiadam w depozycie dwieście czterdzieści tysięcy franków, potrzebuję więc wiedzieć, czy mam je zachować u siebie, czy też złożyć w banku.

- W imieniu pani Lagarde proszę pana o zachowanie ich u siebie. Nie mogą być w pewniejszych rękach.

- Naturalnie - poparła hrabina.

- Zastosuję się więc do życzenia pani i rachunki wręczone opiekunowi przydanemu, którego wyznaczy rada rodzinna. Co zaś do trzech tysięcy sześciuset franków, przeznaczonych na utrzymanie panny Heleny, stosownie do żądania pań będę je wypłacał bądź kwartalnie, bądź miesięcznie.

- Dziękuję panu - rzekła Marcela. - Czy może pan dać mi wykaz sum tak lekkomyślnie roztrwonionych przez pana Lagarde?

- Mogę dać go w tej chwili, gdyż sporządziłem go w dwóch egzemplarzach. Proszę.

Pan Kerven i Marcela pożegnali notariusza i wyszli z gabinetu.

- Zrujnowany! Zrujnowany! - mówiła, idąc po schodach. -Ach! Nikczemny!

Po wyjściu na ulicę siedli do powozu i pojechali na ulicę Verneuil. Przez całą drogę nie wymienili ze sobą ani słowa, Marcela bowiem była ogłuszona tym niespodziewanym ciosem, Filip zaś milczał z obawy przed wywołaniem na zewnątrz wrzącego w nim gniewu.

Ale ponieważ narzucony u notariusza spokój zwiększał tylko nerwowe podniecenie, przesilenie było nieuniknione. I wybuchło, skoro tylko Marcela znalazła się z Filipem sam na sam w salonie. Rozpląkała się. Z początku głosem cichym, a następnie coraz mocniejszym i drżącym z gniewu, mówiła:

- Łotr, zrujnował mnie i doprowadził do nędzy, dopóki nie sprzedam dwóch domów, a mogę sprzedać je niekorzystnie... I moja córka, którą uważałam za bogatą, nie posiada nic, bo cóż znaczy renta od tak marnego kapitału! Trzeba nie mieć ani odrobiny serca, ażeby tak zapomnieć o przyszłości swej córki! Za to jedno zasłużył na śmierć!

- Na miłość Boga, uspokój się! - prosił Filip przestraszony. -Co by było, gdyby któryś ze służących usłyszał twoje słowa!

Ale gniew Marceli, jak potok gwałtowny, nie mógł być łatwo powstrzymany.

- Mam się uspokoić! - zawołała z wściekłością. - Więc nie rozumiesz całej grozy mego położenia? Nie pojmujesz nieszczęścia, jakie mnie dotknęło?

- Rozumiem, ale co pomoże twój gniew? Tylko sobie szkodzisz! Lepiej pomówmy spokojnie.

- O czym? O przyszłości Heleny? Życie jej złamane! Zawsze marzyłam dla niej o jakimś świetnym związku... Jej nazwisko, wychowanie, majątek, którego miała prawo się spodziewać po ojcu, pozwalały przypuszczać, że wyjdzie za człowieka dobrze urodzonego i bogatego jak ona. Przywykła do życia na wielką skalę, może

byłaby z nim szczęśliwa. A teraz co? Z takim marnym posagiem w epoce, w której pieniądze są wszystkim... Gdzie znajdę odpowiedniego męża dla niej? Kto zechce wziąć pannę, dla której skromne życie jest nędzą? Nikt! Więc nie wyjdzie za mąż i będzie musiała zostać zakonnica lub starą panną!

- Przesadzasz!

- Wcale nie przesadzam. Takie jest położenie Heleny. A moje? Znajdź sposób zaspokojenia moich potrzeb! Mam jeszcze kilka tysięcy franków, lecz one nie na długo starczą. Gdy je wydam, co będzie później? Jestem pozbawiona środków do życia, a do tego muszę utrzymywać dwa domy, które nie tylko, że nie przynoszą żadnego dochodu, lecz wymagają wydatków. Masz na to jakąś radę? Mów! Czemu milczysz?

- Odpowiem ci, tylko uspokój się.

- Jestem spokojna. Słucham.

- Gdybym był bogaty, odpowiedziałbym ci, że niepotrzebnie troszczysz się o swą przyszłość. Lecz wiesz dobrze, że nie jestem. Pensja stanowi główną część moich dochodów, a komfort wśród którego żyję, zawdzięczam memu bratankowi, Rogerowi.

- Wiem o tym - gwałtownie przerwała Marcela - jak mogłabym nie wiedzieć, że jesteś ubogi, skoro gdybyś był bogaty, to przed dziewiętnastu laty poślubiłabym ciebie. Kochałam ciebie, lecz potrzeba mi było majątku. Ach, dlaczego wychodząc za mąż, byłam taka nieprzewidująca i nie żądałam przyznania sobie dwóch milionów, zamiast marnych pięciuset tysięcy franków...

- Mówmy o tym, co jest, a nie o tym, co mogło być. Czy potrafiłabyś żyć, mając dochodu od ośmiu do dziewięciu tysięcy franków?

- To nie byłoby życie, lecz wegetowanie.

- Bywają w życiu ofiary, którym należy poddać się z pokorą, gdyż opór na nic się nie przyda.

- Przypuśćmy, więc cóż?

- Notariusz oświadczył, że przez te kilkanaście lat, wartość obu nieruchomości znacznie wzrosła. Za dom przy ulicy Verneuil, łatwo można otrzymać trzysta pięćdziesiąt tysięcy franków.

- Rozumiem - przerwała Marcela. - Chcesz bym z tą kwotą osiadła w Joinville.

-Tak.

- Mieszkała tam zimą i latem, sama, mając do usług dwie kobiety. Miałabym zostać pozbawiona koni i powozów, sadzić kapustę i podlewać sałatę! Nie, mój drogi, nie zgadzam się na to, przynajmniej teraz. Nie widzę potrzeby wyrzekania się świata i oddania się dewocji. Powiedziałam ci, że posiadam jeszcze kilka tysięcy franków. Suma ta pozwoli mi przynajmniej przez rok żyć na takiej stopie, na jakiej żyłam dotychczas. W ciągu trzystu sześćdziesięciu dni, może zdarzyć się wiele rzeczy... Nie wiadomo, co może nastąpić. Poczekam.

- Jednak...

- Na próżno byś nalegał. Już postanowiłam.

Filip umilkł, poza tym nie można było już prowadzić rozmowy, gdyż wszedł lokaj i oświadczył, że podano śniadanie.

* * *

Nieszczęście zawzięło się na rodzinę Remy. Gabriela, przywieziona przez matkę do domu, dostała gorączki i musiała pójść do łóżka. Przestraszona Magdalena, sprowadziła lekarza, który po zbadaniu chorej oświadczył:

- Stan pani córki jest groźny. Lękam się zapalenia mózgu.

- Czy to rzecz tak niebezpieczna?

- Niebezpieczna, ale mam nadzieję, że młodość, silny organizm i troskliwość pani, zdołają ocalić pani córkę... Proszę tylko ściśle stosować się do moich zaleceń, bo inaczej za nic nie odpowiadam.

Nigdy też skrupulatniej nie stosowano się do zaleceń lekarza, lecz przebieg choroby był powolny i nic nie zapowiadało zwycięstwa medycyny nad chorobą.

Magdalena, która nie opuszczała ani na chwilę łóżka córki, przechodziła niewymowne męczarnie. Nie miała żadnych wiadomości o mężu i nie mogła ich zasięgnąć. Codziennie czekała na list od niego, lecz dni upływały, a listu nie przynoszono. Nie miała nikogo, by zwierzyć się ze swych cierpień i by oczekiwać pociechy, gdyż wszystkie lokatorki z wyraźną pogardą odwracały się od niej. Biedna istota, dręczona rozpaczą, w milczeniu znosiła upokorzenia. Tymczasem jej drobne oszczędności wyczerpywały się i wkrótce miał nadejść dzień, w którym mogło zabraknąć na lekarstwo dla chorej.

Śledztwo, prowadzone przez Filipa Kervena, szybko zbliżało się ku końcowi. Wszyscy świadkowie, wezwani na żądanie Jana Remy i Gireta, oświadczyli zgodnie, że obu oskarżonych uważają za najuczciwszych ludzi, niezdolnych do popełnienia podobnej zbrodni. Ale ci sami ludzie, po wysłuchaniu szeregu decydujących dowodów, o których sędzia starannie starał się poinformować, wychodzili z jego gabinetu z zachwianym przekonaniem. Nawet sam przedsiębiorca, tak energicznie z początku broniący swych robotników, obecnie zaczął powątpiewać.

Tym sposobem zdawało się, że wina Jana Remy i Gireta, została stwierdzona ostatecznie.

Sędziemu pozostało już tylko zamknąć śledztwo i odesłać akta prokuratorowi.

XXVII

Ponieważ nie było już powodu, aby trzymać więźniów w izolatkach, pan Kerven wydał rozkaz przeniesienia ich do sal ogólnych, ale bez prawa komunikowania się ze sobą. Po przeniesieniu pierwszą myślą Gireta było: napisać list do przedsiębiorcy, a Jana Remy - do Magdaleny.

Proszony o pozwolenie dozorca oświadczył, że administracja więzienna dostarczy im bezpłatnie papier i atrament, ale nie da marek pocztowych.

Biedacy nie pomyśleli o tym, a pieniędzy nie mieli. Pozostało im więc wysłać listy na koszt odbierających.

Napisali listy, które, po przeczytaniu przez dyrektora więzienia, tego samego dnia zostały wrzucone do skrzynki pocztowej.

Nazajutrz posłaniec, podszedłszy do łóży domu numer 151 przy ulicy La Roquette, zapytał odźwiernej:

- Czy tu mieszka pani Magdalena Remy?
- Tutaj, na nieszczęście. To do niej list? Proszę dać.
- Należy się trzydzieści centymów - powiedział posłaniec.
- Trzydzieści centymów! Taki ciężki?
- Nie, ale nieofrankowany.
- To proszę go sobie zabrać z powrotem. Ja miałabym tyle zakładać za taką lokatorkę, żonę zbrodniarza! Nie jestem głupia! Idź pan na piątą piętro, jeśli masz ochotę.
- Nie jestem zobowiązany. Nie chce pani zapłacić, więc zabiorę. Posłaniec miał wrzucić list do torby, gdy jakiś głos zawołał:

- Proszę trzydzieści centymów i daj pan ten list. Zaniosę go pani Remy

Był to doktor leczący Gabriele, który, przechodząc korytarzem, usłyszał rozmowę posłańca z odźwierną. Zapłacił należność, wziął list i zwróciwszy się do odźwiernej, rzekł z wyrzutem:

- Nie zawadzi mieć trochę miłosierdzia, a kochana pani dowiodłaś, że go nie posiadasz wcale.

Wszedł na schody, nie zważając na kumoszkę obrażoną za udzieloną jej naukę.

Lekarz był człowiekiem bardzo dobrym. Magdalena zwierzyła mu się ze swego położenia, a on ją pocieszał i dodawał otuchy.

Nazywał się Potel. Cała dzielnica знаła go i szanowała, gdyż był przyjacielem ubogich i nieszczęśliwych.

- Jak się ma nasza chora? - zapytał, wszedłszy do mieszkania Magdaleny.

- Noc minęła nieco spokojniej.

- Czy spała?

- Bardzo mało.

- Nie ma gorączki?

- Miewa jeszcze chwilami, lecz nie bardzo gwałtowną.

- Zobaczymy. Mam list dla pani, proszę przeczytać.

- To od Jana! - zawołała, zobaczywszy pismo. - Więc nareszcie pozwolili mu napisać!

Drżącą ręką rozerwała kopertę i wzrokiem pożerała tak długo oczekiwany list. Łzy ciekły po jej bladej i zmizerowanej twarzy i ogarnęło ją tak wielkie wzruszenie, że była zmuszona usiąść na krześle.

- Spokojnie, spokojnie - mówił lekarz.

- Ach, doktorze - powiedziała, kiedy skończyła czytać. - Przysięga na zbawienie duszy, że jest niewinny, a on nigdy nie skłamał...

- Widzi więc pani, że nie ma co rozpaczać... A ponieważ mógł napisać, to znaczy, że już jest wypuszczony z izolátky.

- Wypuścili go wczoraj. Prosi, bym go odwiedziła...
 - Należy więc to uczynić.
 - I ja tego pragnę, ale czy mogę?
 - Znajdziemy na to sposób. Zaraz po południu przyślę do pani pewną znajomą kobietę, która umie pielęgnować chorych i zastąpi panią przy chorej. Ale musisz pani najpierw udać się do sędziego śledczego i uzyskać od niego pozwolenie na widzenie się z mężem.
 - Ale. „-i wyjąkała Magdalena, zmieszana i zarumieniona. Lekarz zrozumiał ją i rzekł:
 - Osoba, o której mówię, jest bardzo dobrą kobietą, na próżno pani usiłowałaby ją wynagrodzić, gdyż nic nie weźmie... Są jeszcze na świecie uczciwi ludzie. Bogu dzięki, że nie wszyscy są podobni do tutejszej odźwiernej.
 - Ach, panie, jaka to zła kobieta! Od czasu, jak to nieszczęście niespodziewanie na mnie spadło, stała się tak zuchwała, że przechodzę koło jej izby ze strachem.
 - Takie istoty zasługują tylko na pogardę. Chodźmy zobaczyć chorą. - Podeszedł do łóżka, ujął rękę Gabrieli i patrząc na zegarek, liczył uderzenia pulsu. - Gorączka trochę mniejsza niż wczoraj -rzekł - znacznie mniejsza... To dobry znak... Z córką pani było już bardzo źle, ale teraz mam nadzieję...
 - Cóż mam teraz robić?
 - Ciągłe to samo. Przykładać synapizm, a na czoło lód i co godzina dawać po łyżce lekarstwa, które zapisałem wczoraj.
 - Ach, doktorze, czym ja panu wyrażę moją wdzięczność?
 - Pomówimy o tym później. Po południu przyślę kobietę, o której mówiłem. A teraz do widzenia.
- I zacny lekarz opuścił mieszkanie, do którego wniósł ulgę i pociechę.

* * *

List Gireta do przedsiębiorcy, chociaż niefrankowany, przyjęty został bez protestu i wzmocnił jego wiarę w niewinność więźnia, zachwianą argumentami sędziego śledczego.

Paweł, powołując się na okazywaną mu zawsze życzliwość, prosił, by przedsiębiorca nie opuszczał go w nieszczęściu i znalazł zdolnego adwokata, tak dla niego, jak i dla Jana Remy, równie niewinnego, a tym bardziej zasługującego na współczucie, że posiadał rodzinę. W końcu prosił go o uregulowanie rachunku i przysłanie dla obu pieniędzy.

Żądanie było słuszne, gdyż należało się im za dwanaście dni pracy, czyli, licząc po siedem franków dziennie, po osiemdziesiąt cztery franki każdemu.

Tego samego dnia pan Rety po powrocie do Paryża udał się prosto do więzienia i złożył na ręce sekretarza zarządu po sto franków dla swych robotników, dołączając krótkie listy, zalecające im nadzieję i zapowiadające jego wizytę.

Listy te sprawiły więźniom wielką radość i dodały im nieco odwagi.

XXVIII

W tym czasie Magdalena, korzystając z zastępstwa przysłanej przez lekarza kobiety, udała się do sądu, gdzie uzyskała pozwolenie na widywanie się z mężem raz w tygodniu. Dniami tymi były czwartki. Pierwsza wizyta miała nastąpić za dwa dni, a czas ten wydał jej się wiekiem.

Gdy wreszcie ten tak pożądany dzień nadszedł i przybyła kobieta, mająca zastąpić ją przy Gabrieli, Magdalena wiedząc, że można więźniom zanosić posiłek, zaopatrzyła się w bułki, wędlinę i owoce, podzieliła wszystko na dwie części jedną dla męża, a drugą dla Gireta i z koszyczkiem w ręku udała się do Mazas. Dręczyła się myślą co powie mężowi, gdy zapyta ją o Gabriellę, nie chciała bowiem zwiększać jego cierpienie wiadomością o niebezpiecznej chorobie córki.

W więzieniu po załatwieniu formalności i drobiazgowej rewizji produktów, aby przekonać się, czy nie ma w nich ukrytego narzędzia, mogącego ułatwić ucieczkę, wprowadzono ją do parlatorium.

Była to sala składająca się z dwóch części przedzielonych wąskim korytarzem z żelaznej kraty, w którym czuwał nadzorca mający nie dopuszczać do rozmowy nie mającej związku z celem wizyty.

Bywalcy w Mazas wiedzieli, że w jego obecności nie można wymienić ani jednego podejrzanego słowa, nie można używać żargonu, gdyż znał go jak język ojczysty, i jak tylko go słyszał, od razu przerywał wizytę i odbierał pozwolenie.

Magdalena, nie znając przepisów więziennych, sądziła, że będzie mogła uścisnąć męża i swobodnie z nim pomówić, lecz widok parlatorium pozbawił ją złudzeń.

Po dziesięciu minutach oczekiwania drzwi przeciwległej części otworzyły się i wszedł Remy.

Długa siwa broda, wygięte ramiona i zapadłe oczy tak zmieniły biedaka, że Magdalena go nie poznała. Dopiero gdy dozorca zapytał go o nazwisko i kowal je wymienił, Magdalena krzyknęła.

Więzień, usłyszawszy jej głos, podbiegł do kraty.

- Magdalena! - zawołał. Nieszczęśliwa kobieta rozplakała się.

Przywykły do podobnych scen dozorca był jednak tak wzruszony jej łzami, że podszedł do niej i powiedział:

- Tu nie chodzi o płacz. Jeżeli macie, co do powiedzenia sobie, to korzystajcie z chwili, gdy nikogo nie ma, bo wkrótce przybędzie tyle osób, że nie będziecie się słyszeć nawzajem.

- Dziękuję panu - rzekł Remy, a zwróciwszy się do Magdaleny zapytał: - Nie przyprowadziłaś ze sobą Gabrieli?

- Nie otrzymałam jeszcze dla niej pozwolenia - odrzekła kłamiąc.

- Postaraj się o nie. Chciałbym ją zobaczyć... Czy ciągle pracuje w tym samym magazynie?

- W tym samym.

- Więc teraz sama utrzymuje dom. Boże mój drogi, jakież ja nieszczęśliwy! Biedna ty Magdaleno...

- Nie trać odwagi!

- Łatwo to powiedzieć! Nawet największa odwaga kiedyś się wyczerpuje.

- Czy przekonałeś sędziego o swojej niewinności?

- Nie. Wszystkie dowody świadczą przeciwko mnie. Nie chce mi wierzyć.

- Więc cóż będzie?

- Będę sądzony.
- Ależ uniewinnią cię! Przecież nie mogą cię potępić, skoro jesteś niewinny!
- Uniewinnią! - z goryczą powtórzył Jan. - Jeżeli sprawiedliwość dotychczas głucha i ślepa zechce usłyszeć i przejrzeć.
- Ale ty jesteś niewinny!
- Cóż to znaczy, skoro wszystko przeciwko mnie? Ach, biedne wy, moje drogie! Jakie będzie wasze życie, jeżeli zostanę potępiony?
- Nie mów tak, proszę, to rzecz niemożliwa, przekonasz sędziów.
- Jak? Nie mam nic więcej na swą obronę nad to, co powiedziałem sędziemu śledczemu.
- Należy wziąć adwokata, on ci poradzi.
- Adwokata... Dostałem list od przedsiębiorcy.
- Pisał do ciebie?
- Pisał, że mnie odwiedzi i wyszuka nam adwokata.
- Czy widziałeś się już z Pawłem?
- Nie, nie wolno nam się widywać. Ale to mała rzecz... Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Tylko byśmy płakali nad straszną pomyłką, której ofiarami się staliśmy.
- Nie dręcz się, zobaczysz, że wszystko się zmieni na lepsze.
- Nie o siebie się lękam, moja droga, lecz o was. Czy masz jeszcze trochę pieniędzy w domu?
- Mam.
- Z pewnością odmawiacie sobie wszystkiego, a ja nie mogę wam pomóc.
- Myśl przede wszystkim o sobie... My damy sobie radę, dopóki nie będziesz uwolniony, a mam nadzieję, że to nastąpi niedługo.
- Oby Bóg cię wysłuchał!
- Jak jesteś ze zdrowiem?
- Dobrze.
- Jedzenie więzienne ci nie szkodzi?

- Nie mam apetytu.
 - Przyniosłam wam trochę bułek, mięsa i owoców - rzekła i rozplakała się znowu.
 - Niepotrzebnie to zrobiłaś, bo pewno same cierpicie głód - odrzekł Jan zdławionym głosem - mnie tu nie brak niczego. Nie wydawaj na mnie pieniędzy. Przedsiębiorca złożył dla mnie sto franków u pisarza. Chciałbym byś je zabrała, lecz nie wiem czy pozwolią.
 - I ja ich nie potrzebuję - skłamała, gdyż wszystkie jej oszczędności wyczerpała choroba córki.
 - W każdym razie przydadzą ci się bardziej niż mnie. Nie wiem do kogo się udać z prośbą o wydanie ci tych pieniędzy.
 - Słuchający ich rozmowy dozorca się odezwał.
 - To bardzo łatwo. Po skończonej wizycie zaprowadzę cię do kancelarii i pisarz to załatwi.
 - Po co to?
 - Bo nie chcę, byście cierpiały głód i zabijały się pracą, gdy mnie tu niczego nie brakuje.
 - Spieszcie się - rzekł dozorca - gdyż pisarz o czwartej wychodzi z kancelarii.
 - Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia. - zapytała Magdalena.
 - Postaraj się o pozwolenie dla Gabrieli na odwiedzanie mnie.
 - Dobrze, będę się starała. Czy potrzebujesz bielizny?
 - Potrzebuję.
 - Szkoda, że nie wiedziałam.
 - Przyniesiesz mi w niedzielę.
 - Nie będę mogła przyjść w niedzielę, gdyż mam pozwolenie tylko na czwartki.
- Do parlatorium zaczęły napływać inne osoby i rozmowy stały się tak ożywione, że aby zrozumieć się należało krzyczeć.

- Nie ma sposobu rozmawiać dalej - rzekł Jan - Więc przyjdiesz w następny czwartek?

- Przyjdę.

- Ach, moja biedna Magdaleno, czy spodziewaliśmy się, że będziemy musieli rozmawiać w ten sposób - Po czym zwrócił się do dozorca i rzekł: - Może pan teraz zaprowadzi mnie do kancelarii.

- Dobrze, poczekaj pan.

Przywołał swego kolegę i poprosił o zastąpienie przy więźniach

- Pani zaś - dodał, zwracając się do Magdaleny - poczeka w sali obok kancelarii, Może pisarz zechce przywołać, panią. Ale proszę nie mówić do męża ani słowa, bo ja mogę za to odpowiadać.

Magdalena weszła do wskazanej sali, po czym dozorca z Janem udał się do kancelarii.

- A co powiesz, Jourdain? - zapytał pisarz.

- Więzień Remy ma prośbę do pana, a ponieważ zdawało mi się, że pan może ją spełnić, więc go przyprowadziłem.

- Dobrze, o co chodzi Remy.

- Przed dwoma dniami pan sekretarz, oświadczył mi, że mój pracodawca złożył dla mnie sto franków. Otóż pieniądze te nie są mi potrzebne, żywność w więzieniu mam dostateczną. Ale mam żonę i córkę, które wskutek aresztowania mnie pozbawione zostały środków do życia. Może pan będzie łaskaw i pozwoli mi je im oddać.

- A sobie nic nie zostawisz?

- Nic, panie sekretarzu - odrzekł ze łzami w oczach.

- Czy twoja żona przyszła?

- Przyszła.

- Przywołaj ją - rzekł sekretarz do dozorca.

- Czy mam pierwaj odprowadzić więźnia do celi?

- Nie, będę potrzebował go jeszcze.

Dozorca wyszedł i po chwili wrócił z Magdaleną.

Spoglądali na siebie oddaleni o dwa kroki i mieli nieprzepartą ochotę rzucić się sobie w ramiona, lecz wierni danemu słowu nie poruszyli się i tylko piersi im falowały ze wzruszenia

- Przywitaj się z żoną - rzekł wzruszony tą niemą sceną pisarz. Rzucili się sobie w objęcia i wymienili pocałunki zmieszane ze łzami.

- Dziękuję panu z całej duszy - rzekł Remy do sekretarza.

Ten ostatni wyjął z kasy bilet stufrankowy i podał go Magdalenie

- Dajcie mi oboje pokwitowanie - rzekł następnie. Podpisali je oboje, po czym Remy jeszcze raz zaleciwszy żonie,

by w następny czwartek przyszła z Gabriellą, został odprowadzony do więzienia.

Magdalena podziękowała sekretarzowi i opuściła gmach więzienny.

- Za surowy jest dla nas Pan Bóg - mówiła do siebie idąc do domu - Dlaczego każe nam cierpieć niewinnie, dlaczego nie wskaże zbrodniarzy, którzy stali się powodem naszych nieszczęść.

Tymczasem śledztwo zostało ukończone i akta przesłano prokuratorowi.

Od tej chwili więźniowie przestali łudzić się nadzieją uwolnienia. Los ich zależał teraz już tylko od sędziów przysięgłych.

Giret miał zawsze więcej energii i wierzył, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw, ale Remy nigdy nie podzielał tej nadziei, a teraz upadł na duchu ostatecznie.

Na próżno Magdalena podczas czwartkowych wizyt usiłowała dodać mu odwagi, nie mogła rozproszyc jego czarnych myśli i podnieść upadającego ducha... Pod wpływem ciągłych udręczeń biedak nikał w oczach, starzał się i opadał z sił.

Chęć oszczędzenia mu rozpaczy, jakiej uległby dowiedziawszy się o chorobie Gabrieli, zmuszała Magdalenę do wyszukiwania

najrozmaitszych powodów, niepozwalających dziewczynie odwiedzić ojca.

Gabriela czuła się już lepiej, była ocalona, ale powrót do zdrowia wymagał dłuższego czasu i lepszych warunków życia, na które biedne kobiety nie miały wpływu.

Doktor Potel robił, co w jego mocy, zapłacił za nie komorne, za ostatni kwartał, co więcej, uprosił właściciela domu, żeby pozostawił je w mieszkaniu, z którego ten postanowił je wyrzucić ulegając innym, głupim lokatorom. Ale zacny lekarz ocierał się o tak wielu biedaków, a każdemu z nich chciał przynieść ulgę.

Przedsiębiorca nie zapomniał o swych robotnikach i jak tylko list Pawła powiadomił go o odesłaniu akt prokuratorowi, znalazł natychmiast zdolnego i wymownego adwokata i prosił go o podjęcie się ich obrony.

Adwokat zgodził się, lecz po przejrzeniu akt oświadczył, że jego zdaniem, nie ma nadziei na ocalenie oskarżonych, że wszystkie dowody tak dalece przemawiają przeciw nim, że starać się o ich całkowite uniewinnienie jest niepodobne i należy szukać okoliczności łagodzących.

Miał nadzieję, że rozmowa z oskarżonymi ułatwi mu trudne zadanie i w tym celu uzyskał pozwolenie na spotkanie z nimi.

Gdy zobaczył wchodzącego do parlatorium człowieka, w średnim wieku, lecz zgarbionego, o białych włosach i zmizerowanej twarzy, pomyślał: „Ten człowiek na pewno jest dręczony wyrzutami sumienia,,

- Czego pan sobie życzy? - zapytał Remy.

- Pracodawca twój prosił mnie o podjęcie się twojej obrony. Zgodziłem się i przejrzałem już akta, lecz okazało się, że wszystkie dowody przemawiają przeciwko tobie.

- To są pozory nie dowody! - orzekł kowal.

- Ale podpisałeś swe zeznania.

- Podpisałem, gdyż mówiłem prawdę.

- Wszelako nie mogłeś dostatecznie wyjaśnić jakim sposobem przedmioty skradzione u hrabiego znalazły się w twojej kuźni.

- Jak mogłem wyjaśnić skoro o nich nie wiedziałem.

- A narzędzie, którym została popełniona zbrodnia?

Po tym pytaniu Remy zamilkł, szukając odpowiedzi, wreszcie odparł:

- Panie adwokacie, skoro mój pracodawca sam prosił pana o podjęcie się mojej obrony, to dał tym dowód, że szanuje mnie, choć jestem oskarżony o tak wstrętną zbrodnię. Zanim przedstawił panu swą prośbę, musiał powiedzieć, że zna mnie dobrze i od dawna, że uważa mnie za człowieka uczciwego i dobrego robotnika. I rzeczywiście, czy jako robotnik, czy jako ojciec rodziny, byłem zawsze człowiekiem uczciwym. Mówi pan, że akta śledcze... Otóż nic nie mogę dodać nad to, co w nich zeznałem. Powiedziałem sędziemu prawdę. Paweł Giret i ja staliśmy się ofiarami niezrozumiałego dla nas zbiegu okoliczności, ale na głowę mojej żony, która jest dla mnie tysiąc razy droższa niż moja, przysięgam panu, że jestem niewinnym i jeżeli kłamię, niech Bóg ukarze mnie śmiercią w tej chwili. Gdybym był winny, to czyż sądzi pan, że wobec grożącej mi gilotyny nie starałbym się złagodzić swojej zbrodni jakimiś zmyślonymi okolicznościami i powodami? Nic nie mogę uczynić dla ocalenia siebie. Nic nie mam do powiedzenia na swoją obronę, chyba to tylko, że liczę czterdzieści cztery lata i w różnych kolejach życia, nawet wtedy, gdy brak pracy wtrącał mnie w nędzę, a głód szarpał wewnętrznosci, nigdy nawet przez jedną sekundę nie przyszło mi do głowy przywłaszczyć sobie cudzą rzecz! I nagle, dzisiaj, gdy mam szczęśliwą rodzinę, jestem szanowany przez wszystkich, którzy mnie znają, gdy mam zabezpieczony byt, miałbym się stać złodziejem i zabójcą? To właśnie, w mojej obronie powinien pan powiedzieć sędziom przysięgłym, bo innych dowodów dać nie mogę.

Adwokat słuchał kowala ze zdziwieniem. Jego słowa proste, wygłoszone bez ładu, lecz tonem niezaprzeczonej szczerości, wywarły na niego niespodziewany i głęboki wpływ. Teraz nie patrzył na niego jak na zbrodniarza, zgnębnego wyrzutami sumienia, ale jak na ofiarę nieubłaganej fatalności.

Kowal patrząc mu śmiało w oczy, zapytał:

- Czy wierzy mi pan?

- Wierzę.

Radość opromieniła twarz więźnia.

- I uczynię wszystko - dodał - by cię ocalić. Ale choć mówisz, że nie masz nic więcej do powiedzenia nadto co zeznałeś podczas śledztwa, poproszę cię jednak o niektóre wyjaśnienia.

- Owszem, niech pan adwokat pyta.

- Jest jeden punkt w śledztwie, który mnie zastanowił. -Jaki?

- Czy znasz Walentego?

- Nie znam i nie wiem o kim pan mówi.

- Mówię o ogrodniku a zarazem odźwiernym hrabiego Lagarde.

- Widziałem go kilka razy, ale nie znałem jego nazwiska. Spotykałem się z nim często, lecz nigdy nie rozmawialiśmy.

- Czy jesteś tego pewnym?

- Najpewniejszym.

- Walenty ten utrzymuje, że tego dnia w którym popełniona była zbrodnia, mówił w obecności Gireta o swym wyjeździe do Burgundii.

- Być może, lecz w takim razie Giret może objaśnić pana o tym.

- Ponadto, tenże Walenty zapewnia, że wtedy znalazł nad brzegiem Marny dół i przerzucił je przez mur do parku.

- Nic nie wiem o tym.

- Czy sędzia śledczy nie pytał cię o to? -Nie.

- Czy znałeś hrabiego de Lagarde?

- Nie widziałem go nigdy.
 - A gdy pokazywano ci to dłutko, czy poznałeś je?
 - Poznałem. Było to nasze narzędzie i ja sam je zrobiłem.
 - Czy nie zastanowiłeś się nad tym, jakim sposobem mogło ono znaleźć się w rękach zabójcy?
 - Owszem, myślałem wiele, lecz nie potrafiłem tego wyjaśnić.
 - Z zeznania ogrodnika sędzia śledczy wyciągnął bardzo logiczny wniosek, że złodzieje wychodząc z parku, zaskoczeni przez hrabiego, znaleźli tę broń na trawie i skorzystali z niej.
 - Przypominam sobie, że sędzia coś o tym mówił. Adwokat wstał.
 - Wracaj do celi, a ja pomówię jeszcze z twoim domniemanym współnikiem.
- Polecił dozorczy odprowadzić kowala i przywołać Gireta. Gdy ten ostatni przybył, adwokat oświadczył mu:
- Twój były pracodawca prosił mnie bym podjął się twojej obrony przed sądem. Rozmawiałem już z twoim przyjacielem Janem Remy.
 - Którego dają mi za współnika! - wtrącił z goryczą Giret - Biedak, tyle on winien co i ja! Dziękuję panu serdecznie, za podjęcie się naszej obrony, ale nie wiem, jak pan sobie z tym poradzi i przekona sędziów o naszej niewinności.
 - Rzeczywiście, zadanie jest trudne, toteż powinniście mi pomóc.
 - Pomóc panu? A cóż ja mogę uczynić? Wszystko, co zeznaliśmy przed sędzią śledczym jest najszczerzą prawdą. Wytłumaczyliśmy się z czasu co do minuty, ale nie chcą nam wierzyć, a my nie mamy świadków na poparcie naszych słów. Więc cóż robić, skoro nie chcą uwzględnić naszej uczciwej przeszłości? Nie łudzę się i wiem, że wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Nie wiem, jak sobie pan poradzi.

- W jaki sposób wytłumaczysz sobie znalezienie sreber i kosztowności w skrzyni twego przyjaciela?

- Przecież pan czytał nasze zeznanie.

- Czytałem. Według was, złodzieje obawiając się ujęcia, pozbyli się zdobyczy, ukrywając ją w namiocie

- Tak panie, tylko w ten sposób można to sobie wytłumaczyć.

- Na wasze nieszczęście, takiemu wyjaśnieniu sędziowie przysięgli nie uwierzą. Czy wiedzieliście, że ogrodnik hrabiego miał wyjechać na kilka dni?

- Przypominam sobie, że mówił to piekarzowi.

- Czy w pugilaresie, znalezionym przez Jana Remy, były jakieś papiery?

- Nie wiem na pewno, gdyż nie otwierałem go.

- Ależ, na miłość Boga, na czym ja oprę obronę? Co ja mogę dla was uczynić?

- Wiem o tym, że nic. Sprawa bardzo prosta! Popołniono kradzież i zabójstwo, więc byli złodzieje i zabójcy. Nie udało się ich ująć, więc odpokutujemy za nich. Gdybym był wolny, znalazłbym ich! Niech pan nie zaprzęta sobie mną głowy, ja nie mam rodziny, nikt z powodu mej zguby nie ucierpi. Mam tylko przyjaciela, jego niech pan broni! On ma żonę i córkę, które zginą bez niego. Niech pan zrzuci wszystko na mnie, jeżeli mu to co pomoże. Umrę bez skargi na ustach, nawet zadowolony, jeżeli moja śmierć może jego ocalić.

Wzruszony adwokat podał rękę Giretowi, który, uszczęśliwiony, uścisnął ją serdecznie.

- Więc pan mi wierzy? - zapytał drżącym głosem.

- Wierzę. Czuję, że mówisz prawdę, że jesteś niewinnym i uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, by was ocalić.

- Niech pan przede wszystkim myśli o Remy.

- Może Bóg pozwoli mi ocalić was obu.

Adwokat opuszczał więzienie gubiąc się w myślach, nie wiedząc w jaki sposób ochroni te dwie głowy od gilotyny. Wierzył, że są niewinni i że tylko jakaś fatalny zbieg okoliczności sprzysiął się przeciwko nim, lecz podobnie jak Filip Kerven mówił sobie:

- Sąd nie uznaje fatalizmu. Czy sędziowie przysięgli zechcą wyrokować wbrew faktom.. Jak odkryć rzeczywistych przestępców? Rozzuchwaleni bezkarnością, może na posiedzeniu sądu będą świadkami potępienia Remego i Gireta i może będą oklaskiwali wyrok.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM II

I

Hrabina Lagarde okazywała od śmierci męża smutek tak głęboki, iż w przekonaniu odwiedzających ją osób była wdową niepokieszoną.

- Biedna kobieta - powtarzano ze współczuciem - jak ona kochała męża! Chyba już do śmierci nie zdejmie po nim żałoby.

Marcela starannie wystrzegła się mówienia komukolwiek o swojej ruinie majątkowej. Przyznanie się do tego usunęłoby z jej otoczenia wszystkich, którzy - uważając ją za piękną i bogatą - mogliby ubiegać się o jej rękę.

Mówiła do pana Kervena:

- Przez rok wiele rzeczy może się zmienić. Poczekam.

Nie wiedziała jeszcze na co ma czekać, ale potrzebowała czasu: do namysłu, do obmyślenia planu, którego główne linie rysowały się w jej umyśle wyraźnie.

W wyjątkowo złym charakterze pani Lagarde istniało tylko jedno dobre uczucie: przywiązanie do córki. Kochała ją w sposób wyłączny, nieco dziki, zwierzęcy, jak samice kochają swoje małe, a przy tym, tylko ją jedną na świecie. Myśl o córce wywoływała w niej żywsze uderzenia serca, dla niej marzyła o majątku, przepychu, rozkoszach życia. Bankructwo męża straciło ją z tych marzeń w smutną rzeczywistość.

Przyszedł jej na myśl bogaty bratanek Filipa, Roger Kerven.

Aby pomówić o tym z sędzią śledczym, potrzebowała dogodnej sposobności, a przede wszystkim musiała się dowiedzieć, czy

serce młodzieńca jest wolne i czy nie wypadnie walczyć z jakimś powziętym już planem.

Marcela nieczęsto wychodziła z domu i czas popołudniowy poświęcała odwiedzającym ją osobom. Po śniadaniu przesiadywała zwykle w salonie, dokąd lokaj miał rozkaz wprowadzania gości.

Był piątek, godzina druga po południu. Marcela przeglądała dzienniki, gdy do salonu wszedł lokaj i podał jej bilet wizytowy.

- Julia de Penmore! - zawołała. - Proś!

Wybiegła naprzeciw przybyłej i przywitała ją serdecznie.

- Więc to ty, kochana Julio! Której tyle lat nie widziałam, a o której bezustannie myślałam! Sprawiałaś mi wielką przyjemność! Chodź, siadaj przy mnie.

Podprowadziła ją do kozetki i siadła obok niej.

- Na długo przybyłaś do Paryża? - zapytała.

- Nie, zaledwie na kilka dni.

- Kiedy przyjechałaś?

- Dziś rano i zaraz przyszedłam do ciebie.

- Jestem ci bardzo wdzięczna! Przyjechałaś sama?

- Sama.

- A mąż i syn?

- Pozostali w Nantes.

- Więc zostaniesz u mnie na obiedzie?

- Przybyłam z takim zamiarem.

- Dziękuję ci. Choć przez chwilę zapomnę o moim smutku.

- Nie uwierzysz, jak odczuliśmy twoje straszne nieszczęście.

- Rzeczywiście, straszne... - szepnęła hrabina, ocierając łzy. - Ale przynajmniej mój mąż zostanie pomszczony, dzienniki zapewniają o ujęciu zabójców. Wkrótce zostaną postawieni przed sądem przysięgłych.

- I potępieni! Dla takich zbrodniarzy gilotyna jest karą zbyt łagodną!

Marcela lekko drgnęła. Pani Penmore, nie spostrzegłszy tego, ciągnęła dalej:

- Mówmy o czym innym, droga Marcelo. Powiedz mi coś o swojej córce.

- Jest zdrowa.

- Mogę się z nią zobaczyć?

- Nie ma jej w Paryżu.

- A gdzie jest?

- Wysłałam ją na jakiś czas do naszych bliskich znajomych w okolicy Blois.

- Dobrze uczyniłaś, wyprawiając ją z domu.

- Pragnęłam wydobyć ją z żałobnej atmosfery i oszczędzić bolesnych wzruszeń. Lecz powiedz mi coś o sobie. Czy jesteś szczęśliwa?

- Zawsze. Jak mogłabym nie być, mając takiego męża i syna?

- Gdy wychodziłam za mąż, zazdrościłaś mi szczęścia, a teraz ja zazdroszczę tobie.

- Nie utraciłaś wszystkiego, masz przecież córkę.

- Toteż żyję tylko dla niej, więcej nie mam kogo kochać.

- Miewasz wiadomości od brata?

- Od brata? - powtórzyła Marcela zdziwiona. - Nie wiesz, że Albert opuścił Francję osiemnaście lat temu i przez cały ten czas nie dał znaku życia?

- Ale wiesz przecież, że wyekwipował dwa okręty i udał się do Indii?

- Mówiono mi o tym, ale on sam nie raczył mnie powiadomić. Zaraz po śmierci naszej matki bez żadnego powodu brutalnie zerwał ze mną kontakt, więc i ja przestałam się nim interesować.

- Tym sposobem nic o nim nie wiesz?

- Zupełnie nic.

- Otóż powiem ci, że przed dwoma laty powrócił do Bretanii.

- Powrócił! Zapewne ubogi, roztrwoniwszy cały odziedziczony po matce majątek na szalone przedsięwzięcia.
- Mylisz się. Pracował i podróżował, a powrócił z ogromnym majątkiem.
- Ogromnym, mówisz?
- Ogromnym. Ma coś około dwunastu milionów franków!
- Niemożliwe. Przesadzasz.
- Nie. Mój mąż dowiedział się o tym od swojego bankiera, który jest zarazem bankierem Alberta.
- I Albert osiadł w Nantes?
- Nie, w Clisson.
- W Clisson? Mieszkałam tam do ósmego roku życia.
- Twój brat kupił zamek w ruinie, odbudował go i w nim zamieszkał.
- Czy się ożenił?
- Nie i nigdy tego nie robi.
- Dlaczego?
- Podczas pobytu w Indiach został ukąszony przez jadowitego węża, jakich tam wiele. Ocalono mu życie, lecz cała prawa połowa jego ciała została sparaliżowana.
- Opowiadasz dziwne rzeczy...
- Nie może się poruszać ani sam chodzić. Wozi go na wózku lokaj.
- Straszne!
- Zapewne. Znosi to jednak filozoficznie, nie skarży się i nawet nie jest smutny.
- Skąd ty to wszystko wiesz?
- Od męża.
- Czy on widział Alberta?
- Przejeżdżając przez Clisson, zobaczył go w wózku, podszedł więc i spędził z nim kilka godzin.
- I Albert sam mieszka w tym pałacu?

- Z kilkoma służącymi.
 - Zawsze był dziwakiem... Każdy inny zanudziłby się na śmierć w takiej samotności. Zamykać się, mając taki majątek!
 - Majątek ten niedługo dostanie się tobie, a że i po mężu został ci wielki, więc twoja córka będzie jedną z najbogatszych panien we Francji.
 - Tak, jeżeli brat przepisze swój majątek na mnie.
 - Dostanie ci się prawnie. Albert jest kawalerem, a ty jego najbliższą krewną.
 - Może mnie wydziedziczyć.
 - Mógłby, lecz w takim razie komu zapisze spadek? Nie zechce przecież wzbogacić lokajów i negra przywiezionego z Indii.
- Marcela się zamyśliła.
- Mówisz, że mogę odziedziczyć jego majątek? Moja droga, paralitycy żyją niekiedy bardzo długo. Ostatecznie, chory nie jest.
 - Ciągłe jest chory. Nie może być inaczej, skoro ma we krwi jad żmii.
 - Czy jesteś pewna, że nie był żonaty, nie jest wdowcem i nie ma dzieci?
 - Pewna. Opowiedział mojemu mężowi całe swoje życie, także przygody w Indiach. Dlaczego miałby zataić swoje małżeństwo? Zresztą gdyby posiadał dziecko, trzymałby je przy sobie.
 - Zapewne...

II

Po wyczerpaniu tematu Julia de Penmore wszczęła rozmowę o dawnych znajomych.

- Często widzisz Filipa Kervena?

- Często.

- Nie rzucił swojej posady?

- Nie, ciągle jest sędzią śledczym.

- To było jego powołanie! Pamiętam ten przenikliwy wzrok sięgający do głębi duszy... Aż mi się zimno od niego robiło. Nie zmienił się?

-Nie.

Rozmowę przerwało przybycie innych gości i pogawędka stała się bardziej ogólna. Później nastąpił obiad, po którym pani Penmore, zabawiwszy jeszcze godzinę, wyszła. Po jej odjeździe Marcela mogła nareszcie oddać się własnym myślom. Otrzymana wiadomość o bracie niezmiernie ją zaintrygowała.

Milioner, kawaler i paralytyk - myślała - a ja jestem jego sukcesorką! Może w takim razie los będzie dla mnie przychylny... Ale po chwili namysłu, z goryczą odezwała się do siebie w duchu: Jestem wariatką. Albert mnie nie lubił, nie pominął żadnej sposobności, by okazać niechęć... Nie zapisze mi majątku. Zresztą kto wie? A gdybym spróbowała się do niego zbliżyć? Gdybym zawiozła do niego Helenę? Dwanaście milionów... Pałac w Clisson... Ogromne dochody, z których zapewne wydaje tylko cząstkę... Wszystko to warte odegrania komedii miłości siostrzanej... Jestem zrujnowana, Helena zaś posiada nędzny posag, dwieście

tysięcy franków... Dobrze uczyniłam, powstrzymując się od rozmowy z Filipem o Rogerze.

Następnego dnia wstała wcześniej niż zwykle, kazała pokojowej przygotować walizę podróżną, wsiadła do powozu i wstąpiwszy na chwilę do Filipa, aby powiadomić go o celu swojej wycieczki, odjechała na dworzec kolejowy.

Tego dnia wieczorem przybyła do Nantes, zatrzymała się w drugorzędym hotelu, by nie być przez nikogo poznana, zjadła obiad w pokoju i poszła spać.

* * *

W opowiadaniu Julii de Penmore o bracie Marceli nie było żadnej przesady.

Albert de Lussan, otrzymawszy swoją schedę, wyekwipował okręt i puścił się w świat próbować szczęścia. Przez dwa lata badał wybrzeża wschodnich Indii pod względem możliwości zastosowania tam swoich projektów, po czym powrócił do Francji, zakupił drugi okręt, popłynął do Zatoki Perskiej i zamieszkał na wyspie Bahrajn.

Albert, wbrew pozorom, które wskazywały, że jest lekkomyślny, był człowiekiem poważnym. Tworzył plany wielkie i praktyczne, odznaczał się inteligencją, a że od dzieciństwa czuł pociąg do morza, wcześniej przyswoił sobie angielszczyznę i języki wschodnie. Wschód robił na nim ogromne wrażenie. Nie wątpił, że tylko tam zbije majątek, o jakim marzył.

Rzadko odwiedzana przez Europejczyków Zatoka Perska nęciła go bardziej niż inne tereny. Pozyskiwane tam perły cenione były wielce przez mieszkańców Wschodu, co przy dobrze zorganizowanej i na wielką skalę podjętej eksploatacji, wydawało mu się źródłem niewyczerpanych bogactw.

Monopol na eksploatację pereł miał imam Buschery, ale system wydobywania był prymitywny - robotnicy nie używali, na

wzór Anglików pracujących na wodach cejlońskich, przyrządów nurkowych i w poszukiwaniu ławic schodzili w morze zaledwie na głębokość kilku metrów. Oprócz pereł eksploatowano również rafy koralowe. Choć trzebienie raf prowadzono również w sposób prymitywny, działalność ta przynosiła przedsiębiorcom miliony.

Albert, zbadawszy rzecz starannie, postanowił ulepszyć system i zastosować nowocześniejsze przyrządy. Z ich pomocą oraz z inteligentnymi ludźmi można było uzyskać dochód dziesięciokrotnie większy. Nie namyślając się długo, udał się do imama i przedstawił swój projekt.

- To wymaga wielu pieniędzy - odrzekł właściciel monopolu - a wątpię, by przyniosło zyski, o jakich pan mówi.

- Biorę na siebie wszystkie wydatki, jeśli odda mi pan trzecią część dochodu. Za rok rozpocząłbym robotę.

Imam, nic nie ryzykując, zgodził się. Zażądał tylko kaucji i podpisał kontrakt.

Albert, badając brzegi wybrzeża, zauważył, że kilka kilometrów w głąb lądu można znaleźć złoża kamieni szlachetnych i minerałów. Znajdowały się na gruntach pustynnych, spalonych słońcem, na pierwszy rzut oka nieposiadających żadnej wartości. Pod pozorem budowania baraków dla robotników, po okazyjnej cenie nabył więc prawa do korzystania z tych terenów.

Albert wypłacił imamowi kaucję i powrócił do Francji, załadowawszy wcześniej na swoje statki produkty, które łatwo można było sprzedać w Europie. W ten sposób uzyskał pieniądze potrzebne na nowe wydatki. Kilka miesięcy później był w Bahrajnie z powrotem, zaopatrzone w dwadzieścia cztery skafandry i tyleż przyrządów nurkowych. Przywiózł też robotników, ludzi inteligentnych, uczciwych i krzepkich. Nie zwlekając, pobudował na wybrzeżu baraki, a potem przystąpił do połowu pereł.

Już w pierwszych dniach wielkość połowów przeszła jego najśmielsze oczekiwania i pozwoliła mu za otrzymaną trzecią część

dochodu dokupić trochę sprzętu nurkowego. Stał się sławny, eksploatowane przez niego ławice zyskały opinię najpiękniejszych i najobfitszych na świecie. Kupcy i jubilerzy tłumnie odwiedzali jego składy, gdzie specjaliści segregowali, ważyli i oznaczali wartość każdej perły.

Kilka lat po rozpoczęciu tej coraz bardziej dochodowej działalności Albert, mający wreszcie więcej czasu zajął się kopalniami drogich kamieni na gruntach, które odstąpił mu imam. Próbne badania dały świetne rezultaty, odkryto bowiem nie tylko diamenty, ale też złoto, platynę i inne minerały. Majątek Alberta wzrastał i po piętnastu latach sięgał nie dwunastu, jak zapewniała Julia de Penmore, lecz dwudziestu milionów franków.

Nadszedł rok 1880. Albert urządził wyprawę do ogromnych lasów Ghilanu, obfitujących w rzadkie drzewa oraz rośliny zawierające najcenniejsze olejki. Ryzykowny w przedsięwzięciach, które zawsze wieńczył sukcesem, postanowił i na tym polu spróbować szczęścia. Chciał powiększyć majątek, choć nie zastanawiał się, co będzie z nim robił. Pracował, bo lubił to, co robił, i więcej dbał o powodzenie swoich przedsięwzięć niż ich rezultaty finansowe. Odbywane z liczną eskortą wycieczki do wspaniałych lasów azjatyckich sprawiały mu niewymowną przyjemność.

Podczas jednej z takich wycieczek zdarzył się wypadek, który złamał jego życie i z człowieka energicznego i pracowitego przemienił w kalekę. Tego dnia zatrzymano się na odpoczynek nad brzegiem strumienia, na łące. Przyrządzono posiłek, po którego spożyciu Albert położył się na mchu i zasnął. Nagle donośny jęk bólu przebudził wszystkich. Zerwali się na równe nogi, jeden Albert, blady, z przerażonymi oczami, leżał na ziemi, wskazując ręką prawą nogę. Pełził po niej długi wąż. Powiernik Alberta, hindus Zim, jęknął w sposób zwiastujący nieszczęście. Jednocześnie rzucił się ku hrabiemu i wyjąwszy zza pasa ostry sztylet indyjski, odciął wężowi głowę.

- Rozpalcie ogień! - krzyknął Zim. - Prędko, chodzi o życie naszego pana!

W jednej chwili zgarnięto kupkę suchych liści oraz gałęzi i zapalono je.

- Rozgrzejcie sztylet do czerwoności - rozkazywał dalej hindus. Podał im broń, którą zabił żmiję.

Gdy spełniano jego rozkaz, Zim obnażył ukąszone miejsce. Zobaczyli dwie plamki barwy fioletowej, a w środku nich dwa punkciki bledsze, z których sączyło się nieco krwi.

- Niech się pan nie lęka - rzekł Zim do Alberta - mam nadzieję ocalić pana.

Po czym, przykładając kilkakrotnie usta do rany, ssał ją dopóty, dopóki krew nie trysnęła obficie. Albert uczuł ulgę, ale ponieważ słyszał wcześniej jęk hindusa, a przy tym wiedział, że ukąszenie jadowitego węża bywa prawie zawsze śmiertelne, nie łudził się nadzieją.

Gdy sztylet był już rozpalony do czerwoności, Zim zagłębił jego koniec w obie ranki. Albert jęknął z bólu i zemdlał.

- Zostawmy go tak - powiedział hindus do towarzyszy przestraszonych omdleniem hrabiego. - To dobrze, że stracił przytomność, będzie mniej cierpiał.

Potem udał się nad brzeg strumyka, zerwał garść liści jakiejś rośliny, wycisnął z nich sok do metalowego kubka, a następnie przemył sokiem ranę. Po czym z tych samych liści przyrządził kompres i przyłożył go do ukąszenia. Środek, prosty i powszechnie znany na Wschodzie, odniósł pożądaný skutek. Albert odzyskał przytomność i oświadczył, że czuje się lepiej.

- Teraz wracajmy jak najspieszniej do baraków - poprosił Zim. - Jutro objawi się gorączka i przez dwa tygodnie będzie zwiększać się codziennie. Ale mam nadzieję, że największe niebezpieczeństwo minęło.

Zrobiono nosze, ułożono na nich Alberta i cały orszak ruszył w drogę. Przewidywania Zima się spełniły. Następnego dnia Albert uczuł pierwsze dreszcze gorączki, która odtąd codziennie wzrastała. Trzeciego dnia przybyli do baraku. Wiadomość o nieszczęściu Alberta przeraziła wszystkich pracowników, wiedzieli jakie są skutki ukąszenia indyjskich jadowitych węży. Nawet przy najbardziej pospiesznym ratunku, na stu ukąszonych udawało się ocalić zaledwie jednego.

Milczący i pochmurny Zim nie opuszczał swojego pana dzień i noc. Dawał mu dowody tak wielkiego poświęcenia, jakie tylko można sobie wyobrazić. Przebywający nad zatoką europejscy jubilerzy radzili wezwać lekarzy z najbliższego miasta, lecz Zim zdołał się temu oprzeć.

- Nie zgadzam się - mówił. - Rozpocząłem kurację i sam będę ją prowadził dalej. Lekarze zabiją go. A ja ocale.

Nareszcie gorączka zaczęła opadać, a mocno obrzmiała noga wracać do normalnego stanu. Rana się zagoiła. Niebezpieczeństwo śmierci minęło, lecz niemal połowa ciała pozostała sparaliżowana, bezwładna na zawsze. Na szczęście mózg nie był naruszony i zachował całą żywotność i energię. Albert lewą ręką ujął dłoń Zima i ściskając ją, rzekł:

- Dziękuję ci przyjacielu! Zawdzięczam ci życie. Odtąd nie rozstaniemy się nigdy.

Powrót do zdrowia ciągnął się cały rok. Podczas długich dni i nocy w umyśle Alberta, zajęтым dotychczas sprawami przedsiębiorstwa, odbył się zupełny przewrót. Nie mógł już prowadzić czynnego życia. Był wprawdzie kolosalnie bogaty, ale cóż mu z tych bogactw - żywemu trupowi, który nie mógł powstać bez pomocy drugiego człowieka? Nie miał bliskich, siostry wyrzekł się dawno, nie wiedział nawet, czy żyje. W swoim ruchliwym życiu nie potrafił stworzyć własnej rodziny, odczuwał więc wokół siebie pustkę i z przestachem myślał o przyszłości.

- Gdybym choć kochał jakąś kobietę... gdybym miał potomka - mówił sobie.

Ta myśl przywiodła mu na pamięć przeszłość i wycisnęła spod powiek dwie łzy, które stoczyły się po wychudłych policzkach.

- To kara za popełnioną przeze mnie niegdyś zbrodnię - szepnął. - Bóg wymierzył we mnie ten zasłużony cios. Piękna i uczciwa kobieta kochała mnie całą duszą, a ja ją oszukałem i nikczemnie opuściłem! Dziecko!... Gdzieś żyje i powinno nosić moje nazwisko, gdyby nie moja niegodziwość.

Długi czas dręczył się tymi wspomnieniami, aż wreszcie powziął postanowienie. Przywołał Zima i zapytał:

- Czy jesteś do mnie szczerze przywiązany?
- Pan wątpi?
- Nie, gdyż dałeś mi tego dowody.
- Życie moje należy do pana.
- Czy gotów jesteś towarzyszyć mi wszędzie, dokąd tylko pojedę?
- Wszędzie.
- I opuścisz swój kraj bez żalu?
- Opuzczę.
- Dokądkolwiek bym pojechał?
- Powiedziałem, że wszędzie.
- Więc dobrze, za miesiąc będziemy we Francji.
- Jestem gotów - powiedział hindus. - Kiedy wyjeżdżamy?
- Za tydzień.

Zaraz następnego dnia Albert de Lussan zajął się likwidowaniem swoich spraw. Sprzedał zakład i trzecią część dochodu z przedsiębiorstwa, a potem zaopatrzony w przekazy pierwszorzędných banków francuskich wsiadł na parowiec mający zawieźć go do Francji po piętnastu latach nieobecności.

Wylądował w Nantes i kazał znaleźć najlepszy hotel. Od czasu utraty władzy w prawej ręce, nauczył się używać lewej i pisał

nią dość wyraźnie. Tym sposobem, nie potrzebując pomocy i nie wtajemniczając nikogo w swoje sprawy, wysłał do jednego z miejscowych bankierów list, w którym wyjaśnił stan swego zdrowia i prosił go o przybycie, w celu przyjęcia w depozyt znacznych kapitałów. Tego dnia po południu bankier przybył do hotelu i przyjął w depozyt przekazy na dwadzieścia milionów franków.

- Czy mam je zachować, czy kupić papiery wartościowe? - zapytał.
- Tymczasowo niech je pan zachowa. Wyda mi pan tylko książeczkę czekową.
- Przyniosę ją panu jutro.

III

Albert poprosił bankiera, by o jego powrocie i oddaniu w depozyt tak znacznej sumy przynajmniej przez pewien czas nikomu nie opowiadał.

Następnego dnia hindus ubrał swojego pana, sam przywdział swój najpiękniejszy kostium azjatycki i punktualnie o dziesiątej, wzięwszy go na ręce, zaniósł do powozu.

- Czy znasz Clisson? - zapytał Albert stangreta.

- Znam, panie.

- Jest tam jakiś hotel?

- Jest. Bardzo porządny Hotel Bretoński.

- Więc jedźmy do niego.

Zim zajął miejsce w powozie obok Alberta i lando ruszyło w drogę.

Clisson, oddalone dwadzieścia kilometrów od Nantes, leżało na zboczach dwóch pagórków tworzących dolinę, w miejscu, gdzie łączyły się rzeki Sèvre Nantaise i Moine. Była to nader malownicza okolica, stanowiąca punkt styczny trzech departamentów: Loire-Atlantique, Vendée i Maine-et-Loire. Nad okolicą królowały piękne ruiny zamku Clisson, ongiś siedziby panów tej ziemi. Zamek zburzono po większej części w roku 1793. Ucierpiała wówczas także sama miejscowość odbudowana dopiero w początkach kolejnego stulecia.

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej oryginalnego nad te ruiny starego zamczyska. Mury stały jeszcze, lecz roślinność opanowała je zupełnie - powoje, bluszcze, róże pnące okryły ruiny

nieprzenikliwym płaszczem zieleni. Na środku podwórza jesion o ciemnych liściach wskazywał miejsce studni, już zasypanej, która w roku 1793 pochłonęła setki ofiar strasznego okrucieństwa rewolucyjnego terroru. Wokół rozciągał się duży park pełen drzew i głazów granitowych.

Chociaż Clisson zwano miastem, była to właściwie duża osada, z ludnością nieprzekraczającą dwóch tysięcy pięciuset osób. Mieszkańcy zajmowali się wyrobem płótna, chustek i rozmaitych tkanin. Albert de Lussan znał te strony doskonale, zwiedzał je niejednokrotnie w młodości i zachwycił się pięknymi widokami. Jeszcze inne wspomnienia wiązały go z Clisson. Tu właśnie oddano jego siostrę na wychowanie do Iwony Bernard, matki Magdaleny.

Clisson miało dwa hotele, ale ani jeden, ani drugi nie należał do najelegantszych, Hotel Bretoński uchodził jednak za lepszy. Przed nim właśnie woźnica zatrzymał lando. Hotel mieścił się naprzeciw ruin zamku. Kiedy hindus wszedł do hotelu, przyjęła go gospodyni, zdumiona jego dziwnym wyglądem. Zim od piętnastu lat używał języka francuskiego, mówił więc prawie bez cudzoziemskiego akcentu.

- Macie jakiś oddzielny pokój, w którym mój pan mógłby zjeść śniadanie?

- Mamy, panie, na pierwszym piętrze... Okna wychodzą na park zamkowy... Widok wspaniały, panie!

- A macie fotel, ale bardzo szeroki?

- Mamy, panie. Bardzo szeroki i bardzo stary. Zdaje się, że pochodzi z zamku. Jest dębowy i pokryty materiałem, trochę nadwreżonym przez mole, ale jeszcze trwałym i dobrze wyglądającym.

- Proszę postawić go w tym pokoju. Mój pan jest sparaliżowany. Będę musiał go wnieść na górę.

- Zaraz wszystko będzie gotowe. A co wasz pan będzie jadł na śniadanie?

- To co dacie, tylko żeby było dobrze przyrządzone.

- Bądź pan spokojny. Będzie zadowolony. Jest sam?
- Jest ze mną. Zjem śniadanie później, z woźnicą, który nas tu przywiózł.

- Możecie wnosić już swojego pana. Fotel zaraz zostanie postawiony, a stół nakryty.

Zim zszedł na dół. Powiedział do woźnicy:

- Wtoczcie powóz do wozowni, konie zaprowadźcie do stajni. Zjemy razem śniadanie.

Ze zwykłą ostrożnością hindus uniósł pana de Lussan i zaniósł go do pokoju, gdzie umieścił go w przygotowanym fotelu zaopatrzonym w dwie poduszki i ustawionym przed nakrytym stołem. Gospodyni spoglądała z wielkim współczuciem na tego młodego jeszcze człowieka obezwładnionego przez paraliż. Chciała wyjść, gdy Albert zwrócił się do niej z pytaniem:

- Od dawna mieszka pani w Clisson?

- Od dwudziestu pięciu lat, panie. Pochodzę z Cholet, ale wyszłam za męża za syna wdowy utrzymującej ten hotel.

- To musi pani znać tutejszych mieszkańców.

- O tak, panie, wszystkich!

- To dobrze. Po śniadaniu chciałbym zadać wam kilka pytań.

- Nie wiem, czy będę umiała na nie odpowiedzieć.

- Zapewne będę też musiał zobaczyć się z merem. Tym razem gospodyni się roześmiała.

- Mieszka tu, w tym domu. Merem Clisson jest mój mąż.

- Kiedy mógłbym się z nim widzieć?

- Jak tylko przyjdzie, zapewne niebawem. Jest w ruinach z jednym ze spadkobierców tej miejscowości. Mają razem zjeść śniadanie.

- Z jednym ze spadkobierców! - zawołał Albert. - Więc pan Lemot umarł?

- Ach, widzę, że i pan pochodzi z tych stron - zauważyła oberżystka. - Trzeba pochodzić z Clisson, by wiedzieć, że park i ruiny

należały do pana Lemota... Tak, panie, umarł przed rokiem, będąc już bardzo starym.

- Gdy tylko mąż wróci, proszę go poprosić, by zaszedł do mnie. Będę bardzo wdzięczny.

- Przyjdzie, jak tylko wróci. Może pan być pewien. Tymczasem każe podać śniadanie.

Gospodyni wyszła, a Albert de Lussan pochylił głowę na pierś i zmarszczył czoło. Zamknął oczy i zaczął rozmyślać. Zim, nieznający jego przeszłości ani projektów, nie mógł odgadnąć powodów wycieczki do Clisson. Teraz zaś zdziwił się na widok smutku malującego się na twarzy Alberta.

- Czy coś panu dolega? - spytał.

Albert podniósł głowę, spojrział na hindusa i odrzekł ze smutnym uśmiechem:

- Nie, przyjacielu, nic mi nie dolega. Zamyśliłem się, by zapomnieć o terażniejszości, a przypomnieć sobie dokładnie przeszłość... Znam dobrze te okolice. Wywołują we mnie wspomnienia, jedne są miłe, inne bardzo bolesne.

- Nie trzeba myśleć o tych drugich, trzeba natomiast pamiętać o pierwszych.

W tej chwili weszła służąca, niosąc śniadanie. Zim usługiwał Albertowi, wyręczając go we wszystkim, czego ten nie mógł sam zrobić: kroił mu chleb, nalewał wodę, próbował wyczytać z jego oczu najdrobniejsze życzenia, troszcząc się o niego jak o małe dziecko.

Śniadanie zbliżało się ku końcowi. Podano właśnie kawę, a hindus nalewał ją do filiżanki, gdy otworzyły się drzwi i około pięćdziesięcioletni mężczyzna wszedł do pokoju. Skłonił się z uszanowaniem, zbliżył do Alberta de Lussana i powiedział:

- Chciał mnie pan widzieć? Testem właścicielem hotelu i merem miasta.

- Może mi pan poświęcić kilka minut?

- Oczywiście.

- Dziękuję panu. - A potem, zwracając się do hindusa, Albert rzekł: - Zim, dostań z bocznej kieszeni mojego palta pugilares i połóż go przy mnie na stole.

Zim spełnił polecenie.

- A teraz możesz pójść na śniadanie. I nie zapomnij o naszym stangrecie. Niech się nie uskarża.

- O, będzie zadowolony!

Zim wyszedł, pozostawiając swojego pana z merem Clisson.

- Niech pan siada - odezwał się Albert - i poświęci mi chwilę pilnej uwagi.

- Z całą przyjemnością - odrzekł mer, siadając. - O cóż chodzi?

- Pragnę odwołać się do pańskich wspomnień, i to z nieco odległej epoki. Spodziewam się jednak, że pańska pamięć nie zawiedzie i poda mi pan informacje, których potrzebuję.

- Będę się starał.

- Jest pan stąd, merem tej gminy, zna pan dobrze wszystkich mieszkańców.

- Istotnie znam, a i pamięć mam bardzo dobrą.

- Zna pan, czy może znał pan, rodzinę Bernardów?

- Mieszkały tu dwie rodziny o takim nazwisku, ale obie wyjechały. Jedni wrócili do Beauprieu, miejscowości skąd pochodzili, drudzy zaś, a właściwie druga, zniknęła.

- Interesuje mnie rodzina, w której wdowa, po stracie męża, musiała dla zarobku przyjmować dzieci na wychowanie.

- To Iwona Bernard. Mieszkała w wynajętym domu u stóp wzgórza, zmarła dawno temu.

- Miała jednak córkę?

- Magdalenę. Tak panie, znałem ją bardzo dobrze. Była mleczną siostrą pewnej panny z Nantes, Marceli de Lussan.

Albert przez chwilę milczał. Zdawało się, iż obawia się stawiać dalsze pytania. W końcu jednak się odezwał:

- Nie wie pan, co się stało z Magdaleną Bernard?
- Niestety, nie wiem.
- Nie wie pan, czy żyje?
- Nie wiem, wiem tylko, że wyjechała z Clisson.
- I nic pan o niej później nie słyszał?
- Podobno źle się prowadziła.
- Jakim sposobem?
- Po śmierci męża znalazła się bez środków do życia. Dzięki poparciu panny de Lussan otrzymała miejsce w jednej z najpoważniejszych rodzin nantejskich. Tam, o ile się nie mylę, poznała pewnego młodzieńca, z tych niegodziwców, którzy słodkimi słówkami i obietnicami bałamuca kobiety, by w końcu je porzucić. Uwierzyła jego słowom, pozwoliła się uwieść, a w końcu, będąc w poważnym stanie, musiała opuścić dom swoich pracodawców. Gdzieś się ukryła, ale nie wiem, gdzie, by wydać na świat dziecko nikczemnego uwodziciela.
- Nikt nie wie, gdzie Magdalena poszła?
- Nie, ale mnie się wydaje, że do Paryża.
- Dlaczego pan tak przypuszcza?
- Gdy przed dziesięciu laty objąłem merostwo, grzebiąc pewnego razu w papierach pozostałych po moim poprzedniku, znalazłem list Magdaleny, wysłany z Paryża, w którym prosiła o wysłanie jej metryki urodzenia i aktów zgonów rodziców.
- Nie wie pan, po co żądała tych papierów?
- Nie, o tym w liście nie wspominała.
- Z którego roku był ten list?
- Z tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego albo szóstego, nie jestem pewien, ale jeżeli jest to dla pana ważne, mogę odszukać ten list w archiwum.
- Co się mogło z nią stać? - szepnął do siebie Albert, na tyle jednak głośno, że mer usłyszał pytanie.

- No, to raczej łatwe do odgadnięcia - zauważył. - Podzieliła los wszystkich podobnych dziewcząt... Uwodzicieli nie brak w Paryżu. Za pierwszą winą idzie druga, za nią trzecia i w końcu dziewczyna wpada w błoto... Lecz to nie ona zasługuje na potępienie, ale ci nikczemnicy, robiący sobie zabawę z wyprowadzania w pole istoty łatwowernej, która bez ich udziału pozostałaby uczciwa i zasługiwałaby na szacunek. Nie wiem, czy pan podziela moje zdanie, ale dla mnie tacy łajdacy są zwykłymi zbrodniarzami zasługującymi na wzgardę.

Albert opuścił głowę pod ciężarem tego oskarżenia. Długo nie odczuwał wyrzutów sumienia, lecz teraz, gdy przyszły, dręczyły go nieznośnie. Magdalena Bernard była ofiarą jego kaprysu! A owocem tego kaprysu było jego dziecko! I przez osiemnaście lat, bez mała, nie pomyślał o tym, że powinien jako człowiek uczciwy zapewnić kawałek chleba i byt temu dziecku. Posiadał miliony, a jego syn czy córka może umierać z głodu! To niegodne! To nikczemne!

Ze strachem pytał sam siebie, jak zdoła okupić to przestępstwo i jak Bóg przebaczy mu ten niezasługujący na przebaczenie czyn. Wtem pewna myśl pojawiła się w jego głowie.

- Ale... przecież list żądający wysłania metryki i aktów zgonów musiał zawierać adres, pod który należało te dokumenty wysłać.

- Istotnie, zawierał.

- Nie przypomina pan go sobie?

- Nie, ale zanim pan wyjedzie z Clisson, mogę dostarczyć panu ten list.

- Wyświadczy mi pan wielką przysługę! - zawołał Albert de Lussan. A potem dodał: - Proszę mi jeszcze tylko powiedzieć, do kogo należy dom, w którym mieszkała Iwona Bernard z córką?

- Do spadkobierców pana Lemota, właściciela parku i zamku Clisson. Żywa radość odmalowała się na obliczu Alberta.

- Pańska żona mówiła mi, że posiadłość tę spadkobiercy pana Lemota zamierzają sprzedać.

- Od miesiąca jest już wystawiona do sprzedania na działki, obecnie trafił się jednak kupiec na wszystko.

- Ile spadkobiercy pana Lemota żądają za całość?

- Sześćset tysięcy franków.

- Czy kupujący zgadza się na tę cenę?

- Niezupełnie. Ofiaruje mniej. -Ile?

- Pół miliona.

- Czy pełnomocnik spadkobierców znajduje się w hotelu?

- Tak, czeka na mnie. Mamy razem zjeść śniadanie.

- A czy powozem można zwiedzić park i ruiny?

- W dużej części tak. Aleje parkowe wokół zamku są przejezdne.

- Po śniadaniu proszę zrobić mi przyjemność i poprosić pełnomocnika o zwiedzenie ruin razem ze mną.

* * *

Ma zupełną słuszność - myślał Albert po odejściu mera. Nie kobiety uwiedzione zasługują na pogardę, lecz uwodziciele. Czy kiedykolwiek odzyskam Magdalenę i jej dziecko? Uczynię wszystko, co w ludzkiej mocy. Jeżeli mi się powiedzie, może Bóg przebaczy mi zbrodnię. Osiadę w okolicy, w której Magdalena żyła, i tu skończę moje dni.

Później nadeszli mer i pan Jeanson. Wszyscy udali się powozem obejrzeć park i ruiny. Po powrocie do hotelu Albert zaprosił ich na obiad.

- Więc kupuje pan? - zapytał pełnomocnik.

- Kupuję.

- I zgadza się pan na cenę?

- Zgadza się. Otrzyma pan sześćset tysięcy franków od mojego bankiera w Nantes po przedstawieniu czeku, który dam notariuszowi sporządzającemu akt kupna-sprzedaży. Zgoda?

- Zgoda.

- Może pan zna jakiegoś zdolnego budowniczego, obeznanego z archeologią?

- Znam.

- Proszę mi dać jego adres, napiszę do niego. Kiedy zobaczy się pan z notariuszem?

- Jutro rano.

- Ponieważ ja nie mogę udać się do niego, niech panowie będą łaskawi przyjść do mnie, w południe.

- Przyjdziemy.

- Przepraszam, nie przedstawiłem się jeszcze. Jestem hrabia Albert de Lussan.

Obaj panowie nie domyślali się, że rozmawiają z osobą tak znaną w Bretanii. Ukłonili się z wielkim szacunkiem.

- Pańska gmina chyba nie jest bardzo bogata? - Albert spojrzał pytająco na mera.

- Przeciwnie, wielce uboga, panie hrabio - odrzekł mer. - Żebraków jest wprawdzie niewiele, ale rodzin potrzebujących znajdzie się sporo.

Albert przywołał Zima.

- Otwórz pugilares - rzekł, podając mu go lewą ręką.

Gdy hindus otworzył portfel, Albert wyjął dziesięć biletów ty-siącfrankowych i podał je merowi, mówiąc:

- To dla pańskich ubogich.

- W imieniu mojej gminy i własnym składam panu hrabiemu serdeczne podziękowanie. Wszyscy będą pana błogosławić.

Wkrótce potem Albert pożegnał się i wraz ze swoim hindusem odjechał do Nantes.

I V

Po upływie roku Albert zamieszkał w nowym pałacu zbudowanym obok ruin starego zamku Clisson. Zamiłowany w pamiątkach przeszłości budowniczy zachował ruiny nietknięte i stworzył malowniczy kontrast z pałacem pomyślanym w stylu Ludwika XIII. Po prawej stronie, gdzie niegdyś stał dom rodziny Bernardów, Albert kazał zbudować kaplicę pod wezwaniem Świętej Magdaleny. Rozległy park został jeszcze powiększony - hrabia dokupił fragment pobliskiego lasu. Majątek otoczono murem i poprowadzono nowe aleje. Stworzono posiadłość najpiękniejszą w całym departamencie.

Dzień, w którym hrabia osiadł w nowym pałacu, zamienionym w istne muzeum dzięki ogromnym sumom wydanym na zakup autentycznych wiekowych mebli, obrazów, gobelinów i rozmaitych dzieł sztuki, był dniem uroczystym dla mieszkańców Clisson. Albert z istic księżęcą hojnością rozdał pieniądze ubogim, a dla ważniejszych mieszkańców miasteczka wyprawił ucztę. Sam, mimo otaczającej go wesołości, pozostał jednak smutny i pochmurny. Myślał o uwiedzionej Magdalenie, tak niecznie opuszczonej. Ileż milionów poświęciłby, żeby się dowiedzieć, co się z nią stało i z dzieckiem.

Od czasu pierwszego przyjazdu do Clisson, kierując się wskazówkami mera, Albert wydał ogromne sumy na poszukiwania. Wszelkie usiłowania pozostały jednak bezskuteczne. Umieszczane od roku codziennie ogłoszenia w większych dziennikach również nie przyniosły rezultatu. Magdalena nie czytywała dzienni-

ków, a znające ją osoby nie wiedziały, że przed poślubieniem Jana Remy nosiła nazwisko Bernard.

W miarę upływu czasu Albert coraz boleśniej odczuwał wyrzuty sumienia. Stały się jego zmorą, tak że w przeciągu kilku miesięcy zmienił się: posiwiał, głębokie zmarszczki zarysowały mu czoło, wychudł. Stał się cieniem samego siebie. Choć posiadał wielki majątek, prowadził dom skromnie. Oprócz Zima, pełniącego obowiązki rządcy i lokaja, personel składał się tylko z kucharki, stangreta, jednego parobka, chłopaka do usług i ogrodnika. Do większych prac w ogrodzie i parku najmowano robotników. Żona ogrodnika, mieszkająca w pawilonie przy bramie, pilnowała wjazdu. Nie wymagało to wiele pracy - brama była zawsze otwarta, by turyści mogli łatwo dostać się do ruin.

Hrabia wstawał późno. Wyjeżdżał powozem na spacer po parku lub okolicy i wracał na śniadanie o jedenastej. Następnie przeglądał dzienniki i przyjmował gości, najczęściej proboszcza lub mera, z którymi rozmawiał o różnych projektach filantropijnych dla gminy. Jego ofiarność była niewyczerpana. Z dzienników dowiedział się o śmierci swojego szwagra, hrabiego Lagardea, ale wypadek ten wcale go nie wzruszył i nie wywołał litości dla wdowy. Hrabiego znał mało, a do siostry nigdy nie czuł sympatii. Z tego powodu nie przesłał wyrazów współczucia, tym bardziej że wypadek hrabiego wydał mu się wielce tajemniczy. Zresztą, cóż go obchodziła Marcela i jej córka. Interesowała go tylko Magdalena i jej dziecko.

* * *

Powiedzieliśmy, że Marcela po przybyciu do Nantes zatrzymała się w hotelu obok stacji kolejowej. Następnego dnia zamierzała pojechać koleją do Clisson. Swój przyjazd chciała ukryć przed znajomymi, nie wiedziała bowiem, jaki skutek przyniesie rozmowa z bratem.

Wstała wcześniej i wykupiwszy bilet klasy pierwszej, zajęła miejsce w przedziale przeznaczonym dla dam. Wraz z nią jechały dwie starsze panie prowadzące ożywioną rozmowę. Marcela, mając twarz zasłoniętą gęstą czarną woalką, siadła z dala od towarzyszek podróży. Rozmyślała, w jaki sposób zacząć rozmowę z Albertem i czym wytłumaczyć swój przyjazd, by nie domyślił się rzeczywistego celu, gdy słowa jednej z dam, zwróciły jej uwagę.

- Jak się ma hrabia Albert de Lussan, dobroczyńca okolicy? -pytała właśnie kobieta.

- Źle - odrzekła jej towarzyszka. - Wielka szkoda, bo to człowiek bardzo dobry. Co za serce! Co za ofiarność! Jego śmierć będzie dla okolicy wielką stratą.

- Zapewne... Więc nie ma nadziei na uleczenie? Czy po powrocie do kraju wezwał znakomitych lekarzy paryskich?

- Owszem, wzywał najznakomitszych specjalistów. Przyjechali, odbyli naradę i oświadczyli, że choroba jest nieuleczalna; we krwi pozostała odrobina jadu żmii. To cud, że żyje i że został sparaliżowany tylko w połowie. Z pewnością chętnie oddałby połowę swojego majątku lekarzowi, który by go wyleczył.

- Podobno hrabia jest bardzo bogaty.

- Niezmiernie.

- Może przesadzają z wielkością jego majątku. Tak często bywa.

- Przeciwnie, hrabia ma więcej niż mówią.

- Ileż?

- Obecnie około dwudziestu milionów. A należy pani wiedzieć, że hrabia mimo wielkiej ofiarności nie wydaje nawet połowy swoich dochodów.

- Ładny kęs dla spadkobierców. Czy ma ich? Ach, prawda, przypominam sobie. Hrabia ma siostrę.

- Tak, hrabinę de Lagarde, już wdowę.

- Zdaje mi się, że ona ma córkę?

- Osiemnastoletnią.

- Czy hrabia Lagarde był bogaty?
 - Mówiono, że bardzo bogaty.
 - To wdowa mogłaby się obejść bez tej sukcesji, córka i tak ma posag.
 - Od przybytku głowa nie boli. Pociąg się zatrzymał.
 - Clisson! Clisson! - rozległy się wołania konduktorów. Marcela wyszła z pociągu i oddawszy walizkę posługaczowi, kazała się zaprowadzić do hotelu, w którym wynajęła pokój na pierwszym piętrze. Jego okna wychodziły na posiadłość brata. Wyrzała przez jedno z tych okien i przyglądała się pięknym widokom. Wszystko to należy do niego! - myślała z zazdrością. Dwadzieścia milionów franków! O osiem milionów więcej niż mówiła mi Julia de Penmore! Dotknięty nieuleczalną chorobą. Może umrzeć za kilka miesięcy, może nawet za kilka tygodni. Wszystko to powinno stać się własnością mojej córki. I stanie się, bez względu na cenę.
- Po kilku minutach Marcela wyszła z hotelu i poszła w stronę otwartej bramy pałacowej. Gdy weszła do parku, spotkała żonę ogrodnika.
- Chciałabym się dowiedzieć, czy hrabia przyjmuje?
 - Nie wiem. Ale tą aleją dojdzie pani do pałacu, a tam lokaj pani powie.
- Marcela udała się wskazaną drogą i spotkawszy na podjeździe Zima, ponowiła pytanie.
- Pan ma się dzisiaj lepiej i przyjmuje - odparł hindus, kłaniając się. - Raczy pani pójść za mną.
- Marcela z bijącym sercem przebyła przedsionek i wspaniałe, pokryte perskim dywanem schody. Na pierwszym piętrze hindus zapytał:
- Kogo mam zaanonsować?

Hrabina podała bilet wizytowy z czarną obwódką. Hindus wziął go, nie patrząc, poprosił Marcelę, by spoczęła, i zniknął za portierą zasłaniającą wejście do salonu. Albert leżał na szeszlunku i przeglądał dzienniki.

- Ma pan wizytę - oznajmił hindus, podając mu bilet. Hrabia wziął bilecik lewą ręką i przeczytawszy, zmarszczył brwi.

- Marcela - szepnął. - Tutaj... - W myślach stawiał sobie pytania: Po co przybyła? Skąd wie, że osiadł w Clisson? Nie troszczyła się o niego za życia męża, aż nagle sobie o nim przypomniała. -Czy ta pani przybyła sama? - zwrócił się do Zima.

- Sama.

- Wprowadź ją. Później odejść, ale bądź blisko, na każde zawołanie.

Zim wyszedł i po chwili wrócił z hrabiną, po czym się oddalił. Marcela, przekroczywszy próg, podniosła woalkę i ze łzami w oczach, z wyciągniętymi ramionami podbiegła do hrabiego.

- Albercie! Bracie mój!

Nagle spostrzegła jego bladą twarz, siwą brodę i gorączkowe płomienie w oczach i krzyknęła. Zdawało się jej, że się spóźniła i widzi przed sobą człowieka konającego. Albert zrozumiał powód tego przestraszu i rzekł powolnym głosem:

- Przestraszyłaś się mnie, prawda? Nie jestem już takim, jakim znałaś mnie dawniej, pełnym sił i zdrowia. Moje dni są policzone. W żyłach moich krąży trucizna, z każdym dniem skracająca życie.

Podczas gdy Albert mówił te słowa, Marcela zapanowała nad sobą, podeszła do niego i dotknawszy jego czoła ustami, powiedziała:

- Albercie, kochany! Bracie mój drogi!

Hrabia się nie poruszył, lecz pomyślał, o pocałunku Judasza. Głośno zaś rzekł:

- Siadaj naprzeciw mnie, nie mogę odwracać głowy.

Hrabina zmieszana nieco zimnym przyjęciem, zajęła wskazane miejsce i oświadczyła:

- Powinieneś wezwać lekarzy.

- Proszę cię, nie mówmy o mnie - przerwał jej Albert. - Mówmy o tobie.

Marcela złożyła ręce i przyjęła postawę błagalną.

- Drogi Albercie, zaklinam cię, przestań być dla mnie taki zimny, prawie niechętny. Nie dawaj mi do zrozumienia, żeś nie zapomniał o przeszłości; nienawiść między nami byłaby uczuciem przeciwnym naturze. Dzieliły nas odmienne poglądy na życie, ale ja nic nie uczyniłam, co mogło wywołać taką niechęć. Dzisiejsze twoje chłodne przyjęcie rani me serce. Przyznaję, źle robiłam, że nie słuchałam twoich rozsądnych rad, ale powinieneś mi przebaczyć. Nie serce było winne, lecz młodość, brak doświadczenia. Przebacz mi.

- Jestem bardzo chory - odrzekł Albert jeszcze chłodniej -

I wszelkie wzruszenie mi szkodzi. Niepotrzebnie płaczesz. Łzy niczego nie dowodzą. Jakkolwiek czasy, o których wspominasz, dawno minęły, nie zapomniałem o nich. - Zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej: - Byłaś niezależna i rządziła się swoimi zasadami, jak ja swoimi... Nie chciałaś słuchać moich rad. Tym gorzej dla ciebie, jeżeli dziś tego żałujesz. Tym lepiej, jeżeli jesteś zadowolona. Nigdy nie wymagałem, byś zdawała mi sprawę ze swoich czynów... Nie robiłem ci uwag za czasów panińskich i może to źle.

Marcela pomyślała, że brat nienawidzi jej od zawsze.

- Nie podzielałem twoich usposobień i nie miałem sympatii do twoich przyjaciół. Byłaś zawsze egoistką, chytrą, skrytą, słowem niebezpieczną. Dobrze cię poznałem. Twój charakter wręcz mnie przestraszył. Nie spodziewałem się po tobie niczego dobrego. Nie zapomniałem o tym wszystkim, a jednak mylisz się, sądząc, że zachowałem urazę. Za co miałbym cię nienawidzić? Każdy urządza sobie życie na swój sposób i wykreśla własną drogę postępowania, według usposobień, fantazji, namiętności czy wad. Wybrana

przeze mnie droga doprowadziła mnie do majątku, to prawda, lecz i do niewymownych cierpień, do przedwczesnej starości, do grobu prawie w sile wieku. Bywają fatalizmy, których niepodobna uniknąć. Jestem w połowie trupem, gdy ty, przy swoich czterdziestu latach i przy swej żałobie, zadziwiasz pięknnością, czerstwością i zdrowiem. Nie zazdroszczę ci, stwierdzam fakt. Wyznaję otwarcie, że przez osiemnaście lat naszego niewidzenia, rzadko o tobie myślałem i jestem pewien, że ty również o mnie nie pamiętałaś.

- Albercie, jesteś okrutny! - zawołała hrabina. - Dlaczego tak źle o mnie myślisz?

- Mówię prawdę. Na próżno usiłowałabyś przekonać mnie, że się mylę. Zresztą to wzajemne zapomnienie było rzeczą naturalną. Nie mając o mnie wiadomości, sądziłaś, że nie żyję, a ja - przyznaję szczerze - podczas długich podróży i pobytu w Indiach prawie zapomniałem, że gdzieś we Francji pozostawiłem siostrę. - Umilkł na chwilę, po czym ze łzami w oczach dodał po cichu: - Niestety! Nie tylko o tym zapomniałem.

- Albercie, dlaczego płaczesz? - zapytała Marcela, sądząc, że to ona jest tych łez przyczyną.

- Z powodu wspomnienia - smutnie odrzekł hrabia. - I nie ma ono z tobą nic wspólnego.

- Bracie mój, ty chyba nigdy mnie nie kochałeś.

- Czy jesteś pewna, że to moja wina? Ale odeszliśmy od tematu. Po co te bezużyteczne słowa. Czemu mam przypisać twoją niespodziewaną wizytę?

- Powód bardzo naturalny. Dowiedziałam się kilka dni temu o twoim powrocie do Francji... i o twym zachwianym zdrowiu... przybyłam też w nadziei znalezienia pociechy i ulgi w swoim nieszczęściu.

- Jeżeli taki miałś cel, dziękuję ci. Sądzę jednak, że słowa współczucia od człowieka umierającego nie mają dla ciebie znaczenia. Zresztą nie jesteś samotna, masz córkę.

- Ach! Więc wiesz, że mam córkę?

- Dowiedziałem się z gazet, jak również o tragicznej śmierci twojego męża.

Wiemy, że hrabina miała osobliwy talent ronienia łez na zawołanie. Toteż wykorzystwała go w tej chwili i zawołała z płaczem:

- Straszna śmierć! Zbrodnia niesłychana!

- Zbrodnia ta zostanie ukarana. Zabójcy, jak zapewniają dzienniki, dzięki zdolnościom przyjaciela twojego męża, a więc i twojego, sędziego śledczego Filipa Kervena, znajdują się już w rękach sprawiedliwości. Widzisz więc, nie jesteś sama na świecie, masz przyjaciół.

- Pan Kerven spełnił tylko obowiązek urzędnika.

- Winszuję mu.

- Zabójcy rzeczywiście ujęci, zostaną skazani, ale ich śmierć nie przywróci mi męża i nie powstrzyma ruiny majątkowej.

- Ruiny... - powtórzył Albert.

- Tak, grożącej mnie i mojej córce.

Marcela doczekała się nareszcie sposobności, by przystąpić do sedna swojej wizyty. Od początku liczyła, że pytania brata w końcu doprowadzą ją do celu.

- Nie rozumiem cię - wtrącił Albert. - Przecież hrabia de Lagarde był bogaty, nawet bardzo bogaty.

- Lecz umarł zupełnie zrujnowany. Nikt o tym nie wiedział.

- Co się stało z jego majątkiem?

- Pochłonęły go ryzykowne przedsiębiorstwa, nieroztropne lokaty, tak że dziś, z wyjątkiem dwóch nieruchomości niedających żadnego dochodu i stanowiących wartość mojego posagu, pozostało mi na utrzymanie zaledwie trzy tysiące sześćset franków rocznie, zapisanych córce do jej pełnoletności...

- Nie zostawił jej nic więcej?

- Dwieście tysięcy franków.

- Tak mało?!

- Tyle tylko ocalało z jego milionów. Pojmujesz więc moją pozycję.
- Tak, ale jest przecież sposób zaradzenia tej sytuacji.
- Jaki? - zapytała Marcela, z niepokojem i obawą oczekując odpowiedzi.
- Mówiłaś, że pozostały ci dwie nieruchomości, które nic nie przynoszą. Jakie?
- Dom w Paryżu przy ulicy Verneuil i willa w Joinville.
- Sprzedaj je, a kapitał ulokuj w pewnych walorach. Mając od ośmiu do dziewięciu tysięcy franków renty, będziesz mogła całkiem dobrze żyć.
- Żartujesz chyba! Chodzi przecież o moją córkę!
- Jej kapitał, wynoszący dwieście tysięcy franków, da jej sześć tysięcy dochodu.
- Dwieście tysięcy franków to tyle, co nic. Kto zechce ją poślubić z tak marnym posagiem?
- Moja droga, nie miałaś niczego, a jednak bez problemu wyszłaś za milionera.
- Ach! - z goryczą zawołała Marcela - nie rozumiesz tego, bo nie jesteś ojcem. Nie o sobie myślę, lecz o mojej córce. Jeśli będę zmuszona rachować się z każdym groszem, nie dam rady utrzymać się na właściwym stanowisku wśród ludzi przywykłych do życia na wielką skalę. A tylko tam moja córka może znaleźć odpowiedniego męża. Rozumiesz dobrze, że w naszym świecie nawet najpiękniejsza panna nie wychodzi za mąż, jeżeli nie ma posagu... przynajmniej w sperandzie.
- Więc wybierz jej męża z innej sfery. Marcela nie kryła oburzenia.
- Jak to! - zawołała. - Więc przypuszczasz, że ja, Marcela de Lussan, wdowa po hrabi de Lagarde rzuciłabym moją córkę w ramiona jakiegoś przemysłowca, kupca czy mieszczanina?! Nigdy! Nigdy

Albert wiedział już, w jakim celu przybyła jego siostra. Hrabina umilkła i czekała na reakcję brata. Ten jednak, zamiast odpowiedzieć na jej okrzyki wzburzenia, zapytał:

- Od kogo dowiedziałas się o moim powrocie do Francji?
- Od Julii de Penmore.
- Rzeczywiście, widziałem się z jej mężem w Clisson i nawet dość długo rozmawialiśmy.
- Dowiedziałam się od niej, że jesteś chory i postanowiłam natychmiast cię odwiedzić.
- Twoja przyjaciółka powiedziała ci zapewne, że wróciłem bardzo bogaty.
- Tak, powiedziała.
- I na ile oceniła wielkość mojego majątku?
- Na dwanaście milionów.
- Omyliła się.
- I mnie się zdawało, że przesadziła.
- Owszem, zaniżyła go.
- Ile więc posiadasz?
- Dwadzieścia milionów.
- Dwadzieścia milionów! - wykrzyknęła zdumiona.
- Nadto park i pałac w Clisson. Widzisz więc, że pani Penmore była źle poinformowana. Gdybym musiał wydać całkowity dochód od mego kapitału, byłbym w kłopotcie. Toteż większą część przeznaczam na cele filantropijne. Myślę, że moi spadkobiercy będą mieli dość pieniędzy, otrzymując sam kapitał.
- Należy mieć nadzieję, że będą długo czekali na spadek.
- A może i krótko - odparł Albert z uśmiechem.
- Czyż podobna, byś podejrzewał ich o takie myśli? Jakże ty masz przekonanie o ludziach.
- Jak najgorsze!
- Albercie, gdybym wiedziała, że to mnie uczyniłeś swoją spadkobierczynią, przysięgam ci, że na klęczkach prosiłabym Boga, aby

jak najdłużej zachował cię przy życiu. Gdyby trzeba było otoczyć cię troskliwością, spędzałabym dni i noce przy tobie, aby cię przekonać, jak przywiązana jestem do ciebie i jak źle mnie zawsze oceniałeś! Czy myślisz, że widząc cię oddanym na łaskę obcych, nie byłoby mi przyjemniej żyć wraz z córką przy tobie? Jestem pewna, że nasza troskliwa opieka przedłużyłaby twoje drogie życie...

- Za nic w świecie - przerwał jej Albert - nie naraziłbym was na przykry widok mych cierpień... Marcelo, choć raz w życiu bądź szczerą. Zrzuć tę maskę, która wskutek długiego używania stała się twoją drugą twarzą, i odpowiedz mi na kilka pytań.

Marcela zrozumiała, że Albert odgadł jej cele. Wciąż jednak nie uważała się za zwyciężoną i postanowiła walczyć dalej.

- Nie potrzebuję zrzucić żadnej maski - odparła. - Nie jestem już ową młodą dziewczyną, którą znałeś dawniej i którą tak niepochlebnie, a niesprawiedliwie, odmalowałeś przed chwilą. Odpowiem ci z całą otwartością na każde pytanie.

Hrabia przez chwilę milczał, a następnie uśmiechnął się.

- Więc powiedz, jaki był rzeczywisty cel twojej wycieczki do Clisson?

- Odpowiedziałam ci już na to pytanie.

- Powiedziałaś mi, że dowiedziawszy się, iż jestem chory, zapragnęłaś mnie odwiedzić.

- Mogę tylko powtórzyć to samo.

- I powzięłaś tę myśl tylko pod wpływem przywiązania rodzinnego, bez żadnej ukrytej myśli?

- Bez żadnej... Jaką mogłam mieć myśl w postanowieniu tak zwykłym, tak naturalnym?

- Widzisz, kochana Marcelo, nie jesteś ze mną szczerą - zakpił Albert z uśmiechem. - Nie chciałaś powiedzieć mi prawdy, lecz ja się domyśliłem.

- Czego się domyśliłeś? Więc zawsze podejrzewasz mnie o brak szczerości?

- Więcej niż podejrzewam, jestem jej pewien. A gdy dowiodę ci, że umiem czytać w twojej duszy, wątpię, czy ośmielisz się zaprzeczyć.

Mimo zwykłej śmiałości Marcela nie mogła wytrzymać wzroku brata i pochylila głowę.

- Wiadomy jest mi oczywisty i jedyny powód twojej wizyty. Powiem ci szczerze, że w zasadzie nie ganię go, podsunęła ci go przecież miłość macierzyńska. Jesteś zrujnowana... Przyszłość twojej córki przedstawia ci się w najczarniejszych kolorach, gdyż, według twego przekonania, szczęście leży w bogactwie. Powiedziałaś sobie, że wszystko będzie dla niej stracone, jeśli nie będzie miała majątku, nie będzie, jak to świat nazywa, świetną partią. A to oznaczałoby, że nie dostanie męża, którego stanowisko pochlebiałoby twojej próżności. Dowiedziawszy się więc, że jestem bardzo bogaty, a zarazem bardzo chory, i wiedząc, że jesteś spadkobierczynią prawną mojego majątku, pomyślałaś sobie, że dobrze by było skorzystać ze spadku jeszcze przed moją śmiercią.

Marcela uczyniła gest oburzenia, lecz Albert zignorował go i mówił dalej:

- Powiedziałaś więc sobie, że łatwo będzie otumanić człowieka chorego i zręcznym odegraniem komedii współczucia i przywiązania rodzinnego uzyskać jakiś milion lub dwa, w oczekiwaniu na resztę. Takie było twoje wyrachowanie, nieprawdaż, siostró kochana?

- Ja miałabym być tak wyrachowana! Nigdy! - zawołała Marcela, wściekła, że brat ją przejrzał.

- Jeżeli sprowadził cię nie rachunek, to co? Pragnęłaś przekonać się, czy nie przesadzono, utrzymując, że stoję nad grobem? Chciałaś zobaczyć, czy prędko obejmiesz mój majątek? Nic się nie zmieniłaś, dziś tak jak dawniej jedynym bodźcem twojego postępowania są pieniądze. Nie chcę byś się łudziła dalej, gdyż doznałabyś przykrego rozczarowania.

Marcela zbladła.

- Rozczarowania... - powtórzyła.

- Tak. Sporządziłem testament.

- I wydziedziczyłeś mnie w nim? - wycedziła.

- Zupełnie.

- Więc mnie i moją córkę, własną krew, wydziedziczasz na korzyść obcych?

- Miałem prawo, ale nie obcym pozostawię mój majątek. Ty troszczysz się o swoją córkę, a ja o swoje dziecko.

- O swoje dziecko? - powtórzyła zdumiona Marcela. -Tak.

- Więc byłeś żonaty? -Nie.

- Więc to jest dziecko nieprawe? -Tak.

- I dla dziecka nieprawego krzywdzisz swoich najbliższych?

- Dziecko to jest nieprawe z mojej winy. Gdybym wówczas był człowiekiem uczciwym, jak jestem nim dziś, byłbym poślubił młodą, uwiedzioną przeze mnie dziewczynę i nie opuścił jej nikczemnie, gdy miała zostać matką. Od pierwszego dnia powrotu do Francji szukam jej na próżno, lecz nie tracę nadziei i ufam, że nie zejdem z tego świata, dopóki nie dowiem się, czy ofiary moje żyją, czy zmarły. Jeżeli żyją, niczego się ode mnie nie spodziewaj, ale jeżeli zmarły, ty odbierzesz mój majątek. Do tego czasu urządź się, jak możesz, i nie licz na mnie. Powtarzam ci: ty troszczysz się o swoją córkę, ja myślę o swoim dziecku.

- O dziecku, którego nawet nie znasz.

- Nie znam z własnej winy.

- I o matce, której niepodobna odszukać! Ależ to szaleństwo!

- Według ciebie, ja sędzę inaczej.

- I cały majątek temu dziecku?

- Wszystko, co posiadam, matce i dziecku.

- Nie masz litości nad moją córką. Jeden milion zapewniłby jej przyszłość o jakiej marzę.

- A może nie przyniosłby jej szczęścia. Zrobiłem już testament.

- Możesz go zniszczyć i napisać nowy.

- Zapewne, lecz nie chcę.

- Dlatego, że mnie nienawidzisz.

- Gdybym cię nienawidził, to w braku dziecka zapisałbym majątek ubogim, a jednak nie uczyniłem tego. Dostanie się on tobie, jeżeli moje dziecko nie żyje.

- Mówisz, że szukałeś go wszędzie?

- Szukam nadal.

- Czy jesteś pewny, że żyje?

- Pewności nie mam, lecz przeczucie mi mówi, że i matka, i dziecko żyją.

- Przeczucie to rzecz zawodna.

- Moje mnie nie zawodzą.

- Dziewczyna była zapewne pochodzenia niskiego. Gdyby należała do naszej sfery, poślubiłbyś ją.

- Pochodziła z ludu. Oddała mi się, gdyż przysiągłem jej, że się z nią ożenię. Popełniłem nikczemność! Bóg ukarał mnie za nią.

- Czy była tutejsza? -Tak.

- Jak się nazywała?

Hrabia miał odpowiedzieć, lecz nagłe podejrzenie powstrzymało mu słowa na ustach.

- Na co ci jej nazwisko? - zapytał, patrząc siostrze w oczy.

- Pragnęłabym cię przekonać o moim przywiązaniu i pomóc ci w poszukiwaniach. Nazwisko dałoby mi wskazówkę. Byłabym szczęśliwa, gdybym ich znalazła i mogła ci oddać tych, których oplakujesz.

Raczej utrudniłabyś mi poszukiwania - pomyślał Albert.

- Powiedz mi jej nazwisko, tej biednej, opuszczonej dziewczyny - nalegała hrabina. Przysięgam co, że będę jej szukała. Pragnę uwolnić cię od wyrzutów sumienia.

- Dowiesz się później.

- Później! Kiedy?

- W dzień otwarcia testamentu, który złożyłem u notariusza. Marcela pochyliła głowę, usiłując stłumić wrzący w niej gniew.

Widziała, że nie przekona brata, który czytał w jej duszy jak w otwartej księdze.

Albert, czując się zmęczony wskutek przymusu zadawanego sobie od początku rozmowy, rzekł po dłuższym milczeniu:

- Wszak nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Marcela podniosła zachmurzone oblicze.

- Więc nie będziesz miał litości nad moją córką?

- Po co powtarzasz pytanie, na które znasz już odpowiedź? Rzecz skończona. Kiedy wracasz do Paryża?

- Dziś, wieczornym pociągiem.

- Czy zatrzymałaś się w hotelu? -Tak.

- Nie zatrzymuję cię na śniadaniu. Nie jadłabyś go, gdyż z wyjątkiem dni przyjęć żyję jak anachoreta.

Marcela powstała z oczami iskrzącymi od gniewu.

- Zostaw mi swój adres - dodał Albert - żeby po mojej śmierci notariusz mógł cię zawiadomić o dniu otwarcia testamentu.

- Ulica Verneuil siedemnaście - odrzekła chłodno Marcela. Albert zadzwonił i gdy wszedł Zim, rozkazał mu odprowadzić hrabinę.

- Do widzenia - rzekła hrabina tonem pogróżki.

- Do widzenia - pożegnał się hrabia.

Marcela opuściła na twarz woalkę i z podniesioną głową wyszła z pałacu.

Albert spoglądał za odchodzącą. Przybyła, żeby przekonać się, ile mi jeszcze pozostało życia - myślał. Jest moją najbliższą krewną i jeżeli nie odzyskam Magdaleny i jej dziecka, to odziedziczy po mnie. Dopóki jednak będę miał choć odrobinę nadziei, nie zmienię testamentu.

Hrabia odgadł myśli swej siostry. Znał ją i uważał za zdolną do wszystkiego, nawet do zbrodni, jeżeli przyniosłaby jej korzyść. Gdyby mu ktoś wyjaśnił tajemniczą zbrodnię w Joinville, nie zdziwiłby się wcale. Jakieś przeczucie, a wiemy, że w nie wierzył, mówiło mu, iż Marcela i Filip Kerven mieli udział w tym krwawym dramacie. Tylko ze względu na jej córkę nie wydziedziczył jej zupełnie, nawet wtedy, gdyby Magdalena nie została odzyskana.

Hrabina Lagarde opuściła pałac zawiedziona i z nienawiścią w sercu. Jakieś dziecko - mówiła do siebie w myślach - i do tego nieprawie, zagarnie miliony, które prawnie należą się mnie! A ja nie znam nawet nazwiska tej podłej istoty, co córkę moją obędzie z tak wspaniałej sukcesji! Odgadł mnie i domyślił się, że utrudniłabym mu poszukiwania, a w razie czego pozbyłabym się i matki, i córki! Jestem bezsilna.

Po powrocie do hotelu zapytała o godzinę odejścia pociągu do Nantes i kazała podać śniadanie. Gdy nieco się uspokoiła, zaczęła rozmyślać nad swoim położeniem. W końcu powiedziała sobie, że skoro jej brat od dwóch lat, nie oszczędzając pieniędzy, bezskutecznie szuka dawnej kochanki, prawdopodobnie nigdy jej nie odnajdzie. Bardzo być może, że i matka, i dziecko nie żyją. Wierzyła w zapewnienia brata, że jeśli nie znajdzie dziecka, majątek dostanie się jej. Tylko kiedy to będzie? Albert nie zmieni testamentu, to nie ulega wątpliwości, ale czy nie można wytoczyć procesu o jego unieważnienie? Przecież prawo nie pozwala zapisywać majątku osobom uważanym za zmarłe, a w każdym razie takim, których istnienia niepodobna dowieść.

Marcela wróciła więc do dawnego projektu: wydania Heleny za bratanka Filipa, bogatego Rogera de Kervena. Związek ten wydawał się jej jedynym środkiem ratunku w obecnej chwili. Później Helena odziedziczy majątek po Albercie i tym sposobem uniknie upokorzenia, zawsze idącego w parze z ubóstwem. Marceli przyszedł nawet na myśl pomysł podwójnego związku: Heleny z Rogerem, a jej z Filipem, związku, który zrobiłby z nich jedną rodzinę. W weselszym nastroju wsiadła do wagonu i odjechała do Nantes.

V

Podczas podróży z Clisson do Nantes Marcelę naszła ochota odwiedzenia państwa Mercoeur. Chciała uścisnąć córkę, dla której toczyła tak zaciętą walkę. Odpoczęła więc kilka godzin w kolejnym hotelu i pociągiem pospiesznym wyruszyła do Blossieres.

Wiemy jakiego zawodu doznała Helena, gdy po powrocie do państwa Mercoeur, dowiedziała się o wyjeździe Andrzeja do Szwajcarii. Helena usiłowała okazać obojętność, ale nie zdołała ukryć smutku. Na pytania pani Mercoeur, odpowiadała, że przeżywa tragiczną śmierć ojca. Tłumaczenie to było tak naturalne, że nikt nie podejrzewał, iż powód może być inny. Dni upływały jej jednostajnie i smutno, wyszukiwane specjalnie dla niej rozrywki męczyły ją, tym bardziej że do melancholijnie usposobionej duszy przyłączyły się zazdrość i obawa, że Andrzej, pozostając w oddaleniu tak długo, może pokochać inną kobietę. Niespodziewane przybycie matki przeraziło ją, przypuszczała bowiem, że Marcela zechce ją zabrać do Paryża.

Państwo Mercoeur kochali hrabinę Lagarde i mieli nadzieję, że serdecznym przyjęciem złagodzą jej boleść.

- Teraz przyjechałaś chyba do nas na dłużej, Marcelo - ni to spytała, ni to oznajmiła pani Mercoeur.

- Nie, moja droga. Chciałam tylko uścisnąć Helenę i podziękować za waszą troskliwość, a zarazem prosić, byście zatrzymali ją jeszcze jakiś czas.

Twarz Heleny się rozpromieniła.

- Ależ z największą przyjemnością! Pod jednym wszakże warunkiem.
 - Jakim? - zapytała hrabina.
 - Musi odzyskać dawny humor i nie pograżać się w smutnych myślach.
 - Przyrzekam, że będę wesoła! - zawołała Helena.
 - Taki smutek jest naturalny po stracie ojca. Rozumiem cię i dzielam te uczucia, powinnaś jednak pamiętać o swoim zdrowiu - powiedziała Marcela. W myśli zaś dodała: Gdybyś wiedziała, że twój ojciec cię zrujnował, nie żałowałabyś go.
 - Jak długo u nas zabawisz? - dopytywała się pani Mercoeur.
 - Dziś i jutro.
 - Tak krótko!
 - Interesy wymagają mojej obecności w Paryżu. Gdybym nie była zmuszona jeździć do Nantes, wcale bym nie przyjechała.
- Podczas śniadania przybył dzierżawca młynów, Ludwik Brestois, z listem w ręku.
- Przepraszam za wizytę nie w porę, ale otrzymałem list od syna, a nie mogę mu odpisać, nie naradziwszy się z panią margrabiną.
 - Niepotrzebnie przepraszasz, zawsze widzimy cię z przyjemnością.
- O co chodzi?
- O młyny, które syn badał w Szwajcarii.
 - I cóż?
 - Przekonał się, że przy zastosowaniu nowego systemu nasze młyny mogłyby produkować o trzydzieści procent więcej.
 - A jak prędko wzrost ten pokryłyby koszty nowych urządzeń?
 - W ciągu trzech lat.
 - Czy to pewne?
 - Pewne. Andrzej jest człowiekiem poważnym, zna się na tym i zbadał wszystko dobrze.
 - Więc niech pan sprowadza nowe urządzenia, a ja zwrócę Andrzejowi połowę kosztów. Ile będzie ten system kosztować?

- Trzydzieści tysięcy franków.
- A wymiana?
- Dwadzieścia tysięcy Andrzej przysłał kosztorys.
- Słowem pięćdziesiąt tysięcy, czyli na mnie dwadzieścia pięć tysięcy. Czy potrzebuje pan pieniędzy teraz?
- Nie, panie margrabio.
- A kiedy wraca pański syn? - zapytała pani Mercoeur.
- Za dwa tygodnie.

Margrabia odprowadził Ludwika Brestoisa do drzwi pokoju i pożegnał go serdecznym uściskiem ręki.

- Dzielni ludzie, i ojciec, i syn - powiedział, siadając przy stole. - Uczciwi i bardzo inteligentni. Syn, inżynier, bardzo zdolny, mógłby zrobić świetną karierę, gdyby chciał zużytkować swoje zdolności. Zagrzebał się na wsi, by nie rozstawać się z ojcem. Co znaczy prawdziwe synowskie przywiązanie.

- Andrzej jest trochę poetą - wtrąciła pani Mercoeur. - Lubi wieś, woli spokojne życie niż zgiełk wielkich miast. Pokochał tę okolicę i zdaje mi się, że marzy o tym, aby założyć tu rodzinę i osiaść na zawsze.

- To akurat nie powinno być trudne - stwierdziła Marcela. - Ożeni się z córką jakiegoś bogatego młynarza lub rolnika.

- Andrzej wart czegoś lepszego - rzekł margrabia. - W każdym razie, gdyby zakochał się w córce jakiegoś młynarza, winszowałbym jej. To człowiek wyjątkowej zacności i przyznam się pani, że gdybym miał córkę, chętnie wydałbym ją za niego.

- Pan, margrabia! - Marcela było zdumiona. - I nie zważałby pan na mezaliansy?

- Droga pani, słowo „mezaliansy” wyszło już z mody, a choćby nawet nie straciło swojego znaczenia, nie dbałbym o to, gdybym tylko mej córce mógł zapewnić szczęście.

- A ja myślę, że mezaliansy nigdy nie przynosi szczęścia. Czy panna dobrze urodzona, wychowana odpowiednio do swojego

pochodzenia przyzwyczajona do hołdów w swojej sferze, może się pogodzić ze stanem miernym i życiem wśród ludzi niepodzielających jej usposobień i zasad? Nie, margrabio, nie mógłby pan skazać córki na coś takiego.

- Przykro mi, że nie mogę się z panią zgodzić.

- A ja z panem!

- Więc nie chciałyby pani, aby córka wiodła skromne, spokojne życie na wsi, wprawdzie pozbawione hałaśliwych rozrywek, lecz w zamian wolne od niepokoju i przykrości?

- Naturalnie, że nie. Za nic nie pozwoliłabym córce poślubić człowieka, który nie należy do naszego środowiska! Niech takie zasady ludzie nazywają śmiesznymi, dla mnie wyraz „mezalians” zachował całe znaczenie! Gdybym miała wybierać dla Heleny klasztor lub mezalians, wybrałabym klasztor.

Słowa Marceli przestraszyły Helenę. Prędko jednak otrząsnęła się z przykrego wrażenia wywołanego rozmową podczas śniadania. Myślała o Andrzeju, a będąc pewna, że zobaczy go za dwa tygodnie, czuła się szczęśliwa.

Powstali od stołu i udali się na przechadzkę do parku. Rozmawiano o śmierci hrabiego, co po raz kolejny zmusiło Marcelę do odegrania niepokieszonej wdowy i do obfitego wylewania łez. Troskliwie omijała tematy mogące wywołać rozmowę o jej położeniu majątkowym, pragnęła bowiem, by wszyscy uważali ją za bogatą.

Następnego dnia, odprowadzona przez panią Mercoeur i Helenę, Marcela odjechała do Paryża. Spotkała się tam z Filipem. Doznany przez hrabinę zawód nie zdziwił sędziego, zdumiała go natomiast wiadomość o dziecku Alberta de Lussan.

- Hrabia zmyślił bajeczkę - rzekł do Marceli - aby w grzeczny sposób pozbyć się ciebie. Wydziedziczy cię i cały majątek zapisze na cele filantropijne.

- I taki testament będzie zgodny z prawem?

- Oczywiście.

- A jeżeli naprawdę on ma dziecko?
- Jeżeli żyją jego kochanka i dziecko, majątek dostanie się im.
- I takiego testamentu nie można obalić?
- To zależy od treści i zachowania formalności. W każdym razie to pewne, że gdyby hrabia umarł przed odszukaniem matki i dziecka, można zakwestionować ważność testamentu.

- Ach, niech umiera jak najprędzej! - zawołała Marcela w przystępie gniewu. - Gdybym mogła, przyspieszyłabym jego śmierć! Właśnie o tym myślę.

Filip, słysząc te słowa, poczuł, jak krew stygnie mu w żyłach.

- Dość tych zbrodni! - krzyknął. - Dość krwi! Pożegnał Marcelę i odszedł zaniepokojony.

* * *

Gabriela Remy, córka Alberta de Lussan, którą kował Jan Remy, poślubiając Magdalенę Bernard, uznał za własną, przychodziła już do zdrowia, ale nie mogła jeszcze opuszczać mieszkania, a więc i odwiedzić ojca przesiadującego w więzieniu. Tymczasem w domu było z każdym dniem coraz gorzej, brakowało pieniędzy i życie obu kobiet stało się bardzo ciężkie. Przedsiębiorca Rety przyszedł im wprawdzie jeszcze raz z pomocą, ale w rozmiarach już znacznie mniejszych. Jako rekonwalescentka Gabriela musiała dobrze się odżywiać i tak było, w zamian jednak Magdalena jadła ledwo tyle, by nie umrzeć z głodu.

Los więźniów miał się wkrótce rozstrzygnąć. Magdalena otrzymała wezwanie, by stawiała się przed sądem w charakterze świadka w czwartek. Wszystkie gazety zawiadamiały czytelników o terminie sprawy i przypominały znane szczegóły zbrodni. Wielki Dzieciak i Wiewiórka, choć zajęci drobnymi interesami, od pewnego czasu dość korzystnymi, postanowili udać się na posiedzenie sądu. Czekali na czwartek z niecierpliwością, ale też z wyrzutami

sumienia, bo gdyby zdobyli się na odwagę i przyznali do kradzieży, a następnie podrzucenia w kuźni sreber, obaj niewinni biedacy zostaliby uwolnieni. Wtedy jednak sami stanęliby przed sądem, a że bliższa ciału koszula niż sukmana, milczeli. Terminu rozprawy z niecierpliwością oczekiwali również Filip Kerven i jego współniczka Marcela.

Nadszedł czwartek. Kilka dni wcześniej obaj oskarżeni przewiezieni zostali do więzienia Conciergerie, mogli rozmawiać ze sobą i porozumiewać się z adwokatem.

- Zdaje się, że jesteśmy zgubieni - oznajmił kowal z boleścią.

Paweł Giret był tego samego zdania, milczał jednak, by nie powiększać rozpacz przyjaciela. Usiłował nawet podtrzymać w nim nadzieję, lecz bezskutecznie. Magdalena przysłała im ubranie, by mogli przyzwoicie pokazać się przed sędzią i publicznością. Włożyli te ubrania w czwartek rano i oczekiwali wyznaczonej godziny.

Zbity tłum zappełniał wielką salę sądową po brzegi. Wielki Dzieciak i Wiewiórka, przedarłszy się do pierwszego szeregu, stali oparci o barierę oddzielającą ławki świadków i patrzyli zaniepokojeni. Ale świadków było niewiele, salę zaś zajęła publiczność w większej części doborowa i uprzywilejowana. Zdawało się, że wszyscy adwokaci paryscy naznaczyli sobie na ten dzień schadzkę w sali sądowej. Taki sam ścisk panował na trybunie dziennikarzy. Dowody rzeczowe spoczywały na oddzielnym, przeznaczonym do tego celu stole.

Woźni się uwijali, składając akta na stole prezesa i prokuratora. Wreszcie przybył adwokat oskarżonych i zajął swoje miejsce. Na ławce świadków zasiedli: przedsiębiorca robót kanalizacyjnych Rety, Walenty ogrodnik, Magdalena i kilka innych osób. Magdalena, blada i drżąca, miała na sobie czarną suknię. Publiczność była poruszona. Rozmawiano i spierano się, a rozmowy, choć prowadzone półgłosem, sprawiały wrażenie zgielku.

Wielki Dzieciak, rzuciwszy wzrokiem na salę i przekonawszy się, że nikt na niego nie patrzy, nachylił się ku Wiewiórcie i szepnął jej do ucha:

- Cokolwiek będą mówili lub robili, nie puszczaj pary z ust.

Wybiła jedenasta. Po chwili rozległy się dwa uderzenia dzwonka i sędziowie przysięgli weszli do sali. Zajęli swoje miejsca. Kilka sekund później próg sali przekroczył woźny i uroczystym głosem zawołał:

- Proszę powstać!

Wszyscy powstali, odkrywając głowy. Zapanowało głębokie milczenie. Do sali wkroczyli teraz prezes sądu, asesorowie, prokurator i sekretarz. Po czym wprowadzono pod eskortą Jana Remy oraz Pawła Gireta i posadzono na ławce oskarżonych.

VI

Jan Remy i Paweł Giret siedzieli bladzi i zmizerowani, lecz I z głową podniesioną do góry i wzrokiem spokojnym. Zdawało I się, że odzyskali energię i byli przygotowani do mającej nastąpić rozprawy. Wszystkie oczy zwrócone były na nich, a w większości spojrzeń widać było niezdrową ciekawość tłumu, lubiącego się karmić cierpieniem bliźniego, zadowolenie dzikich zwierząt na widok ofiar przeznaczonych na śmierć.

- Nie ulega wątpliwości, że to zabójcy! Proszę tylko patrzeć na ich twarze, postawy - szeptano w tłumie.

Mylono się. Oblicza oskarżonych wyrażały raczej cierpienie i uczciwość. Ale tłum sądzi swoje. Przystąpiono do odczytania listy sędziów przysięgłych, po czym prezydujący zapytał oskarżonych o ich nazwiska, wiek, zajęcie, mieszkanie i miejsce urodzenia. Po złożeniu przez sędziów przysięgi, prezydujący zwrócił się do sekretarza i polecił odczytać akt oskarżenia. Ten głosem czystym i wyraźnym, lecz zimno jednostajnym, bez najmniejszego nacisku na zdania lub wyrazy, przystąpił do czytania.

Remy i Giret słuchali z pozornym spokojem. Po ukończeniu czytania aktu oskarżenia prezydujący przemówił:

- Oto ciężące na was zarzuty. A teraz głos ma pan prokurator. Nie przytaczając w całości mowy tego ostatniego, ograniczmy się jedynie do wzmianki, że mowa ta została oparta na protokołach śledztwa przeprowadzonego przez Filipa Kervena i przedstawiała oskarżonych jako zatwardziałych zabójców niezasługujących na litość. Słuchając tej mowy, oskarżeni niejednokrotnie mieli ochotę

zaprotestować choć jednym słowem lub gestem, ale zwrócony na nich wzrok adwokata nakazywał im milczenie.

Prokurator podał sekretarzowi listę świadków, a ten odczytał ją na głos. Nazwisko Magdaleny nie wywołało żadnego wrażenia, tylko Remy i Giret zwrócili wzrok na biedną zapłakaną kobietę i z trudnością stłumili w sobie objaw żalu. Prezydujący polecił wprowadzić świadków do przeznaczonych dla nich sali, z której mieli być wzywani pojedynczo.

Marcela, zainteresowana więcej niż ktokolwiek inny obrotem sprawy, oczekiwała na wyrok w gabinecie sędziego śledczego.

Gdy rozpoczęło się badanie oskarżonych, w sali nastąpiła cisza tak wielka, iż słyhać było brzęk muchy.

- Remy - odezwał się prezydujący - co masz do powiedzenia na swoją obronę?

- Nic więcej panie prezesie - odrzekł kowal głosem spokojnym - nad to, co już oświadczyłem podczas śledztwa.

- Nie do mnie mów, lecz do panów sędziów przysięgłych. Remy zwrócił się ku sędziom i ciągnął dalej:

- Oskarżono nas przez pomyłkę, gdyż nie jesteśmy ani złodziejami, ani zabójcami. Tylko zbieg okoliczności, dziwnych i nieszczęśliwych, spowodował osądzenie nas o kradzież i morderstwo. Nie jesteśmy w stanie się bronić, gdyż nie możemy dostarczyć dowodów, jak spędziliśmy czas od chwili opuszczenia Nogent do powrotu do oberży w Joinville. Znalezione w mej kuźni naczynia srebrne i krwią zbroczony pugilares z cyframi hrabiego Lagarde; a na mojej koszuli ślad krwi. Wyjaśniłem już w jaki sposób pugilares dostał się do mych rąk i skąd znalazła się krew na koszuli. Lecz nie chciano mi wierzyć. Dziś nie mam nic więcej do dodania, niż to, co zeznałem, i mogę tylko powtórzyć: jestem niewinny!

- Więc nie zmieniłeś systemu obrony i zaprzeczasz dalej?

- Nie mogę się przyznać, gdyż nie popełniłem zbrodni, o którą jestem oskarżony.

- Nie rabowałeś willi? -Nie.
 - Nie zamordowałeś hrabiego Lagarde?
 - Nie.
 - Ależ nieszczęśliwy, zaprzeczasz jawnym faktom! Pomyśl tylko, wszystko oskarża ciebie!
 - Wiem o tym.
 - Świadkowie o przeszłości twej zeznali przychylnie. Uchodziłeś zawsze za człowieka uczciwego.
 - I jestem nim nadal.
 - To ocenią panowie przysięgli. Paweł Giret! Czy masz do powiedzenia coś na swoją obronę przeciw oskarżeniu o współnictwo w zabójstwie popełnionym przez Jana Remy?
 - Nic, panie prezesie i panowie sędziowie przysięgli. Przed sędzią śledczym wyznałem całą prawdę i równie jak Remy powtarzam: jestem niewinny!
 - Więc także postanowiłeś zaprzeczać do końca?
 - To żadne postanowienie, panie prezesie. Byłoby ono nedorzecznnością wobec oskarżających nas dowodów. Cóż mogę powiedzieć więcej? Uchylam głowę przed fatalnością i nie oskarżam sprawiedliwości o zaślepienie... lecz zapytuję: co pan, jako przedstawiciel sprawiedliwości, uczyniłby, gdyby tak został pochwycony w nierozwikłaną sieć, pojmował bezskuteczność walki i czuł się zagubiony... Co pan powiedziałby na swoją obronę? Nic, chyba to tylko, iż jest pan niewinny. Więc i my to mówimy, nawet pod gilotyną, jeżeli nas na nią zaprowadzą!
- Słowa te, jak również odpowiedzi Jana Remy, w niczym nie były podobne do wygłaszanych zwykle przemówień przestępców, którzy usiłują bronić się najrozmaitszymi błazeństwami i wylewają fałszywe łzy dla rozczulenia sędziów przysięgłych. Pełna godności postawa więźniów uznających się zwycięzonymi, lecz nie winowajcami, sprawiła wrażenie na publiczności.

- Janie Remy, czy poznajesz to narzędzie, którym zabiłeś hrabiego Lagarde? - zapytał prezydent

- Poznaję, sam je robiłem, ale nie przyznaję się, że zabiłem hrabiego.

- Czy poznajesz również oskard, którym wyłamywałeś drzwi?

- Nie, panie prezesie, nie poznaję.

- Więc w jaki sposób znalazł się w twojej kuźni?

- W taki sam, w jaki znalazły się i srebra. Gdybym umiał to wyjaśnić, sprawa przyjęłaby inny obrót i uniewinniono by nas.

- Tego wieczora, w którym popełniona została zbrodnia, mieliście obaj na nogach trzewiki; w pokojach zaś, których drzwi były wyłamane, znaleziono odciski, których miara zgadza się z miarą waszych butów.

- To zbieg fatalnych okoliczności, panie prezesie.

- Ciągłe powołujesz się na fatalność. Czy to ona sprawiła, że ślady tych samych trzewików, lecz już krwawe, znalazły się na kamieniach tamy w Joinville, z której zrzuciliście trupa zamordowanego człowieka?! Otóż twoje trzewiki, jak również Gireta, były zakrwawione. Nie zaprzeczysz temu, gdyż trzewiki te wraz z innymi dowodami leżą na stole.

- Przechodząc nabrzeżem musieliśmy natrafić na rozlaną krew, której ślady pozostały na trzewikach. Rzecz bardzo naturalna.

- Ach, nazywasz to rzeczą naturalną! Taka to twoja obrona!

Prokurator wzruszył ramionami, sędziowie przysięgli uśmiechnęli się z politowaniem, na sali żartowano półgłosem. Wielki Dzieciak pochylił się naprzód i szepnął do Wiewiórki:

- A jednak to prawda. Prezydent zapytał znowu:

- To w jaki sposób, według ciebie, w twojej kuźni znalazły się srebra z kradzieży?

- Nie wiem na pewno, lecz się domyślam.

- Mianowicie?

- Prawdopodobnie złodzieje zakradli się do willi hrabiego Lagarde, zabrali srebra, a następnie ścigani lub obawiający się nieść ze sobą zdobycz ukryli ją w mojej kuźni.

Tak było - w myślach przytaknęli Wielki Dzieciak i Wiewiórka.

- To rzecz niemożliwa - odrzekł prezydujący.

- Dlaczego?

- Dlatego, że raporty policji i żandarmów z Joinville nie donoszą o żadnym pościgu owej nocy.

- Więc nie umiem wytłumaczyć sobie tego inaczej.

- Czy skrwawiony pugilares, jakoby znaleziony przez ciebie na trawie, nie zawierał żadnych papierów?

- Żadnych.

- Więc po co go zachowałeś?

- Sam nie wiem. Włożyłem go do kieszeni bezwiednie.

- Albo żeby zniszczyć po wyjęciu papierów. Remy nic nie odpowiedział.

Prezydujący zarządził przesłuchanie świadków. Zeznania rybaków, którzy wyciągnęli z wody ciało hrabiego, były krótkie i nie przyczyniły się do wyjaśnienia sprawy. Przywołano ogrodnika Walentego.

- Zeznałeś - rzekł prezydujący - żeś odjechał z willi dziesiątego kwietnia rano.

- Tak, panie prezesie. Jeździłem do chorego ojca. Umarł kilka dni później.

- Czy miałeś pozwolenie na wyjazd?

- Miałem od pani hrabiny, u której byłem tego dnia. Zostawiłem jej klucze.

- Czy w Joinville wiedział ktoś o twoim wyjeździe?

- Wiedział piekarz, którego uprzedziłem, by nie przywoził bułek.

- Czy twoją rozmowę z nim słyszał Giret?

- Zapewne tak, stał kilka kroków od nas. Prezydujący przywołał Gireta i zapytał:

- Czy słyszałeś zeznanie świadka?
- Słyszałem.
- Czy zaprzeczasz, że słyszałeś jego rozmowę z piekarzem?
- Nie. Stałem blisko i słyszałem jego słowa, nie zwróciłem na nie jednak uwagi, bo nie obchodziły mnie.
- Nie obchodziły cię? To była dla ciebie ważna wiadomość, dowiedziałeś się, że willa pozostawiona będzie bez nadzoru, więc będziesz mógł swobodnie dostać się do środka.
- Przepraszam pana prezesa - z goryczą powiedział Giret - zapomniałem, że jestem oskarżony o kradzież i zabójstwo. Niepotrzebnie pan prezes pytałby mnie dalej, nie będę więcej odpowiadał.
- Zeznałeś - mówił w dalszym ciągu prezydujący do Walentego - żeś znalazł na wybrzeżu jakieś żelazne narzędzie.
- Tak, panie prezesie, ale ponieważ spieszyłem się do Paryża, przerzuciłem je przez mur do parku.
- Czy nie zauważyłeś, że na rękojeści tego narzędzia była żelazem wypalona cyfra przedsiębiorcy robót kanalizacyjnych?
- Nie zauważyłem.
- Zwracam uwagę panów sędziów przysięgłych - złośliwie odezwał się prokurator - że wspomniane przez świadka narzędzie nie zostało odnalezione podczas śledztwa. To bardzo istotny szczegół. Scena zabójstwa odbyła się zapewne w sposób następujący: oskarżeni, wybierając się do willi na zaplanowaną wyprawę złodziejską, nie zaopatrzyli się w broń, wiedzieli bowiem, że nie zastaną tam nikogo. Nie mogli przypuszczać, że hrabia niespodziewanie przyjedzie w nocy. W chwili gdy wchodził i gdy złodzieje zostali pochwyceni na gorącym uczynku, jeden z nich potracił nogą narzędzie, podniósł je i skorzystał z niego.
- To podstępna insynuacja! - zawołał obrońca oskarżonych.
- To, co pan nazywasz insynuacją, zawierają akta śledcze - zauważył prokurator. - Tak pomyślał świadek i zeznał to do protokołu.

- Rzeczywiście, oświadczyłem to sędziemu śledczemu - przytaknął Walenty.

- Czy tak było? - Prezydujący zwrócił się teraz do kowala.

- Jak Giret - powiedział Remy, wstając - nie będę więcej odpowiadać na pytania.

- Możesz odejść - rzekł prezydujący do Walentego.

Teraz wezwano świadków wskazanych przez oskarżonych. Pierwszy z nich, przedsiębiorca Rety, nie mógł znaleźć słów na pochwałę swoich pracowników. W ich obronie wypowiedział nawet gorącą mowę. Inni też wyrażali się o nich jak najlepiej. Ale co sędziów przysięgłych mogła obchodzić przeszłość, skoro przed ich oczami leżały wszystkie dowody zbrodni.

Ostatnim świadkiem była Magdalena. Gdy woźny wyczytał jej nazwisko, Remy i Giret zwrócili głowy ku drzwiom. Weszła blada, drżąca, zaledwie trzymająca się na nogach. Więźniowie spostrzegłszy jej zmienioną twarz, zadrżeli z bólu i powstali, jakby chcieli do niej podbiec, lecz strażnicy położeniem ręki na ich ramionach zatrzymali ich na miejscu. Magdalena spojrzała na oskarżonych i zakryła twarz rękami. Wielki Dzieciak i Wiewiórka przycisnęli się do siebie i nie mając odwagi spojrzeć sobie w oczy, nerwowo ściskali dłonie. Ogarniało ich coraz większe wzburzenie, w miarę jak dramat zbliżał się ku końcowi. Czuli, że popełniają nikczemność, znali bowiem prawdę i pozwalali ginąć niewinnym.

Prezydujący zwrócił się do Magdaleny:

- Czy dziesiątego kwietnia jeździła pani wraz z córką do Joinville?

- Jeździłam.

- W jakim celu?

- Zawiozłam mężowi i Giretowi bieliznę do zmiany.

- Więc miała pani dwa pakunki?

- Nie, tylko jeden. Wszystkie bielizna zawinięta była w serwetę.

- Czy pani sama ją zawijała?
- Sama.
- Czy jest pani pewna, że na koszuli męża nie było plamy?
- Nie było.
- Słyszysz, Remy, świadek utrzymuje, że koszula była zupełnie czysta. Tymczasem następnego dnia po zbrodni pan sędzia śledczy zauważył krwawą plamę.
- Nie zmieniałem bielizny - odparł kowal. - Plama była na koszuli, którą miałem na sobie, idąc do Nogent. Podjąwszy z ziemi zakrwawiony pugilares i kładąc go do bocznej kieszeni, dotknąłem zapewne koszuli. Mówiłem to sędziemu śledczemu.
- O której godzinie przybyła pani do kuźni?
- Kwadrans przed siódmą, gdy robotnicy już się rozchodzili.
- Następnie w towarzystwie męża, córki i Gireta udała się pani do Nogent i zjadła obiad w Restauracji Rybackiej?
- Tak, panie prezesie. Byłam szczęśliwa, mogąc spędzić kilka chwil z mężem, jego przyjacielem i córką. Ach, gdybym była wiedziała...
Biedna kobieta, niezdolna dłużej panować nad sobą, załkała głośno.
- Pan nie wie, jak zgodnie żyliśmy ze sobą i jak się kochaliśmy. Pan nie wie, jaki to dobry człowiek, on żył tylko dla mnie i dla mojej córki.
- Proszę odpowiadać tylko na moje pytania - surowo nakazał prezydujący. - O której godzinie opuściła pani restaurację w Nogent?
- Dwadzieścia minut przed dziesiątą. Mąż mój, niezwykle do trunków, wypił trochę zbyt wiele. Chciał jeszcze dłużej siedzieć, ale Giret zauważył, że następnego dnia muszą rano iść do roboty, więc Jan, nie opierając się, odszedł z nim. A ja z córką udałyśmy się na stację.

- I przez cały wieczór żaden z nich nie mówił, że mają jakiś inny interes, zmuszający ich do powrotu?

Prezydujący, zadając to podstępne pytanie, liczył, że niedoświadczona kobieta, nie zastanawiając się nad znaczeniem jego słów, wygada się z czymś kompromitującym więźnia. Lecz Magdalena, czujna mimo znękania na wszystko, co miało związek z oskarżeniem męża, zrozumiała podstęp i podniósłszy głowę, odrzekła drżącym głosem:

- Domyślam się znaczenia pańskich słów. Pragnąłby pan uczynić ze mnie swoją pomocnicę w oskarżeniu niewinnych. Mówię: niewinnych, i przysięgam na to! Jeżeli oni są winnymi, to ja jestem ich współniczką! Jeżeli sędziowie ich potępią, to niech potępią i mnie! Zasługują na karę, tak samo jak ja! Panowie nazywacie się przedstawicielami sprawiedliwości! Ach, ślepa to, głucha i niemiłosierna sprawiedliwość!

- Sprawiedliwość nie jest niemiłosierna, gdyż rozumiejąc pani bolesne położenie, przebaczam te obraźliwe słowa. Proszę odejść!

Magdalena chciała odpowiedzieć jeszcze gwałtowniej, lecz na znak prezydującego podszedł do niej woźny i ująwszy ją za ramię, odprowadził do ławy przeznaczonej dla świadków.

- Proszę już nic nie mówić. Inaczej zostanie pani pociągnięta do odpowiedzialności i zaszkodzi mężowi! - powiedział do niej cicho.

Ten ostatni argument skłonił Magdalenę do milczenia.

- Remy i Giret - zaczął uroczyście prezydujący - czy macie jeszcze coś do powiedzenia na swoją obronę?

- Nie. Chyba tylko to, że jesteśmy niewinni - odrzekli razem, jakby jednym głosem.

- Pan prokurator ma głos.

Ten powstał i rozpoczął swoją mowę.

- Panowie sędziowie przysięgli! Macie do rozstrzygnięcia sprawę tak prostą, jak rzadko w praktyce sądowej się zdarza. Oto zna-

ne fakty: nocna kradzież z włamaniem, w domu opuszczonym, zabójstwo. Zabójcy, mimo istniejących dowodów, nie przyznają się do winy. Ich system obrony polega na twierdzeniu, iż są ofiarami fatalizmu. Dziwna byłaby to fatalność. Oto co ona sprawiła... - I z niewzruszoną logiką prokurator przypomniał przebieg zbrodni, popierając oskarżenia dowodami zebranymi przez śledztwo. - Niech dowiodą - mówił dalej - zeznaniami wiarygodnych świadków, w jaki sposób spędzili czas od opuszczenia restauracji w Nogent, aż do powrotu do oberży w Joinville. Niech przekonają nas, że łupy pochodzące z kradzieży w willi hrabiego Lagarde złożone zostały w kuźni przez obce ręce. Wtedy odstąpię od oskarżenia. Lecz oni, nie posiadając ani świadków, ani jakichkolwiek dowodów, obarczają ich zarzuty tłumacząc fatalnością.

Prokurator zawiesił na chwilę głos, dla wzmocnienia siły swoich słów. Sala czekała na dalszy ciąg w napięciu.

- Nie możecie panowie ani na chwilę uwzględnić tego niedorzecznego systemu, gdyż jest on naigraniem się z inteligencji i waszej, i przedstawicieli prawa. Obrońca oskarżonych będzie zapewne domagał się zastosowania okoliczności łagodzących, opierając się na tym, iż oskarżeni weszli do willi nieuzbrojeni i tylko dzięki przypadkowi, a raczej zawsze tej samej fatalności, znaleźli broń w parku w chwili nadejścia hrabiego, a więc popełnili zabójstwo bez z góry obmyślonego planu. Pod tym względem wskazówkę da wam wasze sumienie. Uważam za rzecz dowiedzioną, że Jan Remy i Paweł Giret popełnili kradzież z włamaniem oraz zabójstwo. Zgadzam się, że tej ostatniej zbrodni nie obmyślili wcześniej, ale otwieram kodeks i czytam artykuł trzysta cztery: „Przestępca, który przed popełnieniem zabójstwa, jednocześnie z nim lub po jego spełnieniu dopuścił się zbrodni innej, ma być karany śmiercią”. Z tego powodu, nie rozwodząc się nad tym więcej, domagam się zastosowania do oskarżonych artykułów trzysta dwa i trzysta cztery kodeksu karnego.

Mowa prokuratora swą ścisłością, jasnością i logiką wywarła na słuchaczach głębokie wrażenie. Nikt już nie wątpił, że oskarżeni będą potępieni.

Teraz na znak prezydującego powstał obrońca i głosem sympatycznym, choć poważnym, rozpoczął:

- Panowie sędziowie przysięgli! Mowa pana prokuratora bardzo utrudnia moje zadanie. Mimo to będę się starał wskazać, że obok wspomnianych przez niego nieubłaganych artykułów istnieją inne, otwierające podwoje dla miłosierdzia... Nie będę się zresztą tego miłosierdzia domagał, gdyż mam nadzieję uzyskać sprawiedliwe, zupełne uniewinnienie oskarżonych.

Sformułowanie „sprawiedliwe uniewinnienie” wywołało wśród publiczności szydercze uwagi, stłumione natychmiast przez woźnego. Adwokat, jak gdyby ich nie słysząc, mówił dalej:

- Idąc za głosem sumienia, z całym przeświadczeniem domagam się uniewinnienia oskarżonych, gdyż nic nie dowodzi ich winy. Wezwani przez oskarżyciela świadkowie nic nie wyjaśnili, nic nie dorzucili, najmniejszego dowodu, świadkowie powołani zaś przez oskarżonych jednogłośnie stwierdzili uczciwą, spędzoną w pracy i zabezpieczającą od wszelkiego podejrzenia ich przeszłość. Pan prokurator nie wierzy w fatalizm i szydzi z niego, lecz tylko w celu obezwładnienia obrońcy i zastosowania trzysta drugiego i trzysta czwartego artykułu kodeksu karnego, czyli kary śmierci. Nie ulega wątpliwości, że wszystko oskarża Jana Remy i Pawła Gireta, jeżeli nie uwierzymy w ten fatalizm, który ich prześladował, ścigał i w końcu sprowadził na ławę oskarżonych, na której nie powinni się znaleźć. Narzędzie, którym popełniono zbrodnię, zakrwawiony pugilares i koszula z plamą krwi, srebra znalezione w kuźni, oskard i pozostawione na posadzkach oraz na tamie ślady trzewików - wszystko to są zarzuty ciężkie, ale dlaczego pan prokurator nie chce widzieć w nich fatalizmu i na wzmiankę o fatum wzrusza ramionami? Dwie osoby: zdolny urzędnik oraz świadek, to jest sę-

dzia śledczy i ogrodnik Walenty, wyrazili domniemanie, że rabusie nie przybyli uzbrojeni i tylko przypadek włożył im w ręce broń, którą hrabia Lagarde został zamordowany. Temu przypuszczeniu pan prokurator niczego nie zarzucał i panowie sędziowie przysięgli też nie protestowali... Jeżeli więc w tym wypadku uznaliście działanie fatalizmu, dlaczego odrzucacie go w innych sprawach?

Na sali panowała cisza. Obrońca ciągnął dalej:

- Pan prokurator wyjaśnienie oskarżonych nazywa nieprawdopodobnym, niedorzecznym, tymczasem dla mnie jest ono bardzo logiczne. To tak naturalne, że jacyś złodzieje po zrabowaniu willi, wychodząc obciążeni łupem, spotkali się z hrabią i znalazłszy przypadkiem na ziemi broń, posłużyli się nią. Według pana prokuratora byli to Jan Remy i Paweł Giret. Dlaczego właśnie oni? Złodzieje, dopuściwszy się zbrodni, zabrali pugilares i wyjąwszy z niego pieniądze, porzucili na wybrzeżu, a trupa strącili w rzekę. Po dokonaniu tej podwójnej zbrodni, ratowali się ucieczką. Ale tej nocy posterunki policjantów i żandarmów strzegły miasta. Złoczyńcy, dostrzegłszy ich, przestraszyli się i postanowili pozbyć się łupu, który w razie pochwycenia zaprowadziłby ich na gilotynę. Kiedy więc natknęli się na kuźnię Jana Remy, skradzione srebra ukryli w tamtejszej skrzyni. Czyż jest to rzecz niemożliwa? Nie tylko nie uważam tego za nieprawdopodobne, lecz utrzymuję nawet, że tak właśnie było. A pugilares? - zapytacie panowie. Remy zapewnia, że znalazł go na ziemi. Dlaczego nie mielibyśmy mu wierzyć? Odciski trzewików niczego nie dowodzą. Fabryki wyrabiają je w ogromnych ilościach i po większej części na jedną miarę. Jan Remy i Paweł Giret są ludźmi uczciwymi, niezdolnymi do popełnienia złego czynu i nie oni dokonali zarzucanej im zbrodni. Panowie nie możecie potępić ich bez dowodów; sumienie dręczyłoby was przez całe życie. Proszę o zupełne uniewinnienie oskarżonych! - Adwokat otarł pot z czoła i usiadł.

- Rozprawa skończona! - zimnym głosem oświadczył prezydujący.

Straż wyprowadziła oskarżonych, jednocześnie sędziowie opuścili salę. Wielki Dzieciak dopiero teraz odważył się spojrzeć w oczy Wiewiórcy. Oboje byli bardzo wzruszeni, lecz milczeli. Magdalena, otoczona kilkoma osobami, które usiłowały ją pocieszyć, nie chciała wyjść z sali.

- Będę czekała tutaj. Chcę wszystko wiedzieć - oznajmiła.

W sali powstał hałas nie do opisania. Rozprawiano o mowie prokuratora i o obronie adwokata. Jedni obstawiali uniewinnienie, drudzy przewidywali wyrok potępiający.

Narada sędziów przysięgłych trwała trzy kwadranse. Wreszcie rozległ się dwukrotny dźwięk dzwonka, sędziowie powrócili na salę i zajęli swoje miejsca. Woźny, jak na początku posiedzenia, zawołał:

- Proszę powstać!

Prezydujący, asesorowie, prokurator i pisarz weszli i usiedli na swoich miejscach.

- Jaki rezultat panów narady? - zapytał prezydujący sędziów. Przewodniczący sędziów powstał i trzymając papier w lewej ręce, a rękę prawą położywszy na sercu, odczytał uroczystym głosem:

- Orzeczenie sędziów względem Jana Remy: winny zarzucanych mu czynów. Względem Pawła Gireta: winny zarzucanych mu czynów.

O okolicznościach łagodzących nie było nawet wzmianki. Na obliczach kowala i jego przyjaciela nie było widać żadnego wzruszenia.

Prezydujący ogłosił:

- Na mocy artykułów trzysta dwa i trzysta cztery kodeksu karnego Jan Remy i Paweł Giret zostają skazani na karę śmierci.

- Panowie! - zwracając się do sędziów, donośnym głosem zawołał kował. - Pozbawiacie życia dwóch niewinnych! Niech Bóg wam wybaczy!

- Dwóch niewinnych i być może nieszczęśliwą kobietę! - krzyknął Giret, wskazując zemdloną Magdalenę.

Wzięto ją na ręce i wyniesiono do sali świadków, gdzie przedsiębiorca Rety wraz z innymi osobami zajął się jej trzeźwieniem. Wielki Dzieciak i Wiewiórka opuszczali salę wprost odurzeni.

- Na śmierć... Na śmierć... - mamrotała Wiewiórka.

- I nie mogliśmy ich ocalić - jęknął Wielki Dzieciak.

Jak wiemy, Filip Kerven i Marcela de Lagarde czekali na ogłoszenie wyroku w gabinecie sędziego śledczego. Wiadomość przyniósł im woźny.

- Cóż? - zapytał Filip.

- Skazani na śmierć.

- Obaj?

- Obaj.

- Więc mąż mój pomszczony! - zawołała teatralnie hrabina. Nikczemnicy triumfowali.

* * *

Dwie godziny po ogłoszeniu wyroku Jan Remy i Paweł Giret zostali przeprowadzeni z więzienia Conciergerie do Grande Roquette i zamknięci w celach przeznaczonych dla skazanych na śmierć. Nie chcieli pisać skargi kasacyjnej ani prosić o złagodzenie wyroku w drodze łaski.

- Byłoby to przyznaniem się do winy i uznaniem słuszności zaślepionych, co nas potępili.

Magdalena po odzyskaniu przytomności, kiedy doszła do niej okropna prawda, dostała ataku nerwowego, po którym nastąpił płacz.

- Wszystko skończone - łkała, podczas gdy przedsiębiorca Rety usiłował ją pocieszać. - Jesteśmy zgubione. Żona i córka skazanego na śmierć... Będą nas pokazywać palcami. Ach, dlaczego nie umarłam, usłyszawszy ten straszny wyrok!

- Niech pani teraz myśli o swojej córce - powiedział pan Rety. - Ona jest jeszcze tak chora, że nie można jej mówić o wyroku.

- Wiem, ale jak to przed nią ukryć?

- Nie pozwolić jej czytać gazet.

- Nie czytujemy ich, jesteśmy za ubogie na taki zbytek. Ale Gabriela zapyta o wyrok, co jej odpowiedzieć?

- Miłość macierzyńska natchnie panią... Trzeba skłamać, chodzi przecież o jej życie...

- Ma pan słuszność.

Tak pocieszając, pan Rety wyprowadził Magdalenę z gmachu sądowego na ulicę, przywołał dorożkę, usadowił ją w niej, wsunął do ręki pięćdziesiąt franków, zapłacił należność dorożkarzowi i powiedziawszy adres Magdaleny, kazał ją odwieźć do domu.

Gabriela z najwyższym niepokojem oczekiwała powrotu matki. Zapytywała siebie, jaki będzie rezultat sprawy, czy ojciec zostanie uwolniony, czy powróci z matką i Giretem? Lękając się zawodu, nie miała odwagi ludzić się nadzieją.

Tak przeszedł dzień, ściemniało się już, a Magdalena nie wracała. Zrozpaczona, drżąca, co chwila podchodziła do drzwi i wyęzła słuch, czy nie usłyszy kroków powracającej matki. Nagle chwyciła za klamkę. Ktoś szedł korytarzem, wiodącym do ich mieszkania. Poznała chód matki i otworzyła drzwi. Magdalena weszła do pokoju z twarzą na pozór spokojną.

- Cóż ojciec?! - zawołała Gabriela.

- Ojciec jeszcze w więzieniu - odparła matka.

- Potępili?

- Nie... nie... Zdarzył się wypadek - odrzekła pospiesznie. - Prokurator zapomniał wezwać świadków wskazanych przez obro-

nę, więc na żądanie tego ostatniego sprawę odłożono do następnego posiedzenia.

- Kiedy się ono odbędzie?

- Nie mogłam się dowiedzieć ... Może za sześć tygodni, a może za dwa miesiące.

- I ojciec przez ten czas pozostanie w więzieniu? Ależ to rzeczy okropne, niesprawiedliwe!

- Masz rację, ale co możemy na to poradzić.

- Jak mama przypuszcza, czy mogą ojca potępić?

- Nie wierzę w to...

- A mama składała już zeznanie?

- Jeszcze nie.

Nieszczęśliwą kobietę dusiły łzy. Ujęła głowę Gabrieli, pokryła ją pocałunkami i rozplakała się. Teraz na córkę przyszła kolej pocieszania.

- Mamo nie płacz i nie trać odwagi - mówiła. - To, co zaszło na posiedzeniu, może wyjść ojcu na korzyść. Adwokat widocznie liczy na zeznania świadków, skoro domagał się odroczenia sprawy. Niech mama nie płacze, bo mi serce pęka z bólu.

Gdy Magdalena uspokoiła się nieco, Gabriela zapytała ją:

- Mama musi być głodna?

- Nie moje dziecko, nie mam apetytu. Ale rano tak straciłam głowę, że zapomniałam przyrządzić ci obiad. Pójdę teraz i przyniosę kawałek mięsa i butelkę wina.

- Idź, mateczko. Pragnęłabym oszczędzić ci tej fadygi, ale jeszcze nie mogę. Bardzo powoli wracam do zdrowia.

Magdalena zeszła na dół. Gdy przechodziła obok łóżka, odzwierna wezwała ją do siebie. Serce biednej kobiety przeczuwało nową boleść i upokorzenie.

- Był tu przed chwilą właściciel domu - oświadczyła kobieta.

- Powiedział, że ponieważ mieszkanie wasze najęte jest na imię pani męża, a on nie będzie mógł zapłacić za przyszły kwartał, żąda byś

się pani wyprowadziła. Ostrzega zawczasu, choć pozostaje jeszcze kilka tygodni. A jeżeli nie zechcesz pani się wyprowadzić, zmusi cię przez komornika.

- Wyprowadzę się - odrzekła Magdalena.

- Więc podpisz pani tę deklarację. - Wskazała leżący na stole papier, na którym napisano kilka linijek tekstu. Obok przygotowane było pióro i atrament.

Magdalena ujęła pióro, podpisała swym nazwiskiem i wyszła. Odźwierna ze złośliwym uśmiechem spoglądała na odchodzącą, po czym głosem syczącym, tak głośno, by nieszczęśliwa kobieta usłyszała, rzekła:

- Mają słuszość lokatorzy i właściciel, nieprzyjemna rzecz trzymać w swoim domu żonę i córkę zabójcy skazanego na gilotynę.

Magdalena spuściwszy głowę, oddaliła się pospiesznie. Prędko zapomniała o tym upokorzeniu, gdyż dawno już powzięła zamiar opuszczenia zbyt drogiego dla niej mieszkania. Musiała poszukać czegoś tańszego. Kupiła kawałek mięsa, butelkę wina i wróciła do córki. Sama nic nie jadła; rozpacz ścisnęła ją za gardło.

VII

Helena de Lagarde od czasu otrzymania wiadomości o rychłym powrocie Andrzeja odzyskała humor i dawną wesołość. Na kilka dni przed powrotem Andrzeja Marcela listownie zawiadomiła państwa Mercoeur i córkę o wyroku skazującym na śmierć zabójców jej męża. W pałacu rozmawiano o tym przez cały dzień, w końcu jednak, wyczerpawszy temat, zapomniano o nim. Pan Mercoeur z niecierpliwością wyczekiwał powrotu Andrzeja, raz z powodu, że go lubił, dwa, że był ciekaw rezultatów jego wycieczki, która zaangażowała go na znaczną sumę.

Nareszcie oczekiwany przez wszystkich młody inżynier powrócił do Blossieres. Zaproszony natychmiast wraz z ojcem na obiad do pałacu, zmuszony był szczegółowo opowiedzieć o wrażeniach, które wyniósł z wycieczki do Szwajcarii, i o rezultatach badań dotyczących nowych urządzeń młynarskich.

Mimo ogólnej rozmowy Helena i Andrzej znaleźli sposobność, by wymienić ze sobą kilka słów.

- Czy kochasz mnie Heleno? - zapytał Andrzej.

- Całym sercem, całą duszą - odrzekła wzruszona.

Mówiąc to, nie pamiętała o groźnych słowach matki, przeznaczającej ją raczej do klasztoru, niż pozwalającej popełnić mezalians.

Od tego dnia dziewczyna pod rozmaitymi pozorami, wymyślanymi ze zrećznością, o którą trudno byłoby ją posądzić, starała się jak najczęściej widywać z Andrzejem zmuszonym prawie bez ustanku przebywać w młynie. Chłopak nadzorował tam prace

przygotowawcze, które miały zakończyć się po nadejściu nowych urzędzeń. Dziewczyna udawała, że roboty te niezmiernie ją interesują. Codziennie w towarzystwie margrabiny de Mercoeur udawała się do młyna i przyglądając się urządzeniom, obchodzącym ją tyle co zeszłoroczny śnieg, korzystała z każdej okazji, aby podejść do Andrzeja, pomówić z nim lub choćby usłyszeć jego głos.

Andrzej, cały oddany pracy, nie miał na razie czasu, by wznowić dawne spacerunki odbywane z Heleną po lesie. Wreszcie jednak roboty doprowadzono do tego stanu, że mógł kilka godzin dziennie poświęcać sobie i ukochanej. Nie potrzebujemy dodawać, że równie jak Helena pragnął dawnych rozmów sam na sam, konnych wycieczek pod starymi drzewami, których gałęzie muskały ich twarze, kiedy lekki powiew wiatru uderzał aromatem kwiatów leśnych, a oni, jadąc obok siebie, zwierali się z uczuć przepelniających ich serca.

Pan Mercoeur sprawiedliwie ocenił Andrzeja. By on człowiekiem bezwarunkowo uczciwym, prawym. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby nadużyć przywiązania Heleny i jej ślepego zaufania. Gdyby podobna myśl nawiedziła jego umysł, odtrąciłby ją ze zgroza jako niegodną jego, niegodną Heleny i ich wzajemnej miłości. Nie wiedział, a nawet się nad tym nie zastanawiał, czym zakończy się ta rozkoszna sielanka. Pragnął poślubić Helenę, ale czy mógł liczyć na zezwolenie pani Lagarde, osoby tak dumnej i, jak sądził, tak bogatej? Sam pochodził z ludu, nie posiadał właściwie żadnego majątku. Na razie więc usiłował nie myśleć o przyszłości i zdać się na los.

Lato było w całej pełni. Słońce rzucało fale ognia na pola i łąki, złocąc kwiaty i kłosa zbóż. Panna Châtelain, guwernantka Heleny, następnego dnia miała jechać do Crony, wioski położonej sześć kilometrów od pałacu Chambord. Była jednak nieco chora i zamiast niej musiał pojechać Andrzej. W drodze powrotnej chciał

zjeść śniadanie w Saint-Michel, po czym zwiedzić osobliwości w rezydencji hrabiego Chamborda.

- Jaka rozkoszna byłaby ta wycieczka, gdybyśmy mogli odbyć ją razem - powiedział Andrzej.

Tak samo myślała i Helena. Miała ogromną ochotę towarzyszyć Andrzejowi, lecz na to należało uzyskać pozwolenie pani Mercoeur. Była to rzecz trudna, ale Helena nie traciła nadziei. Andrzej miał wyruszyć o dziewiątej rano, a ponieważ w Blossieres wcześniej udawano się na spoczynek, lecz i wcześniej wstawało, Helena myślała, że będzie miała czas poprosić margrabinę o pozwolenie następnego dnia.

Nazajutrz wstała równo z dniem i przechadzając się po parku, oczekiwała pokazania się pani Mercoeur. Wreszcie otworzyło się jedno z okien i w jego ramach stanęła margrabina.

- Wstałaś już! - zawołała, spostrzegłszy Helenę.

- Już od dawna. Czekam na panią.

- Masz jakąś sprawę?

- Chciałam prosić panią o pewną łaskę...

- Łaskę? Jaką? Chodź do pokoju.

Helena lekko przebiegła schody, weszła do pokoju margrabin i ucałowała ją serdecznie.

- Mów, o co chodzi? Dlaczego tak niecierpliwie czekałaś, aż się przebudzę?

Helena od razu przystąpiła do celu, gdyż nie chciała dać margrabinie czasu do namysłu.

- Pan Andrzej w interesie młyna jedzie dziś do Crony, a ponieważ będzie w zamku hrabiego Chamborda, którego nie widziałam jeszcze, bardzo bym chciała pojechać razem z nim. Oprowadziłby mnie po salach i pokazał znakomite zbiory miejscowe.

- A panna Châtelain?

- Chora, nie może jeszcze wychodzić.

Pani Mercoeur zastanawiała się. Sama jedna z Andrzejem, czy to właściwe? - zapytała samą siebie. Po kilku sekundach odrzekła sobie jednak: Ostatecznie, cóż w tym tak bardzo niewłaściwego? Andrzej jest tak uczciwy, że można mu bezwarunkowo zaufać. W jego towarzystwie Helena będzie tak bezpieczna jak siostra pod opieką brata. Ileż razy odbywali wycieczki sami po lesie, pieszo lub konno? Zapytała głośno:

- O której Andrzej wyjeżdża?

- O dziewiątej.

- Teraz ósma. Pozwalam ci. Idź i ubierz się prędko, niech Andrzej nie czeka.

- Jaka pani dobra! - zawołała Helena, rzucając się jej na szyję i całując ją.

- Gdzie będziecie jedli śniadanie?

- W Saint-Michel, pod samym parkiem Chambord.

- Dobrze. Ubierz się i wracaj do mnie. Odprowadzę cię do młyna.

Uradowana Helena wybiegła z pokoju, a po pięciu minutach wróciła gotowa do drogi.

* * *

Andrzej nie przypuszczał, że Helena uzyska pozwolenie na tę wycieczkę, toteż gdy spostrzegł obie panie zbliżające się do młyna, wybiegł im naprzeciw uszczęśliwiony.

- Powierzam panu moją małą przyjaciółkę - rzekła zacna, lecz nierozważna kobieta. - Wiem, że będzie pan nad nią czuwał z troskliwością braterską i proszę byście się nie opóźniali z powrotem.

- Niech pani margrabina będzie spokojna - odparł Andrzej. - Wrócimy do domu na obiad.

Helena ucałowała panią Mercoeur i siadła do lekkiego powozu angielskiego. Andrzej zajął miejsce obok niej, ujął lejce, ukłonił się margrabinie i ruszyli w drogę. Po upływie kilku minut zna-

leżli się na odkrytym polu i mknęli wzdłuż strumienia, którego oba brzegi, wznoszące się amfiteatralnie, pokryte były winnicami. Tego dnia w pobliskim miasteczku odbywał się jarmark, po drodze snuły się więc liczne powozy oraz wędrowali piesi. Andrzej bezustannie odpowiadał na powitania znajomych, którzy utrzymywali stosunki z nim i jego ojcem. Upał był duszący, a powietrze przepełnione elektrycznością.

- Wkrótce dojedziemy do parku - powiedział. - W cieniu będzie chłodniej.

I rzeczywiście, gdy znaleźli się pod zielonym sklepieniem olbrzymich drzew, odetchnęli swobodniej. Andrzej zwolnił bieg konia, który od wyjazdu z Blossieres bez odpoczynku szedł klusem. Siedząc obok siebie, przez kilka chwil milczeli. Cisza otaczała ich tak wielka, iż zdawało się, że słyhać było uderzenia ich serc.

Helena zdjęła rękawiczkę z prawej ręki i opuszczała ją na kolano. Nagle Andrzej, ulegając nieprzepartemu popędowi, ujął tę rękę, uniósł ją do ust i ucałował. Panna Lagarde zmieszała się i doznając zawrotu głowy, oparła się o ramię Andrzeja. Wtedy on lewą ręką objął jej kibić i zbliżył usta ku jej twarzy. Nagle przeszła mu głowę myśl: Czy ja zwariowałem? To byłoby nieuczciwe. Cofnął głowę i potrząsnął lejcami, by przyspieszyć bieg konia.

Po przyjeździe do Crony Andrzej zatrzymał się przed jednym z domów, dał lejce do potrzymania Helenie, załatwił interes w przeciągu kwadransa i powróciwszy, zawrócił do Chambord. Gorąco stawało się coraz uciążliwsze, tym bardziej że droga, którą teraz jechali, była aż do Saint-Michel pozbawiona cienia drzew. Helena, utkwivszy oczy w przestrzeń, milczała i marzyła.

- Kocham cie - szepnął Andrzej.

- I ja cię kocham, prawie bezwiednie - westchnęła dziewczyna. W tej chwili jaskrawe światło błyskawicy przecięło czarną masę chmur i huk spadłego w oddaleniu pioruna rozległ się w powietrzu. Panna Lagarde drgnęła.

- Burza - szepnęła.
- Lękasz się?
- W twoim towarzystwie nie lękam się niczego.
- Śpieszmy się, bo deszcz może nas zaskoczyć! - zawołał wesoło Andrzej i potrząsnął lejcami.

Wkrótce nad ciemną zielenią drzew zarysowały się dachy pałacu Chambord. Od zachodu zadął silny wiatr. Burza była coraz bliżej. Na szczęście po upływie kilku minut Andrzej zatrzymał się przed hotelem w Saint-Michel. Nadbiegł służący i zajął się umieszczeniem konia w stajni, a powozu w remizie. Podróżni weszli do restauracji.

- Wielu dziś zwiedzających pałac? - zapytał Andrzej znanego sobie właściciela hotelu.

- Ani jednego. Jeszcze nie nadszedł sezon. Zjedzą państwo śniadanie?

- Owszem, prosimy. Jesteśmy bardzo głodni.

- W tej chwili każę podać.

Tymczasem za oknami huczała burza i pioruny uderzały coraz częściej. Wicher podnosił tumany kurzu, grube krople deszczu z rzadka uderzały o szyby. Andrzej i Helena udali się do pokoju stołowego i zasiedli przy stole, na którym wkrótce służący postawił śniadanie.

- Nie opóźniajmy się z wycieczką do pałacu - rzekł Andrzej po wypiciu kawy. - I pamiętajmy o powrocie.

- Jestem gotowa - odparła Helena, wkładając na głowę kapelusz. Andrzej podał jej ramię i nie zważając na spadające krople deszczu, poprowadził do wejścia przeznaczonego dla turystów zwiedzających pałac.

Prawie u samych drzwi pałacu spotkali młodzieńca, konserwatora zabytków.

- Andrzej! - krzyknął młodzieniec. Przywitał się z Andrzejem i ukłonił Helenie.

- Jestem przewodnikiem przyjaciółki pani Mercoeur, panny Lagarde, która zapragnęła obejrzeć osobliwości pałacu.

Młodzieniec ukłonił się ponownie. Andrzej przedstawił go Helenie i dodał:

- Znakomity budowniczy i mój kolega ze szkoły sztuk i rzemiosł.

- Źle pani trafiła - odezwał się młodzieniec do Heleny. - Nie wiem, czy będzie można zwiedzić pałac: odźwierny jest chory, a zastępująca go niekiedy żona, czuwa przy nim.

- Jaka szkoda - westchnęła Helena.

- Służyłbym za przewodnika, ale mam bardzo pilną robotę, którą jeszcze dziś wieczorem muszę oddać przybyłym z Paryża rzeźbiarzom.

- A ja tak wiele obiecywałam sobie po tej wycieczce! Młody budowniczy zamyślił się.

- Ale ty - odezwał się wreszcie do Andrzeja - zapewne dobrze znasz pałac.

- Znam doskonale. Niejednokrotnie zwiedzałem go przecież z tobą.

- Więc bardzo dobrze. Przykro by mi było, gdyby musiała pani wracać, nie obejrzawszy ciekawych tutejszych zbiorów. Niech pani będzie łaskawa iść za mną. - Otworzył drzwi korytarza prowadzącego do sali, za którą położone było mieszkanie odźwiernego.

Środek obszernej sali zajmował ogromny stół. W ustawionych na nim gablotkach zgromadzono rozmaite przedmioty, które można było kupić jako pamiątkę. Były tam piękne pudełeczka, pierścionki, bransolety, cygarnice, popielniczki i inne rzeczy ozdobione herbem Francji i liliami.

Gdy młodzieniec otworzył drzwi sali, rozległ się dźwięk automatycznie ostrzegający o przybyciu zwiedzających. Za chwilę zjawiała się też odźwierna. Ona również знаła Andrzeja.

- Przyjechał pan zwiedzić pałac? - zapytała.

- Tak, kochana pani.

- Och, jak szkoda. Mój mąż jest tak chory, że nie mogę go zostawić samego na dłużej.

- Niech się pani nie martwi - rzekł młody konserwator. - Pan Brestois zna pałac jak mało kto. Niech pani tylko da mu klucz od głównego wejścia i od kaplicy, bo inne drzwi są pootwierane.

Odźwierna zdjęła ze ściany dwa wielkie klucze i podała je Andrzejowi.

- A teraz pożegnam panią i ciebie Andrzej, bo muszę spieszyć do roboty - powiedział młodzieniec i wyszedł.

Helena przyglądała się przedmiotom zgromadzonym w witrynach.

- Znalazła pani coś ładnego? - zapytał Andrzej.

- Znalazłam - odparła panna Lagarde, wskazując srebrne pierścionki z herbem Francji.

- Niech pani będzie łaskawa nam je pokazać - poprosił Andrzej odźwierną.

Ta otworzyła gablotkę i podała pierścionki Helenie, która, wybrawszy dwa, rzekła do Andrzeja:

- Będę miała pamiątkę. Zapłaciła i schowała je do kieszeni.

VIII

Nad pałacem szalała burza. Wiatr świszczwał pod portykami i arkadami, deszcz spadał potokami, jakby wszystkie upusty nieba nagle naraz się otworzyły. Andrzej wsunął luidora do ręki odźwiernej i rozpoczął wędrowkę po pałacu. Znał wszystkie jego zakątki i wszystkie nagromadzone w nim osobliwości, toteż panna Lagarde nie mogła mieć lepszego przewodnika.

Obejrzeni wspaniałe pod względem architektonicznym schody, salon stołowy i salę audiencyjną Ludwika XIV, galerie portretów historycznych, wykonanych przez najznakomitszych mistrzów artystów francuskich, sale przeznaczone na przyjęcia dworzan i dam dworskich oraz galerie książęce, obecnie puste i ponure, od czasu do czasu oświetlane jaskrawym światłem błyskawic przerywających czarne chmury zebrane nad pałacem i okolicą. Helena drżąca i zdenerwowana, tuliła się do Andrzeja.

- A to kaplica ukończona przez Henryka II - rzekł Andrzej. Jednym z danych mu przez odźwierną kluczy otworzył drzwi, zdjął kapelusz i wprowadził do wnętrza Helenę. Dziewczyna podeszła do ołtarza, spoważniała i zamyśliła się.

- Chodź - powiedziała nagle, ujmując dłoń Andrzeja. Podprowadziła go do marmurowych stopni ołtarza i rzekła wzruszona: - Wszak wierzysz Andrzejowi w Boga?

- Ci, co utrzymują, że nie wierzą w Niego, są kłamcami, szaleńcami lub niegodziwcami, lękającymi się Jego siły. Wierzę duszą całą. Lecz dlaczego pytasz? Czy zwątpiłaś?

- Nie, lecz pragnęłam usłyszeć to z twoich ust. Powiedziałeś mi, że mnie kochasz...

- A ty odpowiedziałaś, że również mnie kochasz.

- Jesteśmy w świętym miejscu... Uklęknijmy przed tym ołtarzem.

Uklękli. Wtedy wyjęła z kieszeni pierścionki i podając jeden z nich Andrzejowi, poprosiła:

- Wobec Boga, który patrzy na nas, przysięgnij, że będziesz mnie zawsze kochał.

- Przysięgam!

- I ja przysięgam, że będę cię kochała aż do śmierci! Nałożyli pierścionki na palce, po czym Helena, wskazując ręką ołtarz, dodała:

- Jestem zaręczona na zawsze.

- Na zawsze - powtórzył Andrzej.

- Cokolwiek nastąpi.

- Cokolwiek nastąpi!

Helena zwróciła oczy na stojący na ołtarzu srebrny krzyż i rzekła:

- Boże dobroci, co widzisz serca nasze i czytasz w duszach naszych, przyjmij naszą przysięgę, pobłogosław ją i ukarż tego, kto jej nie dotrzyma!

W tej chwili olśniewające światło przedarło się przez okna kaplicy, oblewając postać Chrystusa na krzyżu, i jednocześnie rozległ się ogłuszający huk. Piorun uderzył w jedną z wieżyczek pałacu Chambord.

Helena blada z przerażenia powstała z klęczek i żegnając się szepnęła:

- Boję się... Chodźmy

Wyszli z kaplicy, Andrzej zamknął drzwi na klucz.

Burza była gwałtowna, lecz trwała krótko. Wiatr rozpedził chmury, huk piorunów oddalał się coraz bardziej i po upływie pół godziny wesołe promienie słońca zalały światłem horyzont.

0 wpół do siódmej Helena, uszczęśliwiona i rozmarzona, powróciła do pałacu w Blossieres.

* * *

Po wymówieniu przez odźwierną mieszkania Magdalena w każdy czwartek pod pozorem odwiedzenia męża, którego niestety, od czasu gdy przebywał w Roquette w celi przeznaczonej dla skazanych na śmierć, nie mogła widywać, wychodziła na poszukiwanie nowego lokalu. Musiała znaleźć mieszkanie na tyle daleko, by nie była znana, lecz zarazem w ruchliwej okolicy, dającej większą szansę na znalezienie pracy. Po długich poszukiwaniach spostrzegła wreszcie przy ulicy Le Regrettier na domu numer 11 kartę zawiadamiającą o lokalach do wynajęcia. Weszła do bramy i zapukała w okienko loży.

- Czego pani sobie życzy? - zapytała odźwierna.

- Ma pani dwa pokoje do najęcia?

- Mam, od lipca, na piątym piętrze.

- W jakiej cenie?

- Niskiej. Właścicielowi nie tyle chodzi o cenę, ile o spokojnych lokatorów. Czy chce pani wynająć dla siebie?

- Dla siebie. Więc ile?

- Sto osiemdziesiąt franków rocznie.

Cena ta nie przestraszyła Magdaleny, gdyż tyle prawie płaciła dotychczas.

- Czy mogę je zobaczyć?

- I owszem.

Odźwierna zdjęła z tablicy klucz, wyszła na dziedziniec otoczony ze wszystkich stron wysokimi oficynami, i po schodach oznaczonych literą B wprowadziła Magdaleny na piąte piętro. W połowie długiego korytarza otworzyła drzwi do mieszkania złożonego z dwóch dość sporych widnych pokoi.

- Cóż, podobają się pani?
- Podobają. Czy lokatorzy spokojni?
- Jak anioły. Oho, trzymałby ich właściciel, gdyby im przyszła ochota się awanturować! Wszystkie mieszkania na wyższych piętrach zajęte są przez drobnych kapitalistów, urzędników lub uczciwych robotników, wychodzących rano do roboty i powracających wieczorem. U nas nie ma próżniaków i pijaków. Ot tam - dodała, wskazując sąsiednie drzwi - mieszkają bardzo porządni ludzie, pan Robert Dauphin z żoną.

Ledwie wymówiła to nazwisko, wskazane przez nią drzwi otworzyły się i Robert Dauphin oraz Modesta Pierrelay, zwani inaczej Wielkim Dzieciakiem i Wiewiórką, wyszli na korytarz.

- Pani mówi o nas? - spytał się Robert odźwiernej.
- Tak, panie Dauphin. Zapewniałam panią, pragnącą nająć to mieszkanie, że jesteście państwo spokojnymi sąsiadami.

Wiewiórka i Wielki Dzieciak, spojrzawszy na nową lokatorkę, mimowolnie drgnęli. Magdalena i odźwierna szły już jednak na dół.

- Cóż, decyduje się pani? - zapytała odźwierna.
- Najmuję.
- Ma pani meble?
- Mam, nawet za wiele.
- My tu nie zasięgamy informacji, wierzymy ludziom. Ale jeśli jakiś lokator nas zawiedzie, pozbywamy się go z domu. Proszę tylko panią o nazwisko.

Magdalena się zawahała. Powiedzieć nazwisko Remy oznaczało przyznanie się, że jest się żoną skazanego na śmierć zbrodniarza, a tym samym nie dostać lokalu.

- Nazywam się Magdalena Bernard - odrzekła więc. Odźwierna zapisała nazwisko.
- Wdowa?

Serce biednej kobiety ścisnęło się, lecz przemogła żal i głosem wzruszonym szepnęła:

- Tak, wdowa z córką.

- To już wszystko, proszę pani.

- Nie jestem bogata - powiedziała Magdalena, otwierając portmonetkę - lecz chciałabym coś pani ofiarować. Może później będę mogła dać więcej. - Wyjęła dwa franki i podała je odźwiernej.

- Nie ma pani obowiązku - odrzekła ta ostatnia. - Ale dziękuję pani. Mieszkanie będzie wolne ostatniego czerwca, pierwszego lipca może się pani wprowadzać.

Magdalena pożegnała się i wyszła.

Wielki Dzieciak i Wiewiórka, którzy zdumieli się, widząc swoją przyszlą sąsiadkę, wrócili do mieszkania.

- Głowę dam, że się nie mylę - mówił do swojej towarzyszki Robert. - To żona Jana Remy, widzieliśmy ją w sądzie.

- I ja jestem pewna, że to ona - potwierdziła Wiewiórka. - Nie chciałabym, żeby zamieszkała tutaj, pod naszym bokiem... Widywać ją codziennie i przypominać sobie przeszłość, to rzecz wręcz okropna.

- A może się mylimy - zauważył Robert. - Widzieliśmy ją tylko raz, i to z daleka.

- Przekonajmy się więc.

- Jakim sposobem?

- Zapytam odźwierną, czy najęła mieszkanie i jak się nazywa. Zeszli na dół i podeszli do loży.

- I cóż, wynajęła mieszkanie ta pani? - zapytała Wiewiórka.

- Tak.

- Czy to kobieta samotna?

- Wdowa z córką.

- Ach! Wdowa... - powtórzył Wielki Dzieciak. - Jak się nazywa?

- Magdalena Bernard.

- I kiedy się wprowadza?

- W lipcu.
- To, chwała Bogu, będziemy mieli spokojnych sąsiadów. Odeszli.
- Widzisz - rzekła Wiewiórka - wprowadziło nas w błąd podobieństwo.
- Wątpię. Może umyślnie podała inne nazwisko, ażeby nie odmówiono jej mieszkania lub nie wskazywano palcami. Tym bardziej że ma córkę.
- Może masz słuszość... Nieprzyjemna to rzecz nosić nazwisko człowieka, co skończył na gilotynie. Jak ci się zdaje, ułaskawią ich?
- Skąd mogę wiedzieć. To zależy od dobrego humoru tych, od których zależy ułaskawienie. Nie ma co mówić, piękna sprawiedliwość! Mówmy lepiej o naszych interesach.

I zaczęli układać plan nocnej wycieczki do jednego z domów położonych w okolicy Paryża.

* * *

Powróćmy do więzienia Grandę Roquette, w którym już od miesiąca zamknięci w oddzielnych celach przebywali Jan Remy i Paweł Giret. Przez cały ten czas odwiedzał ich kapelan więzienny i udzielał pociechy religijnej.

- Nie trać nadziei - mówił do kowala rozpaczającego nad losem żony i córki. - Może naczelnik państwa okaże się litościwy i złagodzi karę. Wiem, że wstawiano się za tobą. Twój dawny pracodawca i adwokat użyli wszystkich swoich wpływów.

- Nie o życie mi chodzi, księżę kapelanie, ale o hańbę, i nie dla mnie, bo Bóg widzi, że jestem niewinny, lecz dla tych biednych kobiet. Ksiądz mówi, że ułaskawią mnie. Osobliwa to łaska, gdyż choćby i nastąpiła, niedługo żyć będę. Czuję, że dni moje są policzone, a los Magdaleny i Gabrieli byłby ten sam. Zawsze ciążyłaby na nich hańba. Zawsze mówiono by o nich: żona i córka zabójcy.

- Nie trać nadziei...
- Bóg opuścił mnie, gdyż nie chciał wykazać mej niewinności
- odpowiadał kowal i ujmował głowę w dłonie, łkając konwulsyjnie.
- Kapelan, człowiek zarówno wielkiego serca, jak i głębokiego umysłu, umiał czytać w duszy i wierzył, że Remy jest niewinny. W jego przekonaniu skazaniec był męczennikiem.
- Kowal podniósł głowę i zapytał:
 - Czy ksiądz kapelan widział dzisiaj mego przyjaciela Pawła?
 - Jeszcze nie, ale stąd pójdę do niego.
 - Biedny, jak on musi cierpieć!
 - Cierpi, ale nie traci nadziei.
 - Bo sam jeden na świecie. Nie zostawi po sobie nikogo. Czy wspomina o mnie kiedy?
 - Zawsze mówi o tobie, kocha cię z całej duszy i lituje się nad tobą.
 - Dzielny człowiek! Nigdy się nie rozstawaliśmy. Miałem sposobność dobrze go poznać. Razem służyliśmy w wojsku, a później razem pracowaliśmy. Mieszkaliśmy razem i razem umrzemy! Sędziowie nie chcieli wierzyć w fatalizm... nikt nie chciał wierzyć. A jednak jesteśmy ofiarami fatalizmu... Więc nie pozwolą mi zobaczyć się z nim przed śmiercią?
 - Przepisy więzienne nie pozwalają.
 - Okrutne przepisy! A z żoną i córką?
 - Również nie.
 - Czy mogę przynajmniej do nich napisać?
 - I tego nie wolno.
 - To okropne!
 - Ale jeżeli chcesz, mogę zobaczyć się z nimi, zanieść im wiadomość o tobie, dodać otuchy.
 - Co się z nimi stało? Nie mogły pozostać w dotychczasowym mieszkaniu... Z czego one biedne żyją...
 - Gdzie mieszkaliście?

- Przy La Roquette, pod numerem sto pięćdziesiątym pierwszym.
- Czy upoważniasz mnie do zobaczenia się z nimi?
- Będę księdzu nieskończenie wdzięczny! Niech ksiądz im powie, że jestem niewinny, niech mnie nie przeklinają i jeżeli mogą, niech postarają się, by pochowano mnie na cmentarzu.

Kapelan uściśnął dłoń Jana i ukrywając wzruszenie, wyszedł z celi.

- Proszę otworzyć mi drzwi numer trzy - powiedział do dozorczy, który natychmiast spełnił jego żądanie.

Ksiądz wszedł do celi zajmowanej przez Pawła Gireta. Więzień przywitał go i natychmiast zapytał o Jana.

- Bardzo znękany - odparł kapelan.

- Bo ma rodzinę... myśli o żonie i córce... Biedne kobiety, co się z nimi stanie? To okropne! Na szczęście, niedługo wszystko się skończy.

- Jest nadzieja, że naczelnik państwa was ułaskawi.

- A cóż nam z tego, jeżeli karę śmierci zamieni na dożywotnie roboty przymusowe? Piękna łaska. Nowa Kaledonia! Naginać plecy pod bat dozorców! To gorsze niż gilotyna. Bo śmierć powolna, męczarnia! Nie, księżo kapelanie, wolę śmierć natychmiastową, nie lękam się jej, umrę, jak powinien umierać niewinny! Łaska naczelnika państwa nie zmyje ze mnie hańby! Oto sprawiedliwość ludzka! Czyż to nie szyderstwo? Na szczęście, jest nad nami sprawiedliwość Boska!

Wzruszony kapelan ujął rękę więźnia i uściśnął ją.

- Nie spełniałem praktyk chrześcijańskich - mówił dalej Giret - ale miałem matkę, dobrą chrześcijankę, i zawsze wierzyłem głęboko. Gdy nadejdzie chwila stanowcza, przyjmie ksiądz ode mnie spowiedź, rozgrzeszy z błędów moich, po czym pójdę na śmierć spokojny i pełen ufności jak człowiek uczciwy, chrześcijanin, jak żołnierz! Niech hańba przegrza spadnie na tych, co mnie potępili!

- Nie wiedzieli, co czynią, należy im przebaczyć.
- Nigdy!
- Należy, jak umierający Chrystus dla odkupienia świata przebaczył katom swoim.

- Księżu kapelanie, nie mogę!
- Potrzeba, Bóg nakazuje!

Giret wahał się przez kilka sekund, po czym z gestem rezygnacji szepnął:

- Przebaczam im.

Co za bohaterska dusza - myślał ksiądz - lepszy od miliona innych i kładzie głowę pod pręgierz dla odpokutowania zbrodni, której nie popełnił! Ach! Sprawiedliwość! Sprawiedliwość! Głośno jednak, kładąc rękę na ramieniu więźnia, rzekł:

- Miej ufność w Bogu! - I wyszedł z celi.

Po opuszczeniu więzienia, kapelan udał się do wskazanego przez Jana Remy domu przy ulicy La Roquette i zapytał o mieszkanie Magdaleny.

- Jest u siebie - odparła odźwierna.

Gabriela miała się lepiej, lecz nie mogła jeszcze wychodzić i pracować. Znajdowała się w drugim pokoju, a Magdalena krzątała się w pierwszym.

Ksiądz lekko zapukał do drzwi. Magdalena otworzyła, a spostrzegłszy księdza, nie domyślając się celu jego wizyty, sądziła, że się omylił.

- Czy tu mieszka pani Remy?

- Tak.

- Jestem kapelanem więziennym...

Magdalena zbladła i spojrzawszy na zamknięte drzwi wiodące do pokoju córki, poprosiła:

- Niech ksiądz mówi ciszej... Gdyby moja córka usłyszała, domyśliłaby się wszystkiego, co tak starannie przed nią ukrywam. Wiadomość o potępieniu ojca zabiłaby ją.

Ksiądz cofnął się na korytarz, Magdalena zamknęła za sobą drzwi i zapytała:

- Przychodzi ksiądz od mojego męża? -Tak.

- Więc nie ma żadnej nadziei?

Z sąsiedniego lokalu wyszła jakaś kobieta i zwróciła się ku schodom. Ksiądz widząc, że w takich warunkach niepodobna się rozmówić, wyjął z kieszeni bilet wizytowy i podając go Magdalenie, rzekł:

- Niech pani przyjdzie do mnie dziś po południu, mam wiele rzeczy do powiedzenia. Proszę nie tracić odwagi, będę się modlił za panią i męża.

Pożegnał ją i oddalił się. Magdalena otarła łzy i wróciła do mieszkania. Drzwi, wiodące do drugiego pokoju były zamknięte, więc Gabriela nie słyszała rozmowy matki z księdzem.

Po południu Magdalena znalazła pretekst, by wyjść z domu, i udała się do księdza. Gdy po godzinnej rozmowie wróciła, była znacznie spokojniejsza, silniejsza i przygotowana do zniesienia czekającego ją ciosu. Weszła do drugiego pokoju, uklękła przy łóżku śpiącej Gabrieli i tłumiąc łkanie, szepnęła:

- Cokolwiek nastąpi, twój biedny ojciec będzie miał grób, na którym będziemy mogli płakać i modlić się. Poczciwy ksiądz przyrzekł mi to.

Czterdzieści dni upłynęło od dnia, w którym odczytano wyrok Janowi Remy i Pawłowi Giretowi. Tyle czasu prawo pozwalało im jeszcze żyć. 27 czerwca o drugiej po południu, prokurator generalny otrzymał z Ministerstwa Sprawiedliwości zawiadomienie, że wyrok wykonany zostanie tylko na Janie Remy. Egzekucja miała się odbyć następnego dnia o trzeciej rano. Giretowi

naczelnik państwa zamienił karę śmierci na dożywotnie roboty przymusowe.

Wysłany z polecenia ministra sprawiedliwości do prokuratora generalnego kat Deibler otrzymał o trzeciej rozkaz następujący: „Poleca się w imieniu prawa panu naczelnemu wykonawcy wyroków kryminalnych przyjąć w swe ręce więźnia Jana Remy, skazanego na śmierć wyrokiem sądu z dnia 18 maja 1894 roku, o godzinie trzeciej rano”.

Tego dnia wieczorem dyrektor więzienia Grandę Roquette powiadomiony został o terminie egzekucji i zamianie dla Gireta kary śmierci na roboty przymusowe. Więźniowie pogrążeni w myślach o ostatniej chwili, liczyli dni i godziny pozostałego im życia.

- Więc to już jutro spełni się wielka niesprawiedliwość - rzekł Giret do swojego dozorca.

Po śniadaniu, ale nie jednocześnie, gdyż zakaz komunikowania się ze sobą ciągle obowiązywał, wyprowadzano więźniów na świeże powietrze, na mały, zacieniony wysokimi murami dziedziniec, na którym kilka mizernych krzaczków lipy i kilka kępek trawy wiodło suchotniczy żywot.

O czwartej przyniesiono im do cel obiad, lepszy i obfitszy od zwykłego, składał się bowiem z zupy, kotleta, kawałka sera, owoców i szklanki wina. Remy czuł się tak rozdrażniony, że zaraz po obiedzie położył się na posłaniu.

- Bardzo cierpisz Remy? - ze współczuciem zapytał go dozorca.

- Cierpię już tak trzy miesiące - odparł zapytany. - Na szczęście skończy się to już wkrótce. - A potem rozplakał się, szepcząc imiona żony i córki.

Paweł Giret stłumił w sobie cierpienie. O siódmej na korytarzu rozległy się kroki kilku osób. Po chwili otworzyły się drzwi celi, do której weszli dyrektor więzienia i dwaj strażnicy. Giret nie okazał najmniejszego wzruszenia i pierwszy przemówił:

- Nie dziwi mnie wizyta panów. Oczekiwałem jej. Sądziłem tylko, że będę powiadomiony o egzekucji dopiero jutro rano.

- A więc nie domyśliłeś się celu naszej wizyty - odrzekł dyrektor z uśmiechem, przekonany, iż sprawi więźniowi wielką radość. - Przychodzę z dobrą wiadomością...

- Jeśli nie o egzekucji, to nie nazwę jej dobrą.

- Więc wolałbyś śmierć niż życie?

- Naturalnie!

- Zamiana kary nie sprawi ci radości?

- Nie rozumiem.

- Naczelnik państwa zamienił ci karę śmierci na dożywotnie roboty przymusowe.

- A Remy?

- Łaska dotyczy tylko ciebie.

- A on pójdzie na gilotynę! Ależ to niegodziwość! Jesteśmy obaj niewinni... Jeżeli on skazany został na śmierć i ja ją powinienem ponieść. Obaj staliśmy się ofiarami zaślepienia ludzkiego, obaj zostaliśmy potępieni przez jeden i ten sam sąd! Głowa moja powinna paść z głową jego! Nie przyjmuję tej łaski!

- Nie jesteś w stanie przyjąć jej lub odrzucić! Musisz przyjąć! Nie zapominaj, że życie jest najcenniejszym darem na ziemi i naczelnik państwa daje ci to życie.

- Życie z piętnem hańby! Smutny podarunek! Niech będą przeklęci, co mi go dają.

- Uspokój się, nie odpłacaj niewdzięcznością za największe dobrodziejstwo.

- Albo o nie prosiłem? Ach, panie dyrektorze, jaka to farsa ta sprawiedliwość ludzka, jaki ten świat podły! Biedny Remy, biedna Magdalena, biedna Gabriela!

Dyrektor opuścił celę, mówiąc sobie, że nie widział jeszcze i chyba już więcej nie zobaczy człowieka niezadowolonego z obdarowania go życiem.

Remy trawiony gorączką spał niespokojnym snem.

Wybiła północ. Dwie kompanie piechoty i oddział kawalerii zajmowały już plac więzienny, z trudnością powstrzymując tłumy napływające ze wszystkich dzielnic miasta. Przy migającym świetle pochodni Deibler kierował ustawieniem gilotyny. Bulwarami wychodzącymi na plac egzekucji ciągnęły, śpiewając bezwstydną piosenkę, grupy pijanych dziewcząt i podmiejskich włóczęgów.

Kawiarnie, restauracje i składy win były całkowicie zapchane. Kilku robotników z żonami i dziećmi, zachwyconych bezpłatnym widokiem, rozsiadło się na chodnikach i spożywało śniadanie. Ludzie zamożni stali w wynajętych oknach, za które płacili po sto franków od osoby; we wszystkich zaś domach, których okna wychodziły na plac Roquette, za tłoczącymi się na balkonach ludźmi jaśniały światła w pokojach. Młodszy i zręczniejszy z tłumu ciekawskich zalegających wyloty ulic wdrapywali się na drzewa. Gałęzie łamały się pod ich ciężarem. W ogromnym, chciwym wzruszeń tłumie można było zobaczyć przedstawicieli wszystkich sfer i stanów, przeważały jednak szumowiny Paryża.

Przy ulicy La Roquette, w domu oznaczonym numerem 151, prawie wszystkie okna były oświetlone i zatłoczone lokatorami i ich przyjaciółmi. Jakiś młody mężczyzna i młoda kobieta, trzymając się za ręce, wcisnęli się w tłum i energicznie torując sobie drogę łokciami, dotarli do pierwszego szeregu widzów, którym łańcuch żołnierzy nie pozwalał posuwać się dalej. Z tego miejsca mogli wygodnie widzieć całą scenę egzekucji. Młodymi osobami byli oczywiście Wielki Dzieciak i Wiewiórka, sprawcy strasznej pomyłki sądu. Milcząc, stali nieruchomo, jakby nogi wrosły im w bruk. Na wieży kościoła św. Ambrożego wybiła druga. Ze wszystkich stron rozlegały się krzyki, nawoływania i śpiewy. Był to wstrętny widok.

Potem zegar oznajmił kwadrans na trzecią. Deibler ukończył przygotowania i z dwoma pomocnikami udał się do więzienia.

Dorożka ze spuszczoneymi storami, eskortowana przez dwóch kawalerzystów, wjechała na plac, a następnie na dziedziniec więzienny. Publiczność poznała powóz, którym kapelan więzienia Roquette przybywał zwykle na egzekucję skazanych. Prawie w tej samej chwili inna dorożka, również ze spuszczoneymi storami, zatrzymała się na rogu ulicy La Roquette.

* * *

Cóż się w tej strasznej chwili działo w mieszkaniu Jana Remy? Wiadomość o egzekucji zabójców hrabiego Lagarde, o której huczał cały dom, doszła do uszu Gabrieli. Poprzedniego dnia rekonwalescentka, czując się nieco strudzona, udała się na spoczynek o dziewiątej i zasnęła prawie natychmiast. Matka ze łzami w oczach spoglądała na nią przez kilka minut, po czym wyszła z pokoju, po cichu zamknęła za sobą drzwi, ubrała się w czarną suknię, na twarz spuściła woalkę i wyszła z mieszkania, zamykając drzwi na klucz. Minąwszy szybko mieszkanie odźwiernej, która otoczona kilkoma kumoszkami perorowała z ożywieniem, wyszła na ulicę i udała się do mieszkania kapelana więziennego.

Tymczasem na placu tłum hałasował coraz bardziej, a krzyki, wrzaski i bezwstydnne śpiewy wlatywały aż do najwyższych pięter domów otaczających przestrzeń, którą złodzieje i zabójcy zwali placem Pięciu Kamieni. Nazwa pochodziła od pięciu granitowych bloków służących za podstawę gilotyny.

Była druga rano. Jeszcze godzina, a zbrodnia zostanie legalnie dokonana.

Gabrielę zbudziły nagle krzyki tłumu zebranego przed domem, w którym mieszkała. Zdziwiona słuchała, jeszcze nie pojmując, co się działo na dworze. Nie po raz pierwszy słyszała podobne odgłosy, odkąd zajmowały to mieszkanie, czyli od trzech czy czterech lat, odgłosy, których niepodobna zapomnieć.

- Przygotowują jakąś egzekucję... - powiedziała i zdjęta instynktowną, niewytłumaczoną trwogą, poczęła drżeć jak listek osiki.
- Mamo... mamo! - zawołała głośno, siadając na posłaniu.

Magdalena nie mogła jej usłyszeć, a tym bardziej odpowiedzieć.

- Mamo... mateczko... - powtórzyła Gabriela. - Czy śpisz? Nie słyszysz hałasu, który dolatuje z placu?

Nasłuchiwała, lecz i teraz nie otrzymała odpowiedzi. Cisza przeraziła ją bardziej niż wszystko inne. Zerwała się bosą z łóżka, podbiegła do okna, uchyliła firankę i przykleiła twarz do szyby, wlepiając oczy w ulicę.

Ujrzała nieprzebrany tłum. Przy świetle pochodni majaczyły oba ramiona gilotyny, pomalowane na czerwono, kaski policji, na których odbijały się płomienie pochodni tysiącem iskier, bagnety wojska trzymającego kordon.

Przerażenie jej wzmagало się coraz bardziej. Trwoga śmiertelna przeniknęła serce. Pomyślała o ojcu. Ojcu oskarżonym o morderstwo, który, jeśli nie wykaże swojej niewinności, także będzie musiał wstępować po schodach tej okropnej maszyny. Odeszła od okna i pobiegła do pokoju matki. Niewiele widząc z powodu zalegających pokój ciemności, zawołała:

- Mamo... mateczko...

Jej wołanie odbiło się echem. Przerażona zapaliła lampę, przy czym omiotła pokój spojrzeniem. Łóżko matki nie było zaścielone na noc. Co to miało znaczyć? Skierowała wzrok na skromny zegar umieszczony nad kominkiem

- Wpół do trzeciej - szepnęła, cała drżąc. - Mamy nie ma... nie kładła się...

Straszna myśl przebiegła jej przez głowę i tak wielce osłabioną chorobą. Wróciła do swojego pokoju, ubrała się szybko i podeszła znowu do okna. Ale tym razem otworzyła je szeroko, nie zadowolając się patrzeniem przez szyby. Szmer, nawoływania i odgłosy

stały się wyraźniejsze. Usłyszała jak żądni wrażeń widzowie, skandują:

- Hejże Remy! Hola Giret!

Dreszcz strasznej, okropnej trwogi wstrząsnął nią od stóp do głów. Wychyliwszy się znowu, zwrócona oczyma ku zamkniętej w tej chwili bramie więzienia, poczęła wsłuchiwać się z natężeniem w głosy:

- Remy! Giret!

A więc nie myliła się... Nazwisko ojca i jego przyjaciela. Matka ją zwiódła. Wydano niesłuszny wyrok. Skazano dwóch niewinnych. Miała odbyć się ich egzekucja.

I X

Jak powiedzieliśmy wcześniej, Paweł Giret, załamany, rzucił się na łóżko, zgneębiony wieścią przyniesioną mu przez dyrektora więzienia. Zbyteczne chyba dodawać, że nie pomyślał nawet o spoczynku. Od czasu do czasu podnosił się, przebiegał celę szerokimi krokami, nasłuchując najmniejszego szelestu zarówno z korytarza, jak i z zewnątrz. Dozorca kilka razy zalecał mu ciszę, lecz Giret nawet go nie słyszał. Myślami był gdzie indziej: to z Janem Remy w jego celi, to znów w mieszkaniu przy ulicy La Roquette lub na placu, gdzie ustawiano rusztowanie i gdzie z jutrzeńką spadnie głowa przyjaciela. Chodząc lub rzucając się po łóżku, słyszał bijące godziny i kwadranse, a każde uderzenie młotka odbijało się w jego sercu bolesnym echem. O północy począł go dobiegać szmer zmieszanych głosów ludzkich. Głosy urzędników - pomyślał. Nędznicy, mogą tylko patrzeć na śmierć niewinnego.

Z nastaniem dnia, który przez wąskie, okratowane okno celi rzucał blade, mdłe światło, usłyszał kroki kilku osób, następnie brzęk poruszanych kluczy i zgrzyt otwierających się drzwi.

Idą po niego - pomyślał, przykładając ucho do drzwi, aby lepiej słyszeć.

Nie mylił się. Przyszli do Jana, aby poprowadzić go na szafot. Dyrektor więzienia w towarzystwie wezwanych prawem egzekucji urzędników, to znaczy prokuratora, pisarza sądowego, komisarza policji z dzielnicy, nadzorcy głównego więzienia i podwładnych mu dozorców, wszedł do celi Jana Remy. Ten spał jeszcze,

lecz obudziło go otwieranie drzwi przez wchodzących. Podniósł się na łożku, zdziwiony z początku, lecz patrząc na tych, którzy go otoczyli, zrozumiał powód ich przybycia. Dyrektor zbliżył się i głosem suchym, niezdradzającym żadnego wzruszenia, jak człowiek przywykły do powtarzania jednych i tych samych słów, powiedział:

- Prośba wasza o ułaskawienie została odrzucona.

- Nie prosiłem o nic - odparł skazaniec - bo i na cóż? Byłem przekonany, że powtórne sądy będą takie same jak pierwsze...

Dyrektor głosem bezdźwięcznym ciągnął dalej:

- Otóż prośba o ułaskawienie, którą podpisaliście nie została przyjęta.

Jan Remy odezwał się znowu:

- Niczego nie podpisywałem. Podpisywać prośbę o łaskę byłoby przyznaniem się do winy, niewinni nie żądają łaski, lecz sprawiedliwości. Ale zapewne adwokat mój uważał za obowiązek działać w moim imieniu. Mimo mojej woli i chęci. - Mówiąc, ubierał się szybko.

Dyrektor dorzucił szablonowo, wedle przyjętego zwyczaju:

- Miej pan odwagę!

Jan Remy podniósł dumnie głowę z błyskawicą w oczach.

- Odwagę! - powtórzył. - O będę ją miał, bądź pan spokojny! Umrę spokojnie i z rezygnacją, jak winien umierać człowiek niewinny.

- Nie ma pan nic do wyjaśnienia sądowi? - zapytał prokurator.

- Mogę jedynie powiedzieć to, co będę miał na ustach w chwili zgonu: Jestem niewinny, przebaczam tym, którzy mnie skazali.

- Może żąda pan czegoś, aby podtrzymać siły? - zapytał dyrektor więzienia.

- Dziękuję panu... Niczego nie potrzebuję.

Do skazanego przysunął się ksiądz kapelan. Jan Remy objął go i pociągnął za sobą w najdalszy kąt celi.

- Moje biedne dziecko - cicho rzekł do niego ksiądz. - Przynoszę ci odpuszczenie grzechów przez Wszechmocnego oraz uścisk pożegnania od żony i córki.

Gdy kapłan żegnał go serdecznie, kował się rozpląkał, lecz szybko powściągnął wzruszenie.

- Dziękuję ci ojczy, dziękuję z całej duszy - szepnął, po czym nieco głośniej zagadnął: - A mego przyjaciela Gireta, niewinnego jak ja, czy wolno mi będzie uścisnąć?

- Nie, to niemożliwe... - odpowiedział dyrektor więzienia. Gniew począł ogarniać Jana Remy, lecz natychmiast się opanował.

- Uścisnę go więc, tam wysoko... - wyszeptał. - Panowie jestem gotów.

Dwaj stróże wzięli go pod rękę i wyprowadzili.

Paweł Giret, nasłuchujący ciągle przy drzwiach, usłyszał kroki.

- Odwagi przyjacielu! Odwagi! - zawołał drżącym głosem. - Bóg jest sprawiedliwy! Będziemy pomszczeni!

Skazaniec poznał głos, zadrżał i się zatrzymał. Chciał odpowiedzieć, lecz pociągnięto go do kancelarii więziennej. Po skończeniu ostatniej, przedśmiernej toalety założono mu kajdany. Z głową podniesioną, bez pomocy pachołków, udał się na miejsce stracenia, a raczej swego męczeństwa.

Z chwilą otwarcia wrót więziennych w tłumie zaległa cisza. Oczy wszystkich zwróciły się na idących. Sylwetki Jana i księdza niewyraźnie rysowały się na tle dopiero wschodzącej jutrzeńki. Wreszcie Jan wyraźniej ukazał się oczom ciekawskich. Szedł spokojnie, pewnym krokiem, obok księdza, który krucyfiksem starał się zasłaniać widok rusztowania.

- Mój ojczy - powiedział Remy cicho do kapłana - wiem, że stoi tam gilotyna... Nie przeraża mnie wcale, lecz krzyż, który za chwilę gorąco ucałuję, zasłania okno, które chciałbym raz jeszcze zobaczyć przed śmiercią.

Zacny kapłan wiedział o jakim oknie mówił więzień. Odsunął więc nieco krzyż, a wzrok Jana pobiegł do okna ich mieszkania, oświetlonego palącą się lampą. W oknie majaczyła wychylona postać kobieca. Remy poznał córkę.

- Gabriela... moje dziecko - wyszeptał przygasłym głosem. Czując, że siły raptownie go opuszczają, wezwał na pomoc całą

swoją energię i odwagę i szedł dalej, nie spuszczać oczu z okna, w którym widział Gabriele. Nawet wstępując po stopniach okropnej maszyny, patrzył jeszcze w okno swego mieszkania. A kiedy stanął u góry, gdzie pomocnicy kata pochwycili go w swoje ręce, głosem dźwięcznym i doniosłym, odcinającym się od szumu tłumu, zawołał:

- Gabrielo, córko moja... umieram niewinny! Odpowiedział mu straszny krzyk. Kobieca sylwetka zniknęła

z okna w tej samej chwili, kiedy głowa Jana Remy potoczyła się spod katowskiego noża. Tłum, wstrząśnięty widokiem, zamarł i umilkł.

Dwóch było skazanych. Jeden już nie żył. Teraz kolej drugiego. Drzwi więzienia pozostały jednak zamknięte.

Pachołkowie kata zanieśli ciało ściętego do wozu przeznaczonego dla skazanych, który odjechał eskortowany przez wojsko. Za wozem jechała dorożka wioząca kapelana więziennego.

- Nie będzie drugiej egzekucji - odezwał się ktoś w tłumie. -Pawła Gireta ułaskawiono.

Niespodziewana wieść rozniosła się wśród zgromadzonych lotem błyskawicy, a widzowie wolno, jakby niezadowoleni, że im skrócono obiecanie widowisko, poczęli się rozchodzić. Wojsko dało znak odwrotu, gilotynę w okamgnieniu rozebrano, a gdy słońce ukazało się na horyzoncie, plac Roquette był już prawie pusty. Zalegała na nim zwykła, codzienna cisza. Z osób przyglądających się krwawej tragedii pozostał tylko młody mężczyzna, któremu towarzyszyła równie młoda kobieta. Śmiertelnie bladzi,

stali nieporuszeni, nie mówiąc do siebie ani słowa. Para była zacnym małżeństwem. Robert Dauphin i Modesta Pierrelay. Kobieta przemówiła pierwsza.

- Chodźmy... - rzekła bezdźwięcznym głosem. - Nie zobaczymy już niczego więcej... Lepiej było tu nie przychodzić.

Chwiejąc się jak para pijaków, oddalili się w kierunku Ménil-montant.

Furgon wiozący śmiertelne szczątki Jana Remy na cmentarz w Ivry nadzorował prefekt policji. Eskortowało ich czterech żandarmów oraz dorożka z księdzem kapelanem. Przebyto ulicę La Roquette, a kiedy ponury orszak wjechał na bulwar Voltaire, fiakier z opuszczonymi firankami stojący na rogu placu puścił się za nimi. Przebyto plac Bastille, bulwar Contrescarpe, most Austerlitz, bulwar l'Hôpital, plac Italie i aleję Ivry. Pięć minut po czwartej orszak zatrzymał się przy cmentarzu, na miejscu przeznaczonym dla skazańców. Dorożka z opuszczonymi firankami, jadąca wciąż za wozem żałobnym, stanęła pięćdziesiąt kroków od miejsca, w którym zatrzymał się orszak.

Żandarmi dali znak odwrotu. Nigdzie nie było widać przygotowanej mogiły. W alei, w której furgon się zatrzymał, oczekiwał komisarz policji okręgu Gentilly, oficer policyjny i grabarze. Kapelan jak również naczelnik policji wysiedli ze swoich powozów.

Szef policji zamienił z komisarzem ukłony.

- Rodzina życzy sobie sama pochować ciało - powiedział szef policji, wydobywając papier i podając go komisarzowi, który przejrzawszy go, odparł:

- Dano mi już znać o tym wczoraj wieczorem, panie naczelniku. Dozorca cmentarza otrzymał odpowiednie rozporządzenie.

Dozorca zbliżył się i odezwał:

- Mogiła znajduje się kilka kroków stąd. Niechaj wóz podjedzie tam, aby złożyć ciało do trumny.

Naczelnik policji wydał odpowiednie rozporządzenie.

Pod cyprysami widniała wykopana mogiła, obok stała dębowa trumna. Wóz otwarto i wydobyto doczesne szczątki Jana Remy, już całkiem zeszywniałe. Ciało biedaka złożono do trumny wysłanej trocinami, głowę, zda się odlaną z wosku, umieszczono w nogach. Zamknięto wieko. Trumnę spuszczone do dołu, a poczciwy ksiądz, który nabył ten kawałek ziemi za własne pieniądze, szeptał pacierze za zmarłych.

Dół zasypano w okamgnieniu. Wszyscy odeszli, został tylko kapelan. Zamienił kilka słów z naczelnikiem policji, a potem stał i wpatrywał się w świeżą mogiłę. Po upływie pięciu czy sześciu minut podszedł do dorożki z opuszczonymi firankami, stojącej wciąż w tym samym miejscu. Otworzył drzwiczki. Wysiadła blada jak śmierć Magdalena. Trzymała w ręce wieniec z nieśmiertelników i krzyż, na którym białymi literami wypisano imię z chrztu świętego: Jan. Pozwolenia na dołączenie nazwiska odmówiono.

Kapelan wziął wieniec i krzyż, a następnie, podtrzymując Magdalene, której nogi odmawiały posłuszeństwa, poprowadził ją do grobu. Kobieta padła na kolana i wybuchnęła płaczem.

Ksiądz umieścił krzyż w ziemi i założył nań wieniec z nieśmiertelników. Po czym, klękając, począł odmawiać ostatnie modlitwy. Magdalena zdjeta silnym wzruszeniem wyszeptała kilka słów, co przypominało raczej jęk niż mowę ludzką.

- O! mój przyjacielu... mój drogi, biedny, ukochany przyjacielu... Nie ujrzę cię więcej już nigdy... nigdy...

- Zobaczysz go tam wysoko, moje dziecko - odparł ksiądz, pomagając podnieść się jej i podprowadzając do dorożki, którą przyjechała na cmentarz. - Odwagi moje dziecko, odwagi. Potrzebujesz jej wielce... Próba, jaką podobało się Panu Bogu na was zesłać, jest bardzo ciężka. Ale Bóg was nie opuści.

Magdalena, mimo oporu zacnego kapłana, pochwyciła jego rękę, podniosła do ust i wyszeptała:

- Niechaj cię Bóg błogosławi, ojcze. Jesteś taki dobry

Kapelan zamknął drzwiczki i dał znak woźnicy, aby ruszał. Sam z pochyloną głową poszedł do swojego powozu, zajęty myślą o nieszczęśliwych. Podczas gdy dorożka toczyła się do jego domu, mimo woli wyszeptał:

- Kara śmierci! Gdyby nie istniała, nie spadłaby dzisiaj głowa niewinnego!

* * *

Cofnijmy się o godzinę i zajrzyjmy do mieszkania na La Roquette. Dziewczę, słysząc głos skazanego, mającego za chwilę umrzeć: „Gabrielo, córko moja... umieram niewinny”, poznaawszy, że głos ten należy do człowieka, którego kochała jak własnego ojca, krzyknęła rozzwierającym głosem i padła na posadzkę zemdlna. Wstrząśnienie było tak wielkie, że jeśli dziewczę nie umarło, to chyba tylko dlatego, iż miało jeszcze wiele przecierpieć.

Około godziny leżała bez poruszenia, podobna raczej do umarłej niż do żywej, wreszcie pomału zaczęła przychodzić do siebie i pojmować, co się stało. Cierpienie, zamiast zdruzgotać ją, jak w pierwszej chwili, do pewnego stopnia ją zelektryzowało. Podniosła się śmiertelnie blada i zbliżywszy się do otwartego okna, wyjrzała na plac. Był pusty. Strażnik wolnym krokiem przechadzał się tam i z powrotem przed bramą więzienia. Nie było śladu tragedii, która się tu rozegrała.

- Przecież mi się to nie śniło - wyszeptała Gabriela. - Widziałam dobrze... Wzniesiono szafot. Otaczał go wyjący tłum. Widziałam, jak otworzono drzwi więzienia. Naprzód mężczyzna, potem ksiądz wstępował po schodach... Usłyszałam głos ojca: „Gabrielo, córko moja... umieram niewinny”.

Piers dziewczyny poczęła szybko się unosić. Dusił ją łkaniem. Wreszcie łzy trysnęły dwoma potokami. Płacz przyniósł jej ulgę. Podniosła się. Powoli się uspokoiła, a łzy przestały płynąć.

- Mama wiedziała o tym i ukryła to przede mną, pojmuję to doskonale... Obawiała się, abym na wieść o strasznej prawdzie nie umarła. Dowiedziałam się wszystkiego bez niej i żyję, i chcę żyć dla mojej mateczki, aby jej nie opuszczać, gotowa jestem znieść cios odważnie. Cała nasza przyszłość przedstawia się teraz w czarnych barwach... Zniesiemy ją! Ojciec powiedział: „Jestem niewinny!” Wiedziałam o tym dobrze... wierzę w to... To męczennik... Jest teraz w niebie... i może stamtąd, z wysoka, będzie się nami opiekował.

Mimo panowania nad sobą, dziewczyna nie mogła znowu powstrzymać się od łez. Płynęły wolno, podczas gdy wyobraźnia Gabrieli śniła obrazy ponuro zarysowującej się przyszłości. Zajęta czarnymi myślami upadła na krzesło i nie zdawała sobie sprawy, że czas płynie.

Nagle na schodach dały się słyszeć chwiejne kroki. Odgłos ich rozległ się na korytarzu, następnie ktoś zatrzymał się pod drzwiami. Gabriela nadśluchiwała. Podniosła się spokojna. Drzwi się otwały.

Weszła Magdalena, lecz tak była skupiona na rozmyślaniach, że nie dostrzegła córki. Dopiero odwróciwszy się po zamknięciu drzwi, spostrzegła ją. Osłupiała, stała bez poruszenia, podobna do posągu przerażenia, z oczyma patrzącymi szeroko, ustami otwartymi. Próżno starała się coś powiedzieć. Ani jeden dźwięk nie chciał przedostać się przez jej usta.

Gabriela wyszeptwała złamanym głosem:

- Wiem o wszystkim mammo... - Ruchem ręki wskazała otwarte okno i dodała: - Stałam tam... i widziałam wszystko.

Magdalena wyciągnęła do niej rękę. Dziewczę rzuciło się w jej objęcia i przez kilka minut w izdebce, do której sprawiedliwość ślepa wniosła żalobę, dały się słyszeć tłumione łkania. Wreszcie Magdalena przemówiła.

- A więc... wiesz... - wydostało się z ust nieszczęśliwej matki, okrywającej pocałunkami twarz dziecka.

- Wiem wszystko... tak...
- I przebacysz mi, że ukrywałam to przed tobą?
- Czy ci przebaczam, mateczko kochana? Chciałaś mi oszczędzić wielkiego cierpienia -mówiła Gabriela, okrywając pocałunkami twarz i ręce Magdaleny. - Składam ci gorące dzięki za to... Nie miałam dość sił, aby pogodzić się z myślą, iż mój ojciec ma być stracony... Byłabym tego nie przeżyła... A tak nic nie wiedziałam... Niczego zgoła nie przewidywałam... Naraz pojęłam wszystko... Spadł na mnie straszny cios, ale ów ogrom bóleści i ostatni okrzyk ojca dodał mi energii, której bym nie miała, gdybym wiedziała o wszystkim wcześniej.
- Ostatnie słowa ojca... a więc słyszałaś je - powiedziała Magdalena, drżąc jak liść osiki. - Słyszałaś, co mówił?
- Tak, słyszałam każde słowo.
- Widziałaś, jak wchodził na rusztowanie?
- Tak, mamó. Patrzył na nasze okno i mówił, zwracając się do mnie... Poznał mnie wychyloną przez okno, gdy przypatrywałam się przerażona, i zawołał: „Gabrielo, córko moja... umieram niewinny!”.
- Wierzysz w to, prawda?
- Czy wierzę? Mateczko droga, to był najzacniejszy człowiek ze wszystkich. Umarł śmiercią męczeńską! - A po upływie kilku sekund drżąca wyszeptwała: - A grób ojca?
- Zdołałam oszczędzić największej zniewagi: złożenia zwłok do dołu przeznaczonego dla skazańców. Dzięki wstawiennictwu szlachetnego księdza, kapelana więziennego, ojciec twój spoczywa w ziemi poświęconej, na której można było zatknąć krzyż z tablicą.
- Mieszczące nazwisko jego?
- Imię tylko. Nie pozwolono na dodanie niczego więcej.
- Mateczko, będziemy chodziły często na grób tego niewinnego, który zapłacił za zbrodnię innego.
- O tak! Często... jak najczęściej...

Dziewczę po chwili odezwało się znowu:

- A Paweł Giret?

- Paweł Giret miał więcej szczęścia od twojego biednego ojca, moje dziecko - odparła Magdalena, zalewając się łzami. - Nie stracono go... Karę śmierci zamieniono mu na dożywotnie ciężkie roboty

- To i tak umarł dla nas... Nie zobaczymy go więcej, ale w każdym razie żyje! Czy to sprawiedliwe, mamó? Jeśli odebrano życie ojcu, dlaczego pozwolono żyć Pawłowi Giretowi? Jeżeli ułaskawiono Pawła, dlaczego nie zastosowano tego i do mojego ojca, przecież nie był ani trochę więcej winien od Pawła? Przeklinam tych, którzy w imię sprawiedliwości popełnili podobną niesprawiedliwość. - Gabriela rozgorączkowana unosiła się coraz bardziej.

- Uspokój się, moje dziecko - błagała Magdalena, przyciskając ją do serca. - Co pomoże unoszenie się? Jesteśmy słabe, biedne kobiety... Wszystko się na nas wali... Życie mamy złamane. Cokolwiek się stało, w sercu pozostanie krwawiąca, bolesna rana, która nie zasklepi się nigdy. Jednakże trzeba zwalczyć tę niemoc, trzeba być silną... Musimy rozpocząć nowe życie, pod innym nazwiskiem.

Gabriela poczęła drzeć.

- Pod innym nazwiskiem... - szepnęła.

- Niestety, musimy, moje dziecko. Inaczej upadłybyśmy pod ciężarem niezasłużonej hańby, przeciw której nie mogłybyśmy walczyć.

- Cóż więc uczynimy?

- Przybierzemy nazwisko, które nosiłam przed ślubem. Będiesz odtąd Gabriellą Bernard. Myślę głównie o tobie, ukochane dziecko. Z nowym nazwiskiem nikt nie będzie nas łączył z człowiekiem, który umarł na szafocie.

- Życzenie twoje, mamó, będzie zarazem i moją wolą. Co postanowiłaś, uczynię z ochotą.

- Przede wszystkim wyprowadzimy się stąd.
- Czy mamy już mieszkanie?
- Tak, znalazłam małeńkie.
- Daleko stąd?
- Na wysepce Świętego Ludwika, w dzielnicy oddalonej nieco, lecz bardzo spokojnej.
- Wiem gdzie.
- Będziemy miały dwa małe pokoje, jasne, mające dużo powietrza, w porządnym i cichym domu. Odźwierna wygląda na przyzwoitą kobietę. Skoro tylko się przeniesiemy, pomyślimy o znalezieniu pracy, ja zaraz, ty nieco później, jak nabierzesz więcej sił.
- O! - zaprotestowała Gabriela. - Ależ ja jestem zupełnie zdrowa i mogę iść do pracy.
- Moje biedne dziecko - westchnęła Magdalena, głęboko wzruszona - gdy pomyślę, że stworzyłam ci to życie pełne cierpienia, poślubiając Jana Remy, boleję niewymownie... Czyż mogłam wiedzieć, przewidzieć? O, moja córko, przebaczysz mi?
- Gabriela objęła matkę ramieniem.
- Mateczko ubóstwiana - mówiła, okrywając ją pocałunkami - cóż ci mam wybaczać, mogę cię tylko kochać... ze wszystkich sił, z całej duszy. Mam, jutro zaprowadzisz mnie na grób ojca, tam ze łzami pomodlimy się za jego duszę.
- Magdalena skinęła potwierdzająco głową. Dziewczyna, spokojniejsza, mówiła dalej:
- Aby nie zostawić żadnego śladu po sobie, rozumiem to znakomicie, należy opłacić dyskrecją tych, którzy nas będą przeprowadzać...
- Nie, moje dziecko, urządzimy to tak, że nie będziemy musiały się obawiać żadnej gadaniny. Nowe mieszkanie jest tak szczupłe, że nie pomieści wszystkich rzeczy... Trzeba będzie pozbyć się większej części. Znajdę nabywcę, który zabierze do siebie wszystko. Potem, jak już zamieszkamy na wyspie Świętego Ludwika, od-

bierzemy od niego naszą część... Dziś upakujemy w dwie walizy bieliznę i ubranie. Dorożkarz, który po nas zajędzie, zabierze tłumoczki i dopiero w drodze powiemy mu, gdzie ma jechać... Widzisz, nie zostawimy po sobie najmniejszego śladu.

Magdalena z najwyższym wysiłkiem zdawała się chwilami zapominać o nieszczęściu. Zajął się przygotowaniem śniadania, następnie wyszła z domu, aby znaleźć kupca, który by nabył ich ruchomości. Znalazła, który ofiarował cenę znacznie niższą od rzeczywistej wartości, ale w zamian zgodził się na pomysł Magdaleny. Po zapłaceniu kosztów urządzenia i komornego pozostało jej około dwustu franków. Nazajutrz rano pościel, materace i kołdry, wszystko powiązane, przygotowane były do zabrania.

* * *

Powróćmy na ulicę Le Regrettier, do mieszkania sąsiadującego z mieszkaniem wynajętym przez Magdaleny Remy. Mieszkanie to zajmowali Wielki Dzieciak i Wiewiórka, którzy, gdyby przyznali się do popełnionej przez siebie kradzieży, ocaliliby Jana Remy i Pawła Gireta.

Wzruszeni widzianą egzekucją powrócili do domu zgnębieni, dręczeni wyrzutami sumienia, które nie opuszczały ich od dnia, gdy dwaj robotnicy zaarrestowani zostali pod zarzutem kradzieży, a następnie zbrodni zamordowania hrabiego.

- Ach, jakże sprawiedliwość jest chwiejna! - wołał Wielki Dzieciak. - A sędziowie to istni kretyni... Doprawdy, w głowie mi się miesza... Człowiek zupełnie niewinny ścięty... i to z naszej winy!

- Byłbyś sam na jego miejscu - zauważyła Wiewiórka.

- Może lepiej by się stało...

- Ach, tylko nie udawaj, mój kochany! I tak rozum już tracę. Nie dodawaj więcej.

- Paryż jest dla mnie obecnie wstrętny.

- I dla mnie też.
- Widzę wszędzie tylko gilotynę.
- Czy skończysz już przedstawiać wszystko w najczarniejszych barwach?
- Powtarzam tylko, że Paryż nabawia mnie strachem.
- To porzućmy go i przenieśmy się na prowincję. Wielki Dzieciak przemówił po chwili.
- Czy prowadzisz ciągle starannie rachunki? - zapytał półgłosem.
- To dobre - odparła Wiewiórka - jak najlepszy kasjer... Nie ma najmniejszego wyskrobywania w zapisywaniu. W dodawaniu nie ma omyłki, nawet na centyma. Dlaczego pytasz?
- Gdyż chciałbym poznać dokładnie bilans naszego stowarzyszenia. Wiewiórka zrobiła się w jednej chwili czerwona jak pomidor, czerwiejsza od swoich włosów, i wsparłszy ręce na biodrach, z błyszczącymi oczami zawołała:
- Czy nie chcesz przypadkiem rozwiązać naszego stowarzyszenia? Wielki Dzieciak popatrzył na nią i wzruszył ramionami.
- Czy to początek jakiegoś ataku nerwowego? - zapytał najspokojniej.
- Gdybym go nawet dostała, nie byłoby się czemu dziwić!
- No, dość tego opowiadania! Mam wspaniały pomysł! Weź notes moja miła i powiedz, jak stoimy z naszymi interesami.
- Czy mówisz serio?
- Najzupełniej!... Mówię, że mam pewną myśl. Wiewiórka podeszła do szafy z lustrem stojącej na wprost łóżka, otworzyła ją i wsunęła rękę pod stos starannie ułożonej bielizny. Wydostała mały notesik.
- Oto jest dziennik, księga kasowa i główna księga zarazem - powiedziała, otwierając notatnik.

- Siadaj i mów... Ile jest w kasie?
 - Dwadzieścia osiem tysięcy trzysta franków w pewnych papierach. Gdybyśmy je obecnie sprzedali mielibyśmy przewyżki przynajmniej cztery tysiące franków.
 - A jaki procent dają rocznie wszystkie te papiery?
 - Zaraz ci powiem - odparła. A dodawszy sumę każdego z papierów, rzekła: - Dziewięćset trzydzieści franków.
 - A kupony, czy są poobcinane? -Nie.
 - A ile pieniędzy mamy gotówką?
 - Ostatni interes zrobiony przez nas w Kroflayu poprawił nasze fundusze - mówiła Wiewiórka, przerzucając szybko strony notesu. Przyjrząwszy się dobrze jednej kartce, dodała: - Gotówką mamy trzy tysiące sześćset dwadzieścia franków i siedem centymów.
 - Dobrze! Czy jesteśmy komuś coś winni?
 - Nic, ani centyma! Ach! Przepraszam... Dwadzieścia sześć sou owocarce, która nie miała wydać reszty z dwudziestu franków.
 - A jak jest z mieszkaniem?
 - Miesiąc czerwiec jeszcze nie skończony, powinno się za niego zapłacić dopiero ósmego lipca.
 - Pójdiesz zapłacić zaraz.
- Wiewiórka spojrzała na Wielkiego Dzieciaka wielce zdziwiona.
- Płacić zaraz - powtórzyła. - Mam zapłacić naprzód?
 - Tak, i odniesiesz do owocarni dwadzieścia sześć sou... Następnie zjemy śniadanie i zapakujemy tłumoki.
 - Co to? Co ci się stało? Masz źle w głowie?
 - Mówiłem ci, że Paryż mi obrzydł. Mam chęć puszczenia się w drogę.
 - I to zaraz?

- Chciałbym zmienić miejsce, przewietrzyć się trochę... Zobaczyć trochę świata, dopóki sprawa Jana Remy się nie zatrze, rozumiesz?

- Tak... Ale jeżeli wyjedziemy daleko od Paryża, to koleje i zajazdy kosztować będą... wyda się dużo.

- Zabierzemy ze sobą narzędzia, znajdziemy sposobność znalezienia zarobku w drodze, to pokryje koszty podróży... No, głowa do góry i w drogę... Idź, zapłać komorne i w owocarni i przynieś coś do jedzenia! Ja tymczasem wydobędę walizy ze schowka i zacznę nas pakować.

- A więc postanowiłeś stanowczo?

- Ile razy mam ci jeszcze mówić?

- I gdzie się udamy?

- Na zwiedzanie zamków nad Loarą... abyś mogła podziwiać architekturę.

- O, to bardzo pięknie... Teraz przynajmniej żyję... Odetchniemy innym powietrzem, masz zupełną rację.

Wiewiórka wzięła pieniądze i skierowała się ku wyjściu.

- Powiedz odźwiernej - rzekł Wielki Dzieciak - że jedziemy do Szwajcarii, do mego wuja... Wuj, który czuje się źle i po którym mam otrzymać spadek. Nie trzeba, aby wiedziała, gdzie się udajemy.

Wiewiórka opuściła mieszkanie, a Wielki Dzieciak wydobył walizy i począł je pakować. Obie były duże i mogły pomieścić więcej, niż było trzeba.

- Zabierze się to na kolej - mówił do siebie Wielki Dzieciak - do jednej włożę wszystkie narzędzia, abyśmy nie byli skrepowani, gdyby znalazła się jakaś mała robota. Dwadzieścia osiem tysięcy trzysta franków da dziewięćset trzydzieści franków renty rocznej, co za nędza. Po jakimś czasie trzeba tę sumę podnieść, lubię życie spokojne. Mam upodobania skromne. Mając tysiąc osiemset rocz-

nej renty, da się żyć w jakimś zakątku na wsi. Trzeba do tego dojść i dojdzie się, niewątpliwie!

Monologując, Wielki Dzieciak skończył pakować walizy. Ze stołu, ze stosu gazet i wydawnictw ilustrowanych, wziął przewodnik kolejowy i otworzył go w części poświęconej liniom kolejowym Orlean, Tours, Poitiers, Angoulême i Bordeaux. Naprzód do Blois - pomyślał, przebiegając oczami szereg stacji. Druga klasa kosztuje na dwoje dwadzieścia sześć franków osiemdziesiąt centymów, wcale nie tak drogo. Będąc już na miejscu, zobaczymy, czy można mieć chleb z tej mąki... potrafię być filutem... Będziemy mieli tam dobre życie, i to za niską cenę. Okolice godne obejrzenia, a może i wyeksploatowania.

O której odchodzi kolej? Spojrzał na rubrykę wskazującą odjazdy i przyjazdy pociągów. Pociąg numer 33, złożony z pierwszej, drugiej i trzeciej klasy, odjeżdżał o dziesiątej wieczorem, a do Blois przyjeżdżał trzydzieści siedem minut po pierwszej rano.

Dobrze się składa - pomyślał. W nocnych pociągach jest mniej podróżnych, a tym samym mniej ciekawskich, którzy radzi by wiedzieć, dokąd jedziemy i kim jesteśmy... Tym pojedziemy... A teraz jaki hotel wybrać, aby nie mieć kłopotu? W którym się zatrzymać?

Przewrócił kilka kartek, szukając wskazówki, jakie są hotele i zajazdy w Blois. Jego uwagę zwrócił hotel Aloise. Miał dobre położenie i umiarkowane ceny. Mieszkanie z wyżywieniem kosztowało przeciętnie osiem franków dziennie. Tak, trzeba tam się udać, a będzie dobrze - zakonkludował, zamykając przewodnik. W tej chwili weszła Wiewiórka, przynosząc śniadanie oraz kwit za mieszkanie, zapłacone z góry.

X

Nie będziemy opisywać przygotowań do podróży naszej pary. Koło godziny ósmej, spokojne i zacne małżeństwo

- jak nazywała ich odźwierna - opuściło mieszkanie, zamknąwszy starannie drzwi wyposażone w zamki bezpieczeństwa. Dorożka zawiozła ich do restauracji znajdującej się w sąsiedztwie Dworca Orleańskiego. Zamierzali tam zjeść obiad, czekając na odejście pociągu do Blois, pierwszego etapu podróży przedsięwziętej przez Wielkiego Dzieciaka. Przyzwoite, lecz nadzwyczaj skromne ubranie nadawało im wygląd urzędniczej pary, korzystającej z urlopu, aby zadowolić gorącą potrzebę zmiany miejsca, tak często ujawniającą się w naszej epoce.

Opuśćmy chwilowo Wielkiego Dzieciaka i Wiewiórkę i powróćmy do mieszkania wdowy po Janie Remy. Biedna Magdalena, załatwiwszy sprawą umeblowania, udała się na ulicę Le Regrettier. Wynajęte przez nią dwa pokoje, stosownie do obietnicy odźwiernej, stały już puste i były dość czyste.

Nazajutrz rano, Magdalena udała się po dwie dorożki. Do jednej załadowano walizy i pościel, do drugiej wsiadła matka z córką.

Woźnica zapytał:

- Gdzie pani każe jechać?

* * *

Nikt nie przechodził chodnikiem, a odźwierna, okazując wzdgarę, zamknęła się w łoży i nie wyszła na ulicę, wdowa spokojnie więc odparła:

- Ulica Le Regrettier, numer jedenaście.

O oznaczonej godzinie kupiec mebli przesłał na nowy adres sprzęty powierzone mu na przechowanie i tym sposobem o jedenastej Magdalena z córką miały już za sobą przeprowadzkę. Po posiłku Magdalena, wierna obietnicy, zaprowadziła Gabrielę na cmentarz Ivry, gdzie obie wylewały łzy gorzkie nad grobem męczennika.

* * *

Paweł Giret, powiadomiony o ulaskawieniu, o które ani się nie starał, ani którego nie pożytał, w dniu stracenia przyjaciela został przeniesiony ze swojej celi na zwykły więzienny oddział. Czekał teraz na wysłanie do Saint-Martin de Re, skąd okrętem miał być przewiezony do Nowej Kaledonii.

7 lipca zaprowadzono go do Pałacu Sprawiedliwości, by uczestniczył w ceremonii zatwierdzenia aktu zmiany wyroku. Dopóki siedział zamknięty w celi dla skazanych na śmierć, był silny i odważny, teraz jednak, gdy nie musiał się już obawiać szafotu, stał się ponury i smutny. Unikał tych, którzy go otaczali, krył się po kątach i bezustannie myślał o straceniu Jana Remy oraz o jego nieszczęsnej rodzinie.

Chciał napisać list do Magdaleny, później jednak porzucił tę myśl. List powiększyłby tylko cierpienia nieszczęśliwej kobiety i jej córki. Postanowił też nie dawać znaku życia panu Rety, swojemu dawnemu chlebodawcy. Był zgubiony... zgubiony bez ratunku. .. wykreślony na zawsze z grona uczciwych ludzi. Chociaż żył, umarł dla wszystkich.

Z upływem czasu temat rojeń i marzeń się zmienił. Myślał o zemście. Zemsta! Tak. On i Remy byli niewinni! Padli ofiarą innych! Ach, gdyby dało się ich odnaleźć! Pomścić przyjaciela, zemścić się samemu! Otrzymać rehabilitację, wskazawszy sądowi niegodnych, którzy przysporzyli im tylu cierpień. Aby dopiąć tego, byłby poświęcił ostatnią kroplę krwi! Ale by odnaleźć winnych, wpaść na ich trop, trzeba być wolnym...

Wtedy zawładnęło nim gorące pragnienie ucieczki. Umknąć? Jakim sposobem? Sama myśl była szaleństwem. Nawet gdyby zdołał tego dopiąć, co zrobiłby bez pieniędzy, zmuszony się ukrywać?

W takich chwilach chciał już tylko jak najszybciej wyjechać do Numei. Oddalić się od Paryża, wyjechać z Francji, przybyć do nieznaney krainy, gdzie umrze zapomniany. Nigdy chyba nikt bardziej od niego nie cierpiał! Nigdy chyba żadne serce nie dotknął tak bolesny cios! A jednak iskierka nadziei uparcie tliła się w jego duszy - myśl o odzyskaniu swobody...Razem z nią przychodziły mu do głowy pełne fantazji i szalonych pomysłów inne zamiary.

* * *

Marcela de Lagarde i Filip de Kerven zapomnieli już o swoich ofiarach. Sędzia zasiadał w gabinecie bardziej sztywny i bezlitosny niż kiedykolwiek, mając zawsze na ustach słowo „sprawiedliwość”, postępując wedle wytkniętej drogi. Czego miał się obawiać? Wyrok wydany na Jana Remy i Pawła Giret opłacił straszną zbrodnią.

Marcela była mniej spokojna, nie dlatego, aby się czegoś obawiała. Widziała przed sobą nędzną przyszłość. Przez jakiś czas liczyła na swojego brata, ale po bytności w Clisson, pogrzebała wszelkie nadzieje. Jeżeli w przeciągu roku nie znajdzie dla Heleny bogatego i wspaniałomyślnego męża, który chciałby jej przyjść z pomocą, czeka ją życie pozbawione wygód albo poślubienie Filipa, który może jej zapewnić zaledwie skromny dobrobyt.

Roger de Kerven, siostrzeniec sędziego, byłby odpowiednim mężem dla córki, lecz chciała najpierw spróbować, czy nie da się zdobyć kogoś lepszego, w towarzystwie innym niż to, w którym obracał się młody Kerven. Zbyt mało czasu upłynęło od katastrofy, która okryła ją żałobą, aby mogła przyjmować u siebie lub wprowadzać Helenę w świat.

Ach, ten hrabia Albert de Lussan! Ten brat - sparaliżowany, mający przeszło dwadzieścia milionów franków i odmawiający dwóch lub trzech jej córce. Gdyby mogła chętnie by go zgmiotła, usunęła na zawsze. Gdyby wiedziała, gdzie znajduje się ta kobieta, dziecko, którego hrabia szukał bez ustanku! Nie cofnęłaby się przed nową zbrodnią, żeby tylko zabrać majątek, który one miały zagrabic i odebrać Helenie. Wspólnie z Filipem obmyśliłaby sposób, aby je zgubić, usunąć na wieki.

Srebrne nici coraz częściej mieszały się z jej kruczymi bujnymi włosami. Czowała, że się starzeje. Jednak nie myślała wcale o wzywaniu córki do siebie. Zdoła wszystko najpierw przygotować, aby Helena mogła od razu zabłysnąć w Paryżu w towarzystwach, do których zamierzała ją wprowadzić.

Tymczasem panna de Lagarde nie zajmowała się ani Paryżem, ani swoją matką. Zatopiona w miłości, zapomniała o wszystkim. Prócz Andrzeja nic dla niej na świecie nie istniało. Od dnia gdy w zamku Chambord, w kaplicy króla Henryka II wymieniła pierścionki zaręczynowe z ukochanym, jej miłość jeszcze się spotęgowała, łącząc się niekiedy z wybuchami zazdrości. Tę nierozsądną, bezpodstawną zazdrość wywoływały częste wycieczki Andrzeja, konieczne ze względu na interesy prowadzone przez jego ojca. Jakże chciała być zupełnie swobodna, aby móc jeździć razem z Andrzejem, strzec go przed pięknymi kobietami usiłującymi się mu podobać.

Andrzej nieraz przemyślał nad wymianą pierścionków w zamku Chambord. Wyrzucał sobie, iż przyjął pierścione, nie

dlatego, żeby miał wątpić o swej miłości do Heleny, lecz dlatego, nie wiedział, do czego ta miłość może doprowadzić. Obawiał s Heleny, niezmiernie nerwowej, unoszącej się chwilą, nadzwyc wrażliwej, obawiał się samego siebie. Czuł, że pierwsza lepsza sposobność, której niepodobna przewidzieć, rzuci mu ją w ramiona, że nie będzie miał siły jej odepchnąć i że straciwszy głowę, może zapomnieć o prawach honoru. Nie chciał do tego dopuścić za żadną cenę.

Pewnego dnia odważył się więc i dał do zrozumienia Helenie, że wzajemne uczucie może ich zdradzić wobec obcych, że ciągle przychodzenie do młyna jest dla niej kompromitujące, wreszcie, że jeśli chcą, by nie zwracano na nich uwagi, muszą działać z większym zastanowieniem. Rady te wywołały jedynie płacz dziewczyny, która nie dała się przekonać.

Młodzieńcowi przyszło na myśl, by zwierzyć się ojcu ze swojej miłości i prosić go o radę. Nie uczynił tego tylko dlatego, że obawiał się, iż ojciec powie mu, że jest szalony, myśląc o poślubieniu panny de Lagarde. Dzielilo go od niej i urodzenie, i majątek... Nigdy nie dadzą ci jej poślubić - powiedziałaby zapewne ojciec. Wyperswaduj to sobie, zapomnij.

Zapomnieć było niepodobna, lecz trzymał się z dala, co przyniosło tylko większe niezadowolenie Heleny i rozbudzenie na nowo jej zazdrości. Zawładnęła nią mania pisania i codziennie przesyłała młodzieńcowi pełne miłości listy. Jeżeli w czasie swoich częstych wizyt we młynie nie zdołała Andrzejowi wsunąć do ręki kartki, składała ją w jednej z umówionych kryjówek w parku. Na listy trzeba było odpowiadać i Andrzej, choć wyrzucał sobie, że źle postępuje, robił to.

Oto w jakim stadium rozwoju znajdowała się miłość dwojga młodych, gdy Robert Dauphin i Modesta Pierrelay przybyli do Blois w nocy. Omnibus hotelowy odwiózł ich do hotelu Alose, w którym dostali pokój z widokiem na wybrzeże, most i Loarę.

Wielki Dzieciak i Wiewiórka zasnęli zaraz snem ludzi mających czyste sumienie i obudzili się dopiero o ósmej rano. Ubrawszy się, zeszli do kantoru hotelowego, gdzie właścicielka zajazdu przyjęła ich z uśmiechem, a podane przez nią warunki zadowolili ich w zupełności. Cena pokoju i jedzenia okazała się bardzo umiarkowana. Wielki Dzieciak pomyślał, że nigdzie nie mógłby znaleźć lepszych warunków, oświadczył zatem, że podróżują z żoną i zamierzają zwiedzić miasto i okolice, w hotelu pozostaną więc przez kilka dni.

Lipiec był prześliczny, turyści szczelnie zapełniali hotele w Blois. Ulice wypełniały przechadzające się rodziny, francuskie oraz innych narodowości. Chodzono gromadkami, lubując się powietrzem i podziwiając zabytki wskazane w przewodniku. Robert Dauphin i Modesta Pierrelay też chodzili po mieście, a jako paryżanie czystej wody dobrze się bawili, oglądając typy z drugiej strony kanału La Manche. Chodzili nieraz za nimi krok w krok, śmiejąc się do rozpuku. Jedna gromadka przyciągnęła ich szczególną uwagę. Ojciec rodziny, w okularach i z rudymi faworytami, był niezwykle wysoki, chudy i „sztywny”, niska i tęga żona miała natomiast olbrzymie nogi i zęby jak u konia. Była też trójka dzieci, z których najstarsze mogło mieć szesnaście lat, a najmłodsze dwanaście. Wszyscy chodzili jedno za drugim, jak to mówią: gęsiego, wietrząc nosem powietrze. Wielki Dzieciak i Wiewiórka szli ciągle za nimi.

Wtem Anglik się zatrzymał. Żona, stosując się we wszystkim do męża, zrobiła to samo. Anglik i Angielka zdawali się naradzać oczyma, po czym Anglik wszedł do sklepu, przed którym się zatrzymał. Był to kantor wymiany pieniędzy.

XI

Za szybą i okratowaniem rozłożone było złoto, różnokolorowe obligacje oraz francuskie i zagraniczne papiery bankowe. Matka i trzech synowie zatrzymali się przed sklepem, przypatrując się wystawie.

- Anglik poszedł zmienić swe papierki na nasze... - szepnęła Wiewiórka na ucho Wielkiemu Dzieciakowi.

Ten nic nie odpowiedział, ale podszedł do sklepu i obserwował, co się dzieje w środku. Wiewiórka zrobiła to samo.

Anglik stojąc przed kasą, otworzył torbę skórzaną i wyjął pugilares sporych rozmiarów. Z pugilaresu wydobyl sześć banknotów i podał je urzędnikowi. Ten, poddawszy je drobiazgowemu badaniu, zadał mu kilka pytań po angielsku, na które Anglik odpowiedział twierdząco. Urzędnik wymienił otrzymane pieniądze na sześć biletów po tysiąc franków, pięćset franków w kuponie i resztę złotem. Anglik przeliczył pieniądze dwa razy, złoto włożył do kieszonki w kamizelce, a papiery ulokował w pugilaresie, który zamknął w skórzanej torbie.

Robert Dauphin i Modesta Pierrelay nie stracili z oczu najmniejszego poruszenia cudzoziemca. Anglik uklonił się i wyszedł. Wraz z żoną i dziećmi poszedł dalej zwiedzać miasto.

- A to dopiero mała - mruknęła Wiewiórka.

- Mogąca hojnie opłacić koszta naszej podróży - dodał Wielki Dzieciak. - Sprawa godna uwagi... Radzę nie spuszczać ich z oczu.

Poszli w ślad za oryginalną parą i dziećmi. W końcu znaleźli się przy olbrzymim zamczysku.

- Idą zwiedzać zamek - zauważył Wielki Dzieciak. - Ponieważ lubię kształcić umysł, dotrzynamy im towarzystwa.

- Czy masz już gotowy plan?

- Może i tak... Chodźmy za nimi.

Syn Albionu, znalazłszy się na placyku przed zamkiem, wyjął przewodnik, przerzucił parę stron i trafił na następujące objaśnienie: „Chcąc dostać się do zamku, należy zadzwonić do furtki z prawej strony głównego wejścia”. Zadzwoił więc. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich niemłoda kobieta.

- Czy państwo chcą zwiedzić zamek? - zapytała.

- Ach! Yes.

Anglicy weszli, lecz odźwierna nie spieszyła się z zamknięciem drzwi. Oprócz Roberta Dauphina i Modesty w stronę pałacu zmierzało kilka kolejnych osób. Na dziedzińcu w pobliżu mieszkania odźwiernej czekało już trochę innych osób. Z nowo przybyłymi tworzyły około dwudziestoosobową grupę.

- Moi panowie i panie - powiedziała odźwierna - mój mąż oprowadza po zamku, ale musicie państwo poczekać, by pierwsza partia zwiedzających opuściła zamek.

- Ach! Yes - odparł Anglik.

Była zaledwie dziesiąta rano, a już druga partia osób przybyła, aby zwiedzać zamek.

Kilku minut później pokazał się odźwierny, wiodąc za sobą falangę ciekawskich. Otrzymał przyjęte zwyczajem datki, ukłonił się i zbliżywszy do nowo przybyłych oznajmił:

- Panowie i panie, proszę za mną.

Po czym szedł znaną mu na pamięć trasą i monotonnym głosem objaśniał eksponaty.

Rodzina Anglików udała się za innymi, nie idąc już gęsiego. Matka z synami znalazła się w środku grupy, ojciec rodziny na jej końcu. Trzymał przewodnik w rękę i co chwila do niego zaglądał, gdyż rozumiał lepiej, czytając po francusku, niż słuchając. Zaję-

ty potrójną czynnością: patrzeniem, czytaniem i słuchaniem, nie zważał na nikogo z obecnych.

Tuż za nim postępowali Wielki Dzieciak i Wiewiórka. Wiewiórka naśladowała zasłuchanych i zapatrzonych turystów. Wielki Dzieciak przeciwnie, nie robiąc sobie nic z dzieł sztuki, szedł ze spuszczoną głową, nie tracąc z oka ani na chwilę torebki podróżnej Anglika. Torebka ta wisiała na ramieniu turysty zwrócona nieco ku tyłowi. Nietrudno było skorzystać ze sposobności, nacisnąć sprężynę i ją otworzyć.

Znając różnorodne sposoby otwierania drzwi najlepiej pozamykanych, odgadywania sekretu zamków najbardziej skomplikowanych, pojętność Roberta nie była mniejsza, jeśli chodzi o opróżnienie kieszeni czy dokładne zbadanie zawartości woreczka lub portmonetki. Wielki Dzieciak słynął z kradzieży za pomocą wyciągania. Nie starał się jednak wzbogacić tą drogą, gdyż ryzyko było wielkie, a rezultaty słabe, podczas gdy operacje dobrze obmyślane, a zwłaszcza wykonane, doprowadzały do fortuny. Jednakże sposobność, jaka się nadarzała, była zbyt ponętna, aby nie spróbować dawnych umiejętności.

Zwiedzanie zamku rozpoczęło się od głównego wejścia, czyli od środkowej części skrzydła Franciszka I, jednego z cudów odrodzenia. Na pierwszym piętrze mieściły się: galeria królowej, ubieralnia Katarzyny de Medicis, sypialnia, w której zmarła, jej miejsce modlitw oraz gabinet do pracy, w którym znajdowało się słynne okno, przez które uciekała Maria de Medicis. Ostatni pokój był bardzo mały, co spowodowało, iż przybyli cisnęli się jeden przy drugim. Wielki Dzieciak i Wiewiórka, której ten pierwszy zdołał szepnąć do ucha kilka słów, znaleźli się tuż za Anglikiem.

Dozorca pałacu ciągnął swoje objaśnienia.

- Jedna z boazerii tego pokoju - mówił monotonicznie - kryje tajemną szafę, w której Katarzyna de Medicis przechowywała papiery państwowe i swoją korespondencję z protestantami... - Snując

swoją opowieść, napierał prawą ręką na oprawę boazerii, a nogą na listwę podłogową. Wywierał w ten sposób podwójne, dość silne ciśnienie.

Dał się słyszeć krótki, suchy trzask podnoszącej się sprężyny. Część boazerii, będąca na niewidocznych zawiasach, otworzyła się, ukazując wąską i głęboką skrytkę. Wszyscy się nachylili, wyciągając szyję, by lepiej widzieć, ci zaś, którzy stali z tyłu, opierali się bezceremonialnie na ramionach tych z przodu. Najwyższy czas - pomyślał Wielki Dzieciak i trącił łokciem Wiewiórkę. Pewni, iż uwagę ogółu pochłoneła skrytka Katarzyny de Medicis zaczęli działać. Wielki Dzieciak dotknął niklowanej oprawy torby skórzanej i począł zręcznie manewrować koło zamka. Torba się otworzyła. Wiewiórka wsunęła dwa palce, poczuła pugilares, wyciągnęła go i skryła za stanikiem, który już przedtem rozpięła pod lekką peleryną.

Odźwierny zakrył tajemniczą szafę w tej samej chwili, w której Dzieciak zamykał torebkę uwolnioną od cennej zawartości. Sztuczka udała się wybornie. Pugilares zmienił tylko posiadacza. Dalsza część zwiedzania zamku odbyła się bez zakłóceń.

O jedenastej skończono zwiedzanie. Odźwierny otrzymał zapłatę, skłonił się nisko przed Wielkim Dzieciakiem, który okazał się szczególnie wspaniałomyślny, otworzył bramę i zebrani rozpierchli się każdy w swoją stronę. Robert Dauphin i Modesta Pierrelay ostrożnie trzymali się na uboczu i skierowali się do hotelu Alose, gdy byli najzupełniej pewni, że nikt za nimi nie idzie.

Łotrowska para zasiadła w sali jadalnej hotelu, zachowując się jak małomieszczanie na wakacjach i jedząc z wielkim apetytem. Po śniadaniu udali się do swojego pokoju. Zamknęli szczelnie drzwi. Spieszno im było poznać dokładną ilość pieniędzy, korzyść z kradzieży mającej okupić z procentem koszty podróży.

Wiewiórka odpięła stanik, wydobyła pugilares i podała go towarzyszowi. Pieniądze szybko obliczono. Wszystkiego razem

sześć tysięcy pięćset franków. Oczy im zabłysły, twarze zajaśniały radością, a Wiewiórka wykreśliła pirueta mającego wielkie powodzenie w Moulin Rouge.

- sześć tysięcy pięćset! - zawołała. - Fortunka nasza ślicznie się zaokrągli, podróże nie zabiorą nam nawet czwartej części. Zdaje się, iż najlepiej będzie czmychnąć stąd jak najprędzej...

- To dopiero byłoby głupstwo co się zowie.

- Nie boisz się więc niczego.

- Czego u licha mam się obawiać? Kto nas może podejrzewać? Pieniądze mogą mieć wszyscy. Nie stoimy tak źle, aby nas nie było na nic stać. Kto nas może oskarżyć i o co?

- A jeżeli ten zawiadomi policję o kradzieży?

- A to niech sobie zawiadamia... Nie zwróci mu to monety... Nie mamy wcale min nicponiów.

- Przeciwnie, wyglądamy na kapitalistów, którzy używają całą pierśią wycieczki - poparła go Modesta.

- Schowaj te bilety bankowe z tymi, które zabraliśmy z Paryża, i śpijmy spokojnie.

Posłuszna Wiewiórka umieściła banknoty Anglika w pugilaresie, który miała ciągle przy sobie w kieszeni, przypięty do sukni agrafkami.

- A teraz - powiedział Wielki Dzieciak, biorąc pugilares Anglika - może znajdziemy tu nazwisko pocziwca, któremu sprawiliśmy ulgę, zabierając mu zbyteczne pieniądze.

Jedna z przegródek zawierała około dwudziestu biletów wizytowych, na których wykaligrafowano: „James Edward Mills, esg. 6, Albert Str. London”.

Prowadząc dalej badanie, Wielki Dzieciak wyjął z następnej przegródki dwa listy pisane po angielsku.

- A to cymbał! Nie rozumiem tego bałwana... Trzeba to wyrzucić do kosza.

Prócz listów znajdowały się tam jeszcze rachunki, nieobchodzące naszej pary i najzupełniej dla nich niezrozumiałe. Pozostawała do przetrząśnięcia jeszcze jedna kieszonka. Wielki Dzieciak wyciągnął z niej złożoną na czworo kartkę. Rozłożył ją i zawołał:

- To przynajmniej pisane po francusku... Jakieś notatki atramentem czerwonym. - Począł czytać półgłosem: - „Zobaczyć się koniecznie w Paryżu z Willem Serotem, agentem Scotland Yardu, w Tawernie Albionu przy ulicy Ville d'Evêque, aby odszukał, jeżeli to możliwe, niejaką Magdalenę Bernard...” - Wielki Dzieciak przerwał zdziwiony nazwiskiem. - Bernard... - powtórzył po upływie sekundy.

- Czekaj, to dziwne - powiedziała Wiewiórka. - Bernard, tak nazywała się kobieta, która wynajęła mieszkanie w naszym domu, a którą wzięliśmy za wdowę po skazanym na ścienie.

- Tak, tak, prawda - potwierdził Wielki Dzieciak. - Ale to niczego nie dowodzi. - Czytał dalej: - „Licząca około czterdziestu czterech lat i mająca jedno dziecko..

- Czterdzieści cztery lata, to by się zupełnie zgadzało z jej wiekiem - przerwała mu Modesta. - Odzwierna mówiła przecież, że Bernard ma córkę.

Robert Dauphin czytał dalej:

- „Magdalena Bernard pochodząca z Clisson (Bretania), jest córką Iwony Bernard. Za danie o niej pewnej wskazówki ofiaruje się sumę pięćdziesięciu tysięcy franków. Wszelkie wiadomości należy nadsyłać do hrabiego Alberta de Lussana w zamku Clisson pod Nantes. Przeznacza się również dobre wynagrodzenie za wiadomość o tym, co porabia, i o położeniu owdowiałej Marcelli de Lagarde zamieszkałej w Paryżu przy ulicy de Verneuil numer siedemnaście”.

Kartka na tym się kończyła.

- Co ma znaczyć cała ta gmatwanina - wymamrotał Wielki Dzieciak. - Marcela de Lagarde jest wdową po hrabi de Lagar-

de, którego widzieliśmy zamordowanego. A kim jest ten hrabia de Lussan, który życzy sobie wszystko o niej wiedzieć i który poszukuje jednocześnie Magdaleny Bernard i jej dziecka?

- To dopiero galimatias! - zawołała Wiewiórka, zaintrygowana nie mniej od swego towarzysza. - A ten Will Serot... a Scotland Yard, co to wszystko znaczy?

- Scotland Yard - zaczął wyjaśniać jej Robert - jest prefekturą policji w Londynie, a wzmiankowany Will Serot jest po prostu angielskim detektywem, po naszymu mówiąc - łapaczem, który pracuje w Paryżu.

- Ale skąd notatki wzięły się w tym pugilaresie?

- Powiedz mi, to ja ci powiem... Przypuszczam, iż ów pan James Edward Mills jest grubą rybą ze Scotland Yardu. Krótko mówiąc, do całej tej historii nie powinniśmy wtykać nosa.

- A to dlaczego? Za wiadomość o tym, gdzie się znajduje Magdalena Bernard, dają pięćdziesiąt tysięcy franków. Nie skorzystać z tego... A gdyby owa kobieta, którą widzieliśmy, była tą poszukiwaną, zyskalibyśmy od razu majątek.

- O! jakaś ty mądra - przerwał jej Robert, wzruszając ramionami. - Dobrze, przypuśćmy, że to ona i że damy o niej wiadomość hrabiemu. Przecież zechce się dowiedzieć, jakim sposobem posłyszeliśmy o jego życzeniu. Czy odpowiemy mu, że znaleźliśmy kartkę w ściągniętym przez nas Edwardowi Millsowi pugilaresie? Doprawdy, czasami zdaje mi się, że brakuje ci piątej klepki! Nie do nas należy zajmować się tą sprawą. Pamiętaj, kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie! Zostawmy to innym.

- My to nie mamy szczęścia - westchnęła Modesta z pewną niechęcią. - Bierzemy się zawsze do spraw, które nabierają rozgłosu, przez co mamy związane ręce... Nigdy nam się nie zdarza żaden przyzwoity ani uczciwy zarobek.

- O to się nie martw, moja droga. Co mnie przeraża, to, że im bardziej przysięgamy zapomnieć o sprawie Jana Remy, tym więcej

okoliczności przywraca nam o niej pamięć. Chodźmy się trochę rozerwać.

- A pugilares?

- Nie wiadomo, co się może stać, zatrzymam go.

- Nie boisz się?

- Czego?

- Może być dowodem przeciw nam.

- Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Komu u licha przysłoby do głowy przyjść i go tu szukać? Ogarnij się trochę i wyjdźmy na miasto. Jutro zrobimy wyprawę do zamku Chambord.

Wiewiórka zrobiła toaletę, a Wielki Dzieciak uczesał się pięknie. Para opuściła hotel Aloze, zapytując się, jakim dziwnym zbiegiem okoliczności pugilares podróżnika angielskiego zawierał notatki dotyczące zamordowanego w Joimdlle.

* * *

To czego para rzezimieszków nie mogła odgadnąć, zaraz wyjaśnimy.

Edward Mills pochodził z Londynu. Był jubilerem, ale, dorobiwszy się znacznego majątku, przestał pracować. Długie lata handlował z Albertem de Lussanem, w epoce, gdy tenże zajmował się połowem pereł i sprzedawał diamenty. Niejednokrotnie zasiadał z nim do stołu w czasie swych podróży do Indii. Gdy pan de Lus-san z powodu znanych nam okoliczności sprzedał swoje kopalnie, Edward Mills był jego dłużnikiem na sumę sześciuset tysięcy franków, którą uregulował w trzech ratach trzymiesięcznych. Odtąd obaj pisywali do siebie jak dwaj przyjaciele.

W jednym z ostatnich listów Anglik donosił hrabiemu iż likwiduje interes, a potem zamierza puścić się w podróż po kontynencie. Miał przybyć do Cherbourga, zwiedzić część Bretanii oraz sławne wybrzeże Loary. Albert de Lussan w liście przesłanym od-

wrotną pocztą tak odpowiedział jubilerowi: „Zwiedzając wybrzeża Loary, przybędzie pan z pewnością do Nantes. Proszę, pamiętaj pan, iż mieszkam o kilka mil stamtąd, a posiadłość moja - zamek Clisson - zawiera znaczną liczbę przedmiotów sztuki oraz w ogóle rzeczy ciekawych, godnych widzenia. Liczę więc, iż poświęcisz mi pan kilka dni”.

Edward Mills, zachwycony uprzejmym zaproszeniem, pewnego pięknego poranka z żoną i synami zjawił się w zamku hrabiego, który powitał go bardzo serdecznie. Rodzina Millsów spędziła w Clisson trzy dni. Obaj panowie dużo rozmawiali, wspominając przeszłość i mówiąc o przyszłości. Albert wypytywał gościa, co jeszcze chce zobaczyć. Były jubiler odpowiadał po angielsku, bo choć rozumiał po francusku, mówił w tym języku bardzo źle.

- Zwiedziwszy region Touraine i Orléanais, zamierzam pobycić dłużej w Paryżu.

- Czy dla interesów?

- Prawdę mówiąc, dla jednej rzeczy: spróbuję odnaleźć złodzieja.

- Złodzieja?

- Mojego subiekta, który, gdy likwidowałem interes, uciekł, zabierając ze sobą klejnoty i biżuterię, warte co najmniej trzysta tysięcy franków.

- Dawno to się stało?

- Przeszło rok temu.

- I sądzisz pan, że znajdziesz go w Paryżu?

- Jestem pewien, że korzyści osiągnięte z kradzieży pozwoliły mu wrócić do rodzinnego miasta, czyli do Paryża.

- Czy robiłeś pan już jakieś poszukiwania?

- Nie, jeszcze nie.

- Dlaczego?

- Czekalem umyślnie... Im mniej łotr będzie się spodziewał, że go szukają, tym bardziej będzie nieostrożny, nie będzie się ukrywał.

- Zwrócisz się pan do policji?
- Do policji francuskiej, nie... Nie mam do niej najmniejszego zaufania.
- Do kogo więc?
- Do mojego rodaka, londyńczyka, niejakiego Willa Serota.
- Kto to taki?
- Potajemny agent Scotland Yardu, który przebywa w Paryżu... Obdarzony węchem nadzwyczajnym. Jest bardziej przewidujący niż cała wasza policja, która, znajdując się nieraz w kłopotliwych okolicznościach, wzywa jego pomocy.
- Krótko mówiąc, pokładasz w owym Willu Serocie wielkie nadzieje.
- Istotnie. Mam do niego bezgraniczne zaufanie, gdyż na nie w zupełności zasługuje.

Albert de Lussan zamyślił się głęboko. Wiemy, jaka myśl uparcie zajmowała jego umysł i co trzymało go przy życiu. Ach, gdyby tak ten Will Serot mógł dokonać tego, czego od czterech lat nikt nie zdołał uczynić. Gdybyż ten człowiek, dla którego wszystko jest możliwe, przed którym nic się nie ukryje, mógł powiedzieć: „Oto masz tych, których tak długo, bezowocnie poszukiwałeś”.

Ogarnięty tą myślą, niosącą nieco ukojenia jego zranionemu sercu, Albert zapytał:

- Kiedy pan będzie w Paryżu?
- Anglik spojrział w notatnik, który wydobył z kieszeni.
- Chciałbym zwiedzić miasta: Tours, Amboise, Chenonceaux, Blois, Chambord, Menars, Etampes oraz ich okolice. Będę więc w Paryżu za dwadzieścia cztery albo za dwadzieścia pięć dni.
 - Czy mógłbym prosić pana o pewną przysługę? - zapytał hrabia.
 - Byłbym nad wyraz szczęśliwy, gdybym mógł ją oddać... O cóż idzie?
 - O poruczenie pewnej misji Willowi Serotowi.
 - A konkretnie?

- Spytać się, czy nie podjąłby się odszukania kogoś...
- Kogo?
- Kobiety. Nie żądaj pan ode mnie więcej wyjaśnień, gdyż nie mogę ich udzielić. Napiszę notatkę, którą po przybyciu do Paryża, wręczy pan agentowi Scotland Yardu, obiecując mu nagrodę pięćdziesięciu tysięcy franków za dostarczenie mi pewnych wiadomości.
- Obiecuję, że nazajutrz po przybyciu do Paryża zrobię to.
- A czy jest pan pewny, że znajdzie Willa Serota?
- Najzupełniej... Z łatwo zrozumiałych powodów ukrywa swój adres. Codziennie wieczorem można go jednak spotkać w Tawernie Albion przy ulicy Ville l'Evêque.

Hrabia de Lussan ręką nietkniętą paralizem napisał notatkę, którą znaleźli Wielki Dzieciak i Wiewiórka w pugilaresie skradzionym Anglikowi.

Kradzież miała dla byłego jubilera wielce nieprzyjemne następstwa. Kiedy wchodził do hotelu, spostrzegł brak pugilaresu. Poruszyło go to tak bardzo, że dostał ataku apoplektycznego i padł na ziemię bez zmysłów. Wezwany natychmiast doktor puścił mu krew, co przywiodło go do przytomności, lecz wstrząśnienie mózgu było tak silne, że wywołało gorączkę mózgową. Doktor oświadczył, iż choroba będzie długa i że trudno oznaczyć datę zupełnego wyzdrowienia.

* * *

Powróćmy do Roberta Dauphina i Modesty Pierrelay.

Zwiedziwszy szczegółowo zabytki, godne zobaczenia w mieście, powrócili zmęczeni na obiad do hotelu. Mimo strudzenia, chcieli jeszcze zwiedzić okolicę. Objasniono im, iż w pobliżu hotelu znajduje się zakład wynajmu powozów. Chcąc wyruszyć na wycieczkę, wystarczy dzień wcześniej zamówić kocz w remizie.

Wielki Dzieciak udał się natychmiast do właściciela remizy, a ten obiecał mu, iż punktualnie o siódmej rano pod hotelem czekać na nich będą konie, aby zawieźć ich do zamku Chambord.

O oznaczonej godzinie mały powozik stanął przed hotelową bramą. Młoda para wygodnie się w nim usadowiła - Wielki Dzieciak osłonięty dużym kapeluszem słomkowym, Wiewiórka zaopatrzona w parasolkę. Woźnica poczciwina, niskiego wzrostu, o twarzy jowialnej i ożywionej, zapytał:

- Które państwo każą jechać do Chambord?
- Wszystko jedno, abyśmy tylko dojechali - odparł Wielki Dzieciak.
- Zdajecie się tedy państwo na mnie?
- Najzupełniej.
- To dobrze... Będą państwo kontenci.
- Symp z szykiem! - zawołała Wiewiórka ze śmiechem.
- Strzelasz ciągle gafy - szepnął jej Robert do ucha. - Nie w ten sposób należy się odzywać, jeśli chcemy, by brano nas za porządnych ludzi.

Stangret zaciął biczem konie i pojazd ruszył.

Kocz, przebywszy most, wjechał na drogę biegnącą wzdłuż rzeki, zacienioną wielkimi drzewami. Woźnica, przywykły do obwożenia artystów i turystów, jechał wolno, aby jadący mogli przyjrzeć się malowniczym widokom pięknej okolicy.

A nasza para miała wysoce rozwinięte poczucie piękna natury - cichej, spokojnej. I Wielki Dzieciak, i Wiewiórka byli zwolennikami wsi w całym tego słowa znaczeniu. Oboje zachwycali się ciszą pól, podziwiali olbrzymie drzewa rzucające cienie na drogę. Zachwyt ich jeszcze wzrósł, kiedy na horyzoncie zobaczyli malowniczą wioskę. Rozszerzająca się rzeka odbijała jak w zwierciadle pochyłości porośnięte wierzbina. Jasna woda płynęła wolno wśród nenufarów i sitowia.

- Jakże tu pięknie! - zawołał Wielki Dzieciak z zachwytem.

- Nieprawdaż - zgodził się z nim woźnica.
- Czy rzeka jest zarybiona?
- Z pewnością! Niewiele w tych stronach łowią, a państwo wiedzą, że ryby mnożą się niesłychanie prędko... Nie przesadzę, jeżeli powiem, iż jeden karp przysparza około pięciuset małych.
- Ale byłoby przyjemnie, zapuścić wędkę usiadłszy w łodzi, przy brzegu, pod cieniem drzew! - rozmarzył się Robert Dauphin, w którym odżył fanatyczny amator wędkarstwa.
- Mieć mały domek z ogródkiem - dodała Modesta Pierrelay - chować króliki, kury i kaczki!
- Można tu również polować - odezwał się woźnica. - Okolica jest pełna zwierzyny.
- Istny raj, nieprawdaż - zauważył Wielki Dzieciak. - Tylko trzeba mieć dom.
- Mamy tu jeden do sprzedania. Widać go stąd. Do tego jest niedrogi.
- Robert Dauphin i Modesta Pierrelay wymienili znaczące spojrzenia. Dom do sprzedania! Na wsi! Położenie wyjątkowo piękne! Polowanie i wędkarstwo... Największe przyjemności życia. Do tego nie jest drogi. Ależ to całe ich marzenie i rozkosz! Podobna okazja może nieprędko się zdarzyć.
- A co, ojczu, nazywacie niedrogo? - zapytał Wielki Dzieciak.
- Pięć tysięcy pięćset do sześciu tysięcy franków.
- Czy można tam wygodnie mieszkać?
- O tak. Dom ma cztery ładne pokoje, prócz tego jest stodoła, wozownia, ogród i łąka.
- To gdzie ten dom, ojczu?
- Na końcu wioski... Pół kilometra stąd. - Mówiąc to, woźnica wskazał batem szereg domków, których dachy ginęły w zieleni.
- Trzeba by obejrzeć - powiedziała Modesta Pierrelay.
- W takim razie - zauważył stangret - nie zdążymy do Chambord na śniadanie...

- A nie można czegoś dostać we wsi?
- Można. Jest tu oberża, w której potraktują państwa jak książęta.
- No to wieźcie nas tam. Do Chambord pojedziemy jutro, jeśli dzisiaj już nie zdążymy.

Myśl o kupnie domu podniecała wyobraźnię naszych dwojga paryżan.

Przewodnik zaciął mocniej konia i kilka minut później powozik zatrzymał się przed zajazdem mającym za cały szyld gałązkę jałowca nad drzwiami.

- Ej! Mateczko Jaillou! - zawołał woźnica.
- W progu ukazała się pięćdziesięcioletnia kobieta.
- To ty stryju! - odrzekła. - Chcesz obroku dla swojej szkapy?
- Naturalnie... ale musicie mieć również strawę i dla moich państwa.
- Robert Dauphin i Modesta wysiedli.
- Proszę, niech państwo pozwolą... - rzekła oberżystka, kłaniając się nisko. - Czy państwo zechcą zjeść coś u mnie?
- Z największą chęcią. A co nam dacie?
- Naprzód kielbaski i jajecznicę, następnie leszcza w papilotach, kurczę pieczone, groszek, sałatkę, ser, owoce. Wreszcie dobrą kawę po parysku.
- Ależ to ucza Baltazara! - zawołał Wielki Dzieciak, śmiejąc się.
- Śniadanie tak dobre, jak u Duvala - szepnęła Wiewiórka.
- Za kwadrans będę mogła państwu służyć.
- Tymczasem zaś dla zaostrenia apetytu dajcie nam i stangretowi po kieliszku wermutu.

Właścicielka oberży podała wermut, po czym podążyła do kuchni, aby dopilnować zamówionego śniadania. Wszedł woźnica, który ulokował powozik i konia w stajni. Koniowi sypnął sporo owsa.

- Chodźcie ojciec na wino - powiedział do niego Wielki Dzieciak. - Zjecie z nami śniadanie.

- Jeżeli państwo tacy łaskawi, nie odmawiam. Jedząc, wyciągnę mamę Jaillou na słówka co do tej posiadłości na sprzedaż.

- Świetna myśl!

Pięć minut później stół został nakryty, kiełbaski i jajecznica przyniesione, a regionalne białe wino połyskiwało w małych szklaneczkach. Trzy znane nam osoby zasiadły do stołu.

- Matko Jaillou - zagadnął woźnica - jak będziecie mieli chwilę czasu, państwo chcieliby zadać wam kilka pytań.

- Za chwilę służę, tylko podam rybę. - Mówiąc to, oberżystka wróciła do kuchni.

Niecały kwadrans później na stole znalazł się leszcz w papilotach z gorącym, mocno przyprawionym pieprzem sosem szczypiorkowym. Danie tak wszystkim smakowało, że Wiewiórka oświadczyła, iż trzeba po nim palce oblizywać.

- Teraz jestem na państwa rozkazy - rzekła właścicielka zajazdu, zachwycona pochwałą młodej kobiety. - O cóż państwu idzie?

Woźnica odpowiedział:

- O posiadłość wdowy Ledin. Czy jest jeszcze do sprzedania?

- Tak.

- Państwo myślą kupić ten dom, jeśli tylko im się spodoba...

- Nade wszystko jest niedrogi - zauważyła Modesta.

- Prawie za darmo, proszę pani. Od śmierci męża, gospodyni Ledin przykro tu mieszkać i ma ciągle chęć wrócić w swoje strony... Dlatego chce sprzedać dom, lecz za gotówkę... do tego przywiązuje główną wagę. Panowie Brestois z młynów Blossieres, niedaleko stąd, dawali jej już pięć tysięcy franków, lecz nie chciała. Żąda sześć tysięcy, lecz jestem pewna, że zobaczywszy na stole złotem pięć tysięcy pięćset, odda swą posiadłość wraz z łąką, która dochodzi do rzeki.

- A pani znajduje, że pięć tysięcy pięćset franków byłoby niedrogo?

- Prawie darmo, mówię państwu! Dom ma cztery duże pokoje. Państwo chcą tam zamieszkać?

- Może.

- Doskonale będzie się można pomieścić... a w razie gdybyście chcieli dom wynająć, znam pewne młode małżeństwo, które dawało już wdowie Ledin trzysta franków rocznie za mieszkanie. Wydany kapitał przyniósłby pięć procent, co nie jest w obecnych czasach do pogardzenia... - Jaillou urwała w pół zdania. - Zapomniałam zupełnie o kurczętach! - zawołała i rzuciła się pędem do kuchni.

- To prawda, że w takim razie dobrze byśmy umieścili pieniądze - rzekła Wiewiórka - gdybyśmy nie chcieli zaraz się wprowadzać. Kiedy tu już jesteśmy, obejrzyjmy ten dom.

Oberżystka wróciła, niosąc kurczęta, których woń przyjemnie łechtała powonienie śniadających. Wiewiórka zapytała ją:

- Czy można dzisiaj ten domek zobaczyć?

- Ani dziś, ani jutro, ani pojutrze.

- Dlaczego?

- Wdowa Ledin udała się pięć mil stąd do matki swego zmarłego męża. Wychodząc, powiedziała mi, że wróci dopiero w sobotę w południe. Zabrała ze sobą klucze, ale mogą państwo zwiedzić dom z zewnątrz, obejrzyć dziedziniec, stodołę i łąkę. Woźnica zaprowadzi was, doskonale wie, gdzie ten dom się znajduje.

- Zobaczymy - powiedział Wielki Dzieciak. - Jeżeli całość nam się spodoba, powrócimy jutro, zostaniemy dwa lub trzy dni i poczekamy na panią Ledin. A w wolnym czasie połowimy ryby. Mówią, że tu są ryby.

- O tak, są karpie, leszcze, okonie, płotki, kiełbie... Mnożą się z roku na rok, ale nasi włościanie nie umieją ich łowić.

Po skończonym śniadaniu i po kawie nasza para wstała od stołu i udała się zobaczyć dom z zewnątrz. Był zupełnie zwyczajny,

wiejski, ale w bardzo dobrym stanie. Ogród łączył się z łąką dochodzącą aż do rzeki.

Trzy znane nam osoby szły ścieżką wzdłuż łąki, która prowadziła do rzeki. Brzegi ocieniały wierzby, topole i olchy. Karpie rzucały się w wodzie, uwijając się za muszkami.

- Ależ to istny raj - zawołała Modesta Pierrelay.

- Widzisz, jak się ruszają ryby! - zaśmiał się Wielki Dzieciak z twarzą połyskującą radością.

- Mój kochany, trzeba to kupić!

Robert, zachwycony, pomyślał: Można by tu żyć spokojnie i szczęśliwie, ale trzeba mieć przynajmniej dwa tysiące czterysta franków renty rocznie. Należy jeszcze trochę popracować. Najlepiej wyzyskać te kąty, nigdzie nie może być lepiej.

- I cóż postanowiłeś? - zapytała Wiewiórka.

- Wracajmy do zajazdu.

Matka Jaillou porządkowała wewnątrz.

- Widzieliście państwo? - spytała.

- Widzieliśmy.

- Podoba się państwu?

- Tak, dosyć.

- Więc na czym się skończy?

- Wracamy do Blois po rzeczy. Wieczorem tu przyjedziemy i poczekamy, aż do przybycia wdowy Ledin. Przygotujcie nam pokój i obiad o wpół do ósmej. - A potem Wielki Dzieciak dodał, zwracając się do stangreta: - Zaprzęgaj mój poczciwcze, a wieczorem przywieziesz nas tu z powrotem.

Modesta nie posiadała się z radości.

- Jutro urządzimy sobie wyprawę na ryby - mówił Wielki Dzieciak.

- A wędki?

- Dostaniemy w Blois wszystko, czego potrzebujemy. - Odwracając się do matki Jaillou, dodał: - Macie tu zboże, nieprawdaż?

- A jakże, mam.

- Bądźcie więc łaskawi sparzyć mi litr gorącą wodą, aby napęczniało, a gdy już dostatecznie popęka, wyjmijcie.

- Dobrze.

- Co jestem wam winien?

Oberżystka podała rachunek. Wielki Dzieciak zapłacił, a chwilę później nadszedł woźnica, oznajmiając, że powóz czeka.

- Jesteśmy gotowi, siadajmy i jedźmy.

O wpół do piątej kocz zatrzymał się przed hotelem Alose.

- Za dwie godziny jedziemy z powrotem - rzekł Wielki Dzieciak do woźnicy. - Nie spóźnijcie mi się, kochany.

- Cóż znowu, miałbym się spóźnić, nigdy! Podług mnie można regulować wszystkie zegary w mieście, a będą chodzić wybornie.

Wielki Dzieciak zażądał rachunku z hotelu i zapłacił go, nie mówiąc, gdzie zamierza się udać. Zapakował walizy, po czym w towarzystwie Wiewiórki udał się po sprzęt potrzebny do łowienia ryb.

O oznaczonej godzinie woźnica stanął przed hotelem. Walizy i tłumoki zniesiono, Robert i Modesta wsiedli i pojechali tą samą drogą co rano. Do zajazdu matki Jaillou przyjechano trzy kwadransy przed godziną wyznaczoną na obiad.

Zboże było rozparzone w zupełności.

- Pójdziemy założyć żer na jutro - powiedział Wielki Dzieciak, przekładając zboże do garnuszka użyczonego przez oberżystkę i dokładając skórki chleba.

Niosąc garnuszek, laskę i sieci, udali się nad brzeg rzeki, do miejsca obranego już rano. Wielki Dzieciak zmierzył głębokość, która wynosiła trzy metry, a potem w wyżłobienie włożył kulki ze zmieszanego zboża z chlebem i tłustą ziemią.

- Najważniejsza rzecz już zrobiona - zawołał. - Jutro będziemy zbierać plon dzisiejszej pracy

Obiad przyrządzony przez matkę Jaillou był równie dobry co śniadanie. O dziesiątej woźnica, obdarzony hojnym napiwkiem,

odjechał do Blois, a nasza para, wielbiciele wsi i wędkarstwa, udała się na spoczynek.

Wstali jeszcze przed wschodem słońca i udali się na miejsce, gdzie założyli poprzedniego dnia sieci. Robert przygotował wędkę, dał jedną towarzysze i oboje zapomnieli o wszystkim, co się działo. Na uwadze mieli jedynie przyjemność obecnej chwili, nie spuszczała z oczu czótenka, zwanego również spławikiem, którego drgnienia wskazywały, że łakoma ryba potraça haczyk. Wielki Dzieciak, doświadczony rybak, poznał po rodzaju drgania spławika, że wędkę potraça karp. Nie omylił się. W niespełną godzinę wyciągnął z wody za pomocą siatki trzy piękne karpie, z których najmniejszy ważył półtora funta. Wiewiórka, mimo bardzo małej wprawy, złowiła kilka płotek.

O dziesiątej, głodni, postanowili wrócić do oberży. Na widok wchodzących oberżystka poczęła wydawać okrzyki zdziwienia i zachwyty. Nie spodziewała się, że po kilku godzinach przyniosą tyle ryb i nazywała to cudownym połowem.

- Ależ kochani państwo nie zdołają tego nigdy zjeść! - zawołała, podnosząc ręce do góry.

- Zróbcie nam teraz rybę smażoną, matko, a na wieczór przygotujcie jakąś inną potrawę - odparł Robert Dauphin. - Z resztą możecie zrobić, co wam się podoba... Niebawem przyniesiemy drugie tyle, gdyż zaraz wracamy nad rzekę.

Po śniadaniu zapamiętała para rybacka wróciła na swoje miejsce pod dużymi drzewami, które zabezpieczały przed palącymi promieniami słonecznymi. Po drugiej stronie rzeki, na wprost miejsca, w którym się znajdowali, wybrzeże było gęsto obsadzone wierzbami. Ocieniały one spory kawałek wody oraz ścieżkę biegnącą zgodnie z zakrętami rzeki.

Z oczyma utkwionymi w wędkę, zajęci jedynie połowem, Wielki Dzieciak i Wiewiórka nie zauważyli dwóch pań w żałobie, które

przechadzając się, zwabione widokiem dwojga młodych, stanęły pod drzewem i zdawały się interesować rezultatem połowu.

Robert kilka razy, mimo nadzwyczaj zręcznej ręki, chybił. Zanurzał teraz jeszcze raz wędkę, przedtem założywszy na haczyk żer. Nagle poczuł tak silne szarpnięcie, że wędzisko zakreśliło łuk. Tym razem musiała się schwytać duża sztuka.

- Siatkę, prędko! - krzyknął do Modesty. - Zdaję mi się, że złapałem nie lada okaz...

Wiewiórka odłożyła swoją wędkę, wzięła siatkę i zbliżyła się do Roberta, gotowa dopomóc mu, byle tylko wydostać rybę, która już widniała pod powierzchnią wody.

- Znowu karp - powiedział. - Ależ ogromny! - Podsunął siatkę pod spód.

Ogromna w samej rzeczy ryba, ofiara swojej żarłoczności, opierała się energicznie, bijąc o wodę ogonem i płetwami, rzucając się i usiłując wymknąć, to w prawo, to w lewo. Zręczny rzezimieszek z pomocą Wiewiórki, która nadstawiła siatkę, wydostał jednak rybę z wody.

- Jaka ogromna! - zawołała młodsza z kobiet stojących na drugim brzegu rzeki.

Paryżanie, zdziwieni, spojrzeli w stronę, skąd dochodził głos, i dostrzegli świadków swojego powodzenia.

- Istotnie ładny karp - odezwał się z dumą Wielki Dzieciak, uchylając słomkowego kapelusza. - Waży sześć funtów... jeżeli nie więcej...

- Bardzo przyjemnie jest chodzić na ryby - zagadnęła młoda kobieta. - U nas w pałacu siadywałam nieraz z wędką, ale nigdy niczego nie złapałam... Może to przez nieznamość...

Przerwała jej Wiewiórka.

- Ja, proszę pani - powiedziała - nie znam się na tym wcale, a jednak łapię, ile mi się podoba... Gdyby była pani z tej strony,

dałabym pani swoją wędkę i rękę, że od razu by pani coś wyciągnęła. Nieco pospolity sposób mówienia Modesty nie odstręczył widocznie młodej damy, gdyż po chwili zauważyła:

- Możemy przejść na drugą stronę... Most jest niedaleko, a jeżeli pani jest tak łaskawa, iż zechce mi użyczyć wędkę, zabawi mnie to bardzo.

- Niech pani przyjdzie - dorzucił Wielki Dzieciak - a wędkę będą na pani usługi...

- Przyjmuję zaproszenie z przyjemnością. Przejdziemy tylko most i za dziesięć minut będziemy obok was. No chodźmy, panno Châtelain - dodała do swojej towarzyszkę. - Rozerwie cię to nieco, a ja będę dumna, gdy przyniosę do pałacu własnoręcznie złowioną rybę.

Pani Châtelain skinęła głową na znak przyzwolenia i oddaliła się w towarzystwie Heleny de Lagarde, bo ona to, jak zapewne czytelnicy już się domyślili, była tą młodą damą.

- Jacyś szykowni państwo zamieszkują zamek - odezwał się Wielki Dzieciak.

- To tu jest jakiś zamek?

- Prawdopodobnie.

- Ale ta młoda pani nie jest wcale dumna.

- Panienska raczej, wygląda bardzo młodo... jakieś szesnaście lub siedemnaście lat... Nie kręci wcale noskiem, przeciwnie, jest grzeczna aż do przesady.

- Nie tak jak ta druga. To dopiero okaz!

- Cicho, czółenko zaczyna znów drżeć!

Rozmowa ucichła i Robert nie spuszczał oczu z wędkę. Po upływie pięciu czy sześciu minut, do ich uszu doszły słowa starszej kobiety:

- Panno Heleno, bieży tu ścieżka. Lepiej iść tędy niż po trawie.

- Tak, tak... to panna - szepnęła Wiewiórka. - Tylko nie rób do niej oka.

Wielki Dzieciak zaczął się śmiać.

- Jaka ty niemądra, moja miła - odparł. - Nie ma niebezpieczeństwa.

Helena z nauczycielką zbliżyły się do nich, a wtedy Wielki Dzieciak znów wyciągał rybę.

- Znowu duża! - zawołało dziewczę, klaszcząc w ręce. - Ależ pan jest nadzwyczajnie zręczny!

Modesta Pierrelay pospieszyła z odpowiedzią.

- Ach, panienko, z mego męża to prawdziwy spryciarz. Zna takie sposoby, że łowi ryby jak ręką. Ale niech pani spróbuje szczęścia - dodała, podając jej wędkę.

- Zrobi mi wielką przyjemność skorzystanie choćby z jednej lekcji, gdyż pani jest również bardzo zręczna.

- O! ja łowię tylko małe płotki... kiełbie... nigdy większych ryb... Ale i to stanowi dla mnie miłą rozrywkę.

Helena wzięła wędkę od Wiewiórki i usiadłszy na trawie, oddała się całkiem wędkowaniu. Pani Châtelain stała obok. Żer, który Robert Dauphin podłożył, sprowadził niebawem kilka ryb.

Nagle pływak wędki, którą trzymała Helena, zadrżał i zanurzył się w wodzie. Dziewczyna chciała go wyciągnąć, lecz czólenko silnie się opierało.

- Mam rybę! Mam! - wołała uradowana.

Złowiona ryba była dość spora i opierała się, jak mogła. Modesta Pierrelay, pragnąc dopomóc dziewczynie, podstawiła siatkę i dobyła ją na powierzchnię. Zdobyczą był ładny, młody karp.

- Winszuję pani! Winszuję! - zawołał ktoś z przeciwległego brzegu.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w tamtą stronę.

- To pan Brestois - powiedziała pani Châtelain. Helena zarumieniła się jak wiśnia.

- Panie Andrzeju! - zawołała. - Czy pan widzi, jak mi dobrze idzie? Spróbuję jeszcze raz.

Modesta Pierrelay założyła nowa przynętę na wędkę panny de Lagarde, przypatrując się wszakże bacznie młodej dziewczynie, u której zauważyła raptowne zaczerwienienie się. Helena zapuściła wędkę w wodę i spytała młodzieńca:

- Był pan u nas, panie Andrzeju?

- Nie, proszę pani, idę do Vineuil... Szedłem drogą wzdłuż rzeki, nie myślałem, że tu panią zastanę.

- Otóż i druga! Jeszcze piękniejsza niż pierwsza! - zawołała Helena.

- Życzę powodzenia! Niech się pani dobrze bawi.

- Czy będzie pan dziś w zamku?

- Nie... nie, żadną miarą.

- Czemu?

- Późno wrócę z Vineuil.

- Zatem przyjdzie pan jutro?

- Nie wiem, czy będzie to możliwe.

- A cóż może panu stanąć na przeszkodzie? - zapytało dziewczę zmienionym głosem.

- Jutro rano zmuszony jestem udać się do Ferte-Saint-Cyr, gdzie interesy zatrzymają mnie pewnie do wieczora.

Usta Heleny się zacisnęły. Twarz spochmurniała. Nie powiedziała już nic więcej.

- Życzę jeszcze raz powodzenia i do widzenia - dodał Andrzej, kłaniając się, po czym zniknął za wierzbami.

Panna de Lagarde z zachmurzoną twarzą śledziła wzrokiem oddalającego się szybko młodzieńca. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na wędkę trzymaną machinalnie w ręku. Myśli jej nie miały nic wspólnego z rozrywką, której pozornie się oddawała. Wiewiórka badała jej twarz z istic kobiecą ciekawością. Starła się odgadnąć przyczynę nagłej zmiany w zachowaniu dziewczyny.

- Panienko! Panienko! - krzyknął Wielki Dzieciak, widząc, iż czółenko pograżyło się nagle w wodzie.

Helena zbudzona z marzeń podniosła wędkę. Ładny mały karp uczepił się o haczyk. Radość dziewczyny wszakże znikła. Podniosła się i podając wędkę Wiewiórcy, powiedziała:

- Dziękuję pani bardzo za jej uprzejmość.

- Już pani odchodzi? -Tak.

- Ale trzeba zabrać ze sobą zdobycz.

- Na co?

- Musi pani, koniecznie.

- Dodam do tego jeszcze leszcza w tej chwili złowionego - powiedział Wielki Dzieciak.

- Ach! Pan jest taki uprzejmy.

- Ale bynajmniej, należy się pani. Modesta wydobyła rybę z siatki.

- W co ja je włożę? - zapytała.

Helena podała jej chustę, którą obcierała ręce.

- Muszę zatem być państwu posłuszna - powiedziała z rozjaśnioną znowu twarzą.

- Naturalnie, zrobi nam pani wielką przyjemność. Niesienia zapakowanych ryb podjęła się pani Châtelain.

- Jeszcze raz dziękuję - rzekła Helena.

- Nie ma za co. Jeżeli będzie miała pani jeszcze ochotę i będzie pani chciała posiedzieć z wędką, znajdzie nas tu pani, na tym samym miejscu, jeszcze przez kilka dni, gdyż postanowiliśmy czas jakiś zabawić w tych stronach.

Helena podziękowała jeszcze raz, skłoniła i odeszła z nauczycielką.

- Mężczyzna nie jest zupełnie jak należy, a kobieta wydaje się ekscentryczna - mówiła pani Châtelain do panny de Lagarde - ale są uprzejmi i wyglądają na uczciwych ludzi.

Wiewiórka spoglądała za odchodzącymi kobietami.

- Wiesz, o czym myślę? - zapytała Wielkiego Dzieciaka. -Nie.

- O tym, że ów młodzieniec, który stał z tamtej strony rzeki, „pan Andrzej”, jak go nazwała panienka, i ta panna Helena, mają się ku sobie.

- Po czym to poznałaś?

- Po wszystkim: po jej niezadowolonej minie, gdy powiedział jej, że musi jutro jechać w interesach, po jej rumieńcach i bladości, i nagłego zobojętnienia do wędkę, którą wcześniej bawiła się jak dziecko.

- Szelmutko! - zawołał Robert Dauphin. - Możesz się chwalić, że masz iście amerykańskie oko.

- O! wiesz dobrze, że trzeba nie być kobietą, aby nie pojąć w ciągu kilku minut tego wszystkiego.

- Ten pan Andrzej mówił o młynie. Musi być jednym z tych panów Brestois, którzy chcieli kupić domek, na który mamy chrapkę.

- To bardzo prawdopodobne.

- Ale kim są te panie, ta zalotna młoda panna i to stare pudło?

- Znajome kogoś z pałacu lub może krewne właściciela. Wielki Dzieciak podniósł się i rzucił wędkę na trawę.

- Dajesz już za wygraną? - zdziwiła się Wiewiórka.

- Ryb już nie widać, a zresztą czas pomyśleć o jedzeniu. Zbierajmy swoje ruchomości.

- Wrócimy tu jutro? -Nie.

- Dlaczego?

- Nie przeciągajmy struny, ryby się zmądrzą i nie będzie ich więcej.

- Cóż więc będziemy jutro robić?

- Zwiedzimy zamek Chambord.

- I zjemy tam śniadanie?

- Tak. Pojedziemy raniutko, później będzie bardzo gorąco. Wiewiórka poczęła zbierać sprzęt do połowu, podczas gdy

Wielki Dzieciak związywał wędki.

- Patrz no, tam coś leży. Musiała to zgubić ta panienska - odezwała się Wiewiórka. Potem podniosła z ziemi, z miejsca, gdzie Helena siedziała, kopertę z czarną obwódką.

- Co to jest?

- Przecież widzisz... koperta.

- Czy jest na niej jakiś adres? Wiewiórka przeczytała głośno:

- „Panna Helena de Lagarde”. Wielki Dzieciak aż podskoczył.

- Helena de Lagarde! - krzyknął. - Więc to nazwisko wciąż będzie nas prześladować! Czy jest list w kopercie?

- Tak.

- Przeczytajmy go.

Modesta Pierrelay wydołała z koperty list, zapisane cztery strony.

- Ależ to cały tom! - zawołała, śmiejąc się. Zaczęła czytać: - „Moja droga córko!”.

Wielki Dzieciak przerwał jej:

- Zaraz go przeczytasz, ale spójrz najpierw na podpis. Modesta odwróciła list i powiedziała: - Podpisano: Marcela de

Lagarde.

- Hrabina... wdowa po człowieku zamordowanym w Joinville, a ta panna Helena jest jej córką. Nic dziwnego, że jest w żałobie, a jej towarzyszka, będąca również w żałobie, jest zapewne jej nauczycielką.

Wiewiórka zaczęła czytać list cichym głosem:

- „Strzeż się ukochana moja, nie zamocz nóg po rosie porannej... Nie chodź po słońcu bez kapelusza i parasolki. Może nie-

długo pojedę na jakiś czas do Joinville, wtedy zawezwę cię do siebie".
Wszystkie cztery strony w tym guście.

- A więc to z pewnością córka hrabiny. Śmiesznie doprawdy, że im bardziej staramy się otrząsnąć z tych wspomnień, tym uporczywiej cisną się do nas.

- Gdyby tak przez młodą damę poznać mężczyznę, którego tam widzieliśmy, który zabił hrabiego, a potem szedł za trumną?

- Jakim sposobem? - rzucił Wielki Dzieciak, wruszając ramionami. - Tracisz zupełnie głowę.

- Nie tak bardzo, jak ci się wydaje. Rzecz zupełnie możliwa, jeśli to hrabina de Lagarde była kobietą, która towarzyszyła zbrodniarzowi, a której twarzy nie mogliśmy dojrzeć.

- Co też ty mówisz! - obruszył się Robert.

- Taka myśl przyszła mi do głowy.

- Podziwiam! Wcale nie jest głupia.

- Jakże można by się wzbogacić, gdybyśmy byli tego pewni.

- Z pewnością. Trzeba koniecznie powęszyć. Może ta panienka będzie nam mogła powiedzieć, kto to jest hrabia de Lussan, którego nazwisko znaleźliśmy w pugilaresie Anglika.

- I to może być.

- Tymczasem schowaj dobrze list i chodźmy.

Modesta Pierrelay włożyła list do kieszeni. Robert Dauphin zwinął siatki, wziął wędkę i oboje udali się do oberży matki Jaillou, która na widok połowu znów uniosła się zachwytem.

* * *

Godna towarzyszka Wielkiego Dzieciaka nie omyliła się, twierdząc, że nagłej zmiany w zachowaniu Heleny de Lagarde należało szukać w porażce miłosnej. Dziewczyna wróciła do pałacu w bardzo złym humorze. Poszła na chwilę do margrabiny, po czym zamknęła się w swoim pokoju pod pozorem bólu głowy i chęci poło-

zenia. Widziała, że Andrzej okazywał jej daleko mniej uczucia niż kiedykolwiek. Zadawała sobie pytanie, dlaczego? Nie mogła jednak znaleźć odpowiedzi, wiedząc, że niczym nie uraziła młodzieńca.

Usiadła przed biurkiem, wzięła kawałek papieru i pióro. Chciała zwrócić się do Andrzeja z wymówkami, lecz nie wiedziała jaką formę nadać tym zarzutom. Gdy odezwał się dzwon obiadowy, nie napisała jeszcze ani jednego wiersza listu, który zamierzała złożyć w kryjówce zawierającej codzienną korespondencję dwojga zakochanych.

Podczas obiadu starała się nie zwracać na siebie uwagi, lecz po wstaniu od stołu, wciąż pod pozorem migreny, uzyskała pozwolenie na pójście do swojego pokoju. Znalazłszy się w nim, zdenerwowana, rozgorączkowana, próżno usiłowała nakreślić kilka słów. Załamana i znużona położyła się, lecz nie zasnęła ani na minutę.

O świcie wstała i ubrała się. Zamierzała pobiec do młyna. Andrzej powiedział, że będzie musiał jechać do Ferte-Saint-Cyr. To dość daleko, a ponieważ dni były bardzo gorące, przypuszczała, że uda się w drogę bardzo rano.

W podwórzu młyna służący zaprzęgał powóz. Helena zbliżyła się i zapytała:

- Pan Brestois wyjeżdża?

- Pan Andrzej? Tak, proszę pani, zaraz.

W tejże chwili ojciec z synem wyszli z młyna, rozmawiając. Zauważyli pannę de Lagarde i szybko podeszli, by ją pozdrowić.

- Wyjeżdża pan tak rano, panie Andrzeju - powiedziała dziewczyna do młodzieńca, podając mu rękę i jednocześnie wsuwając kartkę napisaną z takim trudem w nocy.

Andrzej schował ją zrećnie, rumieniąc się przy tym.

- Czeka mnie daleka droga. Nie mam chwili do stracenia. Wybacz pani, lecz muszę ją pożegnać.

Wskoczył do powoziku, schwycił lejce, pokłonił się Helenie i odjechał.

Pan Brestois odprowadził panienkę aż do wrót parku, po czym wrócił się do młyna.

Andrzej jechał szybko, wsunawszy wcześniej kartkę panny de Lagarde do kieszonki kamizelki. Nie zmienił tempa, dopóki nie opuścił ogrodzenia otaczającego park. Znalazłszy się w lesie, stanął i wyjął z kieszeni bilecik Heleny. Począł go czytać.

Kartka, jak wiemy, zawierała tylko kilka wierszy wypełnionych zdaniami krótkimi i urywanymi. Andrzej przeczytał ją dwa razy. Zmarszczył brwi.

Biedne dziecko, staje się doprawdy szalone... - pomyślał. Skończy się tym, że się skompromituje. Przychodzić do młyna, kiedy wszyscy jeszcze śpią w zamku! Jeżeli tak dalej pójdzie, wszystko może się źle zakończyć... Zawiniłem, zawiniłem ciężko, że nie zastanowiłem się i pozwoliłem, że zawładnęło mną uczucie, jakie mam dla niej. Teraz powinienem je zwalczyć, zamiast mu podlegać.

Przez kilka chwil stał ze wzrokiem utkwionym w kartkę nakreśloną pismem nieco drżącym. W końcu złożył ją i podarł na jakieś dwadzieścia kawałków, które jak garstka śniegu rozleciały się po drodze. Mlasnął, a łagodna klacz ruszyła z miejsca galopem.

Pochłonięty myślami, Andrzej nie dostrzegł siedzących opodal pod cieniem starego buka młodych ludzi. Mężczyznę i kobietą byli oczywiście Wielki Dzieciak i Wiewiórka, którzy natychmiast poznali mężczyznę i bacznie przypatrywali się, co robił. Wybrawszy się z rana na zwiedzanie zamku Chambord, nieco już znużeni odpoczywali.

Wiewiórka nachyliła się do ucha Wielkiego Dzieciaka i szepnęła:

- To ten sam, który rozmawiał wczoraj z panną Heleną. Pan Andrzej Brestois.

- Poznałem go dobrze.

- Miał twarz bardzo nachmurzoną, kiedy czytał kartkę, którą później podarł.

- I mnie się tak zdawało.

- Ca tam mogło być napisane, że go to tak zasmuciło?

- Nie mam pojęcia.

- Można by się dowiedzieć, gdybyśmy zebrali podarte kawałki i poskładali je razem. Nie zawadzi znać tajemnice.

- O, nie od parady nosisz głowę na karku.

Wiewiórka podnosiła się już, aby pozbierać rozpierzchłe strzępki papieru, gdy Wielki Dzieciak pociągnął ją za suknię.

- Chwilę jeszcze - mruknął. - Rycerz jeszcze niedaleko. Może się odwrócić i nas zobaczyć.

- Masz rację.

Zostali na miejscu, nie tracąc z oka angielskiego powozu, szybko się oddalającego. Gdy na horyzoncie majaczył już tylko czarny punkcik, Robert Dauphin zawołał:

- A teraz bierzmy się do roboty!

I para łotrów poczęła zbierać rozrzucone kawałeczki.

- Nie można zostawić najmniejszego szczątka - pouczył Robert Dauphin Wiewiórkę.

- Bądź spokojny.

Pierwszy kawałek podniesiony przez kobietę zawierał tylko jedno słowo, a raczej imię. Przeczytała je na głos.

- „Helena”.

- Jaka Helena? - zapytał Wielki Dzieciak.

- Imię, które znalazłam. Podpis osoby, która napisała kartkę, a osobą tą jest wczoraj poznana przez nas panienka. Mówiłam ci zaraz, że ona kocha się na zabój w owym panu Andrzeju. Trochę się na tym znam!

- Nie bajdurz, tylko zbieraj prędzej - przerwał jej Robert Dauphin ze śmiechem. Sam też zbierał najmniejsze odrobinki papieru.

- No, więcej nie ma - rzekła w końcu Wiewiórka. - Komplet. Teraz trzeba to złożyć.

Wielki Dzieciak wziął od Wiewiórki jej kawałki i połączył z podniesionymi przez siebie.

- Potrzeba do tego cierpliwości - zauważył.

- Czy zrobimy to teraz?

- Nie. Abo mi pilno? Będzie na to czas wieczorem. A teraz idźmy do zamku Chambord.

- Nie jesteś tak ciekawy jak ja. Bardzo chciałabym wiedzieć, jak gruchają te dwie turkaweczki.

- Na drodze niepodobna złożyć wszystkich kawałeczków, wiatr by je porwał.

Wyjawszy pugilares, wsunął zebrane szczątki papieru, po czym ruszyli w drogę.

W niespełną godzinę stanęli w wiosce Chambord. Udali się do zajazdu Świętego Michała na śniadanie, które spożyli z wielkim apetytem. Po śniadaniu zwiedzili zamek i wrócili do zajazdu, aby załatwić sobie powrót powozem. Powracający próżno do Blois kocz odwiózł ich za połowę ceny do oberży matki Jaillou. Przybyli w samą porę obiadową. O dziewiątej byli już u siebie, a skoro znaleźli się sami, Modesta poczęła nalegać na towarzysza, aby wzięli się do składania kawałków papieru.

Zadanie było długie i trudne. Wiewiórka spoglądała niespokojnie na Wielkiego Dzieciaka ocierającego pot z czoła. Wreszcie po godzinnym trudzie zdołali złożyć list, który brzmiał następująco:

Ukochany Andrzeju!

Nie jesteś już taki sam, jaki byłeś dla mnie. Przeczucie mi mówi, że twoja miłość się zmniejsza, podczas gdy moja wzrasta coraz bardziej.

Ogarnia mnie rozpacz... Gdybyś przestał mnie kochać, czuję, iż postradałabym zmysły. Od dwóch dni, to znaczy odkąd cię nie widziałam, prawie nie żyję, gdyż życie nie ma uroku bez ciebie.

Odjeżdżasz i dziś... Kiedyż cię ujrzę, abym mogła usłyszeć, że się myłę i że kochasz mnie zawsze tak samo?

Powrócisz dziś wieczorem, późno, może nocą. Wszystko mi jedno, muszę cię widzieć... Nie zmrużę oka, dopóki cię nie zobaczę. Czekać cię będę w małym pawilonie w parku. Przyjdź, błagam cię o to... Nie pozwól mi cierpieć, oddawać się rozpaczom... Miej litość nad tą, która jest i pozostanie twoją na wieki.

Helena

- To dopiero! - zawołała Wiewiórka. - Pannica całkowicie straciła głowę. No, cóż powiesz o tym?

- Powiem - oświadczył Wielki Dzieciak - że słodki bilecik wart jest dla nas kilkaset papierków.

- Tak, tak, masz rację! Trzeba go zachować! I ja sądzę, że kiedyś wzmocni grubo nasze fundusze.

- Jeżeli kobieta, którą widzieliśmy w Joinville w noc popełnienia ohydnej zbrodni towarzyszącą mordercy, była hrabiną de La-garde, mamy w swej mocy i matkę, i córkę.

- Może ta rodzina przyniesie nam szczęście? Tymczasem trzeba nalepić te kawałki listu na arkusz białego papieru.

- Jutro zrobi się trochę gumy arabskiej, a matka Jaillou da nam arkusik papieru. Teraz, aby nie rozpoczynać pracy na nowo, ponumerujemy kawałki.

Jak powiedział, tak zrobił. Wielki Dzieciak ponumerował starannie kawałeczki i schował je do pugilaresu.

XII

Helena de Lagarde, jak powiedzieliśmy, wsunęła kartkę w rękę Andrzejowi, a potem została odprowadzona do kraty pałacowej przez pana Brestois. Wydawała się, i była w samej rzeczy, trochę spokojniejsza, nie tak zdenerwowana. Przy śniadaniu okazała nawet trochę wesołości. Oświadczyła pani Chatelain, iż ma zamiar pójść nad rzekę, aby znów popatrzeć na parę zajmującą się łowieniem ryb. Ich zręczność istotnie wprawiła ją w podziw.

Zamiar urzeczywistniono, ale Helenie się nie szczęściło. Wielkiego Dzieciaka ani Wiewiórki nie było tego dnia nad rzeką. Dziewczyna doznała wprawdzie zawodu, ale nie trwał on długo. Gdy po długiej przechadzce wróciła do pałacu, czuła się zupełnie dobrze. Po obiedzie, ponieważ było bardzo gorąco, przeniesiono się na taras, gdzie zabawiano się rozmową.

O dziesiątej wieczorem każdy udał się do swojego pokoju. Helenę owładnęła gorączka. Niespokojna, poczęła przysłuchiwać się najlżejszym odgłosom dochodzącym z zewnątrz. Otworzyła okna w pokoju i nasłuchiwała, czy nie dojdzie jej uszu turkot powozu wiozącego Andrzeja.

O jedenastej wciąż było cicho. Wreszcie przed dwunastą doleciał ją daleki odgłos obracających się kół, po czym dostrzegła światła latarni angielskiego wózka mijającego most prowadzący do młyna. Pojazd się zatrzymał i usłyszała głos Andrzeja wydającego rozkazy oczekującemu go masztalerzowi.

- Przyjdzie zobaczyć się ze mną... - szepnęło dziewczę. - Trzeba pójść go czekać.

Apartamenty Heleny mieściły się w skrzydle pałacowym na pierwszym piętrze, z dala od pokoiów margrabiny. Można stąd było zejść, nie będąc widzianym ani słyszany przez nikogo. Helena opuściła pokój, przeszła przez przedpokój i znalazła się na oświetlonych schodach. Zeszła na dół. Wszystkie drzwi, z których wychodziło się do parku, były pozamykane na klucz, ale klucze tkwiły w zamkach. Helena dobrze o tym wiedziała. Otworzyła bez szelestu tylne drzwi i znalazła się w parku. Szła ostrożnie, aby piasek nie trzeszczał pod jej stopami. Doszła wreszcie do ciemnej alei, gdzie, będąc pewną, że nikt jej już nie usłyszy, przyspieszyła kroku.

Aleja prowadziła do polanki, na której stała wiejska altana z krzesłami, stołem, a nawet fortepianem. Okna zdobiły kolorowe szyby. Helena weszła po kilku stopniach, otworzyła drzwi i znalazła się wewnątrz. Zostawiła otwarte drzwi i z sercem bijącym, oddechem przyspieszonym, nasłuchiwała. Dziesięć minut później usłyszała trzeszczenie żwiru pod szybkimi krokami. Noc była jasna i w drzwiach zarysowała się ciemna postać.

Dziewczyna doskoczyła do postaci i pochwyciwszy ją za rękę, wciągnęła do pawilonu.

- Ach! Wiedziałam dobrze, że przyjdiesz... - wyszeptała. -Nie wątpiałam... a jednak miałam obawę...

- Jakże bym mógł cię nie zobaczyć, ukochana Heleno - westchnął Andrzej. - Czyż mogłem nie przyjść, otrzymawszy tak nagłą list... i wybaczyć... tak szalony.

- Ganiś więc mój list!

- Tak, zaiste, ganię zamieszczone w nim myśli, powątpiewania, rozpacz i cierpienie. Czemu mówisz o opuszczeniu cię? Dlaczego wątpisz we mnie?

- Dlatego, że nie kochasz mnie tak, jak dawniej...

- Kto ci o tym powiedział, co ci każe tak myśleć?

- Moje serce...
- To się myli i w błąd wprowadza.
- Niestety nie! Sądzisz, że ja wszystkiego nie czuję? Dawniej myślałeś o mnie ciągle... Nie było dnia, a nawet godziny, abyś się nie starał do mnie zbliżyć... powiedzieć, że mnie kochasz...
- A teraz tak nie jest?
- O nie!
- Jesteś niesprawiedliwa...
- Czy dlatego, że nie mam już złudzeń? Nie jestem już twoją wyłączną myślą, a twoje serce nie bije tak, jak było...
- Moje serce nie zmieniło się... i myśli są te same... Kocham cię tak, jak kochałem. Tak, jak tylko można kochać, ale... - Andrzej urwał.
- Ale co? - zapytała Helena z uniesieniem.
- Ale muszę się mieć na baczności.
- Na baczności! - jęknęło dziewczę. - Czy myśli się o tym, gdy się kocha?
- Gdy się kocha prawdziwie, nie można kompromitować tej, która jest dla nas wszystkim. Dziwi cię i niepokoi moja powściągliwość... powinnaś ją zrozumieć... i powinnaś w niej widzieć, ukochana Heleno, jedynie dowód mej czułości... Gdybym nie był powściągliwy i zaniechał ostrożności, którą mi zarzucasz, wszyscy dowiedzieliby się wkrótce o naszej miłości...
- A co to mnie obchodzi! - zawołała Helena. - Drwię sobie ze świata!
- Bo jesteś jeszcze prawie dzieckiem i nie zastanawiasz się nad tym.
- Czy zastanawialiśmy się, gdyśmy się zaręczali w kaplicy zamku Chambord, gdy zamienialiśmy pierścionki, przysięgając sobie, że należec będziemy do siebie, cokolwiek się stanie?
- Nie powinniśmy byli tego robić!
- A więc to żal powoduje twym obecnym postępowaniem?

- Jeżeli czegoś żałuję, to tego, że nie chcesz mnie zrozumieć.
- A ja wiem tylko, że podobne życie jest dla mnie niepodobieństwem!
- Czego więc żadasz?
- Abyś mnie kochał, tak jak dawniej, bez zwracania baczości, bez zastrzeżeń i bez ograniczeń! Czy nie możesz tak jak ja rozporządzać swoim sercem? Kto może to zganić, że nie ukrywasz się z miłością do mnie?
- Świat.
- Czy żyjemy dla świata?
- Nie, to prawda, ale powinniśmy obawiać się jego sądów, bo choć są często niesprawiedliwe i oszczercze, okrywają hańbą... Osądu tego można jednym tylko sposobem uniknąć.
- Jakim?
- Wyznaj matce, że mnie kochasz... Ja zrobię to samo, wyznam moją miłość ojcu. Pobierzemy się i będziemy mogli kochać się wobec świata.
- Och, tylko nie to! Tylko nie to... - szepnęła Helena. Zadrżała, bo przypomniała sobie straszne słowo: „Nigdy!”, wymówione i powtórzone przez panią de Lagarde w obecności margrabiego i margrabiny de Mercoeur.
- Dlaczego? - zapytał Andrzej.
- Gdyż moja matka odmówi, a nie zadowolając się odmową, rozdzieli nas na zawsze.
- Co cię skłania do podobnego przypuszczenia?
- To nie przypuszczenie, to pewność... Jeżeli potrzeba pozwolenia mojej matki, nasze małżeństwo nie będzie możliwe.
- Widzisz więc, że nie jesteśmy swobodni... Widzisz, że nie powinniśmy się kochać...
- Mówisz mi o tym tak chłodno, Andrzej. Chcesz, aby zawładnęła mną rozpacz? Nie dziwisz się, że złorzeczę życiu? Nie możesz pojąć, czemu szaleję!

- Droga Heleno, uspokój się...
- Mam się uspokoić, gdy mi zadajesz podobne cierpienia!
- Wskazuję ci jedyne wyjście, a ty odsuwasz się od niego.
- Ponieważ to, co mi proponujesz, jest niemożliwe.
- A więc ukryjmy naszą miłość przed wszystkimi i czekajmy.
- Na co?
- Na to, że to, co jest niemożliwe dziś, stanie się możliwe jutro.
- Czekać z rozpaczą w duszy! Umierać powoli! Lepiej umrzeć zaraz.

Ale mamy nie tylko to jedno wyjście.

- Jest coś innego niż małżeństwo?
- Tak.
- Co takiego?
- Ucieczka. Uciekajmy razem!

Andrzej osłupiał. Odsunął się. Nie wierzył własnym uszom. Helena proponowała mu, jako rzecz najprostszą w świecie, najzwyczajszą, ucieczkę z nią, wykradzenie... Wykradzenie małoletniej to przestępstwo, karane surowo prawem. Można tym było przerazić najodważniejszego.

Dziewczyna spostrzegła, że jej propozycja nie została przyjęta z uniesieniem, jakiego się spodziewała.

- Wahasz się! - zawołała.
- Jeszcze gorzej - odparł Andrzej. - Nie zgadzam się...
- Czy widzisz przeszkody w braku środków do życia? Po ojcu coś mi się z pewnością należy... W Anglii zdaje mi się będzie łatwo tego dokonać.
- Naprzód, droga Heleno, nie masz prawa przed dojściem do pełnoletności żądać podziału ojcowskiej fortuny. Czy wiesz, że gdybym się zgodził na opuszczenie Francji z tobą, porywając cię matce, przyjacielom, popełniłbym czyn niegodny, zasłużyłbym na wzgardę uczciwych ludzi?
- Pogardę uczciwych ludzi za to, że się kochamy!

- Nie dlatego! Uchodziłbym za wyzyskiwacza, który sprowadził młodą dziewczynę z drogi obowiązków, celem pozyskania jej majątku. Nie biorą już nawet w rachubę tego, że postąpiłbym jak syn wyrodny, opuszczając ojca, któremu jestem potrzebny... Małżeństwo zawierane za granicą, bez formalności wymaganych przez prawo francuskie, jest zresztą nieważne.

- Co czynić zatem? - wyszeptała Helena.

- Cierpliwie czekać.

- To nie życie!

- Czy nie byliśmy szczęśliwi dotychczas, skrywając naszą miłość? Miej cierpliwość, czas pełnoletności nadejdzie, wówczas będziesz mogła wyjawiać matce to, czego teraz by ci odmówiła, jak przypuszczasz...

- Odmówiłaby, jestem pewna - przerwała mu dziewczyna. - Jest niezłomna w swoich postanowieniach. Pochodzi ze starej szlachty, bo poślubiła szlachcica, i dla mnie też żąda tytułu. Wolałaby mnie widzieć w trumnie, niż zgodzić się na mezalians, powiedziała mi to kiedyś.

- Nie mogąc postąpić inaczej, zgódźmy się z naszym położeniem. Kocham cię całą duszą, wierz mi. I posłuchaj mych rad. Kochajmy się potajemnie, dopóki nie nadejdzie pora, że będziemy mogli decydować. Pozostań dla świata czystym dziewczęciem, którego żadne podejrzenie nie może osiągnąć. - Andrzej wziął w swoje dłonie ręce dziewczyny i pokrył je pocałunkami.

Helena wyszeptała:

- Ale ja nie będę mogła być ciągle w zamku... Matka po mnie przyśle i rozłączy nas.

- To będzie chwilowe rozłączenie...

- Nie widząc cię, umrę.

- Przeciwnie, żyć będziesz, myśląc, że znajdziemy się kiedyś razem. Myśl ta doda ci siły i odwagi. Jesteśmy młodzi, przyszłość

należy do nas. Oczekujmy od niej tylko dobrego, a nadzieja nas nie zawiedzie.

- Czy nie przestaniesz mnie kochać?

- Wiesz przecież, że przysiągłem ci to w kaplicy zamku Chambord. Czy uważasz mnie za krzywoprzysięcę?

Helena była rozbrojona. Mimo nerwowej ekscytacji, której zazwyczaj nie starała się nawet zwalczać, musiała przyznać w duchu, że Andrzej ma słuszość.

Jutrzenka miała się niebawem ukazać na niebie, gdy młodzi się rozeszli. Andrzej udał się do młyna na spoczynek, a panna de Lagarde wróciła cicho do swojego apartamentu.

* * *

Robert Dauphin i Modesta Pierrelay mieli spędzić w oberży matki Jaillou jeszcze jeden dzień, czekając na przybycie wdowy Ledin, od której zamierzali kupić dom. Ułożyli sobie, że poświęcą cały dzień na łowienie ryb, aby zabić czas oraz mając nadzieję, że nad rzekę przyjdzie dziewczyna, którą Wielki Dzieciak zamierzał zreszcie wypytać. Po śniadaniu zabrali sprzęt do połowu i udali się nad rzekę, skąd mogli rzucać czułe wejrzenia na posiadłość, będącą przedmiotem ich marzeń. Ich przewidywania spełniły się.

Helena, mimo zmęczenia i wrażeń odniesionych podczas nieprzespanej nocy, czuła się uspokojona, prawie wesół. Widzenie się z Andrzejem, chociaż nie doprowadziło do romantycznego porwania, o jakim marzyła, ułagodziło rozstrojone nerwy, usuwając z umysłu napastujące ją od kilku dni przywidzenia. Obecnie pojmowała, czemu młodzieniec trzymał się od niej z daleka. Gdyby Andrzej posiadał mniej rozwagi i dał się pociągnąć w przepaść, do której dążyła niechybnie, byłaby zdolna do wszystkiego, lecz po tym co usłyszała, wrócił jej zdrowy rozsądek.

- Pójdziemy nad rzekę - oznajmiła guwernantce. - Może dziś spotkamy tam naszą paryską parę i znów złowię karpia. Dam go pani de Mercoeur, wiem, że bardzo lubi ryby, a mnie sprawi to wielką przyjemność...

W zamku śniadano punktualnie o jedenastej. O wpół do dwunastej Helena z guwernantką udały się nad rzekę. Wiewiórka spostrzegła je z daleka.

- Patrz idą! - mruknęła do Wielkiego Dzieciaka. - Udawaj, że ich nie widzisz...Zajmuj się wędką, gdy nadejdą sam rozpocznę rozmowę.

Oboje zdawali się całkiem pochłonięci połowem. Kobiety zbliżyły się tak cicho, że choć byli czujni, zaledwie dosłyszeli je za sobą.

- No, jakże się dziś pani wiedzie? - zapytała Helena.

Robert i Modesta odwrócili się, udając zdziwienie. Skłonili się, po czym Robert pospieszył z odpowiedzią, uprzedzając Modestę.

- Niedawno tu przyszliśmy... Tylko co założyłem przynętę... Nie wiem jeszcze, jak mi się uda, ale mam nadzieję...

- Chciałabym pana o coś prosić - przerwała mu Helena.

- Słucham panią.

- Mam wielką chęć na ładnego karpia. Czy zechce mi go pan złowić?

- Chciałbym, jak najbardziej - Wielki Dzieciak się uśmiechnął - tylko to nie zależy całkowicie ode mnie. Służyć mogę pani radą, gdyż brak mi doświadczenia.

- A jeżeli ja nie złowię karpia, tylko pan, gdyż jest pan bardzo zręczny - ciągnęła dziewczyna - czy zechce mi go pan odstąpić?

- Sprzedać pani? -Tak.

- O za nic w świecie! Siadujemy z wędką jedynie dla rozrywki, nie zajmujemy się przecież sprzedażą ryb. Ale możemy go pani ofiarować, jeżeli złowimy taką rybą, jaką pani sobie życzy.

- Ach, jakże pan uprzejmy.
 - Tymczasem żona złowi dla pani kilka płotek. - Wielki Dzieciak szukał czegoś po kieszeniach. - Chciałbym się pani o coś zapytać.
 - O cóż takiego?
 - Czy pani onegdaj, siedząc na trawie obok mojej żony, nie zgubiła czegoś?
 - Nie... nie wydaje mi się.
 - Doprawdy? - Mówiąc to, Wielki Dzieciak pokazał dziewczęciu list.
 - Ach, list - rzekła.
 - Zaadresowany do panny Heleny de Lagarde, w zamku Blossieres.
 - W istocie, to list od mojej matki... Mógł go pan przeczytać.
 - Za nic na świecie nie popełniłbym podobnej niedyskrecji. List otacza czarna obwódka, pani chodzi w żałobie, a że znaleźliśmy go w tym miejscu, gdzie pani siedziała, przypuszczaliśmy, że należy do pani.
 - I nie omyliliście się państwo - odparła Helena, wkładając list do kieszeni. - Dziękuję panu.
 - Teraz postaram się złowić dla pani karpia.
- Nastąpiła chwila ciszy. Panna Châtelain pomyślała, że są niezbyt dystyngowani, ale w zamian porządni i uczciwi. Zapuszczając wędkę, Robert Dauphin odezwał się:
- Czy nie popełnię niedyskrecji, jeżeli zapytam, czy pani jest córką hrabiego Jerzego de Lagarde, zmarłego tak tragiczną śmiercią?
 - Tak panie. - Helena otarła oczy zaszłe łzami. - Jestem córką hrabiego de Lagarde, zamordowanego w Joinville-le-Pont przez dwóch nędzników, którzy zostali skazani i z których jeden został stracony kilka dni temu. Czy znał pan mojego ojca?
 - Nie, lecz w Paryżu zbrodnia narobiła dużo wrzawy.
 - Zbrodnia potworna, która mnie i mojej matce sprawiła niczym niezatartą boleść.

- Byłem obecny na sprawie, w sądzie.

- Ach! To musiało być okropne.

Tu Modesta Pierrelay, nie mogąc dłużej wytrzymać, wtrąciła:

- Z pewnością nie było to zabawne.

- To i pani tam była? - zapytała ze zdziwieniem Helena.

- Byłam przez stosunki. Dostawszy bilet od jednego ze słynnych adwokatów, przyjaciela mego męża... Gdyby sala posiedzeń była tak duża jak Pole Marsowe, to i tak byłaby pełna...Należało dla szyku być na tej sprawie... była to głośna, słynna sprawa...

Wielki Dzieciak przerwał dalsze objaśnienia swojej towarzyszki, mówiąc:

- Przebąkiwano nawet, że oskarżeni nie byli winni.

- Któż tak mówił? - zawołała żywo Helena.

- Wiele osób pośród tłumu.

- Kto inny, jeżeli nie ci nędznicy, mógł tak niecnie pozbawić życia mojego biednego ojca?

- Tego to i ja nie wiem! Jestem tylko echem uwag, czynionych przez ogół na sali.

- Skazano ich, ponieważ byli winni i miano dowody ich winy - szeptem rzekło dziewczę.

- Ma pani rację - zgodził się Wielki Dzieciak. - Sprawiedliwość nie może się pomylić i nie powinna się nigdy mylić... Inaczej, nie byłaby sprawiedliwością.

Robert Dauphin nie skończył jeszcze swoich dopytywań, lecz na razie, nie chciał przeciągać struny. Przez chwilę się nie odzywał, bacznie wpatrując się w wędkę, która nagle mocno się napreżyła.

- Zdaje mi się, że pochwyciłem dla panienki karpia - rzucił. - Podaj mi siatkę Modesto.

Modesta zrobiła, o co prosił, i Wielki Dzieciak wy dostał pięknego karpia, wszakże nie tak dużego, jak onegdaj.

- Nie idzie pani jeszcze? - zapytała Wiewiórka.

- Nie, jeszcze nie... Niech go pani zechce umieścić tymczasem u siebie...

Robert Dauphin znów zarzucił wędkę, a Helena i panna Châtelain usiadły na trawie.

- Pani bardzo lubi łowienie ryb? - zagadnął Robert.

- O, bardzo. Zwłaszcza gdy patrzę, jak pan dobrze sobie z tym radzi.

- Pani nigdy nie zapuszczała wędki w Loarze?

- Nie. Mówią, że tam dużo ryb...

- To prawda, szczególnie od strony Nantes.

- Nigdy nie byłam w Nantes, chociaż są to strony mego biednego ojca i mojej matki... A pan zna Nantes?

- Tak, proszę pani.

- Mieszkał pan tam?

- Nie, ale byłem kilkanaście razy, ostatni raz dwa lata temu... Miałem zakład tapicerski w Paryżu, otrzymywałem często zamówienia na prowincję... Byłem w Nantes, pragnąc osobiście dopilnować wielu robót dokonywanych w Clisson.

Helena przerwała mu.

- W Clisson! - wykrzyknęła.

- Tak, panienko.

- Moja matka była tam oddana na wykarmienie i tam się wychowała.

- Jest pani pewna?

- Słyszałam o tym nieraz.

- A jak się nazywała mamka pani matki?

- Zdaje się, że Iwona Bernard.

Wielki Dzieciak zadrżał i wymienił szybkie spojrzenie z Wiewiórką. Po czym odezwał się z miną poczciwca:

- To śmieszne doprawdy, jakie są zbiegi okoliczności w życiu! Nie sądziłem, udając się do zamku hrabiego Alberta de Lussana,

że znajdę się w stronach, gdzie pani de Lagarde oddaną została na wykarmienie.

Kiedy Robert Dauphin wymówił nazwisko hrabiego, przysła kolej na zdziwienie Heleny.

- Hrabia de Lussan - powtórzyła.

- Tak, proszę pani.

- Nazwisko rodzinne mej matki brzmi Lussan.

- Hrabia Albert jest pani krewnym?

- Nie umiem panu powiedzieć. Wiem, że moja matka miała brata, wiem, że opuścił kiedyś Bretanię, udając się do Indii, by zbić majątek. Wiem też, że od niepamiętnych czasów nie miano o nim żadnej wiadomości, uważano go za zmarłego.

- Ten, o którym wspominam, może nie jest pani krewnym... -wynioskował Wielki Dzieciak. Dowiedział się już, czego chciał. Teraz pytał się w duchu, jakie więzy pokrewieństwa łączyły panią de Lagarde z hrabią de Lussanem, którego nazwisko znalazł w notatkach pugilaresu skradzionego Anglikowi podczas zwiedzania zamczyska w Blois. To dopiero gmatwanina - myślał - może w tej mętnej wodzie da się coś złowić bez kompromitowania się.

Pływak wędki Wielkiego Dzieciaka silnie się zatrzęsł, dając znak, iż większa ryba uczepiła się haczyka. Ponieważ jednak myśli Roberta były zaprzątnięte czymś innym, zdobycz przy podnoszeniu w górę sieci wymknęła się.

- Jeżeli się nie mylę - powiedział Wielki Dzieciak do dziewczyny - uszła nam większa zdobycz. Zapuszczę ponownie wędkę, lecz wątpię, aby niedługo zdarzyła się podobna sposobność.

- Trzeba będzie wracać do domu Heleno - zakonkludowała panna Châtelain.

- Jeszcze chwilę - poprosiła młoda dziewczyna. - Nie mamy nic pilnego.

Pozostały jeszcze z dziesięć minut, lecz ryba się nie pojawiała. Panna de Lagarde dała w końcu znak do odwrotu.

Modesta wydobyła z wody siatkę z rybą, która rzucała się w niej ze wszystkich sił.

- Proszę, niech pani to zabierze ze sobą, a siatkę odeśle nam przez służącego.

- W samej rzeczy, tak będzie najwygodniej. A gdzie siatkę odesłać?

- Do oberży wdowy Jaillou, u której będziemy jeszcze kilka dni.

- Dobrze. Wiem, gdzie to jest... znam ten dom doskonale. Nie ofiaruję panu zapłaty, gdyż raz mi pan już odmówił, lecz dziękuję z całego serca.

- Powiem pani otwarcie - zawołała Modesta ze zwykłą sobie żywością - że przyjmując tę drobnostkę, zrobiła nam pani prawdziwą przyjemność!

Panna Châtelain wzięła siatkę i kobiety oddaliły się dość pośpiesznie.

- No i cóż, dowiedziałeś się tego, co chciałeś wiedzieć? - zapytała Wiewiórka.

- Prawie... Są tu jakieś wielkie tajemnice... lecz myślałem...

- Że grzebiąc w nich, ma się szansę wzbogacenia.

- Albo złamania karku... Zostawmy rzeczy własnemu biegowi... Jeżeli będzie można na tym skorzystać, z pewnością nie omieszkamy tego zrobić.

Przez jakiś czas siedzieli jeszcze nad wodą, lecz ryby nie brały, postanowili więc wrócić do oberży.

Wdowa Ledin, jadąc od rodziców męża, zaszła do matki Jaillou, która oświadczyła jej, że mieszkający u niej paryżanie chcą nabyć dom z łąką za pięć tysięcy franków.

- Jeżeli nie zmieniliście zamiaru, to zdaje mi się, że szybko ubijecie interes. Czy uprzedzić moich paryżan?

- I owszem.

- Prosił mnie, abym zatrzymała was na śniadaniu.

- Dobrze, zgadzam się, pomówimy o tym...

- Przyjdźcie więc za godzinę.

- Dobrze.

Nie będziemy opisywać czytelnikom śniadania, po którym nastąpiło drobiazgowo oglądanie przyszłej posiadłości Wiewiórki i Wielkiego Dzieciaka. Modeście wszystko się podobało i rozpoczęto natychmiastowe dobijanie targu. Wielki Dzieciak dodał trzysta franków za dostawienie sprzętów i umeblowanie jednego pokoju. Para zamierzała przybyć tu latem, aby wynająć mieszkanie i tym sposobem zwiększyć procent od wydanego kapitału.

Po długich naradach ułożono, iż nazajutrz rano notariusz spisze akt sprzedaży. Rzecz cała ułożyła się ku wielkiemu zadowoleniu wdowy, ucieszonej, że pozbędzie się domu, którego nie chciała dłużej zamieszkiwać, i wielkiej radości Roberta i Modesty, którzy zostali wreszcie posiadaczami.

- Oto do czego się dochodzi przyzwoitym prowadzeniem i systematycznością - powiedział Wielki Dzieciak do Wiewiórki.

Ta zaś mu odpowiedziała:

- Postępujemy tak dalej, a wkrótce zostaniemy bogaczami.

XIII

Paweł Giret opuścił celę skazanych na śmierć i został włączony do więźniów, którzy razem z nim mieli odbyć podróż do Saint-Martin-de-Re, a stamtąd do Nowej Kaledonii.

Mówiliśmy już, jaki był stan jego duszy. Nieszczęśliwy, oczekiwał z niecierpliwością wyjazdu, ufając, że znajdzie śmierć - zakończenie doczesnych cierpień w kraju, gdzie czekały go najcięższe próby.

Wybiła dziewiąta wieczorem. Podwoje więzienia Grande Roquette rozwarły się wolno i bez szmeru i wyjechało z nich sześć wozów więziennych, zwanych pospolicie „koszykami do sałaty”, eskortowanych przez dwudziestu konnych żandarmów pod wodzą oficera. Brama zamknęła się za wozami, a orszak skierował się ku placowi Bastylji. Tu skręcił w lewo, na most Austerlitz, który przebył wolno i dojechał do dworca Montparnasse.

W każdym wozie znajdowało się dziesięciu więźniów. Stojący na stacji pociąg nie był jednak przeznaczony wyłącznie dla nich. Miał jeszcze dwa wagony drugiej i trzeciej klasy, gdzie siedzieli podróżni mający do przebycia przynajmniej sto kilometrów. Wagonów z celami było pięć - w każdym między dwoma szeregami przedziałów ciągnął się korytarz.

Więźniów wprowadzono do wagonów, zanim podróżni weszli na peron. W każdym wagonie znajdowało się dwóch strażników. Pilnowali więźniów zamkniętych w celkach, zaglądając co chwila przez okienka w drzwiach opatrzonych zasłonami, dającymi się

bez hałasu odsuwać. Starszy dozorca, znajdujący się w ostatnim wagonie, dysponował listą więźniów.

Paweł Giret należał do więźniów, którzy znaleźli się w pociągu. Każdy z więźniów miał na sobie zwykłe ubranie. Mieli je zamienić na odzież więzienną dopiero po przybyciu do Saint-Martin-de-Ré. Giret był więc ubrany przyzwoicie, jak w dniu skazania. W jednej kieszeni trzymał sto dwadzieścia franków, które oddał mu dozorca więzienia Roquette, a które stanowiły cały jego majątek.

Opuszczając Paryż, w którym pozostawiał jedynie bolesne wspomnienia i rodzinę, którą kochał jakby była jego, Paweł doznawał pewnego rodzaju ulgi. Odjeżdżał z nadzieją, że zapomni o wszystkim. W miarę jednak jak pociąg oddalał się od miasta, ogarniały go coraz czarniejsze myśli. Ze zgrozą myślał o kraju, w którym się znajdzie: pośród złodziei i morderców, na zawsze odcięty od swoich. Chwilami myśl o ucieczce powracała uporczywie. Uciec! - powtarzał w myślach. Zaraz jednak zapytywał sam siebie: Ale jak? Co zrobić, by odzyskać wolność?

Gdyby mógł wyważyć ściany wagonu, które niemalże go ścisnęły, tak że ledwie mógł się poruszać... Gdyby miał jakieś narzędzie: nóż, sztabę żelaza. Dysponował jedynie własnymi rękami, które zaciskały się gorączkowo i natychmiast rozwierały bezsilnie, gdy trafiały na ciężkie drzewo obite metalem. Rozpaczliwe położenie podkreślała bezustanna uwaga dozorców, którzy bądź spoglądali przez małe okienko, bądź otwierali nieznacznie drzwi.

Pojmując zupełną niemożliwość ucieczki, nieszczęśliwy mówił do siebie:

- A jednak chciałbym pomścić Jana Remy... Magdalenę i Gabrielę...

Zapadła ciemna noc. Pociąg wiozący więźniów dołączono do drugiego, osobowego. O jedenastej ten mieszany skład ruszył w drogę. Przez cały dzień pogoda była ciężka, duszna i burzowa.

Od dziewiątej wieczór dawały się słyszeć dalekie grzmoty; wiał gorący wiatr, prawdziwy sirocco, przepowiadając burzę.

Pociąg zatrzymał się w Thouars, aby zabrać transport więźniów z miejscowości Niort. Przesiadanie i rozlokowanie skazańców odbyło się już podczas burzy. Parowóz ruszył w drogę o drugiej w nocy, wśród oślepiających błyskawic, trzasku piorunów i świstu wichury. Deszcz lał jak z cebra. Nagle ziemia zatrzęsała się w posadach i jednocześnie dał się słyszeć łoskot, jakby ruszyły galopem niezliczone zastępy wojska. Okolicę nawiedził cyklon w całej swej potędze i mocy. Połamane drzewa zaścielały drogę, niekiedy, wyrwane z korzeniami, wylatywały z trzaskiem w powietrze. Słupy telegraficzne legły na ziemię jak długie...

Od stacji Bressuire, której światła już było widać, dzieliła pociąg odległość zaledwie dwustu metrów.

Wśród tego iście piekielnego chaosu maszynista, siedzący w swojej kabinie, odróżnił nagle zupełnie odrębne odgłosy i dostrzegł ziejące ogniem oczy potwornego olbrzyma biegnącego mu naprzeciw. Było już za późno, aby dać radę zatrzymać pociąg. Dał się słyszeć straszny trzask. Pociąg idący z Thouars wbił się w pociąg nadjeżdżający z Nantes. Zwrotniczy oszołomiony burzą, zgnębiony porwaniem mu przez cyklon narzędzi, stracił głowę i dopuścił się omyłki, której następstwem była straszliwa katastrofa.

Uderzenie było potężne. Zdruzgotane wagony piętrzyły się jeden na drugim. Rozpalone węgle z parowozu, dostawszy się do szczątek wagonów, ogarnęły je płomieniem. Szalona wichura rozżarzyła w mgnieniu oka tłące się kawałki węgla, a te buchnęły płomieniem, oświetlając okropny widok. Zewsząd dawały się słyszeć nawoływania, jęki bóleści i rozdzierające skargi.

Z powywracanych wagonów wydobywały się krzyki:

- Pomocy! Tutaj! Umieram! Umieram! Na Boga, ratujcie!

Widok był przerażający. Ogień pożerał dwanaście wagonów, trzy wagony z celami, rozbite na miazgę, właśnie się zapalały.

Z ocalałych, ale przewróconych wagonów wskakiwali oszalali z przerażenia podróżni i uciekając przed siebie, myśleli jedynie o tym, aby jak najprędzej oddalić się od straszego miejsca. Ze stacji i małej wioski Bressuire nadbiegli urzędnicy i mieszkańcy, nie mając jeszcze pojęcia o całej rozciągłości nieszczęścia.

Pożar szerzył się coraz bardziej, a gęsty czarny dym dołączył do płomieni. Powietrze napełniła okropna woń smażących się ciał i zwęglonych kości. Pomoc nadchodziła ze wszystkich stron, poczęto myśleć o ratunku, który niebawem zupełnie porządnie zorganizowano. Ranni, zabici i umierający przewiezieni zostali do Bressuire, gdzie ułożono ich na materacach i rozpostartej słomie w składach.

Burza uciekła, mknąc ku zachodowi.

Jeden z mężczyzn, uszedłszy cudem śmierci, z gołą głową, popychany przez wiatr, gnany przestachem, biegł przez pola. Upadał, podnosił się i biegł znowu, przypominając z ruchów szaleńca i nie śmiąc rzucić okiem za siebie. Przez całą godzinę podtrzymywany nerwowym podnieceniem, biegł wciąż dalej, nie zwalniając kroku. Wreszcie nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zabrakło oddechu. Prawie nieprzytomny zatrzymał się na skraju lasu.

Jutrzenka poczęła ukazywać się od wschodniej strony nieba, a promienie słońca niebawem przebiły się przez pędzące po nieboskłonie, na podobieństwo uchodzącej co tchu kawalerii, chmury.

Mężczyzna odwrócił się i ogarnął okiem przestrzeń. Jak daleko można było sięgnąć wzrokiem, pustka. Z piersi uleciało mu westchnienie ulgi.

W Bressuire prowadzono w dalszym ciągu dzieło ratunku i zajmowano się oczyszczaniem drogi. Z zimną krwią można było teraz ocenić okropności zdarzenia. Naliczono już trzydziestu osób zmarłych i tyluż rannych. A ile ciał pokrajanych, zwęglonych, trudnych do poznania, kryło się jeszcze pod tłącymi się szczątkami rozbitych wagonów?

Poddano oględzinom nieuszkodzone wagony z celami. Kilku strażników zginęło. Dowódca konwoju wyszedł cało z katastrofy i kazał policzyć ocalonych więźniów, których oddano pieczy żandarmerii z Bressuire, dopóki nie zostanie przygotowany inny pociąg do drogi. Brakowało piętnastu ludzi. Pięciu było rannych. Dziesięciu spalonych żywcem, prawie zwęglonych, tworzyło jedną bezkształtną masę.

Paweł Giret został zaliczony do tych ostatnich, z tym większą pewnością, iż wagon, w którym był zamknięty, obrócił się w popiół.

* * *

Opuśćmy stację Bressuire i udajmy się za mężczyzną, który zatrzymał się o wschodzie słońca na skraju lasu, po karkołomnej ucieczce przez pola. Wyczerpany, usiadł, a raczej padł na kamień obrosły mchem. Przez długi czas siedział nieczuły na wszystko, co go otaczało, z oczyma utkwionymi w horyzont, którego nie widział. Wreszcie pod wpływem promieni słońca, które ogarnęły go swoim ciepłem, zaczął przychodzić do siebie. Ponownie ogarnął wzrokiem otaczającą go przestrzeń.

Okolice lesista, bardzo malownicza, bez wsi, folwarków ani chat. Nigdzie nie było widać dzwonnicy kościoła ani szczytu jakiegokolwiek innej budowli. Nie znając stron, pojmował do jakiego stopnia będzie mu trudno dowiedzieć się, gdzie jest, aby nie krążyć w jednym i tym samym miejscu.

Rozpatrzywszy się wokół, zwrócił oczy na siebie. Odzienie zmoczone ulewą i powalane błotem nadawało mu wygląd niebezpiecznego włóczęgi, gotowego do rozboju i zagrabienia wszystkiego, co się przytrafi. Zdjął kamizelkę i kurtkę i rozwiesił je na drzewie, a sam stanął na słońcu, by osuszyć koszulę i spodnie.

Po upływie dwóch godzin udało mu się doprowadzić do porządku i oczyścić nieco z błota ubranie. W tym czasie nie widział

żadnej istoty ludzkiej. Na pustyni nie byłby mniej samotny i nie trudniej by mu było zorientować się w terenie. Nagle doleciał go odgłos toczącego się wózka i niedługo dojrzał głowy wychylające się z za wysokiego oparcia wozu. Tamtędy biegła więc droga.

Skierował się ku tej drodze nie bez trudu, lecz doszedłszy, zatrzymał się. Dokąd ta droga szła? Czy należało udać się w lewo, czy w prawo? W niepewności co ma uczynić, stał nieruchomo, kryjąc głowę przed palącymi promieniami słońca pod okapem drzew. Na szczęście ujrzał w dali drugi wóz. Oczekiwał go z silnym biciem serca. Wózek toczył się wolno. Skoro się nieco przybliżył, mężczyzna poznał powozik kramarza wędrownego, mającego na sprzedaż najróżnorodniejsze przedmioty: odzież, kapelusze, materiały, obuwie, naczynia kuchenne, perfumierię szczotki...

Powozik zaprzężony w jednego, lecz dobrego konia, powoziła kobieta już nie pierwszej młodości. Mężczyzna wyszedł jej na spotkanie. Kobieta zatrzymała konia.

- Może pan czegoś potrzebuje? - zapytała. - Mam wszystkiego znaczny wybór, w dobrym gatunku.

- Widzę, że ma pani kapelusze - powiedział podróżny. - Wiatr zerwał mi mój, a na takim słońcu niebezpiecznie chodzić z odkrytą głową.

- Mam wielki wybór - odparła kupcowa, rozkładając towar. - Czy życzy pan sobie kapelusz słomiany czy filcowy?

- Filcowy.

- Oto one. - I podała mu pięć czy sześć, z których wybrał jeden i zapłacił pięć franków. - Jest pan z tych stron? - zapytała, oddając mu resztę.

- Nie, pani. Przybywam z Thouars. Szedłem nocą... Zaskoczyła mnie w drodze straszna burza... zbłądziłem i nie wiem ani gdzie jestem, ani jaką drogą idę.

- Jest pan na drodze do Cholet, między miejscowościami Bressuire, Thouars i Argenton.

- A więc idąc od strony, skąd pani przybywa, dojdę do... ?
- Do Cholet, zupełnie proste. Czy tam zamierza pan się udać?
- Nie - odparł, bo nie znając okolicy, nie wiedział, co ma powiedzieć.
- A więc do Mortagne-sur-Sèvre?
- Tak, do Mortagne. Chciałbym dostać się do dworca kolejowego.
- Ach, to musiałyby pan iść całe pięć mil. leżeli będzie pan szedł na piechotę, lepiej pójść do Saint-Aubin koło Chatillon. Miłą stąd zobaczy pan wieżyczkę na krzyżujących się drogach, stamtąd dostanie się pan do Chatillon, skąd końmi można dotrzeć do Mortagne-sur-Sèvre.

- Dziękuję pani.

Właścicielka kramu przypatrywała mu się z ciekawością.

- Patrząc na pana - powiedziała, śmiejąc się - mógłby ktoś pomyśleć, że unurzał się pan w błocie. No oczywiście się pan, nic to pana nie będzie kosztować.

I podała mu szczotkę, którą począł ścierać resztki błota.

- To dopiero ta noc narobiła - odezwała się kupcowa. - Niewesoło było znajdować się dziś na otwartym powietrzu.

- Kilka razy myślałem, że wiatr mnie porwie... Czy burza poczyniła wielkie szkody?

- Nie bardzo, lecz świszczała, hucząc i hałasując gorzej od wszystkich czarownic z Pont Aven!

Podróżny oddał szczotkę kobiecie, która sadowiła się już na koźle swojego wozu.

- Szczęśliwej podróży panu życzę! - zawołała.

- Dziękuję - odparł, kierując się w stronę miejscowości Cholet. Gdyby wiadano tu o katastrofie w Bressuire, ta kobieta coś by

mi o tym wspomniała - pomyślał. Trzeba się spieszyć, aby między mną a miejscem katastrofy była odległość jak największa, gdyż niebawem wszyscy będą wiedzieli o wypadku, a za zbiegłymi zo-

staną rozesłane listy gończe we wszystkich kierunkach, zwłaszcza do stacji kolejowych. Będę szedł tylko nocą, a gdy dotrę do portu, postaram się dostać na okręt, aby opuścić Francję przynajmniej na jakiś czas. Będę czekał, a trochę później zobaczę, czy nie można wrócić... Tymczasem jestem wolny... Nieostrożność nie powinna przyczynić się do tego, by mnie pochwycono.

Podróżny, w którym nasi czytelnicy poznali już Pawła Gireta, przyspieszył kroku, mimo straszliwego zmęczenia i dokuczającego mu głodu. Wioska, wskazana przez kramarkę, nazywała się Aubiers i znajdowała się w samej rzeczy na przecięciu dróg Chatil-Ion i Saint-Aubin. Liczyła ze stu mieszkańców i miała jedną tylko karczmę.

Wszedłszy do niej, Paweł Giret kazał sobie podać skromne śniadanie, które wzmocniło jego siły. Odzywał się tylko tyle, ile było trzeba, unikając pytań. Słuchał jednak bacznie tego, co mówili przy sąsiednich stolikach. W rozmowach nie wspomniano o Bressuire.

Pragnął gorąco dowiedzieć się, gdzie się dokładnie znajduje i gdzie ma się kierować dalej. Rozmyślał właśnie nad tym, gdy spostrzegł rozpiętą na ścianie mapę Francji. Posłużył mu do nakreślenia dalszej drogi, bez potrzeby pytania kogokolwiek - pomyślał.

Kazał dać sobie papier, pióro i atrament. Znalazłszy na mapie Bressuire i Thouars, poszukał Aubiers i znalazł je również. Po krótkim namyśle zwrócił oczy ku Nantes. Tam można będzie wsiąść na okręt - doszedł do wniosku. I tam też się udam...

Na kawałku papieru nakreślił sobie drogi, które wiodły do wyznaczonego punktu, z nazwami miast i wsi, którymi miał przechodzić lub których należało unikać. Znalazłszy się już w Nantes - pomyślał - dopnę tego, czego chcę. Ze stu dwudziestoma frankami dam sobie radę, najzupełniej.

Poczyniwszy odpowiednie notatki, zapytał, czy może dostać dla siebie pokój, aby przespać się do wieczora, gdyż nocą musi puścić

się w drogę. Odpowiedziano mu twierdząco. Uregulował rachunek z góry, dołączając zapłatę za śniadanie, i gospodyni zaprowadziła go do pokoju, gdzie stało posłane już łóżko.

- Jeżeli nie obudzę się przed siódmą - powiedział - bądź pani łaskawa przysłać mi kogo, aby mnie zbudził, gdyż na noc muszę stanąć w Chatillon.

- Niech się pan nie obawia - odparła oberżystka - sama pana obudzę. Czy zje pan jeszcze obiad przed odejściem?

-Tak.

Skoro Paweł Giret znalazł się sam, rzucił się na łóżko i natychmiast zasnął snem kamiennym.

O dziesiątej wieczorem, po zjedzeniu posiłku, wyszedł, udając się w wyznaczonym sobie rano kierunku. Miał on być dla niego zbawieniem, tak przynajmniej myślał.

Szedł niewiele dniami, zatrzymując się, aby nieco odpocząć i dostać coś do zjedzenia w wioskach. Droga, którą obrał, biegła równolegle z rzeką, lecz była dwa razy dłuższa niż ta, którą można było iść. Ale w zamian za trudy i stratę czasu, zyskiwał na bezpieczeństwie. Był już w drodze od trzech dni, gdy stanął w dużej wiosce Bruffiere, liczącej tysiąc mieszkańców.

Od Clisson, gdzie zamierzał dojść na następną noc, dzieliło go osiem mil.

Było koło dziesiątej rano; szedł już siedem godzin. Czując, że tego dnia nie da rady pójść dalej, wszedł do oberży i kazał sobie podać posiłek. Podczas gdy spożywał przyniesione mu jedzenie, wszedł wiejski listonosz i położył na stole list i dziennik, które karczmarka wzięła natychmiast.

- Może chce pan przejrzeć gazetę? - zapytała swego rannego gościa.

- I owszem.

Oberżystka zdarła opaskę, podała dziennik Pawłowi i wróciła do bufetu, gdzie zasiadłszy, poczęła czytać otrzymany list.

Zaledwie Paweł rzucił okiem na pierwszą stronę, zadrżał. U samej góry rzucał się w oczy napis wielkimi literami: „Katastrofa w Bressuire. Pięćdziesiąt osób zabitych, sześćdziesiąt rannych. Oddział więźniów w ogniu. Cyklon”. Artykuł zajmował pięć kolumn i opisywał drobiazgowo straszliwą katastrofę.

Paweł Giret czytał, a raczej sylabizował, zdanie po zdaniu, słowo po słowie. Po opisie okropnego nieszczęścia, dziennik wyliczał nazwiska zabitych i rannych, podróżnych i więźniów. Lista skazańców spalonych żywcem podczas pożaru wagonów z celami zaczynała się następująco: „Parisot Juliusz, 20 lat ciężkich robót, Martin Andrzej, 10 lat ciężkich robót, Bertin Klaudiusz, skazany na dożywotnie ciężkie roboty, Giret Paweł, skazany na dożywotnie ciężkie roboty...”.

Zbieg począł drzeć od stóp do głów, jakby pod działaniem stosu elektrycznego. Stawał się to śmiertelnie blady, to znów bardzo czerwony, pot kroplisty okrył mu skronie, a z oczu były płomienie. Przeczytał jeszcze raz: „Giret Paweł, skazany na dożywotnie ciężkie roboty”.

Pozostał przez kilka minut w głębokim zamyśleniu, niebawem jednak odzyskał równowagę. Na jego twarzy pojawiło się wielkie uradowanie, przeczytał listę spalonych żywcem i tych, którzy jako ranni zostali przewiezieni do szpitala w Niort, głównego miasta departamentu.

Skończywszy czytać opis katastrofy, złożył dziennik i położył go na stole. W wyobraźni wciąż widział litery, składające się na trzy wyrazy: „Paweł Giret, zabity”. Po śniadania wbrew swojemu zwyczajowi zażądał kawy i kieliszka likieru. Powziął postanowienie, iż będzie wędrował kilka godzin za dnia, odpoczywając gdzieś na trawie przy drodze. Na wieczór zdaży do Clisson, gdzie wsiądzie w pociąg, który zawiezie go do Nantes.

Gdy płacił oberżystce należność, zapytał:

- Czy mógłbym panią prosić o odstąpienie mi tego dziennika, naturalnie za zapłatą?

- Zrobiłabym to bardzo chętnie - odparła - bo sama go nie czytam, ale klienci, którzy tu mieszkają, gdy przyjdą, z pewnością będą chcieli go przeczytać.

- Pojmuję to doskonale i nie nalegam.

- Ale może pan dostać ten numer na końcu ulicy, w sklepie z porcelaną. Właściciel ma u siebie również materiały piśmienne i kantor pism.

- Dziękuję pani bardzo.

Paweł Giret pożegnał się i wyszedł. Z łatwością znalazł wspomniany sklep, w którym nabył gazetę i udał się spiesznie w dalszą drogę.

Nie tylko miejscowy dziennik podawał szczegóły katastrofy w Bressuire. «L'Indépendance" z Niort, „Le Républicain" z Angers, „Le Conservateur" z Rochelle też umieściły olbrzymie artykuły o katastrofie oraz podały listę rannych i zabitych.

KONIEC TOMU DRUGIEGO